

ROBERT LITTELL

**EPIGRAM
NA STALINA**

The Stalin Epigram

Przełożył
Krzysztof Obłucki



Mojej muzie, Stelli,
dla której gwiazdy
(zapożyczając metaforę z sonetu
Astrophel and Stella Philipa Sidneya z 1591 roku)
„nadal tańczą”.

*et chacun effectuera avec son âme, telle l'hirondelle avant l'orage, un vol
indescriptible*

Mandelsztam

Jestem sam - dokoła pełno fałszu.

To nie takie proste - życie przeżyć.

Przekład Ewy Rojewskiej-Olejarczuk

Z wiersza *Hamlet* Borysa Pasternaka, zakazanego przez cenzurę, lecz odczytanego prowokacyjnie na głos przez przyjaciół poety w czasie jego pogrzebu w 1960 roku.

Spis treści

Spis treści	4
Głos w tej książce mają:	5
1. Nadieżda Jakowlewna	7
2. Nikołaj Własik	22
3. Fikrit Szotman	35
4. Anna Andriejewna	41
5. Fikrit Szotman	51
6. Nadieżda Jakowlewna	66
7. Zinaida Zajcewa-Antonowa	78
8. Anna Andriejewna	80
9. Osip Emiljewicz.....	96
10. Zinaida Zajcewa-Antonowa.....	135
11. Nadieżda Jakowlewna	137
12. Nikołaj Własik	142
13. Borys Pasternak	148
14. Fikrit Szotman.....	152
15. Nadieżda Jakowlewna	164
16. Fikrit Szotman.....	183
17. Anna Andriejewna	197
18. Nadieżda Jakowlewna	211
19. Prawdopodobnie Osip Emiljewicz.....	224
20. Fikrit Szotman.....	234
21. Anna Andriejewna	243
Epilog Robert Littell	244
Źródła wybranych cytatów	249

Głos w tej książce mają:

Nadieżda Jakowlewna Mandelsztam, Nadienka, jak nazywał ją mąż, poeta Osip Emiljewicz Mandelsztam. Ma trzydzieści cztery lata, kiedy po raz pierwszy słyszymy jej głos w 1934 roku.

Nikołaj Sidorowicz Własik, osobisty ochroniarz Stalina i okazjonalny fotograf rodziny. Kiedy spotykamy go w willi pisarza Maksima Gorkiego, jest dobrze po trzydziestce.

Fikrit Trofimowicz Szotman, słynny w Związku Radzieckim mistrz w podnoszeniu ciężarów. Ma trzydzieści dwa lata, gdy natykamy się na niego po raz pierwszy. Pochodzący z Azerbejdżanu Szotman zdobył srebrny medal na mistrzostwach Europy w Wiedniu w 1932 roku. Na skutek sfuszerowanej operacji kontuzjowanego kolana wycofał się ze sportu. Po krótkotrwałej karierze ciężarowca pracował w cyrku jako siłacz.

Anna Andriejewna Achmatowa, właściwie Anna Gorienko, bliska przyjaciółka zarówno Mandelsztama, jak i Pasternaka, szeroko podziwiana poetka, nawet wtedy, gdy władze komunistyczne, w połowie lat dwudziestych, zakazały publikacji jej utworów. Wysoka i szczupła, w Paryżu w 1911 roku była kochanką mało wtedy znanego włoskiego malarza Amadea Modiglianiego, pozowała mu do aktów. Achmatowa, zgodnie ze słowami ojca (który zabronił jej posługiwania się przy publikacjach rodzimym nazwiskiem Gorienko) „poetka dekadenska”, w oczach bolszewickich stróżów życia kulturalnego „pół zakonnica, pół ladacznica”, ma czterdzieści pięć lat, kiedy spotykamy ją na tych stronach.

Zinaida Zajcewa-Antonowa, bardzo młoda i bardzo piękna aktorka teatralna, blisko związana z Mandelsztamami.

Osip Emiljewicz Mandelsztam, Osja dla żony, Nadieżdy. Ukazanie się jego pierwszego tomiku wierszy w 1913 roku, zatytułowanego *Kamień*, ugruntowało - zdaniem wielu ludzi - jego pozycję wielkiego rosyjskiego poety XX wieku, z czym Stalin najwyraźniej się zgadzał.

Borys Leonidowicz Pasternak, słynny poeta liryczny, czterdziestoczteroletni w 1934

roku, syn malarza Leonida Osipowicza Pasternaka. Tytuł jego pierwszego tomu wierszy, *Bliźniak w chmurach*, opublikowanego w 1914 roku, wyjaśnia, dlaczego Stalin, który do pewnego stopnia podziwiał Pasternaka, nazywał go „mieszkańcem chmur”. Całe lata zabrało Pasternakowi pogodzenie się z myślą, że to sam Stalin - a nie działający za jego plecami czekiści - jest odpowiedzialny za deportacje, czystki i egzekucje.

1.

Nadieżda Jakowlewna

Sobota, 13 stycznia 1934 roku

Od tamtej białej nocy, kiedy nasze życia oplotły się nawzajem po raz pierwszy, piętnaście lat temu, w Święto Pracy, w obskurnym kabarecie cyganerii o nazwie CHŁAM¹, wiele razy słyszałam Mandelsztama recytującego publicznie swoje utwory, a mimo to czysta przyjemność, jaką czerpałam z poetyckości jego utworów, nie osłabła. Zdarzają się chwile, kiedy płacząc rzewnymi łzami poruszona niewypowiedzianym pięknem jego słów, nabierających nowego wymiaru, gdy docierają do świadomości przez ucho, a nie przez oko. Jak mogłabym wytłumaczyć ten cud bez narażenia się na etykietkę zakochanej żony, zachwycającej się mężem w ślepych podziwiew? Ten nerwowy, uparty, zadowolony z życia *homo poeticus* (tak nazwał sam siebie, jakby od niechcienia, gdy wyżebrał ode mnie pierwszego papierosa w CHŁAM-ie, co teraz wydaje mi się jego poprzednim wcieleniem), ten neurotyczny kochanek (mój i różnych innych) był kameleonem; nieustannie stawał się kimś, czymś innym. (Nie trzeba wspominać, że bawi mnie, kiedy o tym mówię: gdy przemieniał się w kogoś innego, ja, rzecz jasna, robiłam to samo). Z jednym ramieniem przeszywającym niezdarnie powietrze, łuk jego ciała ilustrował rym i rytm, i pokłady wieloznaczności ukryte w tekście. Głowę trzymał odrzuconą do tyłu, nieomylnie semickie jabłko Adama poruszało się pod cienką, niemal przezroczystą skórą jego bladego gardła, on sam zaś zatracił się w rzeczy, którą nazywamy poezją - stawał się wierszem. Kiedy materializował się przy mównicy na początku wieczoru autorskiego, z widowni rozlegało się zwykle kilka ledwie tłumionych pomruków wesołości na widok pedantycznego, ogarniętego tremą mężczyzny, ubranego jak na własny pogrzeb. W wieczór, który opisuję, miał na sobie jedyny posiadany garnitur (ciemny, z szorstkiego wełnianego diagonalu, kupiony w sklepie z towarami za dewizy, gdzie zapłacił bonami nabytymi za niewielki spadek, odziedziczony kiedyś przeze mnie) oraz jedwabny fular (relikt z jego podróży do Paryża jeszcze przed rewolucją), zawiązany wokół wykrochmalonego, odpinanego kołnierzyka. Recytował tak, jak potrafi to jedynie twórca poezji: z krótką przerwą na oddech, niesłyszalnym wciąganiem

¹ Skrót od Chudoźniki, Litieratory, Artisty, Muzikanty.

powietrza w miejscach, gdzie wersy kończą się, zaginają lub powtarzają. Ta pauza ma zasadnicze znaczenie dla zrozumienia siły wiersza Mandelsztama. Porównałam notatki kilku pierwszych słuchaczy, jak nazywa ich Osja (kiedy sam deklamuje, a oni słuchają), i najbystrzejsi z nich zgadzają się, że ma się wrażenie, jakby wymyślał następną linijkę w trakcie recytowania. To z kolei wywołuje u słuchacza, który zna już jakiś jego wiersz, przedziwne odczucie, że słyszy te wersy po raz pierwszy, że nie istniały wcześniej, nie zakomponowano ich, nie przepracowano, nie wygładzono, nie zapamiętano i nie przepisali ich na cienkim jak łuska cebuli papierze szczerze oddani przyjaciele, nie ukryto ich w czajniczkach do herbaty i butach, wśród damskiej bielizny, z nadzieją w beznadziei, że nasi czekałi, kiedy po niego przyjdą, nie zdołają uwięzić jego dzieł.

Linijka, przerwa na oddech, a potem następny wers, świeżo sformułowany, wylewający się z jego bladych ust - to, kochani, sedno sedna recytacji Mandelsztama. Z powodów, które nie do końca rozumiem, efekt jest nawet niezwyklejszy, kiedy recytuje wiersze miłosne, i jeszcze bardziej zdumiewający, gdy dany wiersz liryczny nie jest kierowany do mnie, jego najlepszej przyjaciółki, towarzyszkii życia i prawnie poślubionej żony, ale do stroszącej piórka aktorki teatralnej, która przysiadła na składanym krześle obok mnie w pierwszym rzędzie w zapyziałej redakcji „Litieraturnoj gaziety”, gdy moje pulchne ramię styka się z jej smukłym ramieniem, a wierzch mojej dłoni ociera się boleśnie, jakby przez nieuwagę, o krzywiznę jej przepięknych piersi.

Mandelsztam przy mównicy odwrócił się, by upić łyk wody, zanim zacznie recytować ostatni wiersz wieczoru autorskiego. Aktorka, która posługiwała się pseudonimem scenicznym Zinaida Zajcewa-Antonowa nawet poza teatrem, pochyliła się ku mnie, rozgniatając pierś na mojej dłoni.

- Który wiersz będzie następny, Nadieżdo Jakowlewna? - wydyszała, a jej głos był zachrypnięty od, jawnego dla mnie, seksualnego rozbudzenia.

- Ten, który napisał dla ciebie, kochanie. „O mistrzyni spojrzeń pełnych winy”.

Mandelsztam odstawił szklankę z wodą.

- „O mistrzyni spojrzeń pełnych winy - zaczął, krótkie palce jednej dłoni rozczapierzył na łysiejącej czaszce, jego źrenice wwierały się w oczy kobiety siedzącej obok mnie. - Kruchych ramion pani i królowa... Ucichł męski niebezpieczny cynizm...”.

Pochyliłam się ku Zinaidzie.

- Dziś wieczorem musisz zachowywać się przyzwoicie - pouczyłam ją. - Nie wolno ci go prowokować.

- Ale to ciebie prowokuję, Nadieżdo Jakowlewna - wyszeptała w odpowiedzi,

zdzierając w rozbawieniu skórkę z kostki mojej dłoni końcem jednego z długich warkoczy, który opadł jej na pierś. - Podniecasz mnie tak samo jak on.

*Czemuż jak janczara mnie zniewolił
Twoich warg półksiężyc malusienki,
Pąs żaloszny czemu tak mnie boli?
O, nie gniewaj się, Turczynko droga,
Razem z tobą w worek się zaszyję.*

- W otomańskiej Turcji - powiedziałam do Zinaidy, ustami ocierając jej ucho - cudzołożące żony zaszywano w workach z kochankami i wrzucano do morza.

Nie odrywając ani na chwilę oczu od Mandelsztama, prawie nie poruszając malusienkim pąsem żalosznie wydętych warg, wymamrotała: - Och, nie miałabym nic przeciwko takiemu utonięciu.

*Stoję teraz u progu twego domu.
Odejdź. Idź już sobie. Albo nie...²*

- Stoję... teraz w progu - powtórzyła Zinaida.

- Stoi... w rzeczy samej - odpowiedziałam, chichocząc niedwuznacznie.

Oprócz nas dwu jeszcze jedenaście dusz, które odważyły się stawić czoło styczniowej zamieci, żeby wziąć udział w tym wieczorku autorskim, wybuchło entuzjastycznym aplauzem. Dwoje czy troje młodych ludzi z widowni zaczęło tupać w drewnianą podłogę podszwami kaloszy. Redaktor naczelny „Litieraturnoj gaziety”, odważny chłop, który kiedyś publikował Mandelsztama, gdy wolno było to robić, gorzko się rozczarował frekwencją, ale tłumaczył to mroźną pogodą. Wbrew ciszy, jaka otaczała mojego męża przez ostatnie lata, nadal wielu miłośników poezji uznawało go za ikonę, przynajmniej tak zapewniał nas redaktor naczelny. Woleliśmy myśleć, że to prawda, ale już bez takiej pewności, jaką mieliśmy pod koniec lat dwudziestych, kiedy uczestnicy spotkania autorskiego z Mandelsztamem mogliby wypełnić sporą salę koncertową.

Mandelsztam, nagle oddychający z trudem (cierpiał sporadycznie na palpacje serca), zatoczył się pijacko, odsunął na bok i złapał równowagę, kładąc rękę na mównicy, pochylony

² Wszystkie fragmenty tego wiersza w przekładzie Marii Leśniewskiej.

nisko do przodu. - On pije? - zapytała mnie Zinaida, przekrzykując wrzawę.

- Przed spotkaniem wypił pół butelki gruzińskiego wina, żeby uspokoić nerwy - powiedziała jej. - Ale nie jest pijany, jeśli o to pytałaś. Nigdy nie widziałam Mandelsztama zamroczonego alkoholem; upija się jedynie słowami.

Stojąca na końcu sali dyrektorka do spraw wydawniczych jednej z państwowych oficyn, znana jako Frajerka (powszechnie uważano, że donosi czekistom, co i kto mówił na podobnych spotkaniach), krzyknęła: - Pytania i odpowiedzi.

Pogroziłam mężowi ostrzegawczo palcem w nadziei, że zakończy ten wieczór tu i teraz. Bałam się, że Frajerka będzie próbowała sprowokować go do powiedzenia czegoś, co ściągnie na niego kłopoty ze strony naszych aniołów stróżów. Dopóki jego instynkt samozachowawczy (podobnie jak mój) pilnował subtelnego rozróżnienia, co jest właściwe, a co niewłaściwe, wypowiadał się ogródkami. Ale to należało do przeszłości. Po naszym powrocie z Krymu, gdzie widzieliśmy hordy chudych jak szkielety i wycieńczonych chłopów, ofiary wyniszczających skutków stalinowskiej kolektywizacji, zebrzących o skórkę chleba na dworcach wzdłuż całej trasy pociągu, Mandelsztam stał się niebezpiecznie otwarty w mówieniu, co myśli. W ostatnich tygodniach zaczął cytować fragmenty wiersza z 1931 roku za każdym razem, gdy ktoś ze znajomych znalazł się w naszej kuchni: „O, jakże bardzo pragnę się rozbawić, / Wygadać się, powiedzieć wreszcie prawdę”³. Żyłam w strachu, że dokładnie tak postąpi, przerażała mnie myśl, że powtórzy publicznie rzeczy, z których zwierzał się w domu zaufanym przyjaciółom: o indywiduum, które nazywał góralekremłowskim, o całkowitej porażce bolszewickiej rewolucji w polepszeniu doli zwykłych ludzi, o transformacji Rosji w państwo policyjne znacznie gorsze od tego, które istniało pod panowaniem pożałowania godnych carów, o komunistycznych aparatczykach, dozorcach, którzy odebrali poetom prawo do pisania wierszy o najbanalniejszych sprawach ludzkich.

Uprzejmym skinieniem dłoni Mandelsztam udzielił tej kobiecie pozwolenia na zadanie mu pytania.

- Powiedźcie, Osipie Emiljewiczu, skąd, według waszych doświadczeń, bierze się poezja?

- Gdybym to wiedział na pewno, pisałbym więcej wierszy niż teraz. - Mandelsztam delektował się śmiechem, który wywołały jego słowa. - Odpowiadając na wasze pytanie - mówił dalej, gdy sala ucichła - przytoczę zdanie Pasternaka, utrzymującego, że artysta nie wymyśla obrazów, lecz raczej zbiera je z ulicy.

³ Przekład Marii Leśniewskiej.

- Chcecie nam przez to powiedzieć, że poeta jest jak śmieciarz? - zapytała Frajerka.

- Śmieci reprezentują resztki kapitalistycznego społeczeństwa - zauważył Mandelsztam, uśmiechając się beznamyślnie do donosicielki ponad głowami pozostałych słuchaczy. - Nasz Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich nie produkuje śmieci, co tłumaczy brak śmieciarzy.

To również wywołało śmiech: urzędnik z moskiewskiej rady narodowej został ostatnio aresztowany pod zarzutem sabotowania pracy stołecznych służb oczyszczania miasta, bo nie zatrudnił wystarczającej liczby śmieciarzy.

- Brak śmieci, to i śmieciarze niepotrzebni - zgodziła się, szepcząc pod nosem, Zinaida. Wypowiedziała te słowa w taki sposób, że poczułam w duszy ukłucie zazdrości. Przez moment nie dłuższy od mrugnięcia powieką jej głos b r z m i a ł dokładnie jak głos Mandelsztama.

- A co z Achmatową? - zapytał z nerwową natarczywością młody poeta z rzędu za mną.

- Jeśli chodzi o Achmatową - odpowiedział Mandelsztam - stwierdzenie, że pisze wiersze, jest nieprecyzyjne. W gruncie rzeczy bowiem o n a j e s p i s u j e - otwiera zeszyt i notuje wersy, które w czasie przedlirycznego niepokoju, jak sama to określa, już uformowały się jej w głowie. Wiem, że stawia kropki w miejscach fraz, które jeszcze nie powstały, i wpisuje potem brakujące słowa. Zamykając oczy, przekrzywiając głowę i odsłaniając szyję, Mandelsztam wyrecytował wiersz Achmatowej, który, podobnie jak większość jej utworów z ostatnich czasów, pozostawał nieopublikowany:

*Gdybyś się kiedyś ktoś chciał zaciekawić,
Z jakiego śmiecia czasem wiersz wyrasta...*

*Gniewny krzyk skądś trocin zapach czysty,
Pleśń tajemnicza na ścianie pokoju...
I wiersz już dźwięczy...⁴*

- Dość już o Pasternaku i Achmatowej - zawołała Zinaida. - Skąd się biorą wiersze M a n d e l s z t a m a, Osipie Emiljewiczu?

Mandelsztam przypochlebił się jej konspiracyjnym półuśmiechem, jakby już wcześniej to przerabiali w trakcie wspólnych tak zwanych wieczorów literackich.

- Wiersz zaczyna się od ledwie słyszalnego głosu, podzwaniającego w ucho na długo, zanim słowa się ukształtują - odpowiedział. - To sygnał, że rozpoczęło się poszukiwanie zagubionych słów. Moje usta poruszają się bezgłośnie, przynajmniej tak mi mówią słuchający, aż wreszcie zaczynam wypowiadać chaotyczne słowa lub frazy. Stopniowo ten wewnętrzny głos staje się wyraźniejszy, przekształca się w jednostki znaczeń i w tym momencie wiersz zaczyna stukać niczym pięść w okno. Dla mnie pisanie wierszy odbywa się w dwóch fazach: kiedy objawiają mi się pierwsze słowa i kiedy ostatnie, obce słowa, wpasowane na siłę niczym drzazgi w blok wiersza, zostają wyciągnięte i zastąpione właściwymi słowami.

- Boże, kiedy o tym mówi, wydaje się to takie łatwe - powiedziała Zinaida, gdy w holu na dole czekałyśmy na Mandelsztama, kończącego podpisywanie cienkich tomików swych wczesnych wierszy albo wycinków z gazet ze świeższymi poezjami, które w nich wydrukowano (co było rzadkością, jako że nasi aniołowie stróżowie uznali, że Mandelsztam nie wnosi wkładu do budowy socjalizmu). - Mogłabym słuchać tej wewnętrznej muzyki aż do czasu, kiedy Arktyka się stopi - kontynuowała Zinaida z teatralnym, moim zdaniem, westchnieniem.

- To, co ma Mandelsztam - poinformowałam młodą aktorkę, której oboje pożyliśmy - to dar od bogów. Albo się go ma, albo nie. Jeśli się go ma, to muzykę i słowa podają ci na srebrnej tacy.

- Czy to prawda, Nadieżdo, co mówią, że przeczytałaś każdy wiersz, który kiedykolwiek napisał?

- Znam, rzecz jasna, bardzo dobrze kilka jego opublikowanych zbiorów. Ale nasi aniołowie stróżowie od literatury skutecznie zahamowali publikowanie wierszy Mandelsztama, poza sporadycznymi wyjątkami, jakieś sześć lat temu. Pod koniec lat dwudziestych przeszedł przez, jak sam to nazywa, etap głuchoniemoty, kiedy całkowicie zarzucił pisanie poezji. Każdego wiersza, który stworzył od tamtej pory, musiałam nauczyć się na pamięć - powtarzam je w myślach codziennie rano i wieczorem. Dzięki temu, jeśli cokolwiek się mu przydarzy, wiersze ocaleją.

- A jeżeli, niech Bóg broni, coś przydarzyłoby się tobie?

Tą małą kpiną trąciła czułą strunę. Zastanawiałam się, czy Mandelsztam rozmawiał z nią o tej sprawie. O ile go znam, pewnie to zrobił. Zwierzanie się z intymnych sekretów było niezawodnym sposobem zyskania zaufania kobiety, przekonania jej, że nie jest się

⁴ Przekład Anatola Sterna.

gwałtownikiem w przywodzeniu do czegoś, co koniec końców jest przecież brutalnym aktem.

- Wkładasz palec w ranę, jaka istnieje między mną i mężem - przyznałam. (Sama nie byłam od tego, by zdradzać intymne sekrety i w ten sposób zaciągać kogoś, wszystko jedno jakiej płci, do łóżka). - Mandelsztam karmi się paroma złudzeniami co do własnego, a i własnych dzieł, przetrwania. A ponieważ Stalin wydał dekret, że nic, co stoi w opozycji do linii partii, nie może być publikowane, Mandelsztam uznał, że jego los został przesądzony. Spójrzmy prawdzie w oczy: niepublikowany poeta robi tyle hałasu co drzewo upadające w lesie, kiedy nikt tego nie słyszy. Stanowisko Stalina, które sprowadza się do alternatywy: „Albo jesteście z nami, albo jesteście przeciwko nam, kochani” - nie zostawia miejsca dla takich jak Mandelsztam. Rozumiesz zatem, kochana Zinaido, że mój mąż zamyśla o ocaleniu swojego literackiego dziedzictwa, kiedy namawia mnie do uczenia się jego wierszy na pamięć. Ponieważ postanowiliśmy nie mieć dzieci, umyślił sobie, że moja rola jako ostatniego depozytariusza jego dzieł da mi motywację do życia.

- I tak się stało?

Musiałam wzruszyć ramionami, bo w taki właśnie sposób odpowiadam zwykle na głupie pytania. Kto może wiedzieć, co - poza niemożliwym do stłumienia przymusem oddychania albo efemerycznym zadowoleniem ze zbliżenia seksualnego lub niezaprzeczalną satysfakcją z rozczarowania ludzi mających władzę, którzy życzą ci śmierci - popycha człowieka do tego, by trzymał się życia?

Zinaida wpatrywała się w swoje odbicie w przeszklonych drzwiach.

- Gdyby mój mąż zniknął w jakimś obozie - a ostatnio skazują agronomów, żeby wyrównać rachunki za długie kolejki przed piekarniami - rozwiązałyby to wszystkie moje problemy. - Odrzuciła do tyłu głowę, dając mi do zrozumienia, że żartowała, ale wiedziałam wystarczająco dużo o jej małżeństwie - miała męża starszego o dwanaście lat, który prawie wcale nie interesował się teatrem ani sztuką w ogóle - by uznać, że mówiła co najmniej na pół poważnie. - Z punktu widzenia prawa mogłabym się wtedy z nim rozwieść i zatrzymać mieszkanie razem z moskiewskim meldunkiem.

Zanim zdążyłam jej powiedzieć, że w tych dniach żony wrogów ludu są najczęściej zsyłane razem z aresztowanymi mężami, zjawił się Mandelsztam. Spostrzegłszy go, Zinaida poprawiła na delikatnej szyi wyleniałą etolę z lisa, tak by łebek zwierzątka, patrzącego na świat z niewzruszoną obojętnością oczami z koralików, znalazł się na jej piersi. A jako że Mandelsztam nie należał do tych, których uwagi może ujść cokolwiek seksualnie sugestywnego, zauważył to natychmiast.

- Po raz pierwszy w mojej czterdziestotrzyletniej egzystencji zazdroścę do bólu

martwemu lisowi - powiedział bardzo cicho, sprawiając, że Zinaida przewróciła oczami w udawanym zażenowaniu. (Była - zapamiętajcie dobrze - mistrzynią i - mogłabym dodać - panią spojrzeń pełnych winy). Postawiłam wytarty kołnierz zimowego palta po zmarłej ciotce, zrobiony, jeśli wierzyć mojemu mężowi, z futra skunksa, i opatuliwszy nim szyję, pociągnęłam ciężkie drzwi wyjściowe. Uderzenie lodowatego powietrza ze zmrożonymi grudkami śniegu zaparło nam dech w piersiach. Mandelsztam opuścił nauszники obszytej futrem skórzanej czapki.

- Papierosy - oznajmił i biorąc nas pod pachy, pociągnął za sobą na wietrzną moskiewską ulicę.

Jak wielu mężczyzn - a może powinnam powiedzieć, jak w i ę k s z o ś ć m ę ż c z y z n - Mandelsztam żeglował przez życie z ładunkiem fobii. Cały czas bał się przeraźliwie, że pewnego dnia muza i erekcja go zawiodą. Żył w strachu przed strachem. Ale nigdy nie zastanawiał się, skąd pochodzi kolejny rubel lub bon do sklepu dewizowego - zakładał po prostu, że w razie potrzeby ja w jakiś sposób je wyczaruję, co rzeczywiście zdarzało się częściej niż rzadziej. Zamartwiał się za to na śmierć perspektywą, że zabraknie mu papierosów w środku nocy, kiedy dzwonięcie w ucho obudzi go z niespokojnego snu, a on spędzi resztę bezsennych godzin pozostałych do świtu, krążąc po maluteńkich pokojach mieszkania, jakie mieliśmy dzięki uśmiechowi losu, ćmiąc jednego papierosa za drugim w oczekiwaniu na pojawienie się owych chaotycznych słów i fraz. I tak, wyżebrawszy dwa papierosy od ludzi z widowni na górze i sprawdziwszy, że zostało mu jedynie pięć fajek marki „Hercegowina Flor” w pogniecionej paczce, poprowadził nas, ściskając białą gałkę laski, której zaczął używać z powodu przytrafiającego mu się braku oddechu, na wariackie poszukiwania tanich papierosów. Krążyliśmy z pochylonymi głowami w zamieci wyciskającej łzy, zaglądając do okolicznych kawiarni i stołówek w nadziei wyżebrania, pożyczania lub kupienia całej paczki papierosów. W trzecim z kolei miejscu - a była to działająca do późna w nocy stołówka dla motorniczych tramwajowych ukryta w niewielkim zaułku za pętlą tramwajową przy Kremlu - Mandelsztam znalazł wreszcie to, czego szukał (podejrzany typ, który twierdził, że ma pozwolenie na handel, i sprzedawał tam na sztuki bułgarskie papierosy z pudełka po cygarach), razem z tym, czego nie szukał: upokorzenie.

- Osipie Emiljewiczu! Co zmusiło was do wyjścia z domu w taką noc? To Nowy Rok zgodnie ze starym kalendarzem juliańskim. Zatem szczęśliwego nowego roku, przyjacielu.

Głos należał do nieogolonego draba siedzącego przy dwóch zestawionych razem stołach na tyłach stołówki. Otaczających go pięć młodych kobiet, ubranych w zimowe palta z wywatowanymi ramionami i popijających, jak mi się wydało, wódkę ze szklanek do herbaty,

obróciło głowy, by gapić się na nas, jakbyśmy byli upiorami, które dotarły tu z cmentarza. Ze sposobu, w jaki Mandelsztam pozdrowił tego człowieka uniesioną do połowy łaską, domyśliłam się, że nie do końca go rozpoznawał. Mandelsztam często miał problemy z dopasowaniem nazwisk do twarzy, kiedy ludzie pojawili się przed nim jakby poza kontekstem.

- Witam, witam, Ugorze-Żytynie - zawołałam, widząc, że mąż kiwa z ulgą głową, bo właśnie zidentyfikował naszego rozmówcę.

- Ugor-Żytkin, no, nareszcie - dołączył mój mąż, odwracając się od handlarza bułgarskimi papierosami. - Od tygodni zostawiam dla was wiadomości u waszej sekretarki.

- O tej porze roku zawsze mam dom wariatów - utyskiwał Ugor-Żytkin, jakby to tłumaczyło jego brak odpowiedzi. - Tysiąc i jedna rzecz do zrobienia, tysiąc i jedna osoba do zobaczenia...

Mandelsztam dowiedział się od Pasternaka dwa lub trzy miesiące wcześniej, że redaktor Ugor-Żytkin daje gotówkę za oryginalne manuskrypty skupowane dla nowej biblioteki Funduszu Literackiego. Jedyne rękopisy nieopublikowanych - i, zgodnie z opinią naszych aniołów stróżów, nienadających się do publikacji - wierszy Mandelsztama wyszły spod mojej ręki i autor nie rozstałby się z nimi, nawet gdyby ktoś był na tyle nierozważny, by chcieć je przejąć. Rozpaczliwie potrzebowaliśmy pieniędzy - przestałam dostawać zlecenia na tłumaczenia, w miarę jak Mandelsztam stał się *non grata* w literackim świecie, a zbyt wstydziłam się prosić Pasternaka albo Achmatową o kolejną pożyczkę, której nie mieliśmy szans spłacić. Wtedy właśnie wpadliśmy na pomysł spreparowania manuskryptu, który Mandelsztam mógłby sprzedać jako oryginał. Pochylony nad niewielkim, obitym linoleum stołem w kuchni, jako tako stabilnym dzięki skórce od chleba podłożonej pod jedną z nóg, przepisywał do szkolnego zeszytu wiersz po wierszu z opublikowanego w zielonej okładce tomiku *Kamień*, jego pierwszej wydanej książki. To żmudne zajęcie zabrało mu prawie całe dwa dni. Nadanie rękopisowi autentycznego wyglądu stało się dla nas swego rodzaju obsesją. Mandelsztam pamiętał albo wymyślał wcześniejsze wersje poszczególnych wierszy i zapelniał strony pokreślonymi strofami i wersami. Kiedy skończył, zaczęliśmy na zmianę kartkować zeszyt, aż jego brzegi stały się postrzępione, po czym postarzyliśmy manuskrypt, podpiekając go na małym ogniu w piecyku sąsiadów, by papier żółkł i stał się łamliwy. Na koniec Mandelsztam posunął się nawet do dopisania własnych zaszyfrowanych uwag i umieszczenia przepisu na polski barszcz (toporna aluzja, że urodził się w Warszawie) na pustych stronach. Produkt końcowy został starannie obłożony gazetą z 1913 roku, którą zwinęłam z biblioteki uniwersyteckiej, i osobiście dostarczony przez Mandelsztama

sekretarce Ugora-Żytkina, która zgodziła się pokazać go szefowi, gdy tylko wróci do Moskwy.

- Wypijcie z nami za nowy rok - powiedział Ugor-Żytkin, wskazując ręką na wolne krzesła przy końcu zestawionych stołów. Najwyraźniej unikał tematu o r y g i n a l n e g o manuskrypcie *Kamienia* Mandelsztama. - Dziewczeta i ja... - Kobiety przy stole, ciesząc się opinią jego protegowanych, liczyły na to, że Ugor-Żytkin użyje swoich znaczących wpływów i sprawi, że ich opowiadania, wiersze albo sztuki znajdą się w druku; to, co dawały mu w zamian za tę przysługę, było w Moskwie tematem niejednej rozmowy przy kolacji. - Dziewczeta i ja świętujemy coś więcej niż tylko juliański Nowy Rok. Posłuchajcie, Osipie Emiljewiczu, to wielkie wydarzenie w historii Związku Radzieckiego. Wyszliśmy właśnie z pokazu pierwszego filmu dźwiękowego. Na pewno czytaliście entuzjastyczną recenzję w „Prawdzie”; niektórzy są przekonani, że napisał ją sam Stalin, bo powszechnie wiadomo, jak lubi ten film. Mówię o *Czapajewie* braci Wasiljewów. Jest oparty na powieści Furmanowa o bohaterze wojny domowej Wasylu Czapajewie.

Twarz Mandelsztama, który nie owijał już niczego w bawełnę, spochmurniała. Wiedziałam, czym to grozi, dlatego próbowałam pochwycić jego spojrzenie i jakoś go od tego tematu odciągnąć. Na próżno.

- Problem z radzieckimi filmami, dźwiękowymi czy niemymi - zaczął, naśladując gardłowy gruziński akcent, co miało przypomnieć wszystkim, jak Stalin mówił po rosyjsku - polega na tym, że cechuje je bogactwo szczegółów i ubóstwo idei, ale w końcu propagandzie idee nie są potrzebne.

Mandelsztam mógł równie dobrze wylać wiadro lodowatej wody z rzeki Moskwy na głowę Ugora-Żytkina i jego świty.

- Co on mówi? - zapytała jedna z dziewczyn.

- Sugeruje, że radzieccy filmowcy są propagandzistami - powiedziała inna.

- Dla mnie brzmi to jak obrzydliwa deklaracja antyradziecka - dodała niewyraźnie trzecia dziewczyna.

Przeszukawszy kieszenie, Mandelsztam wyciągnął poświadczenie napisane odręcznie przez sekretarkę o „przyjęciu oryginalnego manuskrypcie edycji *Kamienia* z 1913 roku”. Przeszedł przez salę, minął motorniczych tramwajowych i konduktorów, wzmacniających się przed nocną zmianą zwietrzałym piwem, i rozpląszczył kwit na stole przed Ugorem-Żytkinem.

- Miałem właśnie zamiar skontaktować się z wami w tej sprawie - powiedział Ugor-Żytkin.

- Obejrzelicie mój manuskrypt?

- Wartość przekazanego rękopisu mierzy się poważaniem pisarza. Mówiąc szczerze, w opinii ogółu jesteście pomniejszym poetą. Nie mogę dać wam więcej jak dwieście rubli.

- Dwieście rubli! - Mandelsztam, któremu ręce trzęsły się ze złości, uniósł laskę i walnął nią w blat stołu. Szklanki od herbaty podskoczyły. Dwie dziewczyny zerwały się na równe nogi ze strachu. Ugor-Żytkin zbladł. - *Kamień* - Mandelsztam pograżał się dalej, metalowa końcówka jego laski stuknęła o blat - należy do klasyki dwudziestowiecznej poezji rosyjskiej, w każdym razie tak uważali recenzenci, gdy go opublikowano. Płacicie pięć razy więcej za jakieś gówno napisane przez... - Mandelsztam wymienił nazwisko literata, którego trzyaktowa sztuka teatralna, gloryfikująca rolę Stalina w wojnie domowej, była grana w Moskwie przy pełnej widowni.

Moja wielka przyjaciółka, poetka Anna Achmatowa, twierdzi, że są w życiu chwile o takiej doniosłości, że wydaje się, jakby na moment Ziemia miała stanąć w miejscu. To była taka chwila w życiu Osipa Mandelsztama.

- Kim jesteście? - chciała wiedzieć jedna z dziewczyn. - Kto to jest?

Wstrzymałam oddech. Mandelsztam uniósł brodę.

- Jestem tym poetą, który nazywa się Mandelsztam.

- Nie ma poety o takim nazwisku - oznajmiła inna dziewczyna. - Kiedyś, dawno temu, był taki poeta...

- Myślałam, że Mandelsztam nie żyje - powiedziała pierwsza dziewczyna.

Ziemia wznowiła obroty wokół swej osi, ale nic nie miało już być takie samo.

- Dwieście rubli - powtórzył Ugor-Żytkin, zdecydowany nie dać sobą pomiatać na oczach protegowanych. - Bierzecie albo nie, decyzja należy do was.

Mąż ruszył w stronę drzwi, a potem obrócił się do redaktora.

- Jesteście żywym dowodem na to, że charakter człowieka jest wypisany na jego twarzy - powiedział tak ugodowym tonem, że Ugor-Żytkin nie pomyślał nawet, że jest obrażany. - Macie może papierosy?

Ugor-Żytkin wziął ze stołu dwie częściowo opróżnione paczki i wręczył je Mandelsztamowi.

- Szczęśliwego tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego, mimo wszystko - powiedział.

Zobaczyłam, jak mój mąż kiwa głową, jakby potwierdzał coś, co nie spodobało mu się w samym sobie.

- Godzę się na dwieście rubli - oznajmił.

- No to przyjdźcie rano - powiedział Ugor-Żytkin, z trudem ukrywając uśmiech. -
Moja sekretarka będzie miała dla was kopertę.

Już na dworze, kopiąc zaspę śniegu, Mandelsztam zaśmiał się obłąkańczo.

- Mandelsztam martwy! - powiedział, nie starając się zatuszować w głosie cierpienia.
Słowa, które padły następnie z jego ust, wydawały się unosić na kłębkach zamrożonej pary. -
Martwy... ale... jeszcze... niepochowany!

Zapewniam was, że zadrżałam, ale nie tyle z powodu przenikającego do szpiku zimna,
ile z mrożącego krew w żyłach przecucia. Co, do licha, rozumiał przez „martwy, ale jeszcze
niepochowany”?

Zinaida zapytała o godzinę. Mandelsztam nigdy nie nosił zegarka na rękę, ale zawsze
wiedział, która jest godzina, i nigdy nie mylił się o więcej niż minutę czy dwie.

- Jest dwadzieścia po jedenastej; za późno, żebyś wracała do siebie. Musisz iść z nami
i zostać na noc.

Wzięłam Zinaidę pod ramię.

- Nie przyjmujemy do wiadomości żadnego „nie”, kochana dziewczyno.

- Jesteś mi to winna jako poecie - powiedział Mandelsztam trochę rozgorączkowany. -
Nic nie zależy bardziej od erotyzmu niż poezja.

- W takim razie - odrzekła, wydymając wargi - będę musiała odpowiedzieć...

Widziałam wyraźnie, jak mój mąż wyczekuje jej słów. Perspektywa erotycznego
zbliżenia z tym cudownym stworzeniem wyparła z jego umysłu wszystko, co przydarzyło mu
się tego wieczoru.

- Będę musiała odpowiedzieć t a k.

We trójkę ruszyliśmy marszowym krokiem, kierując się w stronę Domu Hercena i
naszego mieszkania.

- Przechytryłem tego durnia Ugora-Żytkina, prawda? - odezwał się Mandelsztam,
bardzo podniesiony na duchu. - Dwieście rubli za fałszywy manuskrypt! Chodź, Aido. Chodź,
Nadieńko. Jeśli nie będę mógł publikować wierszy, będę mógł przynajmniej produkować
fałszywe manuskrypty aż do czasu, gdy wyschną w Rosji wszystkie kałamarze.

Ulicę Naszczokina pokrywał lód. Łącząc ramiona, pokonaliśmy, niczym na łyżwach,
ostatnie trzydzieści metrów do domu pisarzy. Hol w naszym skrzydle cuchnął zjeżdżałym
środkiem owadobójczym używanym do zabijania pluskiew. Skręcając się ze śmiechu,
otworzyliśmy drzwi do mieszkania na parterze i zrzucając palta na podłogę, padliśmy bez
tchu na brudną wersalkę w salonie. Z kuchni dochodziło tykanie szwajcarskiego zegara z
solidnym ciężarkiem wiszącym na końcu łańcucha. Kaloryfer pod oknem, pomalowany

przeze mnie na czerwono, syczał i czał, jakby był ludzką istotą. Gdzieś nad nami ktoś spuścił w sedesie wodę, która spływała teraz głośno rurami w ścianach, ale nic nie mogło popsuć nam nastroju. Telefon we wnęce na końcu korytarza zaczął dzwonić i nie przestawał, aż odebrał go jeden z lokatorów i wrzasnął: - Lifszyc, Piotrze Siemionowiczu, wasza żona chciałaby zamienić słówko z waszą kochanką. - Co sprawiło, że zaczęliśmy chichotać jak uczniacy.

Kiedy złapałam oddech, powiedziałam coś w rodzaju, że związki seksualne nigdy nie były skomplikowane w naszym socjalistycznym raj.

Mandelsztam postawił trzy grube szklanice na prowizorycznym stoliku (właściwie była to stara walizka oblepiona nalepkami z Heidelbergu, gdzie spędził jeden semestr w 1910 roku) i rozlał to, co zostało w butelce gruzińskiego chwanczkary, a potem uniósł swoją szklankę.

- Proponuję, żebyśmy wypili za zdrowie tych, którzy odpowiadają za nasze szczęśliwe życie.

- Nie, nie, wypijmy za naszą trójkę - zasugerowałam.

- Za naszą trójkę - podchwyciła Zinaida.

- Cóż, w takim razie za naszą trójkę - mąż zgodził się z zadowoleniem.

Trąciliśmy się szklankami i wypiliśmy wino.

- Trójka to szczęśliwa cyfra - powiedział Mandelsztam, ściągając fular i zlizując resztkę wina z ust. I przystąpił do wygłaszania popisowego monologu (który słyszałam już wcześniej) o seksualnych, ale również społecznych i politycznych skutkach rewolucji bolszewickiej. - W latach dwudziestych - mówił naszemu gościowi - *ménage à trois* zaczęło być szeroko praktykowane w kręgach intelektualistów. Wszyscy pamiętają związek Osipa i Liii Brików z Majakowskim. Szostakowicz miał małżeństwo otwarte z Niną Warzar. Achmatowa żyła kiedyś z bardzo piękną Olgą Sudiejkiną i kompozytorem Arturem Lurie.

Dodałam do tego pikantny szczegół: - Powtarzała wtedy, że nie potrafiły ustalić, którą z nich kochał, dlatego kochały go obie i siebie nawzajem.

Mandelsztam powiedział: - Występuję też w imieniu żony - prawda, Nadieńko? - kiedy mówię, że uważamy trzyosobowe małżeństwo za fortecę, której żaden człowiek z zewnątrz nie jest w stanie zdobyć.

- Czy on precyzyjnie przedstawił twoje zdanie? - dopytywała się Zinaida.

- Tak - odpowiedziałam. - Wydaje mi się, że w tym martwym kraju, gdzie nic nie jest w stanie się odrodzić, *ménage à trois* jest idealną twierdzą.

- A uważałaś kiedykolwiek jego podboje za zagrożenie dla siebie? - Zinaida nie

ustępowała.

Wymieniliśmy z mężem spojrzenia.

- Kiedy nasze ścieżki skrzyżowały się po raz pierwszy w kabarecie w Kijowie, byliśmy jak statki mijające się w nocy, aż do chwili, jak ujął to później, gdy wypchnęłam go z wody. Wkrótce po naszym spotkaniu rozdzieliła nas wojna domowa. W tamtym czasie byłam w twoim wieku i straszliwie za nim tęskniłam. On zawędrował wtedy do Petersburga, gdzie miał przez trzy miesiące romans z Olgą Arbeniną. Ale nie z powodu Arbeniny cierpiałam najbardziej - potrafiłam zrozumieć, że każdą kobietę ciągnie do Mandelsztama. Nie, najbardziej cierpiałam przez Mandelsztama. Kiedy związał się z tamtą kobietą, byliśmy już w zażyłych stosunkach. Nazywał mnie siostrą i zwracał się do mnie per ty. Gdy jednak zaczął do mnie pisać po poznaniu Arbeniny, wrócił do formalnego wy, i zrozumiałam, że będziemy musieli zacząć nasz związek od zera.

- I co zrobiliście? - spytała Zinaida, patrząc wyczekująco to na mnie, to na niego.

- Odpowiedź jest równie oczywista jak pieprzyk na twojej brodzie - odezwał się Mandelsztam. - Zaczęliśmy ponownie od początku. - I dodał, ale bardziej dla moich uszu niż Zinaidy: - Kochanie trzeciej osoby nie obywa się bez ryzyka.

Zinaida chciała wiedzieć, czy kiedykolwiek byliśmy bliscy rozstania.

- Był taki brodaty pisarz w połowie lat dwudziestych - przyznałam.

- Och, opowiedz, kto to był - domagała się.

Mogłam się jedynie uśmiechnąć na to wspomnienie.

- Jego nazwisko zaczynało się na literę T. I więcej ci nie powiem. To był czas, kiedy buntowałam się przeciwko definicji pary, jaką wyznawał mój mąż - oczekiwał, że zostawię dla niego moje życie, wyprę się własnego „ja” i stanę częścią niego. Ten bunt przybrał formę rzucenia się z głową w miłość do T. Ale na szczęście odzyskałam zdrowy rozsądek.

Zinaida obróciła się do Mandelsztama.

- Czy nadal oczekujesz, że Nadieżda porzuci swoje życie i stanie się częścią ciebie?

- Osiągnęliśmy kompromis - odpowiedział.

- Opowiedzcie mi o waszym pierwszym doświadczeniu z trójkątem małżeńskim? Denerwowaliście się? Byliście... skrępowani?

- Jeśli chodzi o mnie - odezwał się Mandelsztam - chrzest ogniowy przeszedłem z dwiema siostrami, które grały w filmach...

Tego, jak dla mnie, było po prostu za wiele, nawet jeśli oboje ulegliśmy w pełni chęci uwodzenia, o ile można tak to ująć.

- Łże jak pies - wybuchnęłam. - Zanim się poznaliśmy, nie miał pojęcia o takich

rzeczach. Boże drogi, przecież rozbierał się po ciemku. To ja go rozprawiczyłam.

- Ale nie odpowiadasz na moje pytanie, Nadieżdo Jakowlewna. Byliście onieśmieleni za pierwszym razem?

- Za pierwszym razem człowiek jest zawsze nieśmiały, kochane dziewczę. Szczęściara z ciebie, bo masz nas, żebyśmy pokazali ci drogę.

Zinaida zmięła w palcach fałdę na mojej długiej spódnicy i przyciągnęła mnie bliżej.

- Przyznam się, że jestem trochę zawstydzona - powiedziała cicho, policzki jej płonęły, oczy jaśniały.

- Temu da się zaradzić - powiedział Mandelsztam z niecierpliwością w głosie (gra wstępna trwała dłużej, niż się spodziewał). - Rozbierz się i całą trójką przejdziemy do sypialni na rozmowę, która nie wymaga znajomości materializmu dialektycznego.

Sięgnęłam do guzików jej bluzki, aby je rozpiąć, a potem przytknęłam opuszki palców do wypukłości jej piersi i lekko pocałowałam ją w usta. Mandelsztam zdjął marynarkę i odpiął kołnierzyk. Podał jej rękę i zaczął prowadzić do niewielkiej sypialni.

- Byli tacy angielscy poeci - mówił do niej - którzy wierzyli, że z każdym wytryskiem męczyzna traci jeden dzień życia.

- Czy to oznacza, że kobieta zyskuje dzień? - zapytała Zinaida z udawaną naiwnością.

- Nie - odpowiedział Mandelsztam figlarnie. - Chyba że połknie.

Wąskie ramiona Zinaidy zatrzęsły się od tłumionego śmiechu.

- Nie czułabym się dobrze, wiedząc, że wydłużam sobie życie kosztem twojego.

- Nie zaprzataj tym sobie ślicznej główki - dodałam, wchodząc za nimi do sypialni.

Nie powiedziałam jednak tego, co sobie pomyślałam: Nie orgazmy z urzekającą morską nimfą, lecz poezja, której nie udaje się wyrażać ogródkami, niesie ze sobą ryzyko skrócenia Mandelsztamowi życia. Nie wspominając o moim. Bo kiedy wróciliśmy z nocnej włóczędzy do mieszkania, natychmiast wyczułam to, co umknęło uwadze męża, odurzonego różnymi perfumami Zinaidy: stęchły zapach mocnego tytoniu, palonego jedynie przez mężczyzn. I zauważyłam - czego się zapewne po mnie spodziewano - że szklana popielniczka na parapecie jest pełna petów. Nie zamierzałam psuć lukullusowego bankietu Mandelsztama, mówiąc mu, że mieliśmy gości. Przynajmniej nie przez te kilka godzin, kiedy mógł zapomnieć o bólu niepublikowanego poety, upokorzeniu, jakim było recytowanie wierszy dla jedenastu osób, poniżeniu słowami: „Kiedyś, dawno temu, był taki poeta”.

Dobry Boże w niebiesiech, dopóki jeszcze ma erekcję i jest przy nim muza, spraw, by słońce po prostu nie wzeszło jutro rano. Amen.

2.

Nikołaj Własik

Poniedziałek, 19 lutego 1934 roku

Gdy podjechałem packardem, sławny Maksim Gorki we własnej osobie, ubrany w beżowe palto z paskiem i kołnierzem z astrachańskiego baranka, kroczył dumnie niczym odzwierny Białorusin w kabarecie przy placu Pigalle, patrolując portyk.

- Wy jesteście Własik! - zawołał piskliwym głosem, zrównując się z samochodem i otwierając na oścież drzwiczki po stronie pasażera, zanim mój szofer zdążył wysiąść i zrobić to za niego.

- Na wasze każde zawołanie! - odkrzyknąłem w odpowiedzi, pozwalając sobie na mały uśmieszek, oznaczający, że można powiedzieć o mnie wszystko, ale nie to. Nikołaj Sidorowicz Własik był na każde zawołanie tylko jednego człowieka w całym wszechświecie, kaida z Kremla, jak nazywaliśmy chozjaina, używając gruzińskiego określenia pana domu, choć domostwo, o które chodziło, rozciągało się od Bałtyku po Morze Czarne, od gór lodowych Arktyki po Ocean Spokojny. Gorki, o wypomadowanych włosach zaczesanych do tyłu i mizernym wąsiku, pstrzącym skórę nad górną wargą, poprowadził mnie do kiczowatego holu swojej secesyjnej willi. Ogromny obraz, przedstawiający nagą damulkę biorącą udział w pikniku nad brzegiem rzeki z dwoma kompletnie ubranymi galantami, zajmował całą ścianę. Mniejszą wersję tego samego obrazu widać było odbitą w lustrze o stalowej ramie, wiszącym na przeciwległej ścianie.

- Rola gospodarza podejmującego towarzysza Stalina jest dla mnie czymś nowym - oznajmił Gorki, rzucając palto w rozłożone ramiona służącego. - Od czego zaczniemy?

Nie mogę powiedzieć, że miałem zbyt dobre mniemanie o tej willi, nagiej paniusi albo Gorkim, którego widywałem z daleka na przyjęciach na Kremlu, kiedy „największy pisarz Rosji” (jak nazwano go w „Prawdzie” w relacji ze spotkania z młodym amerykańskim pisarzem o nazwisku B. Schulberg) był wyciągany z lamusa przy jakichś kulturalnych okazjach. Nigdy nie czytałem żadnej jego książki, nawet zredagowanego przezeń zbioru esejów *Kanał Białomorsko-Bałtycki imienia Stalina*, ani też nie miałem takiego zamiaru. (Nie żebym miał dużo czasu na książki; moje formalne zadania osobistego ochroniarza chozjaina, jego chłopca na posyłki i sporadycznie rodzinnego fotografa, zostawiały mi ledwie wolne

wieczory na obsłużenie konkubin). Zgodnie z *dossier* dostarczonym przez drugiego zastępcę Czeka, Gienricha Jagodę, Gorki, znany także jako Aleksiej Maksymowicz Pieszkow, był jednym z „wegetarian” (wyborne określenie, używane przez mojego szefa, obraźliwe, mające odróżnić rewolucjonistów małej wiary od „pożeraczy czerwonego mięsa”), którzy opuścili Lenina na początku lat dwudziestych, kiedy sprawy przybrały trochę śliski obrót. Przez jakiś czas mieszkał za granicą ze sławną piękną w jej najlepszym okresie, Mourą Budberg, w czasie rewolucji kochanką brytyjskiego konsula generalnego w Moskwie. Jagoda powiedział mi, że podejrzewał Budbergową o szpiegostwo, ale nie miał pojęcia na czyją rzecz. Chozjain, z powodów, których nie pojmuję, pod koniec lat dwudziestych skusił Gorkiego do powrotu do ojczyzny z luksusowego zesłania we Włoszech, oferując mu tę willę na Wzgórzach Leninowskich, należącą kiedyś do milionera Riabuszynskiego, oraz dwie daczę, jedną w pobliżu daczki Stalina pod Moskwą i drugą na Krymie - obie tak olśniewające, że ślinił się każdy, kto je odwiedził, tak mi przynajmniej mówiono. Jakby tej przynęty było za mało, szef jednym pociągnięciem pióra zmienił nazwę Niżniego Nowogrodu, miasta nad Wołgą, gdzie pisarz się urodził, na Gorki. (Chodziły słuchy, że Jagoda, który też pochodził z Niżniego Nowogrodu, wściekł się, słysząc, że miasto nie zostało nazwane jego nazwiskiem). Nic dziwnego, że Gorki wrócił do Rosji! Klnę się na Chrystusa, że poważnie zastanowiłbym się nad zamieszkaniem w Ameryce, gdyby chozjain z Waszyngtonu, ten prostacki kapitalista F. Roosevelt, zgodził się zmienić nazwę Chicago na Własikgrad.

Jusis, Litwin, który pracował dla chozjaina równie długo jak ja, a nawet dłużej, szedł za mną razem z szoferem, Osetyjczykiem z gór Gruzji. A skoro mowa o zjadaczach czerwonego mięsa, to Osetyjczyk był w młodości strażnikiem w carskim więzieniu. Gestem nakazałem im, by przeszukali dom. Ujmując w dłonie niewielkie niemieckie pistolety, jakie mieli w kieszeniach skórzanych kurtek, ruszyli w różnych kierunkach, by przetrząsnąć budynek od strychu po piwnicę.

- Zaczniemy od listy gości - powiedziałem Gorkiemu, kiedy schodziliśmy po kilku schodach, a echo naszych kroków odbijało się od ścian wyłożonych kafelkami, i skierowaliśmy się do długiej jadalni z rzędem chińskich waz, pełnej luster, gdzie szef miał się spotkać z pisarzami.

Podekscytowany Gorki wcisnął kciukiem sztuczną szczękę na miejsce.

- Ależ lista gości została już zweryfikowana przez sekretariat towarzysza Stalina.

- Kieruję służbą ochrony chozjaina - poinformowałem nielojalnego przyjaciela Lenina, który opuścił statek na widok przelanej krwi. - To ja ponoszę ostateczną odpowiedzialność za jego bezpieczeństwo. A więc lista, jeśli łaska. Lista, nawet i bez łaski.

Potężne ze mnie chłopisko i trzymam formę, robiąc codziennie rano pompki, a poruszam się ze zwinnością osoby o połowie mojej wagi. Mówi się o mnie, że potrafię tak przejść przez pokój, by nie zatrzeszczała nawet jedna deska podłogi. Zastraszenie wegetarian to mój sposób na pobudzanie apetytu.

Z górnej kieszeni europejskiej marynarki z absurdalnie szerokimi klapami Gorki wyciągnął napisaną na maszynie kartkę. Usiadłem na jednym ze stalowo-celuloidowych krzeseł i przeczytałem spis, na którym znajdowało się trzydzieści osiem nazwisk wybranych przez Gorkiego i przepisanych w dwóch równych kolumnach. Odkręciłem skuwkę wiecznego pióra i skreśliłem trzy nazwiska scenarzystów, dwóch powieściopisarzy i dwóch redaktorów, o których wiedziałem, że są na czarnej liście Jagody. Kiedy oddałem kartkę Gorkiemu, wyglądał na zdenerwowanego.

- Ci ludzie zostali już zaproszeni, zjawią się u mnie za trzy kwadransy.

- Jesteście tu nie tylko jako gospodarz - jesteście też przewodniczącym Związku Literatów. Staniecie przy wejściu, towarzyszu Gorki. Będziecie odhaczać nazwiska w miarę pojawiania się gości. Osoby, których nazwiska skreśliłem, powinny być zawrócone.

- Co mam im, do licha, powiedzieć?

- Wymyślcie fikcje, powiedzcie im, co wam przyjdzie do głowy. Tylko zadbajcie, żeby nie weszli. A teraz chciałbym zobaczyć plan rozmieszczenia gości przy stole.

Wpatrywałem się w kartkę, którą mi podał, z planem długiego stołu zajmującego prawie cały pokój. Chozjain, zgodnie z zamysłem Gorkiego, miał zająć miejsce u szczytu stołu.

- Towarzysz Stalin nigdy nie przewodniczy przyjęciom - poinformowałem pisarza. - Sami usiądziecie u szczytu stołu. On zajmie krzesło tuż obok was, po prawej stronie, tak żeby ściana znajdowała się za jego plecami. Poinstruuje służbę, że wszystko, co będzie jadł i pił, zostanie dostarczone przeze mnie. Jeśli zechce herbaty, sam mu ją naleję z termosu. - Przekreślając nazwiska i wpisując je w nowe miejsca, zmieniłem rozlokowanie gości, tak by szef znalazł się w otoczeniu pisarzy i redaktorów, o których wiedziałem, że należą do partii, a potem zwróciłem kartkę Gorkiemu razem z tekturową fiszką z Czeka z napisanymi na niej nazwiskami jego trzech służących. - Pozbądźcie się ich na to popołudnie - poleciłem wielkiemu pisarzowi. - Nie chcemy, żeby znajdowali się w pobliżu chozjaina.

Gorki zerknął z niedowierzaniem na kartonik i przez chwilę wydawało mi się, że ma więcej charakteru, niż uważali jego krytycy.

- Ci ludzie - zaczął dość zaczepnie - są ze mną od mojego powrotu do Rosji...

Okazując zniecierpliwienie, spojrzałem na zegarek.

- Mają nazwiska izraelickie, towarzyszu Gorki - powiedziałem, przyjmując, że takie wyjaśnienie zupełnie wystarczy.

- Nazwiska izraelickie! Niektórzy z najbliższych współpracowników towarzysza Stalina są żydowskiego pochodzenia: Zinowiew, Kamieniew, Kaganowicz, a nawet wasz czekista Gienrich Jagoda. O samym Leninie mówi się, że w jego żyłach płynęła żydowska krew...

Przerwałem mu.

- Arcyzdrójca Bronstein-Trocki jest Izraelitą. Boimy się, że może dokonać zamachu na chozjaina, wykorzystując międzynarodowe sprzysiężenie syjonistów.

Gorki przewrócił oczami z niezadowolenia.

- Goszczenie chozjaina pod moim dachem na spotkaniu z pisarzami okazuje się znacznie bardziej skomplikowane, niż to sobie wyobrażałem, kiedy Stalin wyszedł z taką propozycją.

Gdy kuranty kremłowskie wydzwaniały południe, zaczęli zjawiać się pierwsi pisarze i redaktorzy, prywatnymi samochodami, taksówkami i pieszo. Spostrzegłem zgarbioną postać Jusisa, stojącego tuż za frontowymi drzwiami i obserwującego bez uśmiechu gości, którzy zdejmowali palta i odkładali je na stołach, ustawionych w tym celu w holu. Gorki dyskutował z dwoma mężczyznami przy wejściu i rozkładał bezradnie ramiona, odprawiając ich z kwitkiem. Mój osetyjski szofer zajął pozycję przed drzwiami wahadłowymi, które prowadziły z jadalni do kuchni. Przez chwilę miałem na wszystko oko, a potem przeszedłem do wyjścia dla służby, które znajdowało się przy pralni, nieopodal kuchni, skąd wychodziło się na polną drogę za domem. Trzydzieści minut po pełnej godzinie rolls-royce 1911 o wyprofilowanych błotnikach wjechał na tę drogę i zatrzymał się przed willą. Na obu końcach alejki spostrzegłem żołnierzy uzbrojonych w karabiny z bagnetami, blokujących dostęp z ulicy. Dwóch ludzi Jagody w cywilnych ubraniach wyskoczyło z samochodu. Jeden z nich podszedł do mnie i zasalutował, drugi tymczasem trzymał otwarte tylne drzwiczki rolls-royce'a. Chozjain wyłonił się z automobilu, by bez pośpiechu dotrzeć tam, dokąd zmierzał. Nie znosił pełnienia funkcji publicznych, a o pisarzach, z dopuszczalnym wyjątkiem Michaiła Szołochowa, poety Pasternaka i innego poety o izraelickim nazwisku, które wyleciało mi z głowy, nie miał wysokiego mniemania, bo uważał ich jedynie za karierowiczów, którzy martwili się przede wszystkim o siebie, a dobro rewolucji mieli na dalekim planie. Szef, w czapce robotnika na głowie i w zwykłym wojskowym płaszczu zarzuconym na ramiona, spostrzegł mnie przy drzwiach i uniósł dłoń, żeby mi to okazać. Papieros sterczał mu nad dolną wargą. Zaciągnął się ostatni raz, zanim wyrzucił niedopałek do otwartego kubła na

śmiesi. (Towarzysz Stalin, który pilnie baczył na swój wizerunek na świecie, postawił sobie za punkt honoru, by nigdy nie widziano go publicznie ani nie sfotografowano z papierosem). Poruszając się charakterystycznym, jakby gołębiim krokiem, który aktorzy grający go na scenie imitowali tak udatnie, wszedł do willi.

- Wszystko w porządku, Własik? - wymamrotał.

Skinąłem krótko głową. Byłem ochroniarzem chozjaina od czasu wojny domowej. Znał mnie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie pozwoliłbym mu postawić nogi w tym budynku, gdyby tak nie było.

- W jakim humorze jest dzisiaj wspaniały Gorki?

- Wydaje mi się, że jest przekonany, iż robi wam przysługę.

Gardłowy śmiech wydobył się z głębi gardła chozjaina.

- Ciura.

Zrzucił płaszcz z ramion. Jeden z ludzi Jagody złapał go w powietrzu i złożywszy, odłożył na ławę. Pod płaszczem towarzysz Stalin miał jedną ze zgrzebnych chłopskich rubaszek, jakie lubił wkładać na publiczne okazje, workowate wełniane spodnie, wetknięte włóściańskim zwyczajem w miękkie cholewy butów z grubymi obcasami, dzięki którym wyglądał na wyższego. (Kiedy przyjmował defilady z trybuny na grobie Lenina, stał na drewnianej skrzynce po mleku, tak żeby jego głowa znajdowała się co najmniej na wysokości głów marszałków i członków politbiura, którzy go otaczali, jeśli nie wyżej). Poszedłem za szefem przez pralnię i kuchnię, potem wyminąłem go, by otworzyć wahadłowe drzwi prowadzące do jadalni. Wiadomość o jego przybyciu rozeszła się wśród zebranych lotem błyskawicy. Rozmowy ucichły. Pisarze i redaktorzy, siedzący już za stołem, zerwali się na równe nogi. Pozostali, krążący po pokoju z kieliszkami perecowki, mocnej wódki z pieprzem, stanęli na baczność, wyglądem do złudzenia przypominając uczniów gimnazjum stojących przed dyrektorem szkoły. Szef machnął zdrową ręką w zdawkowym powitaniu, które miało dotyczyć wszystkich. Nadskakujący Gorki wyłonił się z tłumu i zrobił prawdziwe przedstawienie z witania go w willi, którą dostał od chozjaina. Towarzysz Stalin wyjął z kieszeni tuniki fajkę Dunhilla i nabił ją pieczołowicie z kapciucha (który napełniłem tytoniem wysypanym z papierosów jego ulubionej marki „Kazbek papirosy”). Gorki nadstawił srebrną zapalniczkę i trzymał płomień nad główką fajki, podczas gdy towarzysz Stalin ją rozpałał. Na chwilę obu zakryła chmura dymu. Spokojnie przeszedłem obok grupki gości, by znaleźć się bliżej chozjaina. Gdy stanąłem w niewielkiej odległości, snop promieni słonecznych wpadł przez świetlik i oświetlił jego twarz niczym blask reflektora, a mnie uderzyło po raz kolejny, jak bardzo szef był wyczerpany. Miał pięćdziesiąt pięć lat i nie robił wrażenia starszego, ale

zachowywał się jak człowiek w bardzo zaawansowanym wieku. Wąsy, które jego ośmioletnia córka Swietłana uważała za drapiące, opadały niczym zwiędłe rośliny pozbawione wody. Miał, jak ją nazywaliśmy, k r e m l o w s k ą cerę, będącą skutkiem piętnastogodzinnych dni pracy - jego skóra, poznaczona bliznami po ospie przebytej w dzieciństwie, była chorobliwie ziemista. Psujące się zęby, dobrze widoczne, gdy przygryzał cybuch fajki, wydawały się odzwierciedlać ogólny rozkład jego ciała.

Dla tych z nas, którzy pozostawali w bliskich stosunkach z towarzyszem Stalinem, nie było tajemnicą, że w zaciszu prywatności zmagał się z głęboką rozpaczą. Och, publicznie mógł urządzać istne przedstawienia, ale większość ranków zastawała go, po kolejnej bezsennej nocy, w czarnym nastroju, sarkającego na chroniczne zapalenie migdałów, reumatyczne pulsowanie w zdeformowanym ramieniu albo ból zęba, którego dentysta Szapiro (kolejny Izraelita będący źródłem mojego niepokoju!) nie dał rady uśmierzyć w czasie wizyty chozjaina w kremlowskiej klinice poprzedniego popołudnia. Otaczały go kobiety: żona Mołotowa, Żydówka Polina oraz nowa narzeczona Bucharina, piękna dwudziestoletnia Anna Larina, ale on sam nigdy nie pogodził się z nagłą śmiercią przed półtora rokiem młodej żony Nadieždy. Oczywiście nikt nie mówił o tym w jego obecności, znając legendarny, gruzińsko-osetyjski temperament, który dawał o sobie znać niczym letni szkwał, kładąc nagły kres rozmowie i niweczając szanse na otrzymanie przepustki na Kreml. W większości byliśmy zgodni, że brak poważnego związku z kobietą wywoływał u chozjaina depresję. (Mimoходом zaproponowałem, że przedstawię mu jedną z moich kilku konkubin, ale odrzucił ten pomysł tak szorstko, że skutecznie zniechęcił mnie do podnoszenia tego tematu po raz drugi). Jednakże mężczyźni z bezpośredniego otoczenia towarzysza Stalina - jego długoletni sekretarz, szef sztabu, wybrani członkowie politbiura, nawet Jagoda - mieli inne spojrzenie na tę sytuację. Ich zdaniem skutki obsesyjnego zmuszania chłopstwa do kolektywizacji były źródłem lęków przesładujących go w zaciszu pieleszy domowych. Po Kremlu krążyły opowieści o opustoszałych wsiach ukraińskich, bydłych wagonach pełnych głodujących wieśniaków, rozszalałych tłumach palących ziarno i zabijających żywy inwentarz. Zakazane słowo g ł ó d przekazywano sobie z ust do ust. Czy towarzysz Stalin, człowiek ze stali, który bez zastanowienia rozdawał karty podczas gier nazywanych przez nas rewolucją i wojną domową, jaka się po niej rozpętała, tracił panowanie nad nerwami? Czy bał się, że chaos, który uwolnił, wymknie się spod kontroli i ukraiński spichlerz będzie stracony na zawsze dla Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich? Że jego koledzy z politbiura, stanąwszy wobec groźby utraty władzy, będą knuli za jego plecami, by pozbawić go roli przywódcy albo zgoła życia?

Tytoń papierosowy w fajce szefa wydawał się koić jego nerwy. Kiedy zajął krzesło po prawej stronie Gorkiego, zdobył się nawet na sztywną pogawędkę z redaktorami i pisarzami siedzącymi w pobliżu.

- To dobre pytanie, nasze książki historyczne prześlizgują się nad tym okresem w życiu Stalina, bo dla bolszewika zwracanie na to uwagi byłoby czymś niestosownym - powiedział do jednego z pisarzy, mówiąc kwiecistym rosyjskim z silnym gruzińskim akcentem i używając trzeciej osoby, jak zwykle w trakcie publicznych spotkań. - Jego matka, Jekatierina, dzięki Bogu nadal ciesząca się dobrym zdrowiem, to prawdziwa święta. W tamtych czasach, gdy ich rodzina mieszkała w rozpadającej się chałupinie za cerkwią w Gori, ponurym bezładnym skupisku chat w górskim ustroniu Gruzji nad rzeką Kurą, która była tak mulista, że ryby się w niej dusiły, wiązała jakoś koniec z końcem, bo prowadziła dom miejscowemu popowi, brała pranie od żon burżujów, mieszkających po wybrukowanej stronie miasteczka, i zbierała śmieci. Ostatni raz, kiedy Stalin odwiedził matkę - nie uwierzylibyście - zapytała go, w jaki sposób zarabia na życie. Stalin wyjaśnił jej, że pracuje na Kremlu i pomaga rządzić krajem. Pokręciła głową z odrazą i powiedziała, że lepiej by zrobił, gdyby ukończył seminarium i został popem. Potraficie wyobrazić sobie Stalina, zagorzałego ateistę, jako popa?!

Chozjain zastukał o podłogę czubkami butów i obcasami, lekko się kołysząc, co było oznaką, że rozmowa zaczyna sprawiać mu przyjemność. Zresztą zwykle rozkoszował się mówieniem o samym sobie. Trudno było go do tego nakłonić, ale jeśli już uległ, nie dawało się go zatrzymać.

- Natomiast nieżyjący, nieodżałowany ojciec Stalina, Wissarion - mówił dalej - z zawodu był szewcem, ciężko pracującym na chleb, i przykładowym proletariatem, choć pewnie w ogóle nie znał znaczenia tego słowa. Bez reszty poświęcał się, by stworzyć lepsze życie żonie i dzieciom. Wissarion, ku nieustającemu żalowi Stalina, zmarł, zanim syn zdążył go naprawdę poznać, ale wciąż pozostaje dlań świetlanym wzorem człowieka. Pytaliście o imiona Stalina - matka nazywała go Soso, co po gruzińsku znaczy Józio. Później, kiedy Stalin przeszedł do podziemia i przystąpił do działalności rewolucyjnej, nazywał sam siebie Kobą, po legendarnym kaukaskim rozbójniku.

- A skąd wziął się pseudonim Stalin? - zapytał gruby redaktor.

Wokół nas kelnerzy serwowali gościom schłodzone gruzińskie białe wino. Juisis podszedł z butelką, którą wybrał na chybił trafił z kartonu w kuchni, odkorkował ją na oczach szefa i napełnił do połowy jego kieliszek. Chozjain umoczył usta w winie.

- Koba zaczął posługiwać się konspiracyjnym imieniem Stalin, jak myślę, w tysiąc

dziewięćset trzynastym roku. Tak, tak, to był tysiąc dziewięćset trzynasty. A wziął to imię od piersiastej bolszewiczki o wydatnych policzkach, z którą wtedy sypiał. Nazywała się Ludmiła Stal. Przerobił jej S t a l n a S t a l i n.

- Stalin - człowiek ze stali - wtrącił się Gorki aprobująco.

- Wspaniała historia - powiedział jakiś redaktor siedzący po skosie od Stalina z drugiej strony stołu. - Czy mogę ją opublikować w mojej gazecie?

Szef się zjeżył.

- To nie wchodzi w rachubę - rzucił ostro. - My, bolszewicy, szycimy się tym, że jesteśmy skromni i nie dopuszczamy do kultu jednostki.

Podczas gdy kelnerzy roznosili srebrne tace z wysokimi stosami kawałków łososia, posłałem Jusisa, żeby wyjął z bagażnika packarda wiklinowy kosz z jedzeniem przygotowanym w laboratorium Czeka, zapieczętowanym i oznaczonym certyfikatem „Potwierdzony brak jakichkolwiek składników trujących”. Chozjain, który sam był nie lada znawcą trucizn - powiedział mi kiedyś, że kwas pruski pachnie niczym palone migdały, cykuta jak szcurze gniazdo, oleander jak czekolada, a arszenik jak gnijąca kolacja - kategorycznie odmawiał jedzenia na publicznych przyjęciach, chyba że sam łamał pieczęć i otwierał koszyk. Sięgając zza jego pleców, postawiłem koszyk na stole. Towarzysz Stalin zerwał plombę paznokciami żółtymi od nikotyny i powąchał zimne pierożki z mieloną wieprzowiną, zanim wsunął jednego do ust.

Siedzący u szczytu stołu Gorki wstał i postukał nożem w butelkę wody mineralnej.

- Wszyscy mówią o Leninie i leninizmie, ale Lenin odszedł już dawno temu. Powiadam zatem, niech żyje Stalin i stalinizm! - zawołał, wznosząc kieliszek z winem nad głowę. - Niech żyje, dynamicznie, mądrze i wytrwale, aż do triumfu nad wieloma wrogami pierwszego socjalistycznego państwa na planecie Ziemia.

W jednej chwili wszyscy goście zerwali się na równe nogi.

- Za towarzysza Stalina - wykrzyknęli jednogłośnie i wypili wino do dna.

Stalin pogroził Gorkiemu palcem.

- Jak możecie tak mówić? Lenin był pięścią, Stalin jest małym palcem.

Goście siedzący przy końcu stołu w pobliżu Stalina, słysząc tę uwagę, wybuchnęli aplauzem.

Obszedłem kuchnię, by się upewnić, że służący o izraelickich nazwiskach zostali odesłani do domu. Kiedy wróciłem na swój posterunek przy chozjainie, opowiadał właśnie dowcip. Potrafiłby oczarować węża, jeśliby mu na tym zależało.

- Jeśli słyszeliście to wcześniej, przerwijcie mi - poinformował gości siedzących w

zasięgu słuchu. - A zatem: Turek pyta Serba, dlaczego jego ziomkowie ciągle prowadzą wojnę. „Żeby grabić - odpowiada Serb. - Jesteśmy biednymi ludźmi i mamy nadzieję na zdobycie łupów. A wy?” - pyta Serb. „My walczymy o honor i chwałę” - odpowiada Turek. A wtedy Serb mówi... - chozjain zaczął chichotać z własnego żartu - ...mówi: „Każdy walczy o to, czego nie ma”.

- Każdy walczy o to, czego nie ma - powtórzył Gorki i zaczął się perliście, jakoś dziewczęco śmiać. Goście wokół Stalina uderzali dłońmi w stół z zachwytem. Po chwili ktoś zapytał, czy zdaniem chozjaina radziecki komunizm rozprzestrzeni się na inne uprzemysłowane kraje.

Towarzysz Stalin był w swoim żywiole.

- Kiedy my, bolszewicy, przejęliśmy władzę - powiedział - kilku co bardziej naiwnych towarzyszy uważało, że nasz przykład stanie się iskrą dla rewolucji w całej kapitalistycznej Europie; ktoś sugerował nawet, chyba półżartem, żeby zbudować wysoką wieżę na granicy i postawić tam wartę, która wypatrywałaby światowej rewolucji. Stalin, który uważa, że socjalizm można budować na razie tylko w jednym państwie, w Rosji, dodał, że ten system ma tę przewagę nad innymi, że zapewnia stałą pracę przynajmniej robotnikowi. Cóż, wiecie, w czym rzecz? Które państwa dojrzały do rewolucji? Na pewno nie Ameryka, gdzie wszyscy są zbyt zajęci gromadzeniem bogactwa - albo utrzymaniem tego, co już zdobyli - żeby wyjść na ulice. Francuzów za bardzo pochłania jedzenie, picie i cudzołożenie, żeby zrobili rewolucję. Co do Wielkiej Brytanii, Anglicy nie potrafią zbuntować się przeciwko królowi, bo z rewolucją łączy się ignorowanie tabliczek z napisem zakazującym deptania trawników.

- A zatem zostają Niemcy - podsunął Gorki.

- Każde dziecko wie, że Niemcy nie są w stanie przypuścić szturm na dworzec kolejowy bez uprzedniego kupienia peronówek - odpowiedział szef z drwiącym uśmiechem.

Ludzie wokół towarzysza Stalina, uwiedzeni jego serdecznością, zaczęli się rozpręczać. Michaił Szołochow, siedzący naprzeciwko szefa, po lewej stronie Gorkiego, chciał się dowiedzieć, czy jest ziarno prawdy w pogłosce, że Komitet Centralny rozważa przemianowanie Moskwy na Stalinodar.

- Mogę ujawnić, choć ta informacja nie powinna opuścić tego pokoju, że podniesiono taką kwestię, ale Stalin kategorycznie odmówił.

Szołochow, ulubieniec towarzysza Stalina, zapytał szefa, która ze sztuk, jego zdaniem, osiąga najwyższe wyżyny: proza, dramaturgia czy poezja. Stalin zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

- To jasne, że poezja przerasta o głowę inne rodzaje twórczości. Stalin rozmawiał

właśnie o tym któregoś dnia z amerykańskim literatem Dos Passosem, który odwiedził nas w związku ze zjazdem pisarzy. Dos Passos zgodził się z moim sformułowaniem i zacytował brytyjskiego powieściopisarza Maughama, coś, co sprowadza się do stwierdzenia, że przy poecie najlepsi z twórców prozy wyglądają jak łajzy. To również opinia Stalina.

- Nie do końca zgodziłbym się... - odezwał się Gorki, głosem wyższym niż zwykle.

Szef głośno possał zgasłą fajkę.

- Nikt was nie prosi, żebyście się zgadzali - powiedział przesłodzonym tonem, który nieomylnie dał Gorkiemu do zrozumienia, że stąpa po kruchym lodzie. Chozjain nie lubił, kiedy sprzeciwiano mu się publicznie; zwierzył mi się przy jakiejś okazji, że jest bliski uznania tego za przestępstwo.

Kiedy kelnerzy rozstawili misy z owocami i herbatnikami, chozjain postukał fajką Dunhilla o stół.

- Towarzysze pisarze! - zawołał. Wszystkie rozmowy w pokoju ucichły w jednej chwili. - A więc: z pewnością zastanawiacie się, dlaczego zaproszono was, byście skorzystali z gościnności Gorkiego w to właśnie lutowe popołudnie. Uznaliśmy, że możemy coś zyskać, zapoznając was, ludzi zaliczanych do najznakomitszych radzieckich pisarzy i redaktorów, z ogólnym zarysem nowej polityki kulturalnej, którą politbiuro zamierza wprowadzić w życie w związku z Pierwszym Wszechzwiązkowym Zjazdem Pisarzy Radzieckich. Jesteśmy w trakcie procesu przechodzenia partii od modernizmu ku, nazwanemu tak przez nas, realizmowi socjalistycznemu. Czym jest realizm socjalistyczny? Od tej chwili jest to obowiązująca estetyka dla sztuk wizualnych, dla teatru i kina, dla wszystkich form twórczości pisarskiej. Zgodnie z realizmem socjalistycznym nie istnieje nic takiego jak sztuka lub kultura abstrakcyjna. Cała sztuka, cała kultura albo służą rewolucji i partii, albo nie. Realizm socjalistyczny przyjmuje, że sztuka we wszystkich swoich przejawach musi być realistyczna w formie i socjalistyczna w treści, i uznaje, że pisarze są inżynierami dusz i jako tacy mają moralny obowiązek inspirowania radzieckiego proletariatu, by snuł socjalistyczne marzenia.

Przy dalekim końcu długiego stołu jakiś nowelista uniósł do góry palce.

- Nie ma potrzeby proszenia o głos - poinstruował go towarzysz Stalin. - Tu wszyscy jesteśmy równi.

Młody człowiek podrapał się nerwowo po szczecinie krótkiej bródki na szerokiej chłopskiej twarzy.

- Chciałbym zapytać towarzysza Stalina, jak pisarz, tworząc w obowiązującej estetyce realizmu socjalistycznego, powinien podejść do problemu kolektywizacji. Jeśli mamy być realistyczni w formie, musimy sportretować chaos, udrękę...

Jedynie dźwięki, jakie słychać było w pokoju, dochodziły zza okien - pełne zniecierpliwienia klaksony samochodów z nieodległego placu budowy u podnóża wzniesienia. Chozjain pochylił się do przodu, żeby lepiej przyjrzeć się mówiącemu.

- Jak się nazywacie, towarzyszu?

- Saakadze, Sergo.

- Saakadze, Sergo - szef powtórzył przyjaźnie. - Stalin dziękuje wam za waszą interwencję. A więc: o tyle, o ile kolektywizacja okazała się oszałamiającym sukcesem, pewien stopień chaosu i cierpienia był nieunikniony. Kiedy wspaniała socjalistyczna ojczyzna rusza, by wyeliminować marnotrawstwo i biedę na wielką skalę, takie rzeczy się zdarzają. Wy, pracownicy kultury, na których spoczywa odpowiedzialność osądzenia kolektywizacji przed masami, musicie położyć chaos i udrękę na jednej szali, na drugiej zaś to, czego dokonano, i to musi się znaleźć w waszym r e a l i s t y c z n y m portrecie omawianych wydarzeń. Kolektywizacja umożliwia industrializację. Opóźnienie tempa kolektywizacji zaszkodzi uprzemysłowieniu, a to z kolei będzie oznaczało, że nasze socjalistyczne republiki będą się wlekleły za Zachodem. A ci, którzy zostają z tyłu, są wyrzucani na śmietnik historii. Wystarczy jedynie przypomnieć sobie o dawnej Rosji - z powodu militarnego, kulturalnego, politycznego, przemysłowego i rolniczego zacofania była bez przerwy pokonywana. Przez chanów mongolskich. Przez polsko-litewską szlachtę. Przez angielsko-francuskich kapitalistów. Towarzysze, spójrzmy rzeczywistości w oczy. Jesteśmy zacofani o pięćdziesiąt lat w stosunku do państw uprzemysłowionych, znajdujących się w czołówce. Musimy nadrobić tę różnicę w dziesięć lat. W przeciwnym razie znikniemy. A pan Adolf Hitler ma wilczy apetyt - zważcie moje słowa; kiedy skończy napychać się na Zachodzie, obróci się ku Wschodowi. Musimy być gotowi na powitanie go zimną stalą. Stalin i jego koledzy z politbiura wierzą, że jesteśmy w stanie dogonić świat, zanim wybuchnie nieunikniona wojna z nazistowskimi Niemcami. Nie wolno wam nigdy zapominać, że jesteśmy zbrojni w niepodważalny marksizm, który pozwala nam przewidzieć przyszłość i zmienić bieg historii. Kapitaliści żyją religiami, które obiecują niebo po życiu na ziemi, my trzymamy się perspektywy nieba n a ziemi. Pracownicy naszych fabryk i gospodarstw rolnych zostaną nagrodzeni na tym świecie za swój trud, a nie w jakimś życiu po życiu. - Szef wycelował palec wskazujący w kierunku Saakadzego. - Pytacie, jak pisarz powinien podejść do problemu kolektywizacji. Bierzcie przykład z obecnego tutaj Michaiła Aleksandrowicza. - Towarzysz Stalin z wysiłkiem uniósł kaleką rękę, by wskazać Szołochowa, siedzącego po drugiej stronie stołu. - Bierzcie przykład z jego mistrzowskiej powieści o kolektywizacji *Zaorany ugór*. Stalin czytał ją dwa razy. Szołochow potrafi dokonać powieściowej adaptacji

aforyzmu Marksa o absolutnej idiotyczności życia na wsi takiej, jaka była za caratu.

Gorki kiwał głową w żarliwym poparciu.

- Jeśli wróg się nie poddaje - wtrącił, patrząc na redaktorów i pisarzy - musi zostać zgładzony.

Towarzysz Stalin powiedział z wyrzutem: - Towarzyszu Gorki, nikt poza wami nie wspomniał słowem o zagładzie.

Gorki pobladł.

- Dałem się ponieść słuszności naszej sprawy - wymamrotał.

Sergo Saakadze uniósł dłoń, żeby znowu coś dodać, ale w chwilę potem, niczym dziecko, które zostało przyłapano na nieposłuszeństwie, szybko ją opuścił.

- Towarzyszu Stalin, każdy, kto mocno stąpa po ziemi, wie, że głód rozprzestrzenia się na dużych obszarach Ukrainy, a mimo to, jak podaje „Prawda”, Związek Radziecki nie zaprzestaje eksportowania ziarna. Dlaczego nie wysyłamy żywności tam, gdzie głód jest najdotkliwszy, zamiast eksportować ją na Zachód?

Chozjain przyjrzał się twarzom ludzi siedzących przy stole.

- Nasz towarzysz jest dobrym konfabulatorem - oznajmił. - Wymyślił fikcyjny głód, żeby nas przestraszyć. - Spojrzenie jego oczu o ciężkich powiekach spoczęło na Saakadzem. - Co piszecie, bajki dla idiotów? Skąd macie te informacje?

- Wiem to od matki i ojca, którzy mieszkają w... - tu wymienił obwód na Ukrainie i nazwę wsi w tym obwodzie. - Sam urodziłem się i wychowałem w tej wiosce. Dzięki bolszewickiej polityce egalitaryzmu skończyłem liceum i zostałem przyjęty na uniwersytet w Kijowie, gdzie teraz uczę. Jestem członkiem partii od czasów Lenina. Zgodnie z prawem o kolektywizacji kułacy, których dzieci uczą w państwowych szkołach, są zwolnieni od przymusowej kolektywizacji. Niemniej moi rodzice zostali poddani najsurowszym represjom ze strony czekistów. Dlatego pytam was, towarzyszu Stalin, dlaczego moi rodzice, mający niewielkie poletko, zostali przez partyjnych propagandzistów nazwani kułakami i - wbrew prawu - poddani wywłaszczeniu i przymusowej kolektywizacji?

Językiem ciała szef mówił o swojej irytacji - ramiona pochylił na prawo, stopy trzymał płasko na ziemi, ssał ustnik fajki, jakby nie mógł się doczekać chwili, gdy ją zapali.

- Faktem jest, że kolektywizacja postępuje lepiej i szybciej, niż się tego spodziewaliśmy - powiedział w końcu. I w tym momencie nasi ludzie pracujący w terenie, oszołomieni sukcesem, dopuszczają się sporadycznie nadużyć: omyłkowo uznają nielicznych średniorolnych chłopów za kułaków, uciekają się do zastraszania, żeby zmusić ich do kolektywizacji, konfiskują im ziarno i bydło. Mimo to Stalin może was zapewnić, że

całościowa procedura kolektywizacji jest właściwą polityką we właściwym czasie. Napiszcie wasze nazwisko razem z nazwiskami waszych rodziców i nazwą wioski. Jeśli zostanie ustalone, że niesłusznie postąpiono w sprawie waszych rodziców, naprawimy to.

Minutę później odprowadzałem wściekłego chozjaina przez kuchnię i pralnię do czekającego samochodu. Jeden z czekistów Jagody otworzył tylne drzwi. Towarzysz Stalin wręczył mi kartkę z zapisanym na niej nazwiskiem Saakadzego.

- Srać na jego matkę - wymamrotał pod nosem, rozmiękły kazybek przylepił mu się do dolnej wargi. - Jakim cudem ten kutas dostał zaproszenie?

- Od Gorkiego.

Chozjain sarknął z niezadowolenia.

- Takie podważanie idei kolektywizacji albo publiczne straszenie widmem głodu to moralny odpowiednik sabotażu. Niech się nim zajmą odpowiednie czynniki.

3.

Fikrit Szotman

Wtorek, 3 kwietnia 1934 roku

Agrippina była dobra jak większość żon, i lepsza od wielu z nich, ale kiedy nabiła sobie czymś głowę, nie zakładałbym się, że szybko przestanie o tym mówić.

- Można w tobie czytać jak w otwartej książce, Fikricie. Kiedy gapisz się tak w okno, zaparowując oddechem własne odbicie, w ogóle mnie nie słuchasz, nawet nie jesteś ze mną w tym samym pokoju. Wracasz do gór w Azerbejdżanie. Dźwigasz głazy z koryta rzeki płynącej za chatą ojca i ładujesz je na wóz zaprzężony w woły, zapierasz się nogami i ciągniesz woły, wlokące ten wóz, żeby szły w górę po nabrzeżu aż do miejsca, gdzie jest płaski grunt.

Nie myliła się. Tęskniłem za rodzinnym domem, nie tyle jednak za słodkim powietrzem Azerbejdżanu albo śpiewem górskich potoków, omywających kamienie, ile za prostszym życiem, kiedy pot zalewa ci czoło i nie musisz się martwić, że jakiś miejski mądrała przedstawi wszystko, co robisz, i wszystko, co mówisz, w złym świetle.

- To, że marzy ci się powrót do Azerbejdżanu, nie sprawi, że tam wrócisz - powiedziała Agrippina i choć mierzyła niewiele ponad połowę mojego wzrostu i nawet w połowie nie ważyła tyle co ja, chwyciła mnie mocno za nadgarstek obiema małymi dłońmi i pociągnęła na ławę przy nogach naszego łóżka, a potem popchnęła, tak że usiadłem, a ona klęczała przede mną. - Posłuchaj, Fikricie. Uważnie. Nie masz zbyt tęgiego umysłu, dlatego musisz skupiać się na każdym słowie, które wyjdzie z moich ust. Omówmy to znowu od początku. Zanim położymy się spać, musimy ustalić, co powiesz, kiedy przyjdą tu węszyć i cię wypytywać.

- A skąd niby jesteś taka pewna, że przyjdą?

- Bo nie kto inny, tylko kobieta z brodą, która sypia z czekistą, urzędującym w głównym biurze, doniosła na ciebie na zebraniu załogi cyrku. On na pewno napisze raport, bo tak czekisci zarabiają na życie. A ludzie, którym podlega, na pewno przyjdą tu niuchać. Tak samo było, kiedy zabrali Dancza, magika, za rzucanie rzutkami w cel namalowany na kartce z jakiegoś magazynu - skąd miał wiedzieć, że na odwrotnej stronie było zdjęcie Stalina? Więc zaczniemy od mistrzostw Europy w Wiedniu.

- Już ci o tym mówiłem. Wziąłem pięćdziesiąt dolarów od pomocnika trenera drużyny

amerykańskiej, żeby Amerykanin Hoffman wygrał w martwym ciągu. A wziąłem te pieniądze tylko dlatego, że i tak miał światowy rekord, podniósł dwieście dziewięćdziesiąt pięć kilo. Mnie udało się dojść do dwustu osiemdziesięciu pięciu, więc i tak miał wygraną w kieszeni. Gdzie tu przewinienie?

- Za te dolary kupiłeś od portiera w hotelu kufer, znaleziony przez niego w magazynie w piwnicy, a porzucony przez jakiegoś komiwojażera w delegacji, który uciekł, nie płacąc rachunku.

- Moim zdaniem nie musimy wspominać o tych pięćdziesięciu dolarach - zaproponowałem Agrippinie. - Możemy powiedzieć, że kufer był dodatkiem do srebrnego medalu, który zdobyłem w martwym ciągu.

- To nie wyjaśnia, skąd wzięła się na kufrze nalepka z wieżą Eiffla.

- No to powiedzmy prawdę o tym, jak twój brat, Archip, przywiózł ją z Paryża zeszłego lata, kiedy orkiestra Armii Czerwonej, w której gra na drugiej trąbce, wróciła po europejskim tournée.

- To ostatnia rzecz, jaką możesz powiedzieć! Pomyśl tylko, co się stanie z Archipem, kiedy wyjdzie na jaw, że rozdawał na lewo i prawo nalepki z wieżą Eiffla. Nie, nie, powiesz, że nalepka była już na kufrze, kiedy dostałeś go w Wiedniu, i dodasz, że w ogóle jej nie zauważyłeś, dopóki tej sprawy nie poruszono na zebraniu załogi cyrku zeszłego wieczoru.

- Brzmiałoby nawet prawdziwie. Kufer jest oblepiony nalepkami z całej Europy. Poza tym, nawet gdybym ją zauważył, skąd miałbym wiedzieć, że wieża Eiffla jest w Paryżu?

- Jakież z ciebie naiwniak, Fikricie. Czasem mam wrażenie, że nigdy nie wydorósłaś. Że zatrzymałaś się w dzieciństwie. Każdy idiota wie, że wieża Eiffla jest we Francji, w Paryżu.

- Chciałem przecież zeskrobać tę nalepkę, kiedy zauważyłaś ją na kufrze zeszłego lata.

- To byłoby jeszcze gorsze. Zostałby po niej ślad. Czeka od razu by odkryła, że zeskrobałaś jakąś nalepkę. Możesz być pewny, że mają kartotekę z nalepkami z całego świata. Trójkątna nalepka z wieżą Eiffla musi być jedną z najlepiej znanych. Po co, pytałiby samych siebie, zeskrobał wieżę Eiffla, skoro to taka nieszkodliwa nalepka.

- Nigdy nie byłem w Paryżu - powiedziałem. - Najdalej na zachód wyjechałem tylko do Wiednia. Mogę to udowodnić. Każdy może sprawdzić, że w moim paszporcie zagranicznym nie ma żadnych stempli z Francji.

- Fikricie, Fikricie, popatrz na to z ich punktu widzenia: nalepka jest dowodem, że pojechałeś do Paryża, że, twoim zdaniem, są tam rzeczy, jakich nie ma tutaj. Jak możesz być taki tęp? Mamy wieże w całej Rosji. Może nie są takie wielkie jak ta w Paryżu, ale każda

kobieta wie, że to nie rozmiar się liczy. Dobry Boże w niebiesiech, gdybyż na twoim kufrze była nalepka z radziecką wieżą, a nie z tą paskudną francuską rzeczą.

- Nigdy nawet nie pomyślałem, że ktoś może zwrócić uwagę na wieżę Eiffla wśród tych wszystkich nalepek na kufrze.

- Och, pomyślałeś, że ktoś ją zauważy, Fikricie, pomyślałeś. Znam cię lepiej, niż ty znasz siebie. Chciałeś, żeby ludzie z cyrku ją zobaczyli, chciałeś, żeby zaczęli gadać, że partia na tyle ci zaufała, że pozwoliła ci jechać do Paryża. To przez twoją próżność tkwimy w tym szambie.

- Robisz z igły widły, Agrippino. To w końcu tylko nalepka. I nie chodzi przecież o to, że ją zerwałem, bo chciałem ukryć. To może przemawiać na moją korzyść, a i to, że należę do partii.

- W partii robią czystkę tysiącami. No i jest jeszcze sprawa tatuażu.

Zapomniałem o tatuażu. Zrobiłem go sobie, kiedy przemianowali Carycyn na Stalingrad, żeby uczcić wielkie zwycięstwo towarzysza Stalina w wojnie domowej.

- Twarz Józefa Stalina na moim bicepsie na pewno będzie ważniejsza od jakiejś nalepki na kufrze. Wytatuował mi ją znany artysta tatuażu z Ałma Aty. I tak się składa, że podobieństwo jest naprawdę duże.

Jak zawsze Agrippina wyprzedzała mnie o całą długość.

- Przejrzyj wreszcie na oczy, Fikricie. Tatuaż blaknie. To może być uznane za polityczną deklarację. I został na nim ślad po poparzeniu liną od czasu, kiedy stawialiście ten wielki namiot w Tbilisi, a to może być wzięte za celowe uszkodzenie, równoznaczne z sabotażem.

Muszę przyznać, że zaniepokoiła mnie. Wydłubałem trochę machorki z bawełnianego kapciucha, zawinałem ją w kawałek jednej z nic niewartych obligacji państwowych jeszcze z carskich czasów, polizałem i zalepiłem. Agrippina podeszła z zapałką i potarła nią o kciuk. Wydmuchałem dym nosem, bo nie chciałem, żeby zżółkły mi zęby.

- Niektóre twoje tatuaże też blakną. - Tylko to przyszło mi do głowy.

- Lenin blaknie, to prawda, ale jest schowany pod stanikiem, bo mam go między piersiami, a oni nie pomyślą, żeby tam zaglądać. Trocki, dzięki Bogu, prawie zupełnie spłowił, kiedy widzowie pytają mnie, kto to, zawsze odpowiadam, że Engels, bo i tak nikt nie pamięta, jak on wyglądał, i dają się nabierać. Stalin na brzuchu jest świeżutki, jak pączek róży. I nie mam nalepki z wieżą Eiffla na walizce.

Agrippina zaczęła cicho płakać, z głową na moich udach, jej łzy wsiąkały w moje płócienne spodnie. Żeby ją uspokoić, głąskałem mapę Afryki, zaczynając się na jej karku i

schodzącą niżej wzdłuż kręgosłupa, ale zaczęła jedynie marudzić.

- Co ze mną będzie, jeśli cię aresztują, Fikricie?

- Znajdziesz sobie innego męża z cyrku, żeby z tobą spał - odpowiedziałem. - W Azerbejdżanie, kiedy mężczyzna znika z tego czy innego powodu, jego kobieta czeka przez jakiś przyzwoity okres i znajduje sobie innego, żeby go zastąpił. Takie rzeczy są na porządku dziennym. Nie ma nic wstydliwego ani w mówieniu o tym, ani w robieniu tego.

Gwałtownie pokręciła głową.

- Jesteś pierwszym mężczyzną, który pokochał moje ciało pokryte tatuażami, i na pewno będziesz ostatni.

- Pamiętam ten pierwszy raz, kiedy pokazałaś mi wszystkie tatuaże, nawet te, których publiczność nigdy nie zobaczy.

Wywołało to nieśmiały uśmiech na ustach Agrippiny.

- Ja też pamiętam. Och, byłam strzępkiem nerwów. Rozebrałam się do naga w łazience, założyłam jedną z twoich koszul, sięgającą mi do kolan, na bosaka podreptałam do sypialni z wielgachnym łóżkiem i stanęłam na nim, zapatrzona na twoje piękne ciało. Wzięłam głęboki wdech, zrzuciłam koszulę, rozłożyłam ramiona i zawołałam „Ta-dam!”.

I od razu zobaczyłam w twoich oczach, że podobało ci się to, co widziałeś.

- Och, spodobało mi się. Naprawdę spodobało. Uwielbiam węża, który wspina ci się po udzie, z łebkiem ginącym w krótkich włoskach. Uwielbiam Lenina patrzącego spomiędzy twoich małych piersi. Uwielbiam Afrykę zaczynającą się od Tunezji na karku i kończącą się Przylądkiem Dobrej Nadziei tuż nad przedziałkiem twojej pupy. Uwielbiam Stalina na twoim brzuszku. Uwielbiam portret Mony Lizy na jednym z pośladków, a nawet Trockiego na drugim - w tamtym czasie nikt nie wiedział, że okaże się zgniłym jabłkiem i zdradzi rewolucję. Uwielbiam radziecki slogan o elektryczności wytatuowany na twojej ręce. Uwielbiam dwa pawie, po jednym na każdym ramieniu, z ich piórami z ogona łaskoczącymi malutkie sutki.

- Kochany Fikricie, jeszcze bardziej cię kocham za to, że je uwielbiasz.

I nagle mnie olśniło - jak to się stało, że nie pomyślałem o tym wcześniej? - że nie musimy denerwować się po nocy z powodu nalepki na kufrze.

- Posłuchaj, Agrippino, jeśli naprawdę przyjdą, pokażemy im zdjęcie z gazety, na którym towarzysz Stalin ściska mi rękę po zdobyciu przeze mnie srebrnego medalu w Wiedniu. Ilu ludziom towarzysz Stalin osobiście uściskał rękę? I to na samym Kremlu. Powiedział coś o tym, że pokazałem światu, że socjalistyczni ciężarowcy są równie dobrzy jak ciężarowcy kapitalistyczni albo i lepsi od nich, choć tamci robią to dla pieniędzy, a my dla

socialistycznej ojczyzny. Powiedział, że moje drugie miejsce w Wiedniu było dowodem, jeśli taki dowód byłby w ogóle potrzebny, wyższości naukowego marksizmu. - Zaczynałem się rozgrzewać, zaczynałem mieć nadzieję, że czekał na p r a w d ę przyjdą ze swoimi durnymi pytaniami, a ja wtedy dam im po oczach artykułem w gazecie i moim zdjęciem. - Pokażę im artykuł o osobistej interwencji towarzysza Stalina, kiedy pękła mi chrząstka w lewym kolanie przy rwaniu dwustu dwunastu kilogramów w Wiedniu, o tym, jak dzięki niemu zoperowano mnie w kremłowskiej klinice, i o tym, jak ten gruby Ukrainiec, wiesz, ta gruba ryba od budowy moskiewskiego metra - jak on się nazywa?

- Nikita, czy jakoś tak - odpowiedziała Agrippina.

- Nikita Chruszczów - mówiłem dalej w podnieceniu. - No, właśnie. Leżał w sali obok, z kamieniami w woreczku żółciowym czy w nerkach, nie pamiętam dokładnie. Wyobrazasz sobie, taki ważny komunista jak on obok ciężarowca! Kiedy już wstał i zaczął chodzić, przychodził do mojej sali każdego popołudnia, żeby się dowiedzieć, jak się czuję. Raz nawet siłował się ze mną na ręce. Jasne, że mogłem go pokonać, ale pozwoliłem mu wygrać. Pielęgniarki nieźle się uśmiali, kiedy na nas patrzyli.

- Sknócili tę operację - przypomniała mi Agrippina z wyrzutem.

- Towarzysz Stalin nie jest winien, że lekarze z Kremla nie znają się na chrząstkach w kolanie. I to przecież Nikita Chruszczów wpadł na pomysł, żebym pracował jako siłacz w cyrku, kiedy doktorzy ogłosili, że karierę ciężarowca mam już z głowy. Czy nie rozumiesz, Agrippino, że ci miejscowi czekałi aż się skulą, kiedy dojdzie do nich, że mają do czynienia z człowiekiem, który ścisnął rękę towarzysza Stalina i siłował się z Nikitą Chruszczowem?! Będą bełkotać jakieś wymówki, przepraszają i wyjdą od nas, zamkną za sobą drzwi tak cicho, że nie usłyszysz nawet, jak zamek się zatrzaskuje.

Wszystko, co powiedziałem, musiało ją pocieszyć, bo mocno zasnęła. Jej głowa spoczywała na moim udzie, a ponieważ zamartwiając się, Agrippina nie spała przez sporą część nocy, nie miałem sumienia jej budzić, kiedy sztywne kolano zaczęło mi cierpnąć. Nie wiem, jak długo tak siedziałem, tłumiąc ból. Musiało być już dobrze po północy, gdy rozległ się odgłos samochodu hamującego pod naszym blokiem, stojącym na tyle daleko od obwodnicy, że pojawienie się tu auta o tej porze było czymś niezwykłym. W pierwszej chwili pomyślałem, że wyobraziłem sobie po prostu to, czego się boję. Ale potem usłyszałem, że jacyś mężczyźni rozmawiają na ulicy, dozorca otwiera drzwi, a w chwilę później z parteru rusza winda. W myślach widziałem już wszystkich lokatorów, z których większość, podobnie jak my, pracowała w cyrku, wpatrujących się w ciemność i nasłuchujących, gdzie się zatrzyma. Niemal słysząc było westchnienie ulgi, gdy mijała ich piętra. Mieszkaliśmy z

Agrippiną na przedostatnim piętrze, zaczynałem się łudzić, a potem modlić, żeby przystanęła, błagam, Boże, zanim dotrze do naszej kondygnacji. Ale tak się nie stało, dlatego znowu się łudziłem i modliłem, żeby nas minęła i wjechała wyżej, na ostatnie piętro. Nic z tego. Usłyszałem, jak otwierają się ciężkie drzwi windy i potem kroki ludzi idących korytarzem, i zacząłem się łudzić i modlić, żeby, przez zmiłowanie Boże, zapukali do drzwi kogoś innego. Ale kroki dudniły aż do chwili, gdy ci ludzie stanęli przed naszymi drzwiami. I wtedy jeden z nich nacisnął dzwonek.

Zawieszony wysoko na ścianie dzwonek zabrzączał. Agrippina obudziła się, nie wiedząc, co ją zbudziło. Usiadła, trąc zaspane oczy wierzchem małych piąstek.

- Fikricie, myślałam o carskich obligacjach, których używasz do skręcania papierosów - powiedziała. - Musimy się ich pozbyć, zanim czekałby je znajdą.

Dzwonek rozległ się ponownie i nie przestawał brzęczeć. Oczy Agrippiny stały się wielkie - wpadła w panikę. Pochyliłem się i wyszeptałem do niej: - To prawda, co powiedziałaś o tym, że kocham twoje ciało pokryte tatuażami. Życie z tobą przypominało życie ze sztuką, historią, naturą i geografiami zebranych w jedno.

4.

Anna Andriejewna

Czwartek, 12 kwietnia 1934 roku

Obiecałam Nadieżdzie, że spróbuję, i tak się stanie. Ona wychodzi z założenia, że zapisanie czegoś na papierze służy jakiemuś celowi. Tak więc przez wzgląd na Nadieżdę, ale również przez wzgląd na przyszłe pokolenia, które, być może, zechcą któregoś dnia przyjrzeć się bliżej temu koszmarnemu okresowi w historii Rosji, przekonam się, ile z tego dam radę sobie przypomnieć.

W dzień, o który chodzi, Osip, skończony dżentelmen, wstał przed świtem i czekał na mnie na peronie, kiedy nadjechał nocny pociąg z Petersburga. (Niech będę przeklęta, jeśli wobec miasta, które Dostojewski uznał za z m y ś l o n e, posłużę się zastępczą, bolszewicką nazwą Leningrad). Trzymał w dłoniach bukietek białych powojów i podsunął mi go pod nos, żebym powąchała. Jak zawsze bardzo ucieszyliśmy się z tego, że znowu się widzimy, ale za obopólną zgodą powściągałiliśmy emocje, żeby nie wpaść w amok - Osip wyjaśnił mi kiedyś całkiem poważnie, że mężczyźni w większości i niektóre kobiety nigdy nie płaczą z obawy, że nie potrafiliby przestać. Pomyślałam, że Osip całkiem dobrze wygląda i o wszystko zadbał, więc powiedziałam mu o tym, ale zbył moje komplementy machnięciem ręki, jakby nie warto było o tym wspominać. Powiedział, że ataki braku oddechu i zawrotów głowy powtarzają się ostatnio coraz częściej. Zapytałam, czy był u lekarza; odpowiedział na moje pytanie zażenowanym uśmiechem ściągniętych warg. (Z powodu złego stanu zębów nabrał nawyku uśmiechania się z zamkniętymi ustami). Widziałam, że był bardzo spięty. Nadieżda wspomniała mi wcześniej o petach, jakie znajdowała regularnie w popielniczce po powrocie do mieszkania. Nie powiedziała Osipowi słowa o nieproszonych gościach, w nadziei, że nie zauważał dowodów ich obecności. Podczas ostatniej rozmowy przez telefon miałam wrażenie, że Osip jest w większej depresji niż zwykle. Kiedy zapytałam, co jest nie tak, opowiedział mi o odkryciu w popielniczce niedopałków, zostawionych przez obcych ludzi; ponieważ Nadieżda nie poruszała z nim tego tematu, przyjął, że uznała te pety za jego. Takie było życie w naszym radzieckim bagnie w tych czasach. Nic dziwnego, że Osip miał oczy zapadnięte z powodu braku snu, a czoło zachmurzone troską. Ogryzał wewnętrzną stronę policzków częściej, niż pamiętałam. Postanowiłam, że nie poruszę sprawy niedopałków,

chyba że on to zrobi. O swoich niepokojach rozmawiał, jeśli tego chciał, a jeśli nie - to nie.

Do miasta pojechaliśmy tramwajem, uważając, by za dużo nie mówić, jako że otaczali nas ludzie, których nie znaliśmy. Borysik, jak nazywałam Pasternaka, czekał na nas na niewielkim placu przed Domem Hercena. Przed spotkaniem z nami widział się z przyszłą byłą żoną, Jewgieniją - mieszkającą z ich nieletnim synem w szykowniejszym skrzydle domu pisarza - żeby omówić szczegóły rozwodu. Zastaliśmy go siedzącego na ławeczce, z tymi trupimi oczami osadzonymi w wymizerowanym obliczu, które wykrzywiało się w uśmiechu w najmniej spodziewanym momencie. Z porozpinanymi guzikami kamizelki i marynarki, z poluzowanym krawatem, zwrócił się twarzą ku słońcu, a powieki zaciskał tak mocno, że spod rzęs ciekły mu łzy. Kiedy stanęłam między nim a światłem słonecznym, natychmiast wyczuł mój cień. Zamrugał powiekami, zaniepokojony. Widząc, kto przed nim stoi, zerwał się z ławki na równe nogi i pochwycił mnie w swój niedźwiedzi uścisk.

Pasternak i Mandelsztam to moi najbliżsi przyjaciele na świecie - cenny czas spędzony razem dostarczał nam wzajemnie powiewu świeżego powietrza w tym zatęchłym zaduchu naszej ojczyzny. Każde nasze spotkanie znaczyła intensywność rodząca się z realnej możliwości, że będzie ostatnie; teraz, bo nie wiadomo, czy wszyscy przetrwamy do następnego. To, że byli bardzo utalentowanymi poetami, tylko wzmacniało istniejącą między nami więź, ale też dawało nam wspólny język, sposób porozumiewania się za pomocą zaszyfrowanych wiadomości, ukrytych przed wzrokiem między i pod słowami. Niesamowicie ich obu podziwiałam. Byli na tyle zakompleksieni, że nie mogli stać się nudni. (To właśnie ta niepewność, nieprawdaż, pociąga kobiety?) Nie przyjmowali swego poetyckiego talentu jako oczywistości, wiedząc, podobnie jak my wszyscy, że napisanie pewnego dnia jednego wiersza nie oznacza, że będzie się w stanie stworzyć następny przez resztę życia. Co jeszcze? Dzielili ze mną niewzruszone przekonanie, że ciąży na nich obowiązek uprawiania prawdy na tym ugorze kłamstw.

Dawaliśmy sobie nawzajem to, co było w nas najlepsze, a było to nie lada wyczynem, jeśli weźmie się pod uwagę czas i miejsce, w jakim żyliśmy. Kiedy mogliśmy się zejść, nikteliśmy w świątyni braterstwa i wzajemnej przychylności, co nie było pozbawione - i pierwsza się do tego przyznam - zmysłowych podtekstów. (Wiele lat wcześniej spałam z jednym z nich i poszłabym do łóżka z drugim, gdyby mnie o to poprosił. Nie powiem, który jest który, niech to pozostanie moją małą tajemnicą).

Ruszyliśmy przed siebie, w najmniejszym stopniu nie przejmując się tym, dokąd zmierzamy, liczył się jedynie ruch. Ja szłam pomiędzy nimi, spoglądając radośnie to na jednego, to na drugiego. W oddali widzieliśmy wielgachne dźwigi, na których kołysały się

kule do burzenia - Osip, wymyślający metafory w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach, uznał, że ich kształt, przypominający łyż, to znak czasu - naprzeciw katedralnej cerkwi Chrystusa Zbawiciela, którą bolszewicy skazali na zagładę. Gejzery wapna i drobiny cementu wzbijały się w niebo przy każdym wściekłym uderzeniu tych łyż. Chyba miałam na sobie gumowy płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem, włożony z obawy przed deszczem, i lśniące czarne kalosze do kostek. Tak, tak, musiałam być tak ubrana, bo dokładnie pamiętam, jak Osip drażnił się ze mną, mówiąc, że ubrałam się jak nurek głębinowy. (To zadziwiające, ile szczegółów wraca, kiedy zacznie się iść drogą wspomnień). Borysik nadal był pod wrażeniem nowej opery Szostakowicza, *Lady Makbet mceńskiego powiatu*, którą widział poprzedniego wieczoru u Stanisławskiego i Niemirowicza. Czerpał niemal fizyczną przyjemność z głośnego czytania nedorzeczej recenzji, którą wydarł z „Prawdy”. Nadal słyszę w uszach jego melodyjny głos.

- „Ohydny zalew pomieszanych dźwięków, pandemonium trzasków, pisków i brzęków”. Ach, i jeszcze to - powiedział, klepiąc skrawek gazety wnętrzem dłoni. - „Nieradziecka”. Ale co, do cholery, znaczy „nieradziecka”? Ledwie rozumiem, do czego zmierzają z tym bełkotem realizmu socjalistycznego, ale jak m u z y k a, na zmiłowanie boskie, może być realistyczna w formie i socjalistyczna w treści? - Trzęsąc głową, oburzony, dodał: - Żyjemy pod dyktaturą miernot, a nie pod dyktaturą proletariatu.

Osip z kolei opisał wizytę, jaką złożył mu Erenburg, rosyjski pisarz emigrant, mieszkający w Europie od początku lat dwudziestych.

- Tonem, który nie dopuszczał dyskusji, Ilja Grigorjewicz poinformował mnie, jak bardzo podziwiał postępową politykę Związku Radzieckiego. Nie muszę dodawać, że nie mogłem zostawić tego bez komentarza.

- Nie musisz dodawać - zgodził się z nim Borysik, rozjaśniając się jednym ze swoich uroczych uśmiechów.

- Od razu naskoczyłem na niego za chwalenie z Paryża tego, co pisarze, artyści i poeci muszą tutaj znosić. Powiedziałem mu, jak trudno jest stworzyć uczciwy wers w tej atmosferze, jak trzeba chodzić od wydawnictwa do wydawnictwa, szukając na próżno kogoś, kto zdobędzie się na odwagę, żeby opublikować wiersz Mandelsztama.

- Problemy tych z nas, którzy mieszkają w miastach, błędą w porównaniu do tego, co dzieje się na prowincji - Borysik wszedł mu w słowo.

- Właśnie - zgodził się Osip. Przeciągnął laską po prętach metalowego ogrodzenia otaczającego mijany budynek partii. Hałas wprowadził mnie i Borysika w niepokój, bo nie chcieliśmy zwracać na siebie uwagi. - Opowiedziałem mu o podróży pociągiem, którą

odbyliśmy z Nadieńką, wracając z Krymu - kontynuował Osip. - Wychudzone ciała, upchane niczym opałowe drewno na wozach, ustawionych w kolejce przed zaimprovizowanymi cmentarzami, wyraźnie widoczne zebra koni ciągnących pługi po polach. Odgrzebałem w pamięci linijkę z wiersza, który napisałem kilka lat temu, całkiem udatnie podsumowującą mój stosunek do władzy radzieckiej. „Wiek, jak brytan wilkowi, do gardła mi skacze”⁵. Widziałem, jak Erenburg gorączkowo się rozgląda, szukając sposobu wyjścia z naszego mieszkania - powiedział Osip ponuro. - Nie uwierzył nawet w jedno moje słowo.

Zauważyliśmy pustą ławkę obok przystanku tramwajowego i usiedliśmy na niej. Jakaś kobieta z dzieckiem w wózku spacerówce czekała w słońcu na następny tramwaj. Jako że stała odwrócona do nas plecami, nie zwracaliśmy na nią uwagi.

- Mam wrażenie, jakby świat się nade mną zamykał - powiedział Osip, ściągając brwi. A potem dodał: - Wiem, że nie wolno mi narzekać. W końcu mam to szczęście, że żyję w kraju, gdzie poezja jest szanowana: ludzie są zabijani za jej czytanie, za jej pisanie.

Osip nieumyślnie otwierał stare rany tą uwagą, bo przypomniał mi pierwszego męża, poetę Nikołaja Gumilowa, uznanego przez bolszewików za kontrrewolucjonistę i rozstrzelanego w pewien straszliwy dzień 1921 roku. Był też wspaniały Jesienin; pisał o życiu chłopów jak nikt inny z jego pokolenia, ale popadł w alkoholizm i popełnił samobójstwo w 1925 roku. I był też niesamowicie wprost mądry Majakowski, który zabił się w 1930 roku, rozczarowany rewolucją, wcześniej z taką pasją przez niego popieraną. Osip musiał zauważyć, że zamknęłam oczy.

- Wybacz, Anno - powiedział, ujmując mnie za łokieć. - Nie chciałem...

- Mleko zostało wylane. - Pamiętam, że tak odpowiedziałam. - Zawsze wtedy chce mi się płakać. Ale tłumię tę chęć, bo mogłabym się przekonać, że nie potrafię przestać.

Obdarzył mnie jednym ze swoich uśmiechów z zaciśniętymi ustami, zadowolony, że zapamiętałam jego uwagę o płakaniu.

- Co ostatnio porabiasz, Borysiku? - zapytałam w nadziei, że uda mi się zmienić temat naszej rozmowy na neutralniejszy.

- Moje życie stało się przedstawieniem teatralnym - wyjęczał Pasternak. - Zaczynam rozumieć, dlaczego alkoholicy piją, łudząc się, że nigdy nie wytrzeźwieją. Jestem wykończony, nie tyle trudnościami codziennego życia, ile moją egzystencją jako całością. Jestem zmęczony do imentu niezmiennością rzeczy. Żyję w wierze i żalu, wierze i strachu, wierze i pracy.

⁵ Przekład Jerzego Pomianowskiego.

- Jakiej pracy? - dopytywał się Osip.

- Ależ tak, powiedz, co to za praca? - powiedziałam.

- Ponownie czytam *Hamleta* Szekspira. Marzę o tym, żeby kiedyś go przetłumaczyć.

- Powinieneś pisać własne wiersze, Borysie - odezwał się Osip. - A nie tłumaczyć cudzą poezję. Wrażenie, jakie poezja Pasternaka wywiera na innych poetach, jest równe oswobodzeniu: uwalnia głos człowieka, jego ducha, jego wyobraźnię. A w tłumaczeniach poezja się zatracza.

- Jedną z wielu rzeczy, które w tobie lubię, Osipie - jedną z wielu rzeczy, które w tobie k o c h a m - jest to, że nie ma znaczenia, kto napisał wiersz, ty czy ktoś inny. Jeśli to prawdziwa poezja, jesteś z niej dumny. W odróżnieniu ode mnie jesteś wolny od zawiści.

Osip pokręcił głową.

- Zazdroszczę ci tego, że jesteś publikowany. Zazdroszczę ci recenzji.

- Recenzje! Sypiesz sól na moje rany. Tylko w zeszłym tygodniu magazyn literacki oskarżył mnie o stanie po złej stronie barykady walki klasowej, o gloryfikowanie przeszłości kosztem teraźniejszości.

Ku rozbawieniu Osipa w jednej chwili zaczęłam parodiować rozprawę sądową.

- Borysie Leonidowiczu Pasternak, jak zamierzacie się bronić?

Borysik oświadczył: - Będę się tłumaczył niepoczytalnością, w każdym znaczeniu tego słowa.

Osip powiedział: - Co to za różnica, jak będzie się bronił! Jest winny postawionych mu zarzutów. Nie pozostaje nic innego, jak wydać odpowiednio nieodpowiedni wyrok.

- Jako że nie obowiązuje nas zasada adekwatności kary do przestępstwa - powiedziałam, świetnie się bawiąc - proponuję jedyny racjonalny wyrok. - I ku ogromnej radości Osipa, błysnęłam perełką z wiersza, który kiedyś mi zadedykował: - „A dla kaźni Piotrowej znajdę w lasach najlepsze z toporzysk”⁶.

- Najlepsze z toporzysk! - krzyknął Osip. - Teraz zaczynamy nabierać bolszewickiego ducha.

- *And where th'offence is, let the great axe fall*⁷ - oznajmił Borys po angielsku, cytując, jak nam wyjaśnił, wers z Szekspirowskiego *Hamleta*.

Wybuchliśmy śmiechem. Serce mnie boli, gdy przypominam sobie tę scenę, bo miał to być ostatni raz, kiedy śmialiśmy się we troje. A przechodząc do rzeczy, śmiech zniknął z

⁶ Przekład Marii Leśniewskiej.

⁷ „By topór opadł i ugodził w zbrodnię” - przekład Macieja Słomczyńskiego.

naszego życia w tamto słoneczne czwartkowe popołudnie w kwietniu Anno Domini 1934.

Tramwaj nadjechał ze zgrzytem, strzelając iskrami z elektrycznego pałaka zawieszonoego w górze, i z piskiem tarcia metalu o metal zatrzymał się przed nami. Machnęłam do motorniczego, dając mu znać, że nie wsiadamy. Podobnie zresztą jak kobieta z dzieckiem w wózku. Motorniczy zawołał zrędlawie przez otwarte drzwi: - Tacy, co nie czekają na tramwaj, towarzysze, nie powinni przesiadywać na przystankach. - Jednym szarpnięciem zamknął drzwi i ruszył dalej.

Borysik jęknął.

- Co jest z nami i tym nowym porządkiem, że nie potrafimy nawet nauczyć się zwyczajów tramwajowych?!

- To historia mojego życia - odpowiedziałam. - Naprawdę myślisz, że istnieją jakieś przepisy dające prawo siadania na tych ławkach tylko pasażerom tramwajów?

- Dlaczego nie? - wtrącił poirytowany Osip. - Są przepisy dotyczące wszystkiego innego, w tym pisania wierszy.

- Zgodnie z artykułem w „Prawdzie” Stalin osobiście ogłosił te nowe zasady w czasie spotkania z pisarzami i redaktorami w willi Gorkiego.

- Realizm socjalistyczny - powiedziałam - sprawia, że chce mi się rzygać.

- Czy zauważyliście, że nikogo z nas nie zaproszono na to spotkanie Stalina z tak zwanymi i n ż y n i e r a m i d u s z? - powiedział Borysik. - Co o tym myślicie?

I wtedy Osip wypowiedział słowa, które nas zaskoczyły.

- Stalin ogromnie nas tym skomplementował. Powodowany chłopskim instynktem odróżniania autentyku od substytutu, nie zaszufłdkował nas razem z tymi pisarzami inżynierami.

Nie byłam pewna, czy nie stroi sobie żartów.

- Rzeczywiście uważasz, że on potrafi odróżnić prawdziwą sztukę od jej namiastki?

- Góral kremlowski, jak postanowiłem go nazywać, na pewno dostrzeże różnicę między poetą, dramaturgiem czy kompozytorem, który chętnie wysmaży obowiązkowy hymn ku chwale Stalina, a twórcą, który z powodu moralnych czy estetycznych skrupułów nie uczyni tego. Jeśli miałbym domniemywać, jak przystało inteligentowi, przyjąłbym, że Józef Wissarionowicz Dżugaszwili - żeby posłużyć się jego gruzińskim nazwiskiem - ma dość chłopskiego zdrowego rozsądku, by zdawać sobie sprawę, że artysta, który pichci hymnik na zawołanie, dostarcza mu czegoś, co jest bezwartościowe, a hymny, których nie może dostać, to te, które będą mu poświęcone, jeśli jego legenda przeżyje jego ciało.

Znowu zaczęliśmy iść. Spostrzegłam, że kobieta, pchająca wózek z dzieckiem, idzie

kilka kroków za nami.

- Mamy towarzystwo - powiedziałam bardzo cicho.

Borysik spojrzął do tyłu i uśmiechnął się do kobiety, która odwzajemniła jego uśmiech.

- Popadasz w paranoję - powiedział do mnie. - Korzysta ze słońca, tak samo jak my.

- Wróćmy do *Hamleta* - zaproponowałam. - Wyjaśnij nam, Borysiku, co takiego widzisz w tej sztuce, że wracasz do niej rok po roku.

Osip też nie rozumiał fascynacji Borysika tym utworem.

- Tołstoj ujął to najtrafniej - powiedział Mandelsztam ze zniecierpliwieniem. - *Hamlet* jest niewiele lepszy od prostackiej opowieści o pogańskiej zemście. Fabułę ma stosunkowo prostą. Duński książę szuka coraz intensywniej dowodu na to, że wuj zamordował mu ojca, bo nie potrafi działać, nie potrafi zresztą dokonać zemsty nawet wtedy, gdy ma już ten dowód. To historia o kimś, kto nie umie poradzić sobie z własnym tchórzostwem i dlatego ucieka przed nim w szaleństwo.

- Nie, nie, w ogóle tak tego nie odczytuję - wybuchnął Borysik. - *Hamlet* nie jest szalony, lecz u d a j e szalonego, by usprawiedliwić swoją niezdolność do podjęcia działań, które są sprzeczne z istotą jego natury.

I wtedy stało się coś, co - biorąc pod uwagę obrót, jaki przybrały sprawy - teraz, moim zdaniem, najlepiej oddają słowa: pomyślałam, że Ziemia wstrzymała bieg na czas jednego uderzenia serca.

Potrzebuję chwili, żeby zebrać myśli.

Muszę przypomnieć sobie sedno tamtej sytuacji. Kiedy Ziemia stanęła, czas zrobił to samo. Wydarzenia następowały z szybkością erozji góry, dlatego jestem w stanie odtworzyć tamten moment z absolutną dokładnością. Osip zatrzymał się tak gwałtownie, że kobieta z wózkiem musiała skrócić, żeby go wyminąć. Borysik i ja spojrzeliśmy z zaciekawieniem na niego, a potem po sobie i znowu na Osipa. Wyglądał, jakby zrzucił z siebie wielki ciężar. Jego oddech stał się tak spokojny jak ruchy powietrza, których oczekuje się w oku cyklonu.

- A więc o to chodzi - powiedział bardziej do siebie niż do nas. I zapominając o zepsutych zębach, uśmiechnął się naprawdę szeroko.

Oboje z Borysikiem nic z tego nie rozumieliśmy.

- O co? - zapytałam.

- Ale to ustawia wszystko w innej perspektywie - oznajmił Osip. - *Hamlet* udaje s z a l e n i s t w o, żeby usprawiedliwić swoją niemoc. Ja udaję r o z w a ż n e g o, żeby usprawiedliwić m o j ą niemożność działania, ponieważ po nikim rozsądnym nie można się

spodziewać, że będzie robił to, co ja muszę robić.

Osip nie mógł nie zauważyć zmieszania w moich oczach.

- Co takiego musisz robić? - dopytywałam się.

Borysik, który miał szósty zmysł w sprawach ducha, odezwał się bardzo cicho:

- Rezygnuje właśnie z konfrontacji z góralek kremlowskim. To, co jego zdaniem musi zrobić, zmusza go do działania wbrew istocie jego natury, jako że poeci nie brudzą sobie rąk polityką.

I wtedy, jakby pękła tama, potok słów zaczął się wylewać z ust Osipa.

- Na początku, Boże, wybacz nam, wielu z nas podzielało z Majakowskim optymistyczny pogląd na rewolucję. Bolszewicy wydawali się ideowcami, którym przyświeca cel moralny: aż się palili do poprawienia doli ludu. Ale nie wzięliśmy pod uwagę, że góralek kremlowski będzie się piał po trupach swych kamratów i dotrze na sam szczyt piramidy na długo przed nimi. Przy Stalinie Kaligula, Cesare Borgia i Iwan Groźny wyglądają na humanitarystów.

Widziałam, jak Borysik kręci głową i aż się pali, by wyrazić swoją niezgodę.

- Nie ma dowodów na to, że Stalin wie, co się dzieje - powiedział. - Niewykluczone, że Jagoda stoi za przymusową kolektywizacją i jest sprawcą głodu i masowych aresztowań. Czeka zawsze działała na zasadzie państwa w państwie.

- Nie pierwszy raz się o to spieramy - Osip obstawał przy swoim, najwyraźniej poirytowany. - Czego potrzeba, żeby cię przekonać, że mam rację, Borysie: zdjęcia Stalina z dymiącym rewolwerem w ręku na pierwszej stronie „Prawdy”? Coś ś m i e r d z i w t y m Z w i ą z k u S o c j a l i s t y c z n y c h R e p u b l i k R a d z i e c k i c h ! O n w i e, na rany Boga. Stoi za każdym aresztowaniem, każdą egzekucją, każdą zsyłką na Syberię. Nic nie dzieje się bez jego zgody w tym *unweeded garden*⁸ - twoje określenie, Borysie, przejęte z ust Hamleta udającego szaleństwo. A b s o l u t n i e n i c !

Kiedy zamknę oczy i złapię oddech, nadal słyszę Borysika recytującego po angielsku:

- *Tis an unweeded garden that grows to seed; things rank and gross in nature possess it merely*⁹.

Powodowany chęcią wytłumaczenia się, Osip niemal dławił się słowami.

- Czerwony terror nie zaczął się wczoraj. Można uznać, że zapoczątkowała go ta żalosna istota, Fanny Kaplan, usiłując zabić Lenina w tysiąc dziewięćset osiemnastym.

⁸ „Ogród pełen chwastów” - przekład Macieja Słomczyńskiego.

⁹ „Jest to ogród pełen chwastów / Rozsiewających dojrzałe nasienie, / A władzę nad nim wyłącznie sprawuje / Wszystko, co gnije i cuchnie w naturze” - przekład Macieja Słomczyńskiego.

Tamtej nocy wydano rozkaz, podpisany również przez Stalina, zabicia tysięcy uwięzionych białych. I on zajmuje się tym od tamtej pory - zabija nadzieję, spychając nas coraz głębiej w nową epokę lodowcową. Trzeba go powstrzymać, zanim zagalopuje się i utopi we łzach sto pięćdziesiąt milionów ludzi. - Krzywiąc twarz w ożywieniu, Osip przytoczył kilka linijek, które rozpoznałam jako fragment jego starszego wiersza: - „...Lecz, mój piękny, biedny wieku, Twój kręgosłup przetrącony”¹⁰. Kochana Anno, kochany Borysie, zwierzam się wam, bo tylko wy ze wszystkich ludzi mnie zrozumiecie. **W i e m, j a k s i ę z a b r a ć d o z n i s z c z e n i a g o!** Wystarczy iskra. Słyszeliśmy o spekulacjach fizyków, mówiących o potencjale wybuchowym zamkniętym w atomie. Jestem głęboko przekonany o słuszności założenia, że potencjał wybuchowy tkwi również w jądrze poezji. Jestem w stanie uwolnić tę siłę, potrafię wywołać eksplozję, jeśli tylko uda mi się porzucić zdrowy rozsądek, jeśli stanę się na tyle niepoczytalny, w każdym rozumieniu tego słowa, żeby tkwiący mi w gardle krzyk gniewu wy dostał się na zewnątrz. - Osip popatrzył na mnie surowo. - Krzyk ma wiele wspólnego z płaczem, Anno: kiedy raz się zacznie, człowiek ryzykuje, że nie będzie mógł przestać.

 Nie wierzyłam własnym uszom.

 - Planujesz zniszczenie Stalina za pomocą wiersza?! - powiedziałam z niedowierzaniem.

 - Wiersza rażącego pociskiem prawdy, która rozniesie się szerokim echem po kraju, niczym kręgi na zastalej wodzie po wrzuceniu kamienia. Coś równie prostego jak „Król jest nagi!”. Wieśniacy powitają upadek kremlowskiego górala dziękczynnymi modlitwami. Partia ogłosi święto narodowe. Komsomolcy będą śpiewać mój wiersz, maszerując do wyznaczonych zadań. Na zjeździe w Teatrze Wielkim, z każdej łoży i balkonu, będą go skandowali robotnicy. Młodzi ludzie, którzy zestarzelili się przed czasem ze strachu, będą tańczyli na ulicach z radości. To będzie koniec Stalina.

 - On cię zabije - powiedział Borysik poważnie.

 - Egzekucje napelniają mnie strachem - przyznał Osip. - Zwłaszcza moja.

 Borysik zacytował kolejny fragment z *Hamleta*, brzmiało to tak: *safety lies in fear*¹¹. Osip potrząsnął głową z irytacji.

 - W ogrodzie pełnym chwastów nie ma żadnej tarczy - powiedział. - I nie o nią chodzi; celem jest uratowanie Rosji, a nie mnie.

 Zaczynałam odczuwać niepokój. Obróciwszy się do Borysika, chwyciłam go za kłapę

¹⁰ Przekład Bohdana Zadury.

¹¹ „Tarczą najlepszą jest trwoga” - przekład Macieja Słomczyńskiego.

marynarki.

- Nie stój jak idiota, na rany boskie. Przemów mu do rozumu.

Mam w pamięci wyryty obraz tych dwóch drogich mi mężczyzn, wpatrujących się sobie w oczy przez całą wieczność, choć tak naprawdę była to krótka chwila. A potem Borysik, ten wytrawny bałamut kobiet, który nie przejawiał najmniejszej ochoty do kontaktów fizycznych z przyjacielem mężczyzną, zrobił coś, czego nie widziałam nigdy przedtem w jego wykonaniu: poruszając się z widoczną nieporadnością, otoczył Osipa pałkowatymi ramionami i przytulił w geście, który można opisać jedynie jako uścisk kochanka.

- Wierz mi, odwiódłbym cię od tego, gdybym tylko potrafił - powiedział tonem zarezerwowanym zwykle na mowy pogrzebowe.

Osip najwyraźniej popadł w stan egzaltacji. Twarz mu pałała, palce drżały.

- Wy dwoje i Nadienka będziecie moimi pierwszymi czytelnikami - obiecał.

Borysik wziął pod ramię Osipa i mnie. Nasza trójka znowu szła. Uświadomiłam sobie sprężystość kroku Osipa, jakby sam marsz ustąpił ważności celowi. Przez jakiś czas nikt z nas nie odezwał się słowem. Pamiętam, że to Borysik przerwał milczenie.

- Gdyby to było możliwe, cofnąłbym zegar.

- Gdzie chciałbyś wrócić? - zapytałam.

- Wróciłbym do chwili, kiedy Osip udawał, że ma zdrowy rozum, żeby usprawiedliwić swoją niemożność działania.

- Ja cofnąłbym się dalej w czasie - oświadczył Osip z wielką pasją. - Wróciłbym do czasów literatury rosyjskiej, zanim bolszewicy wykręcili jej ramię i wyrwali ze stawu.

Miałam nieodparte wrażenie, że Osip rozleje więcej mleka. Błagałam go - dobry Boże, kiedy teraz o tym myślę, krew ścina mi się w żyłach - błagałam, żeby starannie rozważył konsekwencje swoich poczynań.

- Ostatnia rzecz, jakiej Rosja potrzebuje - powiedziałam mu - to śmierć kolejnego poety.

5.

Fikrit Szotman

Wtorek, 1 maja 1934 roku

Przez deski, którymi zabito szczelinę okna znajdującego się wysoko w ścianie mojej celi, słyszałem rogi, gwizdki, kotły i puzony na ulicach otaczających Łubiankę. Mogłem sobie wyobrazić masy robotników: niektórzy potrząsali transparentami z nazwami fabryk lub kolektywów, inni nieśli na ramionach małe dzieci, a wszyscy płynęli wielką rzeką w kierunku placu Czerwonego, by przejść obok grobu Lenina w uroczystym pochodzie z okazji majowego święta, obchodzonego po raz siedemnasty od kiedy sławetna rewolucja bolszewicka pchnęła Rosję na drogę do komunizmu. Stróże bezpieczeństwa stojący wzdłuż trasy wypatrywali tych, którzy wypili za dużo wódki i ledwie trzymali się na nogach. Wyciągali ich z tłumu i odprowadzali do odkrytych ciężarówek wyłożonych sianem, ustawionych w bocznych uliczkach, żeby wytrzeźwiali. Robotnicy z mojego cyrkowego kolektywu - udział jest obowiązkowy, Agrippina byłaby wśród nich, gdyby nie siedziała w więzieniu jak ja - na pewno maszerowali z resztą ludzi, sztandar z sierpem i młotem służył jako przeciwwaga dla jednej z linoskoczkiń idącej po linie rozpiętej nad ulicą przez facetów z obsługi technicznej. Och, jak bardzo chciałem wziąć udział w pochodzie - machałbym jak szalony towarzyszowi Stalinowi, patrzącemu w dół z trybuny ustawionej przy grobie Lenina, w nadziei, że mnie spostrzeże, wskaże palcem towarzyszom z politbiura, złączy dłonie, żeby okazać mi swoją aprobatę, i pomacha nimi tak, by cały świat zobaczył, że nie zapomniał o ciężarowcu, który przywiózł srebrny medal do Moskwy z mistrzostw Europy w Wiedniu w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku.

- Ścisz to - powiedział do mnie współwięzień, ustami sztywnymi od zaschniętej krwi, jakby hałas z ulicy dochodził z głośnika. Kiedy mnie tu wprowadzono, jakieś cztery tygodnie wcześniej, był już w tej celi, siedział w kącie skulony jak zwierzę, jego koszula i spodnie przypominały strzępy, których nie da się pocerować, a bose stopy (bez kilku paznokci) tkwiły w kałuży jego własnej uryny. Był mocno bity i wrzucany do celi w coraz gorszym stanie po każdym przesłuchaniu. Jedno ramię miał zwichnięte, wybite wszystkie zęby przednie poza jednym, lewa dłoń zwisała mu bezwładnie, a sądząc po wykrzywianiu twarzy podczas kasłania i plucia krwią, musiał też mieć połamane żebra, zamiast nosa widać było krwawą,

obrzmiałą miazgę tkanek, z której coś ciekło. Od pierwszej chwili nie miałem wątpliwości, że ten więzień jest groźnym kryminalistą, który zasłużył na surową karę. Nie chciałem siedzieć w jednej celi z takim kundlem i powiedziałem o tym śledczemu, kiedy zaprowadzono mnie na pierwsze przesłuchanie. Podsunął mi ołówek oraz kartkę i kazał napisać zażalenie. Nie chciałem mu się przyznać, że nie umiem czytać ani pisać, dlatego odepchnąłem kartkę z powrotem i wymamrotałem coś o tym, że nie chcę marnować jego czasu na sprawy tak nieistotne.

Jak się czułem w roli człowieka aresztowanego? Nie bałem się, jeśli o to chodzi. Dlaczego miałbym się bać? Nie złamałem żadnych przepisów, nie byłem sabotażystą ani zamachowcem, ani szpiegiem na usługach tajnych służb Wielkiej Brytanii. Nadal należałem do partii. Wcześniej tego roku zalegałem co prawda ze składkami przez dwa miesiące (cyrk był wtedy na objeździe Azji Środkowej), ale kiedy tylko wróciliśmy do Moskwy, wyrównałem dług, łącznie z dziesięcioprocentowymi odsetkami karnymi za zwłokę.

Nie musicie mi wierzyć na słowo - mam kwit wpłaty i mogę to wam udowodnić. Przyznaję, że czułem się potwornie zażenowany, kiedy aresztowano mnie na oczach wszystkich sąsiadów (nasłuchujących przez drzwi i patrzących przez okna). Wszyscy w cyrku się dowiedzą, jak to siłacza zabrała milicja, a ponieważ ludzie generalnie uważają, iż nie ma dymu bez ognia, każdy od razu przyjmie, że musi ciążyć na mnie j a k a s wina. Mogę sobie wyobrazić zakłopotanie na ich twarzach, kiedy wrócę do cyrku, machając listem napisanym na maszynie, podpisanym i z pieczętką prokuratora, oświadczającym światu, że aresztowanie Szotmana Fikrita okazało się godną pożałowania biurokratyczną pomyłką. Ze wstydu będą unikali mojego wzroku, kiedy będę im podawał rękę na powitanie. Kilku czekistów na pewno dostanie niezłą burę. Kto wie, może nawet nadejdzie telegram od samego towarzysza Stalina z przeprosinami za wszystkie niedogodności, na jakie zostałem narażony przez organa.

Staram się nie myśleć o samym aresztowaniu, bo najbardziej ucierpiała wtedy Agrippina. Płakała tak rozpaczliwie, że dostała czkawki. W przerwach między szlochem i czkawką, kiedy prowadzili mnie korytarzem do windy, usiłowała przekonać sześciu milicjantów (mówiono mi, że Czeka zwykle przysyła czterech, ale w końcu jestem mistrzem w podnoszeniu ciężarów), że popełniają straszny błąd.

- Zadamy mu tylko kilka pytań, paniusiu - jeden z nich z tikiem na twarzy warknął do niej poirytowany. - Zanim materac ostygnie, będzie z wami i waszymi tatuażami z powrotem w łóżku.

Jak to się najczęściej zdarza, kiedy wierzy się, że prawdą jest to, czym się człowiek ludzi, wziąłem go za słowo.

- Trzymaj obiad na ogniu! - zawołałem wesoło do Agrippiny, kiedy zamykały się drzwi windy. Ale to były ciężkie drzwi i zatrzasnęły się, jakbym już był wtrącony do więzienia, i jeśli była we mnie jeszcze jakaś wesołość, zniknęła niczym jeden z królików w cylindrze pana Danczo. Słyszałem, jak Agrippina woła moje imię w głąb szybu, gdy winda rozpoczęła długą drogę ku temu, co miało okazać się koszmarem. Przed blokiem zostałem wrzucony do ciężarówki do rozwożenia chleba, w której nie czuć było chleba, ale nieporównywalny z niczym smród ludzkiego potu.

W niewielkim pokoju przy dziedzińcu na tyłach Łubianki zabrali mi szeroki pas, który przywiozłem sobie z Sofii, i sznurowadła, a także wszystko, co trzymałem w kieszeniach, oraz czeski zegarek, mający pokazywać datę, ale nie dawało się jej dobrze ustawić. Dostałem do podpisania spis moich rzeczy, więc starannie postawiłem swój znak we wskazanym mi miejscu. Byłem w stanie śledzić upływ czasu przez pierwsze osiem lub dziewięć dni, bo co rano wykrobywałem kreskę na grubych kamieniach ściany celi kopiejką, którą przeoczyli w czasie przeszukiwania mi kieszeni w nocy, gdy mnie tu przywieźli. Ale gdy wróciłem któregoś ranka do celi po całonocnym przesłuchaniu - a wiedziało się, że jest rano, bo strażnicy wsuwali przez szparę w drzwiach suchara i dziwaczny porcelanowy kubek z letnią herbatą, smakującą jodyną - przekonałem się, że ktoś dodał kilka kresek, żeby mnie zmylić.

Zabrało mi trochę czasu, zanim odezwałem się do współlokatora z celi. Nigdy wcześniej nie zetknąłem się z wrogiem ludu i nie chciałem się skazić rozmową z nim. Kiedy go nie przesłuchiowano, spędzał, jeśli nie spał, godziny na lizaniu ran - dosłownie na lizaniu, bo był jak kot, który lize łapę, a potem pociera nią resztę ciała. Na tej podstawie domyśliłem się jego chłopskiego pochodzenia, bo w Azerbejdżanie powszechnie wiadomo, że ślina ma właściwości lecznicze przy skaleczeniach, siniakach, brodawkach i tym podobnych. Po nie wiem ilu dniach w celi zacząłem żałować, że go po prostu nie zastrzelili, żeby skończyć jego mękę. Dlatego wziąłem się w karby, żeby z nim porozmawiać.

- A więc, jakie popełniście przestępstwo, towarzyszu? - zapytałem.

Jego jedno oko, które nie było zamknięte z powodu opuchlizny, wpatrywało się we mnie poprzez przestrzeń wilgotnej celi, oświetlonej jaskrawo świecą żarówką, zawieszoną na suficie poza naszym zasięgiem.

- Dlaczego myślicie, że popełniłem jakieś przestępstwo?

- Nie byłoby was tutaj, gdyby było inaczej. Gdybyście byli niewinni, nie byłibyście w takim stanie.

Próbował się roześmiać, ale obślinił się jedynie.

- Popełniłem błąd polegający na tym, że poruszyłem sprawę kolektywizacji przed

Stalinem na publicznym spotkaniu.

- Osobiście widzieliście towarzysza Stalina! - I nie czekając na odpowiedź, opowiedziałem mu, jak sam Stalin pogratulował mi zdobycia srebrnego medalu w Wiedniu dwa lata wcześniej.

- Jesteście ciężarowcem z Azerbejdżanu, który został siłaczem cyrkowym - powiedział. - Pamiętam, że czytałem o was w „Prawdzie”. Nazywam się Sergo... - Może i dodał otczestwo i nazwisko, ale przy fatalnym stanie jego ust trudno było zrozumieć, co mówił, tak więc nigdy ich nie poznałem. - A co z wami, jakie przestępstwo popełniście?

- Jestem absolutnie niewinny i niczego nie zrobiłem, i ten fakt wyjdzie na jaw, kiedy koła socjalistycznej sprawiedliwości będą miały szansę się obrócić.

- Skoro nie jesteście winni, co tu robicie?

- Doniesiono na mnie, że mam na kufrze nalepkę z wieżą Eiffla. Na wypadek, gdybyście nie wiedzieli, co to za wieża, powiem, że znajduje się w Paryżu.

- Założę się o skórkę od chleba, że przesłuchuje was sławny Christoforowicz.

- Skąd wiecie?

- Jest i moim śledczym. Piszę opowiadania. Christoforowicz to specjalista od przypadków ludzi kultury. Jako artysta cyrkowy podpadacie pod kategorię kultury.

- Robi wrażenie uczciwego bolszewika: jego pierwsze słowa dotyczyły tego, że będę dobrze traktowany.

- Uczciwy jak cholera - powiedział Sergo z szyderstwem w głosie. - Zanim z wami skończy, przekona was, że jesteście winni tak czy inaczej.

Zgodnie ze znaczkami na ścianie przebywałem w więzieniu od sześciu dni, kiedy przed drzwiami mojej celi zjawilo się trzech klawiszy (tylko jeden przychodził po Serga, ale nie zapominajmy, że jestem mistrzem w podnoszeniu ciężarów). Stało się to pod koniec dnia, kiedy nakarmiłem już Serga cienką zupką z obierek kartoflanych i kapusty, przyniesioną nam na kolację w porcelanowych miskach, i mościłem się do snu na złożonym kocu.

- Szotman Fikrit! - zawołał jeden ze strażników, jakby nie widział różnicy między wichrzycielem Sergo a szanowanym radzieckim obywatelem.

Trzymając spodnie, żeby nie opadły mi do kostek, poczłapałem za klawiszami korytarzem, mijając rzędy ponumerowanych drzwi, do otwartej windy towarowej o wygłuszonych ścianach. Pojechaliśmy do góry, trzy kondygnacje, jak policzyłem, aż znaleźliśmy się na piętrze, które z wyglądu bardziej kojarzyło się z jakimś eleganckim biurem niż z więzieniem. Był tam jasno oświetlony korytarz, wyłożony na całej długości wytartym dywanem, i solidne drewniane drzwi z mosiężnymi numerami. Klawisze w butach o

podeszwach z krepy podzwaniali kluczami, gdy przemieszczaliśmy się tym korytarzem, a kiedy usłyszeli innego strażnika zbliżającego się do nas i też dzwoniącego kluczami, naciągnęli mi bluzę z pleców na głowę i popychali mnie, aż stanąłem z nosem przy ścianie. W chwili gdy strażnik z brzęczącymi kluczami minął nas ze swoim więźniem, wznowiliśmy marsz. Kiedy znaleźliśmy się przy drzwiach o numerze 23, klawisze zapukali trzy razy, otworzyli je i wepchnęli mnie do środka.

Znalazłem się w ogromnym szczytowym pokoju z oknami po obu stronach, z grubymi plisowanymi zasłonami, odcinającymi widok na Moskwę. Jasne światła punktowe, z rodzaju tych, których używamy w cyrku do numerów specjalnych, przymocowane do kratownicy na suficie i skierowane na moją twarz, sprawiły, że oczy zaczęły mi łzawić. Za długim i wąskim stołem, na drewnianym obrotowym krześle siedział nieduży, raczej szczupły mężczyzna, ubrany w skórzany rzeźniczy fartuch z ciemnymi plamami, włożony na jakiś mundur. Jego włosy miały kolor betonu i były ostrzyżone krótko, po wojskowemu. Chroniąc oczy przed ostrym światłem, założył okulary o zabarwionych szklach, podobne do tych, jakie nosił kasjer w cyrku, kiedy podliczał przychód z wieczornego przedstawienia. Kiedy zmrużyłem powieki, mogłem dostrzec wiszącą za nim na ścianie wielką fotografię towarzysza Stalina. Stał na trybunie przy grobie Lenina na placu Czerwonym, górując nad towarzyszami znajdującymi się po obu jego stronach, prawą rękę miał uniesioną, jakby salutował osobie, która patrzyła na zdjęcie, jednym słowem, salutował mnie.

Odczekałem co najmniej kwadrans, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi w butie bez sznurowadła na drugą, zanim mężczyzna w rzeźniczym fartuchu na mnie spojrział.

- Nazywam się Christoforowicz - mówił tak cicho, że musiałem się wysilić, żeby coś z tego zrozumieć. - Macie jakieś zastrzeżenia do sposobu, w jaki was traktujemy?

- Na nic nie narzekam, wasza wielmożność, poza herbatą, która ma smak jodyny.

- Nasze służby medyczne ustaliły, że kilka kropli jodyny rozpuszczonych w herbacie zapobiega biegunce, zaburzeniom trawienia, a nawet łuszczycy. Słyszałem, że sam towarzysz Stalin zażywa codziennie dawkę jodyny. Jeśli nie macie innych zastrzeżeń...

- Nie jestem zadowolony z dzielenia celi z wichrzycielem. - To wtedy przesunął po stole w moją stronę ołówek i kartkę, żebym napisał zażalenie, czego nie zrobiłem z powodów, które podałem już wcześniej.

Christoforowicz skinął ręką i trzech strażników poprowadziło mnie przez pokój i przykuło za nadgarstki i kostki u nóg do metalowych klamer zamocowanych w ścianie. Na jednej z klamer spostrzegłem zaschniętą krew, a nawet strup, i pomyślałem, że przykuwano tutaj Serga albo podobnych do niego kryminalistów. Przykucie do ściany wcale mnie nie

zaniepokoiło - byłem w końcu potężnym facetem, a Christoforowicz nie wiedział na pewno nic o mojej niewinności. Bo skąd miałby wiedzieć, dopiero co się spotkaliśmy?! Założywszy okulary w okrągłych stalowych ramkach, jakie bardzo lubią ważni ludzie, zajął się czytaniem akt, leżących przed nim na stole. Nie spojrzał na mnie ani nie odezwał się słowem przez, jak mi się zdawało, całe godziny. Wypełniłem ten czas obserwowaniem go kątem oka. Wyglądał tak jak wszyscy, którzy cierpią na bezsenność - powieki miał do połowy opuszczone, zmarszczki, nazywane przez Agrippinę zmarszczkami migrenowymi, bruździły mu wysokie czoło, górnymi zębami przygryzał dolną wargę. Z tym wszystkim przypominał mi naszych akrobatów, którzy z przerażeniem w oczach kręcili się nerwowo za namiotem, zanim wybiegali na arenę, żeby ukłonić się publiczności, a ich histeryczne uśmiechy maskowały obawę przed nieudanym występem. Zastanawiałem się, czy ktoś w sytuacji Christoforowicza musi się bać nieudanych poczynań. Próbowałem odgadnąć, jak jego przeżycia mierzą jakoś jego działań. Myślałem o tym, czy ma rodzinę - żonę, dzieci, braci, siostry, wujów, ciotki. I czy oni wiedzą, w jaki sposób zarabia na życie. Zastanawiałem się, czy zawodowi śledczy potrafią zapomnieć o pracy po wyjściu z urzędu i rozmawiać z przyjaciółmi i sąsiadami, tak jak ja rozmawiam z przyjaciółmi i sąsiadami, czy też zawsze muszą być czujni, ważyć każde słowo, każdy gest, szukając dowodów wicherzycielstwa. Może dlatego nie mógł spać w nocy. Chciałem wiedzieć, czy wyjeżdża na urlopy do hoteli zarezerwowanych dla towarzyszy nad Morzem Czarnym, opala się na kamienistej plaży u podnóża klifów, pływa w falach, jada w zbiorowej stołówce, gdzie kelnerzy muszą domyślać się, jak ważny jest poszczególny gość, bo nikt nie nosi munduru, dzięki któremu wiedzieliby, komu należą się najlepsze kawałki mięsa.

Towarzysz śledczy bębnił palcami po rejestrze leżącym na blacie stołu. Od czasu do czasu ściągał skuwkę wiecznego pióra i notował coś w jednych z akt. Słyszałem skrzypienie stalówki o papier. Ten dźwięk napawał mnie otuchą - to jasne, że ktoś potrafiący czytać i pisać, jak Christoforowicz, jest też w stanie rozważyć starannie dowody i dojść do wniosku, że Szotman Fikrit nie powinien znajdować się w więzieniu. W którymś momencie nad ranem przysadzista kobieta w białym kucharskim kitlu i białej chustce na głowie wtoczyła do pokoju wózek i postawiła na stole dwa talerze z jedzeniem, razem z dwoma białymi płóciennymi serwetkami, widelcami i nożami oraz dzbankiem piwa. Próbowałem się domyślić, dla kogo jest drugie nakrycie. Christoforowicz zatknął róg serwetki za kołnierz przy szyi i rzucił się na jedzenie, jak ktoś mocno zgłodniały.

Zapach jedzenia - wyczułem befsztyk i smażoną cebulę - sprawił, że zakręciło mi się w głowie.

Kiedy Christoforowicz skończył jeść, beknął, zakrywając usta wierzchem dłoni, co podsunęło mi myśl, że miał inteligentkie pochodzenie, a nie robotnicze. Wyciągnął skoroszyt z szuflady i w trakcie czytania go wypił więcej piwa. W końcu spojrzał na mnie i powiedział:

- Szotman, Fikrit Trofimowicz?

- Ten sam, wasza wielmożność.

- Mam tu napisane, że należycie do partii od tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego.

- Tak naprawdę złożyłem ślubowanie w grudniu dwudziestego siódmego, wasza wielmożność, ale lista na ten rok była już zamknięta, więc musiałem czekać na nowy nabór, który rozpoczął się w lutym dwudziestego ósmego.

- Uważacie się za dobrego komunistę?

Pokiwałem głową z przekonaniem.

- A czym, waszym zdaniem, jest komunizm?

Jego pytanie zważyło mnie z nóg. Niewiele wiem o Marksie i Leninie ani też o dyktaturze proletariatu, że nie wspomnę nawet o materializmie dielektrycznym, ale postanowiłem powiedzieć, co następuje: - Nie jestem do końca pewny, czym jest komunizm, towarzyszu śledczy, ale jestem pewny, że go rozpoznam, kiedy go zobaczę.

- A więc zamknijcie oczy. Dobrze. A teraz opiszcie, z łaski swojej, co widzicie, kiedy patrzycie na komunizm. Dalej, śmiało!

- Widzę kraj, gdzie wszyscy są pewni, że jutro będzie lepsze od dzisiaj. Nie zrozumcie mnie źle, nie mówię, że dzisiaj jest niedobrze, ale tak jak dzisiaj jest wspaniale, jutro będzie jeszcze wspanialej. Widzę kraj, gdzie wszyscy - każdy robotnik z fabryki, każdy chłop z kolchozu - mają tak samo dobre życie jak my w naszym cyrku. Płaci się nam od liczby przedstawień, nawet jak jest śnieżycy i nikt nie przychodzi i nie kupuje biletów. Kiedy jest się na etacie w cyrku od trzech lat i człowiek znalazł sobie babę, jak ja, to przysługuje mu dwudziestoczworometrowe mieszkanie w jednym z nowych bloków przy obwodnicy. Cyrk ma własny warsztat szewski i pralnię, i ślusarza, który robi wszystkie części zapasowe do naszych ciężarówek. Mamy dyplomowaną pielęgniarkę, o której się mówi, że może nawet odebrać poród, choć nie przeszła jeszcze takiej próby. Jemy trzy porządne posiłki dziennie w domu albo w trasie, w soboty i niedziele pijemy piwo, a w imieniny wódkę. - Nagle doznałem olśnienia. - Komunizm jest wtedy, gdy wszystko idzie sprawnie i nie trzeba Czeka, żeby musiała pilnować, by wszystko sprawnie szło. W komunizmie bylibyście, towarzyszu śledczy, bez pracy.

Przez sekundę bałem się, że może pozwoliłem sobie na zbyt dużo, ale Christoforowicz pokiwał głową z aprobatą.

- Mam do was kolejne pytanie, Szotman. Możecie powiedzieć, że wypełniacie polecenia partii?

- Co do słowa, wasza wielmożność. Zapytajcie przewodniczącego komitetu blokowego. Zapytajcie przedstawiciela Czecha w naszym kolektywie cyrkowym. Kiedy partia mówi skacz, skaczę.

- Skoro już o tym mowa, partia każe wam powiedzieć mi, jaka wina na was ciąży. To zaoszczędzi mi mnóstwo czasu, a wam mnóstwa bólu. Na Zachodzie mówią, że czas to pieniądz, co jest przedziwnym sposobem patrzenia na tę sprawę. Dla mnie czas jest czymś, co się przydziela, tyle i tyle każdemu więźniowi, żeby wyrobić normę. Wyglądacie na zaskoczonego. Tak, ja też mam normę do wyrobienia, jak robotnik w fabryce. Oczekuje się po mnie określonej liczby zeznań każdego miesiąca. Wasze dobrowolne zeznanie zostawi mi więcej czasu na wyciągnięcie zeznań od wichrzycieli, którzy chcą sabotować komunizm, a bez nakłaniania z mojej strony nie powiedzą wszystkiego. - Christoforowicz wskazał drugi talerz z jedzeniem. - W chwili gdy podpiszecie zeznanie, będziecie mogli zjeść ten befsztyk. Befszyk z piwem. I przez całą noc będziecie mogli spać, i nikt was nie obudzi, to będzie wasza nagroda za współpracę.

Jako pierwszy przyznam, że mój umysł pracuje powoli. Ale pracuje. Więc tak sobie wtedy pomyślałem: jeżeli partia, wiedząc, że jestem niewinny, uważa, że wyszedłbym dobrze na przyznaniu się do winy, zrobię to w jednej chwili. Ale jeśli partia uważa, że naprawdę jestem winny, i chce, żebym to potwierdził przyznaniem się do winy, to nie bardzo wiem, jak miałbym to zrobić. Wciągnąłbym wtedy partię, którą wielbię, do współudziału w kłamstwie. Nie byłem pewny, czy zdołam wytłumaczyć to Christoforowiczowi w satysfakcjonujący sposób, dlatego powiedziałem po prostu: - Chętnie powiem wam, jaka wina na mnie ciąży, jeśli tylko będę wiedział, co zrobiłem źle.

- Pomogę wam, Szotman. - I wtedy właśnie Christoforowicz zapytał mnie o to samo, o co w celi pytał mnie Sergo. - Jeśli nie jesteście winni, co w takim razie tu robicie?

- Jestem tu przez pomyłkę.

- Wyjaśnijmy sobie coś. Jesteście członkiem partii od tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego i uważacie, że partia może popełniać błędy?

- W partii są tylko ludzie, towarzyszu śledczy. Kiedy zamyka się wrogów ludu tysiącami, a może nawet dziesiątkami tysięcy, organa mają prawo do nieświadomego popełnienia błędu raz na jakiś czas.

Używając tylko jednej ręki, Christoforowicz wydmuchał nos w płócienną serwetkę, co nasunęło mi myśl, że wcale nie pochodził z inteligencji. Przyjrzał się rezultatom i

najwyraźniej usatysfakcjonowany brakiem objawów jakiegokolwiek choroby, ponownie przeniósł uwagę na mnie.

- Każdy więzień zaczyna zeznanie od tego, że organa popełniły błąd - tłumaczył cierpliwie. - Miałem dzisiaj takiego klienta na herbacie. Był zecerem w prowincjonalnej gazecie, w której pod nagłówkiem *Śmierć trockistowskim zdrajcom* wydrukowano historię triumfalnego przyjęcia przez Stalina radzieckich lotników, a relację z procesu kułaków wichrzycieli pod tytułem *Cześć podniebnym bohaterom*. Odpierał zarzut sabotażu i przypisywał pomylenie nagłówków nieświadomemu popełnieniu błędu. Sąd doraźny uznał jego uparte nieprzyznawanie się do winy za dowód winy i nie mogłem ocalić go od najwyższego wymiaru kary. Został rozstrzelany. - Towarzysz śledczy wziął wielki budzik stojący na stole i zaczął go nakręcać kluczykiem znajdującym się z tyłu. - Już jakiś czas temu. Zwykle to ja odwalam brudną robotę. Szczycę się tym, że kończę to, co zacząłem: jeśli więzień, którego przesłuchiwanie mi przydzielono, jest skazany na karę śmierci, nie pozwalam, żeby wyrok wykonali jacyś obcy ludzie; prowadzę go do krypty w podziemiu i sam do niego strzelam. Możecie to nazwać etyką zawodową. Tylko dzisiaj mam już za sobą dwie egzekucje - jednym ze skazanych był magik z waszego cyrku, który zrobił sobie tarczę do rzutek ze zdjęcia Stalina - choć asystent proponował, że mnie wyręczy. Więc nadal uważacie, że jesteście tu z powodu nieświadomie popełnionego błędu?

Przez lata Agrippina wbijała mi do tępego łba, że jeśli nie potrafię powiedzieć czegoś choćby tylko trochę inteligentnie, nie powinienem w ogóle się odzywać. I tak właśnie teraz postąpiłem. Christoforowicz wzruszył ramionami i pokręcił głową, jakby czymś się zasmucił. Podniósł słuchawkę telefonu i powiedział do niej bardzo cicho: - Wnieście to.

Jeden ze strażników, którzy mnie tu przyprowadzili, wwiózł na tacze mój kufer. Klawisz przechylił taczkę i zrzucił kufer na podłogę w miejscu pomiędzy mną, przykutym do ściany, a śledczym, stojącym przy stole. Zobaczyłem nalepkę z wieżą Eiffla, obrysowaną kołem z czerwonej farby.

Towarzysz śledczy gestem odprawił strażnika, a sam obszedł stół i usiadł na blacie, wyciągając przy tym krótkie nogi tak, że czubkami butów dotykały podłogi.

- Porozmawiajmy o tej nalepce z wieżą Eiffla - zaproponował uprzejmym tonem.

- Nie mam niczego do ukrycia - powiedziałem. - Po pierwsze, trzeba wiedzieć, że to nie ja ją nalepiłem na kufer. Dostałem kufer już z tą nalepką. Nawet jej nie zauważyłem, dopóki kobieta z brodą nie podniosła tej sprawy na zebraniu kolektynu cyrku. Po drugie, trzeba wiedzieć... - Wysilałem umysł, próbując przypomnieć sobie, co Agrippina kazała mi mówić. - ...że osobiście uważam radzieckie wieże za sto razy lepsze od tej głupiej wieży w

Paryżu, która wygląda jak olbrzymia zabawka mechaniczna. To znaczy, wystarczy popatrzeć na tę wieżę Eiffla, żeby się przekonać, jaka jest paskudna.

- Byliście w Paryżu?

- Nigdy. Możecie sprawdzić mój paszport zagraniczny: nie ma tam pieczętki z Paryża.

- Szpiedzy mają sposoby na przekraczanie granicy bez stempli w paszporcie.

- A po co miałbym jechać do Paryża? Nie ma tam nic poza bezrobociem i więzieniami, i kolejkami po chleb przed piekarniami, a kapitalistyczna policja pilnuje biednych i bezdomnych proletariuszy, żeby nie pokazywali się obrzydliwie bogatym kapitalistom, którzy ich wykorzystują.

- Ja też nie byłem w Paryżu, ale mówiono mi, że mają tam szerokie aleje i wspaniałe muzea pełne skarbów sztuki.

- Nie ma w Paryżu nic, czego nie można byłoby znaleźć w radzieckich miastach i radzieckich muzeach, towarzyszu śledczy. Weźmy choćby na przykład obraz *Mona Liza*...

- Gdzie widzieliście obraz *Mona Liza*?

- W jakiejś książce.

Christoforowicz uśmiechnął się wesoło.

- Tak się składa, że obraz *Mona Liza* jest w Paryżu.

Głośno przełknąłem.

- Musiałem go pomylić z jakimś innym, tu w Rosji - powiedziałem cicho.

- Idźmy dalej. Kiedy kobieta z brodą zwróciła wam uwagę na nalepkę z wieżą Eiffla, dlaczego jej nie odlepiliście?

Po raz pierwszy w czasie tego przesłuchania poczułem twardy grunt pod nogami.

- To, że jej nie zerwałem, musi świadczyć na moją korzyść, towarzyszu śledczy. Pokazuje, że nie mam nic do ukrycia.

Christoforowicz zagryzł dolną wargę, aż wyciekła z niej kropla krwi, a potem zlizął ją językiem.

- Nie potrzeba nawet doświadczonego śledczego, żeby się zorientować, że prawda jest dokładnie odwrotna, Szotman. Gdyby rzeczywiście ta nalepka, która znalazła się na kufrze bez waszej winy, była bez znaczenia, natychmiast byście ją zdarli. Fakt, żeście tego nie zrobili, pogrąża was - może oznaczać jedynie, że kwestionowana nalepka z wieżą Eiffla jest tajnym znakiem przynależności do konspiracji trockistów, spiskujących przeciwko władzy bolszewickiej i ustrojowi socjalistycznemu. Będę musiał powiadomić odpowiednie władze, żeby szukały charakterystycznej nalepki z wieżą Eiffla na walizkach i kufrach innych podejrzanych o zdradę.

Patrząc na to z perspektywy czasu, nie potrafię właściwie powiedzieć nic konkretnego o tym, na czym skończyło się to pierwsze przesłuchanie, a potem drugie, trzecie i czwarte. Ani tego, ile było tych przesłuchań. W moich wspomnieniach wszystkie te przesłuchania zlewają się w jeden długi koszmarny sen, urozmaicony jazdą w górę i w dół towarową windą, i herbatą o smaku jodiny, z Sergiem krzyczącym w agonii, po wrzuceniu go do celi, we własne wymiociny i siki. Zdarzały się sytuacje, które dokładnie zapamiętałem, kiedy szedłem korytarzami o własnych siłach, i inne, gdy trzeba mnie było wlec do szczytowego pokoju z plisowanymi zasłonami i z niego wynosić. Myślę, ale nie jestem tego absolutnie pewny, że zaczęli zmuszać mnie biciem do zeznań w czasie trzeciego lub czwartego przesłuchania. A działo się tak. Pamiętam, że towarzysz śledczy otworzył górną szufladę mojego kufra i wyciągnął z niej garść bezwartościowych obligacji carskich. Pamiętam, że popatrzył na mnie i zaczął jakby żartobliwie bić mnie nimi po twarzy. Pamiętam, że zapytał: - Zatem powiedzcie, Szotman, spodziewacie się, że kapitaliści wrócą szybko do władzy w radzieckiej Rosji?

- Sam stanąłbym na barykadach, gdyby spróbowali - odpowiedziałem.

- A skoro o tym mowa, jak wyjaśnicie obecność tych carskich obligacji w waszym kufrze?

- Proszę, żebyście mi uwierzyli, towarzyszu śledczy, kiedy wam powiem, że te obligacje należały do przyrodniego brata mojej matki, który w czasie rewolucji miał niewielką fabrykę w Baku, zatrudniał dziesięciu czy dwunastu Izraelitów, którzy wszywali potniki w kapelusze. Przyrodni brat mojej matki kupił te obligacje dla żartu po upadku cara, kiedy sprzedawali je za minimalną część ich nadrukowanej wartości. Miał zamiar wytapetować nimi wychodek za domem, ale uznano go za kapitalistycznego wyzyskiwacza i skończył przed plutonem Czerwonej Gwardii, zanim zdążył się tym zająć. Matka znalazła je w pudełku po butach, kiedy sprzątała szafę przyrodniego brata. A jak się przekonała, że są bez wartości, zaczęła używać ich na podpałkę w kuchni. Przed Bogiem żałuję, że nie pozwoliłem jej na to, tylko zabrałem je, żeby skręcać z nich papierosy.

- Uważasz mnie aż za takiego durnia, Szotman? Spodziewasz się, że uwierzę, jakobyś trzymał te obligacje, żeby używać ich zamiast bibulek papierosowych?

- Bóg mi świadkiem, wasza wielmożność, że to prawda. Mają odpowiedni rozmiar i odpowiedni kształt, i wolno się pałą. Gdybym miał trochę machorki, pokazałbym wam.

Christoforowicz wrócił do stołu i wyjął kartkę papieru z czegoś, co wyglądało na moje akta.

- W waszym podaniu o przyjęcie do partii nie ma słowa o tym, że wasz wuj został

rozstrzelany przez Czerwoną Gwardię. Zatem do listy waszych przestępstw musimy dodać zafałszowanie oficjalnych danych.

- Nie był moim wujkiem, towarzyszu śledczy. Był przyrodnim wujkiem. W kwestionariuszu pytali o krewnych. Poza tym on mieszkał w Baku, a my w górach. Chyba w ogóle nigdy go nie widziałem. Gdyby minął mnie dzisiaj na ulicy, nie rozpoznałbym go.

- Jak miałby dzisiaj was mijać na ulicy, skoro nie żyje?

- Chciałem tylko powiedzieć... niewiele śpię, towarzyszu śledczy, dlatego niektóre rzeczy czasem mi się mieszają.

- Miesza się wam niewinność z winą - powiedział z takim przekonaniem, że zacząłem się zastanawiać, czy wiedział o czymś, czego ja nie wiedziałem.

Mniej więcej wtedy w szczytowym pokoju śledczego zjawiał się największy ze strażników, Uzbek o złamanym, źle zrośniętym nosie i z długimi baczkami, niczym u wędrownego zapaśnika. Mierzyliśmy się wzrokiem przez kilka sekund. Nie miałem wątpliwości, że mimo złego stanu kolana pokonałbym go, gdybyśmy mieli się siłować. Uzbek, bez wątplenia zawodowiec, sprawdził, czy nadgarstki i kostki nóg mam dobrze przykute do klamer w ścianie. Christoforowicz podszedł z męską skarpetką, a Uzbek, posługując się drewnianą chochłą, zaczął wsypywać do niej piasek z czerwonej skrzynki przeciwpożarowej. Kiedy skarpetka wypełniła się piaskiem do połowy, przewiązał jej dolną część kawałkiem sznurka i wypróbował na spodniej stronie własnej dłoni. Zadowolony, spojrzał na towarzysza śledczego, który ponownie znalazł się przy stole i z zatkniętą za kołnierzyk serwetką jadł kolację. Drugi talerz z kiełbasą i kapustą czekał na mnie, jeśli bym podpisał zeznanie. Wyciągając paznokciem małego palca kęs spomiędzy zębów, co przekonało mnie, że jednak miał robotnicze korzenie, Christoforowicz skinął głową. Zapaśnik, jeśli był nim wcześniej, zanim zaczął pracować dla organów, podszedł do mnie, chwycił za głowę i delikatnie przycisnął mi prawy policzek płasko do ściany. Istnieje niepisane prawo pomiędzy naprawdę potężnymi mężczyznami, jak ten Uzbek i ja, że nie powinno się używać własnej siły, żeby kogoś skrzywdzić, jeśli można tego uniknąć, a jeśli nie ma innego wyjścia, powinno się używać jej z pełnym szacunkiem. Dlatego Uzbek mi się przedstawił.

- Islam Issa.

Ja także powiedziałem mu, jak się nazywam.

- Fikrit Szotman.

Jego nacisk na mój policzek nasilił się.

- Powiedzcie, kiedy będziecie gotowi.

- Róbcie, co macie robić, żeby zapracować na chleb - odpowiedziałem mu.

Unieruchomił mi głowę przy ścianie wielką łapą i zaczął walić skarpetką napelnioną piaskiem w środek mojego lewego ucha.

Nie jestem taki głupi, jak twierdzą ludzie, których nazwisk nie wymienię. Wziąłem to za dobry, a nawet pozytywny znak: posłużenie się skarpetką wypełnioną piaskiem, a nie cegłą, i koncentrowanie się na środkowej części ucha oznaczało, że nie chcą zostawiać śladów na moim ciele. A to z kolei oznaczało, że bez mojego zeznania nie mają pewności, czy zdołają udowodnić mi popełnienie przestępstwa, i dlatego będą musieli mnie wypuścić do domu, do Agrippiny. No bo przecież nie przejmowali się zostawianiem śladów na ciele Serga - rozumiecie, co mam na myśli? To mogło oznaczać jedynie, że dla nich był winny jak amen w pacierzu, a w moim przypadku nie odrzucili jeszcze założenia, że mogę być niewinny jak Dzieciątko Jezus, choć, zwróćcie uwagę, nie powiedziałbym tego głośno, bo, jak o tym bębnilo na zebraniach partyjnych, rosyjski Kościół prawosławny był opium dla mas czy czymś w tym rodzaju.

Bicie powtarzało się w czasie następnych przesłuchań, a ja powoli głuchłem na lewe ucho. Zaczęło się od straszliwego dzwonienia. Próbowiałem uciekać myślami od okropnego bólu i przypominałem sobie tatuaże Agrippiny, jeden po drugim - węża wspinającego się po jej udzie, mapę Afryki, twarze Lenina i Stalina oraz tę nazywaną Engelsem, choć byłem dopuszczony do sekretu i wiedziałem, że to zdrajca Trocki, i portret Mony Lizy, który może i znajdował się w Paryżu, a nie w Rosji, dwa pawie, po jednym na każdym z jej wątłych ramion. Proszki przeciwbólowe działały przez jakiś czas, ale potem pulsowanie zaczynało się od nowa i zacierało mi obraz tatuaży, aż nie mogłem ich sobie wyraźnie przypomnieć. Im więcej mnie bili, tym bardziej dzwonienie się oddalało, i wydawało mi się już, że dochodzi z drugiego pomieszczenia, a potem z innego piętra więzienia. Potem zostawała jedynie bolesność ucha i cisza. Mimo zamroczenia piekielnym bólem zdałem sobie sprawę, że nie mogą bić mnie w drugie ucho, jeśli chcą, żebym słyszał ich pytania. Dostrzegałem też pewne korzyści z ogłuchnięcia na jedno ucho, o czym towarzysz śledczy nawet pewnie nie pomyślał - oznaczało to przecież, że mogłem spać ze zdrowym uchem przyciśniętym do koca na podłodze w celi i nie słyszeć Serga, jęczącego przez cały dzień.

Uzbek odchodził od czasu do czasu do gęsto plisowanych zasłon, żeby zapalić papierosa, a wtedy podchodził do mnie towarzysz śledczy i zadawał pytania. Chciał wiedzieć, jaki miał być w założeniach polityczny wydźwięk blizny na twarzy towarzysza Stalina, wytatuowanej na moim bicepsie. Kiedy opowiedziałem o poparzeniu liną w trakcie stawiania namiotu w Tbilisi, parsknął śmiechem.

- Macie odpowiedź na wszystko, co, jak wynika z moich doświadczeń, jest dowodem winy.

- Mówię wam, jak było naprawdę.

- A co z pięćdziesięcioma dolarami amerykańskimi, które wzięliście, żeby amerykański ciężarowiec Hoffman mógł zdobyć złoty medal na mistrzostwach Europy w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku? Myśleliście, że o tym nie wiemy, prawda? Zmądrzejcie, Szotman, wiemy o wszystkim, co trzeba o was wiedzieć. - Christoforowicz nawet nie dał mi szansy odparcia tego zarzutu. - Czekiści, którzy mieli na was oko w Wiedniu, napisali raport. Wtedy dopisało wam szczęście: zdjęcie ze Stalinem ściskającym wam rękę w czasie wizyty na Kremlu ukazało się w gazecie, zanim zdążyliśmy was aresztować. Ale w aktach zostało, że jesteście na usługach Amerykanów od tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku. Kiedy pierwszy raz się z wami skontaktowali? Jakich tajnych szyfrów używają, żeby porozumiewać się z wami od waszego powrotu do Moskwy? - Mniej więcej wtedy otworzył dramatycznym gestem kolejną szufladę w moim kufrze i wyciągnął egzemplarz amerykańskiego magazynu „Strength and Health”, który Bob Hoffman dał mi w Wiedniu. Głosem niskim od pogardy Christoforowicz przeczytał coś, co brzmiało po amerykańsku, a było dedykacją, jaką Bob Hoffman w nim napisał. Nie musiał tłumaczyć słów, znałem je na pamięć. „Dla Fikrita Szotmana, który wziął srebro, kiedy był o dziesięć kilogramów za mną w martwym ciągu. Wiedeń, 27 grudnia 1932”. I podpisał się: „Od przyjaciela, Boba Hoffmana, który wziął złoto”. - Każdy idiota łatwo się domyśli, że jest tu ukryta jakaś sekretna wiadomość. Oszczędźcie sobie cierpienia i powiedzcie, co tu napisano, Szotman. Nasi spece od szyfrów i tak ją odczytają.

Uzbek zgasił papierosa w skrzyni z piaskiem i wrócił w moje poblize, cały czas uderzając się po dłoni skarpetką wypełnioną piaskiem. Towarzysz śledczy obrócił mi głowę, tak żeby mówić do zdrowego ucha.

- Nie muszę wam przypominać, że Trockie był w Nowym Jorku w czasie pierwszej rewolucji, która zrzuciła cara z tronu w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku. Bez wątplenia był na liście płac amerykańskich tajnych służb, kiedy wrócił do Rosji, żeby dołączyć do bolszewików, i później usiłował przejąć władzę w partii po śmierci Lenina. To jasne, że jesteście współnikiem Trockiego: tak samo jak jemu, i wam płacą Amerykanie. Jeśli chcecie liczyć na wyrozumiałość, przyznajcie się do tego, co i tak wiemy - jesteście kluczowym członkiem grupy powiązanej z trockistowskim antybolszewickim ośrodkiem działającym w Paryżu. - I dodał z takim triumfem, że niemal słyszałem „ta-dam!” w jego głosie: - Takie jest znaczenie nalepki z wieżą Eiffla na waszym kufrze!

Od tamtego dnia minęło pewnie dużo czasu, zanim zacząłem brać pod uwagę i taką możliwość, że istnieje ziarno prawdy w wersji wydarzeń podanej przez towarzysza śledczego. Nie bardzo wiedziałem, co by to mogło być, ale nabierałem przekonania, że wiele wskazuje na to, iż musi na mnie ciążyć jakaś wina. Przecież nawet wiejski głupek wie, że nie ma dymu bez ognia.

6.

Nadieżda Jakowlewna

Poniedziałek, 7 maja 1934 roku

Mandelsztam rozciągnięty na materacu, z ramionami odrzuconymi na boki, wsłuchiwał się w uwodzicielski śpiew morskiej nimfy i ku mojej ogromnej uldze zdołał oprzeć się pokusie i nie rozbił na skałach otaczających naszą fortecę.

Od styczniowego wieczoru, kiedy odbyło się tamto spotkanie autorskie, Zinaidzie udało się w mniejszym lub większym stopniu odseparować od męża agronoma. Właściwie nie wprowadziła się do nas z całym dobytkiem - starała się zachować pozory, że ciągle mieszka z mężem, żeby nie stracić praw do lokalu i, rzecz jasna, moskiewskiego meldunku. Ale zaczęła spędzać dwie, czasami trzy noce w tygodniu z nami, w Domu Hercena, i częściej niż rzadziej w naszym łóżku, bo tylko wtedy, kiedy mój mąż był zmęczony albo zajęty m i s j ą g ó r a l a, jak ją nazwałam, spała na cienkim materacu w kuchni.

Skromna mistrzyni spojrzeń pełnych winy, o rozpalonych policzkach i prowokacyjnych orgazmach (tłumionych w połowie ze względu na cienkość ścian naszej sypialni), przystosowała się do protokołu *ménage à trois*. Poświęcała tyle samo uwagi mnie, co mojemu mężowi, częściowo dlatego, żeby zrekompensować mi to, że z kolei on poświęcał jej więcej uwagi niż mnie, a częściowo dlatego (schlebiam sobie), że okazałam się dla niej, podobnie jak ona dla mnie, atrakcyjna fizycznie i podniecająca seksualnie. Przypisuje się Mandelsztamowi powiedzenie, że kochanie trzeciej osoby nie jest pozbawione ryzyka, choć w tym konkretnym przypadku nie istniało ryzyko, że on zakocha się w Zinaidzie nedorzecznie albo dorzecznie. Mogę powiedzieć, że była z rodzaju seksualnych stworzeń, które z czasem zaczynają nużyć. Jej ciągłe popisywanie się inteligencją, drobiazgowość, jej egzaltowane zachwywanie się poetą coraz częściej trąciło banałem. Pozostawało jednak jej ciało. Cóż to było za c i a ł o! Należała do kobiet, które nie mają nic przeciwko temu, że są pożądane ze względu na ciało, i tylko ciało. I przyznam jej nawet pomysłowość w pewnych technikach uprawiania miłości, normalnie praktykowanych przez nierządnicę. Chciałam przez to powiedzieć, że żaden z ważniejszych otworów nie był pomijany. Nawet jeden. Mandelsztam, zafascynowany nowością ponętnej osóbki, którą miał do dyspozycji, do pewnego stopnia nią urzeczony - co mogłabym porównać z sytuacją znalezienia na kredensie egzotycznego owocu

- przejawiał skłonność do zapominania o mojej obecności jako uczestniczki, a nie obserwarki. Myślę, że koncentrowanie się mężczyzny wyłącznie na trzeciej osobie, z zaniedbaniem tej, z którą dzieli życie, to ukryte ryzyko miłosnych trójkątów. Muszę pamiętać, żeby któregoś dnia porównać swoje uwagi ze spostrzeżeniami Achmatowej w tej kwestii.

Gdzie było moje miejsce? Rankiem dnia, który chciałabym opisać jako przykładowy, Zinaida poruszyła się w moim objęciu, zaczęła sennie pieścić moją pierś jedną ręką, drugą sięgnęła do Mandelsztama. Kiedy przekonała się, że jego miejsce jest puste, usiadła gwałtownie.

- Udało ci się pospać trochę? - zapytałam.

- Po wszystkim, tak. Po naszej cudownej białej nocy. Dobry Boże, ten twój mąż jest nienasycony. - Rozejrzała się po małej sypialni. - Dokąd on poszedł?

- Nie śpi od wielu godzin - odpowiedziałam. - Słyszysz, jak chodzi w drugim pokoju?

- Tworzy wiersz?

- Na to by wyglądało.

- Dla mnie?

Musiałam powstrzymać uśmiech.

- Nie dla ciebie, kochana dziewczyno. Choć może pozwoli ci go powołać do życia słowem mówionym, jak powiada, kiedy go skończy.

A skoro mowa o nienasyceciu, opadła z powrotem w moje ramiona i zaczęła pieścić moją skórę opuszkami palców.

- To prawda, co powiedziałaś o kobiecym ciele, że jest znacznie atrakcyjniejsze od męskiego - oznajmiła. Jej dłoń wędrowała w dół ku moim biodrom. - To nie przypadek, że wszyscy wielcy rzeźbiarze i malarze woleli kobiece akty od męskich. Nasza skóra jest bardziej jedwabista, nasze zaokrąglenia łagodniejsze, nasze siedliska zmysłów trudniej zlokalizować, ale kiedy już się je odkryje, bez wysiłku można je pobudzać. Zgodzisz się ze mną, Nadieżdo?

Nie wykluczam, że nie byłam w stanie wyartykułować odpowiedzi.

- Najbardziej uwielbiam nasze piersi - mówiła dalej. - Czasami pieszczę własne, żeby przypomnieć sobie, jak piękne są kobiety.

- Czy swojego agronoma kochałaś tak samo, jak kochasz nas?

- Nabijasz się ze mnie, Nadieżdo, prawda? Wyszłam za pierwszego mężczyznę, z którym się przespałam, a przespałam się z pierwszym spotkanym przeze mnie mężczyzną, który miał moskiewski meldunek. Był moim biletem z Uralu do cywilizacji. Jesteś w stanie

wyobrazić mnie sobie, jak spędzam najlepsze lata życia jako członkini zespołu teatralnego w Permie?

- Twój agronom ma na pewno jakieś zalety?

- Och, tak, bezsprzecznie ma. Pojawił się wyposażony w dwudziestodwumetrowe kwaterunkowe mieszkanie niedaleko Arbatu. Ma pracę ze stałą wypłatą i pozwolenie na korzystanie z jednego pokoju komunalnej dachy nad Wołgą w czasie wakacji, i nieważne, że bachory z zasmarkanymi nosami roją się tam jak szarańcza. Ale najważniejsze ze wszystkiego jest to, że jeździ w delegacje na całe tygodnie, żeby badać, jakie ziarna są najlepsze dla danego klimatu, bo tym właśnie się zajmuje.

- Kiedy kota nie ma w domu, myszy harcują - drażniłam się z nią.

Potwierdziła moje przypuszczenie jednym z tych spojrzeń pełnych winy.

- Zawsze wraca do domu stanowczo za wcześnie. Małżeństwo z moim agronomem, który jest sto lat ode mnie starszy...

- Dwanaście - poprawiłam ją.

- Dwanaście słonecznych lat, ale sto psychicznych - upierała się przy swoim. - Małżeństwo z nim zmieniło nasze moskiewskie mieszkanie w klatkę, z ustalonymi godzinami posiłków i wypróżnień, i ustalonymi dniami w miesiącu na kopulację. Często myślałam, że lepiej będzie mi samej, ale nie chciałam zostawiać mieszkania, a razem z nim cennego meldunku w stolicy, a stracę je, jeśli się rozwiodę. Jeżeli do tego dojdzie, chyba będę w stanie zabić za meldunek. Powiedz szczerze, myślisz, że jestem zła?

- Wszyscy jesteśmy zmuszeni do kompromisów, żeby utrzymać głowę nad wodą w tym proletariackim bagnie. A nawiasem mówiąc, widziałam tego twojego agronoma, kiedy poszliśmy z mężem za kulisy, gdy grałaś jedną z kobiet w *Trzech siostrach*. Jak na mężczyznę, wcale źle nie wygląda.

- Przed wszystkim chciałabym wiedzieć, czy potrafisz mi wyjaśnić, najdroższa Nadieżdo, czemu kobiety takie jak my czują pociąg do mężczyzn? Nie mamy pojęcia o tym, co dzieje się w ich głupich głowach. Zdarza się, że patrzę na ich ciała i zbiera mi się na wymioty. Mówiąc obiektywnie, penis, dyndający bezwładnie niczym słoniowa trąba pomiędzy ich włochatymi nogami, jest najohydniejszą częścią męskiego ciała. A mimo to... a mimo to, kiedy zauważę nabrzmienie w spodniach mężczyzny, puls mi przyspiesza. Marzę o tym, żeby go dotknąć, pocałować, ogrzać wargi śmietanką, przyjąć ją - ach, Nadieżdo, p o w i t a ć s e r d e c z n i e - w ustach. - Zadrzała w moich ramionach. - Na samą myśl o tym mogłabym przeżyć orgazm.

- Masz szczęście, że to mężczyźni, a nie kobiety, tracą jeden dzień życia z każdym

orgazmem - zażartowałam.

- Mam szczęście - zgodziła się z powagą. - Kiedy weźmie się wszystko pod uwagę, mamy znacznie lepiej niż męski rodzaj, nie uważasz?

- A skoro już mówimy o przyjemnościach, chętnie napiłabym się herbaty - oznajmiłam.

- Co za wspaniały pomysł - odpowiedziała.

Narzuciłam na ramiona stary szlafrok Mandelsztama i poszłam boso do kuchni, żeby nastawić wodę na malutkiej kuchence naftowej. Mandelsztam, ubrany w jedwabny szlafrok, który kupiłam mu na pchlim targu za pieniądze zarobione tłumaczeniem, był tak pogrążony w meandrach tworzenia, że pewnie nawet nie zauważył, jak przeszłam obok niego. Kiedy wróciłam do dziennego pokoju z tacą z kubkami i czajnikiem herbaty, zastałam Zinaidę zwiniętą w kłębek na wersalce, pod kołdrą z łóżka, spod której wystawała jej urocza kostka u nogi. Patrzyła z konsternacją na Mandelsztama chodzącego energicznie po pokoju, cztery długie kroki w jedną stronę, cztery długie kroki z powrotem, furiacko palącego cały czas papierosa. Usadowiłam się obok niej, nalałam herbaty do dwóch wyszczerbionych kubków i trzymałyśmy je potem w dłoniach, żeby się ogrzać, czekając, aż wrzątek trochę ostygnie. Od czasu do czasu mól przelatywał nad głową Mandelsztama - ściany w Domu Hercena wyciszono filcem, który stał się ciepłutkim siedliskiem insektów. Skupienie Mandelsztama było tak absolutne, że potrafił odgonić mola machnięciem dłoni, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy. Uświadomiłam sobie, że nie usłyszałby nawet wycia nowych syren przeciwlotniczych, jakie zainstalowano wokół Moskwy teraz, gdy Hitler objął władzę w Niemczech. Jego usta się poruszały, formował słowa i frazy. Niemal słyszałam poezję stukającą niczym pięść o szybę.

A potem Mandelsztam zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na nas tak, jakby dopiero w tej chwili zorientował się, że jesteśmy w pokoju. Spostrzegł mola blisko nosa, otrząsnął się z transu i ruszył w pościg za owadem, jakby to właśnie on był sprawcą dziury, którą niedawno odkrył w wełnianym swetrze. Wspinając się po meblach, klaszcząc zaciekle dłońmi, wspaniały łowca moli miotał się po pokoju aż do chwili, gdy wyciągając przed siebie prawą dłoń w triumfalnym geście, pokazał nam na niej niewielką plamkę krwi.

- Myślę, że go mam! - zawołał.

- Mola? - spytała Zinaida.

- Wiersz - odpowiedział Mandelsztam. - Epigram na Stalina.

Zinaida, myśląc, że Mandelsztam posłuchał wreszcie rady wielu przyjaciół, którzy namawiali go do napisania ody do Stalina, przyjęła to z ulgą.

- Wiem, że na pewno było to dla ciebie trudne - powiedziała do niego. - Ale moim zdaniem mądrze zrobiłeś.

Ujęłam ją pod ramię.

- Nie rozumiesz, kochane dziecko. Osja na pewno stworzył bardzo niezakłamaną wiersz, taki, w którym niczego nie owija się w bawełnę. Ty i ja poznamy go jako pierwsze.

Wyglądała na zdziwioną.

- Przecież istnieje tylko jeden rodzaj wierszy, kiedy pisze się o Stalinie.

Wzrok Mandelstama spoczął na szklanej popielniczce stojącej na parapecie, przepełnionej niedopałkami, w większości, bo nie wszystkimi, jego. (Zastanawiałam się, czy kiedy wróciliśmy do mieszkania poprzedniego popołudnia, zauważył pety mocnych papierosów, jakich sam nigdy nie palił). Zamykając oczy, eksponując bladą krtań, uniósł nad głowę dłoń z plamką krwi i zaczął recytować.

*Żyjemy tu, nie czując pod stopami ziemi,
Nie słysząc i na dziesięć kroków, co szepczemy,*

*(Słyszemy jeno górala kremlowskiego,
Mordercę, oprawcę chłopskiego)¹².*

*Palce tłuste jak czerwie w grubą pięść układa,
Słowo mu z ust pudowym ciężarem upada.*

*Śmieją się karalusze wąsiska
I cholewa jak słońce rozbłyska.*

*Wokół niego hałastra cienkoszyich wodzów:
Bawi go tych usłużnych półludzików mozól.*

*Jeden łka, drugi czka, trzeci skrzeczy,
A on sam szturcha ich i złorzeczy.*

*I ukaz za ukazem kuje jak podkowę
Temu w pysk, temu w kark, temu w brzuch, temu w głowę.*

¹² Wersy w nawiasie są wersją pierwotną; później zostały zastąpione innymi, włączonymi ostatecznie

*Miodem kapie każda nowa śmierć
Na szeroką osetyńską pierś¹³.*

Mandelsztam, odmieniony, popatrzył na mnie twardo, z jednoznacznym błyskiem triumfu w oczach, i w końcu zrozumiałam, co miał na myśli, mówiąc: „Martwy, ale jeszcze niepochowany”. Patrząc wstecz na ten cezurowy moment w naszym życiu, pytam sama siebie: Jak naprawdę się czułam? Przypuszczam, że byłam podekscytowana i dumna, i zdruzgotana jednocześnie: podekscytowana jego śmiałością, dumna z tego, że współuczestniczyłam w akcie czystego sprzeciwu, zdruzgotana, bo jego instynkt samozachowawczy, t a k s a m o jak mój, nieodwołalnie zamierał. Co do Zinaidy, schowała szybko kostkę nogi pod kołdrę i przywarła do mojego ramienia.

- M o r d e r c ę , o p r a w c ę l u d u p r o s t e g o ! - jęknęła. - Ale nie możesz mi tego tak po prostu zrobić, Osipie. Co się stanie, kiedy się dowiedzą, że przysłuchiwałam się, gdy głośno go mówiłeś? O mój Boże! W ścianie może być mikrofon. Mogą nagrywać każde słowo, które teraz wychodzi z naszych ust! Nadziejdo, jeśli on nie chce zachowywać się mądrze, ty musisz działać rozsądnie za was dwoje i przemówić mu do rozumu.

Im bardziej protestowała, tym ja bardziej go popierałam. Byłam w końcu jego żoną, a ona tylko przygodną kochanką.

- Weź się w garść, Zinaido. Osip zrobił ci największy komplement, czyniąc cię jedną z pierwszych słuchaczek. Tylko kilkoro wybranych będzie wiedziało o istnieniu tego epigramu. Cokolwiek się stanie, możesz być pewna, że ani on, ani ja nigdy nie ujawnimy, że go słyszałaś.

Mandelsztam padł na kolana przed nami dwiema.

- Zinaido, nie wolno ci nawet słowem pisnąć o tym komukolwiek. Gdyby się dowiedzieli, mógłbym zapłacić za to życiem.

Pokiwała żałośnie głową.

- Nadienka nauczy się tego epigramu na pamięć, tak jak zapamiętała wszystkie moje wiersze. Ale postanowiłem, że ty też powinnaś to zrobić. Jeśli coś by się nam stało, ten wiersz musi przetrwać.

Zinaida szczerzej owinęła kołdrą nagie ciało, jakby to mogło ją w jakiś sposób odgrodzić od tej niefortunnej prośby.

do całości; nie występują w przekładzie Stanisława Barańczaka.

¹³ Przekład Stanisława Barańczaka.

- Powtarzajcie obie za mną - powiedział Mandelsztam stanowczym tonem. - „Żyjemy tu, nie czując pod stopami ziemi, / Nie słyhać i na dziesięć kroków, co szepczemy...”

- Żyjemy tu, nie czując pod stopami ziemi, nie słyhać i na dziesięć kroków, co szepczemy...

- „Słyszemy jeno górala kremlowskiego, / Mordercę, oprawcę chłopskiego...”

- Słyszemy jeno górala kremlowskiego, mordercę, oprawcę chłopskiego...

Ucząc się na pamięć wierszy Mandelsztama od lat, nabrałam wyczucia rymu i rytmu, i warstw wieloznaczności ukrytych w tekście, wiedziałam, gdzie wypada najkrótsza pauza na oddech. Nauczenie się szesnastu wersów nie zabrało mi wiele czasu. Zinaidzie szło gorzej. Wkrótce stało się jasne, że nie słyszy wewnętrznej muzyki poezji Mandelsztama. Zapamiętywała prawidłowo cztery linijki, a potem myliła interpunkcję, a nawet kolejność słów, kiedy ponownie je powtarzała. Łzy frustracji wypełniły jej oczy.

- Nie znoszę, gdy stawia się mnie w takiej sytuacji - nie umiem się uczyć tak jak ty. Muszę widzieć napisane słowa, żeby je sobie wyobrazić. Tak się uczę ról w teatrze. Nawet jako dziecko musiałam wszystko zapisywać, żeby nauczyć się czegoś na pamięć.

Wymieniliśmy z mężem spojrzenia.

- Jak myślisz? - zapytał.

Wzruszyłam ramionami.

- O ile będziemy mieli pewność, że kartka zostanie zniszczona w chwili, gdy ona nauczy się wiersza na pamięć.

Zinaida odetchnęła z ulgą.

- Przysięgam, że ją spalę - powiedziała. - Kiedy przyjdę następnym razem, wyrecytuję wiersz bezbłędnie.

Mandelsztam wziął pióro i papier. Przykucnąwszy przy walizce, służącej nam za biurko, spisał epigram. Zinaida poszła do sypialni po swoje rzeczy i kilka minut później wyłoniła się stamtąd ubrana. Mandelsztam przeczytał to, co napisał, by mieć pewność, że efekt jest dokładnie taki, o jaki mu chodziło, a potem wręczył kartkę Zinaidzie. Ona zaś złożyła ją dwukrotnie i wsunęła za stanik.

- Jestem ci wdzięczny, że chcesz to zrobić - powiedział Mandelsztam.

- Jestem ci wdzięczna, że mogę należeć do waszej fortecy - odpowiedziała Zinaida nerwowo. - Aż czuję dreszcz, gdy myślę o twoim zaufaniu.

- Może powinnaś iść, zanim ta rozmowa stanie się zbyt cikliwa - zasugerowałam, wchodząc im w słowo. Pamiętam, że dodałam: - Nie zapomnij spalić wiersza.

Przypominam sobie jej stanowczą odpowiedź: - Możecie na mnie liczyć.

Po jej wyjściu ubrałam się i zajęłam porządkowaniem sypialni. Przez otwarte drzwi widziałam Mandelsztama siedzącego na wersalce, wpatzonego w sufit, klaszczącego w ręce od czasu do czasu, żeby zabić mola, który zbliżył się do niego na śmiertelnie niebezpieczną odległość.

- Myślisz, że postąpiłem słusznie? - zawołał do mnie.

- Mówisz o epigramie czy Zinaidzie?

- I o jednym, i o drugim.

Przeszłam do pokoju dziennego i usiadłam na podłokietniku wersalki. Osip położył dłoń na kostce mojej nogi i oboje uśmiechnęliśmy się na to samo wspomnienie - pierwszy raz, gdy zbliżyliśmy się do siebie, w noc, gdy poznaliśmy się w CHŁAM-ie w Kijowie, zaczął niespieszne poznawanie mojego ciała od kostki nogi. Przez długi czas bawiliśmy się powtarzaniem dowcipu o Mandelsztamie jako pierwszym i czołowym rosyjskim kostkowym fetyszyście.

- Co do epigramu - odezwałam się. - Torturujesz się nim od miesięcy. Powinieneś wyrzucić go z organizmu. Musisz jedynie bardzo uważać, kogo dopuszczasz do tajemnicy. Jeśli chodzi o zaufanie do Zinaidy, to niegroźna istota, której będzie trudno, gdy jej ciało się zestarzeje. Tymczasem jest przejęta, że jej luby to poeta Mandelsztam.

Mandelsztam wyjaśniał.

- Istnieje poeta o takim nazwisku.

Jego uścisk na mojej kostce stał się mocniejszy. Spojrzał na mnie bacznie, oczekując potwierdzenia.

- Istnieje - zgodziłam się z przekonaniem. - I jeszcze nie jest martwy.

Było już prawie południe, kiedy chcąc opróżnić popielniczkę przeładowaną niedopałkami, wyszłam i wysypałam jej zawartość do kosza na ulicy przy drzwiach Domu Hercena. I natknęłam się tam, jakżeby inaczej, na Borysa Pasternaka wyrzucającego śmieci po ranku spędzonym w innym skrzydle budynku, u przyszłej byłej żony i syna. Mówiąc mu, że Mandelsztam potrzebuje pociechy, praktycznie zaciągnęłam go do naszego mieszkania. Mąż wpychał właśnie koszulę w spodnie, kiedy spostrzegł Pasternaka w drzwiach, stojącego za mną. Wydał z siebie okrzyk radości.

- Zostaniesz na obiedzie - zaordynowałam. - Mamy chleb, trochę masła i dwa jajka; wykombinuję trzecie, od któregoś z sąsiadów z piętra.

Dodatkowe jajko zdobyłam w drugich drzwiach, do których zapukałam. Kiedy wróciłam do mieszkania, zastałam Mandelsztama stojącego pośrodku dziennego pokoju i recytującego ostatni wers epigramu na Stalina Pasternakowi siedzącemu na podłodze,

opartemu plecami o ścianę, z twarzą ukrytą w olbrzymich dłoniach. Kiedy Mandelsztam skończył, Borys siedział, nawet nie drgnąwszy.

- I co? - zapytał Mandelsztam zniecierpliwiony.

- I co? - powtórzyłam od drzwi.

Borys uniósł wzrok najpierw na mnie, potem na mojego męża.

- Kto o tym wie? - spytał natarczywym tonem.

- Nas troje - odpowiedział Mandelsztam. - I jedna przyjaciółka.

- Możecie jej ufać?

- Tak - odpowiedziałam od drzwi.

Wstając w jednym podskoku, Borys podszedł do okna i zamknął wewnętrzne okiennice. Potem obrócił się twarzą do nas.

- Popełniacie samobójstwo - powiedział. Jego oczy tak bardzo się zapadły, że ledwie dawało się dostrzec źrenice. - Kiedyś powiedziałaś, że uwolnisz krzyk gniewu, ale nawet by mi do głowy nie przyszło, że dopuścisz się takiego szaleństwa.

- Rosja potrzebuje - zauważył Mandelsztam - więcej szaleństwa i mniej rozsądku.

Borys był tak bardzo przejęty, że wątpię, by go usłyszał.

- Jak mogłeś napisać taki wiersz, ty, Żyd! - wypalił.

- Zapominasz, że przeszedłem na chrześcijaństwo, żeby dostać się na uniwersytet - odpowiedział Mandelsztam ze złością.

- Stalin i ludzie skupieni wokół niego mają sporo wspólnego z duchownymi z trybunałów hiszpańskiej inkwizycji - powiedział Pasternak. - Dla *calificadores* Żyd konwertyta pozostawał Żydem w sercu i duszy.

Trudno było wtrącić słówko, ale udało mi się: - Wyrecytuję ci ten wiersz jeszcze raz, Borysie, a ty mi powiesz, o czym Żyd nie powinien w nim wspominać.

- Nie, nie, nie muszę słuchać go powtórnie, żeby wiedzieć, że Osip nie przemyślał go do końca. Jest albo głupi, albo naiwny. Cały mi się nie podoba.

Mandelsztam opadł na wersalkę.

- Poezja karmi się naiwnością, nie głupotą - odezwał się, najwyraźniej zdruzgotany reakcją Pasternaka. - Sam stoisz na stanowisku, że sztuka to podejmowanie ryzyka.

- Ja tak powiedziałem? Gdzie?

Mandelsztam zdobył się na gorzki uśmiech, kiedy rzucił Pasternakowi w twarz jego własne słowa.

- „Nie można mówić o sztuce, jakby była rynną albo pracą konstrukcyjną, bo wtedy pytanie o nią sprowadza się do techniki. Mówienie o technice pisania wierszy jest mówieniem

o technice ponoszenia klęski. Należy pamiętać, że trzeba podejmować ryzyko, nic na ziemi nie istnieje bez podejmowania ryzyka".

Borys wymamrotał coś o tym, że mówił to w innym kontekście. Obrócił się do mnie z furją.

- Jak możesz pozwalać mu to robić?

Zanim zdążyłam otworzyć usta, Mandelsztam powiedział bardzo cicho: - W naszym związku nigdy nie muszę prosić jej o jakiegokolwiek pozwolenie, tak samo jak ona mnie.

Borys zaczynał mnie irytować.

- Jesteś zły - wybuchnęłam - bo brak ci ikry, żeby zrobić to, co robi Osip. Nie jesteś takim poetą jak on.

Mandelsztam usiłował mnie uspokoić: - Nadieńko, posunęłaś się za daleko...

Pamiętam, że powiedziałam: - Nie posunęłam się za daleko. On powinien zrozumieć, że Mandelsztam musi być szczery wobec Mandelsztama, a nie Pasternaka.

Borys wyglądał na zdumionego.

- Kochany Osipie, nie poznaję cię. Stałeś się kimś innym.

- Kiedy on staje się kimś innym - poinformowałam Borysa, czerpiąc, do czego się przyznaję, pewną satysfakcję z jego ewidentnego zdziwienia - sama nigdy nie zostaję daleko w tyle.

Borys uniósł rękę do czoła i masował je, bo zaczęła go dręczyć migrena.

- Jeśli poważnie myślisz o obaleniu Stalina - zwrócił się do Osipa - dołącz do politycznej walki zakrojonej na długie lata.

- Moja osobowość nie pozwala mi na polityczną walkę - odparował mój mąż. - Jestem zbyt niecierpliwy na tworzenie strategii. Jedyne taktyka odpowiada mojemu temperamentowi. Ciągnie mnie do gestu. I wierzę, że siła poezji może przenosić góry razem z kremlowskim górale.

- Przerób chociaż ten wiersz - powiedział Borys głosem nabrzmiałym od emocji. - Żeby był zawołowany, dwuznaczny, napisany, założmy, o jakiejś postaci historycznej.

- Skończyłem z owijaniem w bawełnę, Borysie. Wiersz musi być napisany tak, by obnażać zło Stalina, tak, żeby bezmózgi idiota go rozumiał. - Uznając, że to położy kres dyskusji, Mandelsztam wyskandował jedną ze swoich ulubionych mantr: - Jeśli nie teraz, to kiedy? Jeśli nie ja, to kto?

Kiwając głową, zrozpaczony Borys odwrócił się, gotów do wyjścia. Zawahał się w drzwiach.

- Jedno, co możesz zrobić - jeśli nie dla własnego dobra, to przez wzgląd na

przyjaciół, którzy słyszeli ten epigram - to przerobić drugi dwuwiersz. Stwierdzenie o mordercy i chłopskim oprawcy jest niebezpiecznie jednoznaczne. Proszę cię, Osipie, żebyś to zmienił.

Mąż popatrzył na mnie, myśląc, że zaatakuję Pasternaka. Wzięłam głęboki oddech i przygryzłam język. O tym, czy człowiek prawdomówny będzie nadal mówił prawdę, kiedy ją już z siebie wyrzucił, mógł zdecydować jedynie Osja.

Widziałam, że Mandelsztam, zastanawiając się nad słowami Borysa, gryzie wewnętrzną stronę policzka. Odrzuciwszy do tyłu głowę z irytacją, powiedział: - Oryginalna wersja ma jeszcze dwa wersy, które odrzuciłem, bo wydały mi się niewystarczająco jednoznaczne. Jeśli to cię trochę uspokoi, zrezygnuję z „mordercy i oprawcy chłopskiego” i przywrócę wersję pierwotną. - Zamknął oczy i wyrecytował linijki, które miały zastąpić tamte:

*A w półsłówkach, półrozmówkach naszych
Cień górala kremlowskiego straszy¹⁴.*

Borys powiedział: - Jeśli naprawdę zależy ci, żebym się tak nie denerwował, wyrzuć z pamięci cały epigram.

Na samą myśl o tym, co mój mąż wtedy zrobił, serce zaczyna mi bić szybciej. Trzęsły mu się ręce, ale uniósł wysoko brodę i powtórzył słowa, które rzucił w twarz Ugorowi-Żytkinowi i jego przyjaciółkom w stołówce w zajezdni tramwajowej.

- Jestem tym poetą, który nazywa się Mandelsztam.

Nie mogłam się oprzeć, żeby nie dorzucić własnych trzech groszy: - Co do mnie, to jestem żoną poety Mandelsztama i jestem z tego dumna.

Borys wzruszył ramionami ze złością i obrócił się do drzwi.

- A co z jajkami? - zapytałam.

- Jak możesz myśleć o jedzeniu w takiej godzinie! - warknął z rozdrażnieniem. - Czy z wersem o oprawcy chłopskim, czy bez niego, ta sprawa fatalnie się skończy. Przez ostatnie lata źle się z tobą obchodzili, Osipie. Jeśli uprzesz się przy tym epigramie, będziesz wiedział przynajmniej, d l a c z e g o tak źle cię traktują. Podziwiam cię jako poetę. Kocham cię jak brata. I życzę wam długiego życia, Osipie Emiljewiczu.

Pamiętam, że uderzył mnie widok zdruzgotanego Mandelsztama - liczył wszak na bezwarunkowe poparcie Pasternaka. W wyobraźni nadal słyszę jego głos, wołający za

odchodzącym poetą: - Wam również życzę długiego życia, Borysie Leonidowiczu.

¹⁴ Przekład Stanisława Barańczaka.

Zinaida Zajcewa-Antonowa

Poniedziałek, 7 maja 1934 roku

Jak ten sukinsyn mógł mi to zrobić! Z tej sytuacji - moim zdaniem - jest tylko jedno wyjście. Jeśli życie ci się znudziło i chcesz się zabić, przestań o tym paplać i zrób to, powiadam, ale nie ciągnij za sobą innych. Nie masz do tego prawa. Ten wiersz Mandelsztama o Stalinie to najprawdziwszy obłąd. Odbiło mu, stracił rozum, zupełnie oszalał. Ale to j e g o szaleństwo, nie moje. Na rany boskie, nie jestem nawet pewna, czy to dobry wiersz. Ale to nie powstrzyma Mandelsztama przed recytowaniem go wszystkim kiedyś-pisarzom, przesiadującym w Domu Hercena. Mój Boże, co do licha on sobie myśli, kiedy deklamuje taki wiersz niewinnym ludziom? Nie ma moralnego prawa do robienia z innych współsprawców czegoś, co jest, mimo wszystko, j e g o przestępstwem. Żyjemy w epoce, kiedy ktoś, kto wie o zdradzie i nie doniesie na wicherzyciela, sam s t a j e s i ę sabotażystą, podlega takiej samej karze jak sprawca. Nie trzeba geniusza, żeby przewidzieć, co się stanie: z pięciu, dziesięciu albo dwudziestu ludzi, którzy usłyszą ten wiersz, jedna lub kilka osób - albo w s z y s c y poza biedną Nadzieżdą, oślepioną miłością - pomyśli to samo co ja. Mandelsztam ma piekielny tupet, stawiając nas w sytuacji, kiedy można nam zarzucić zdradę z powodu s ł u c h a n i a jego zasranego wiersza. Co oznacza, że albo jedna z osób, które wysłuchały tego epigramu, albo wszyscy współuczestnicy przestępstwa będą się bronić w jedyny możliwy sposób: popędzą do najbliższego komisariatu milicji i doniosą na autora, zanim zrobi to ktoś inny, bo wtedy Czeka przyjdzie węszyć i każe się tłumaczyć, jak to się stało, obywatelko, że usłyszałyście ten zdradziecki wiersz i nie doniosłyście na wroga ludu, który go napisał. I co wtedy miałabym zrobić? Zatrzepotać rzęsami i zapytać: „O jakim wierszu mówicie, towarzyszu milicjancie?” Do tego czasu będą znali treść tego utworu do ostatniej kropki, a także nazwiska, adresy oraz numery dowodów osobistych wszystkich, którzy go słyszeli. A ci, którzy nie zawiadomili organów, obudzą się z ręką w nocniku, jak mówi przysłowie, i skończą na Syberii albo, niech Bóg broni, jeszcze gorzej. I za co? No bo w końcu co ten wierszyk Mandelsztama może zmienić.

Poza życiem tych, którzy mieli pecha i go usłyszeli.

Kochany Osip naprawdę nie zostawił mi wielkiego wyboru, dlatego wcale nie czuję

się jak zdrajczynie, która nadużywa jego zaufania, czy ktoś w tym rodzaju. Zresztą nawet dla idioty było oczywiste, że ten biedak usiłuje popełnić samobójstwo. Powiadamiając organa, zrobię więc jedynie to, czego w głębi serca on ode mnie oczekiwał.

Czy będzie mnie gnębiło przedłużenie własnego życia kosztem skrócenia życia Mandelsztama?

Swołocz, bydlak! Rozmawialiście z Nadieżdą! Jeśli ktoś jest winny skrócenia życia Mandelsztamowi, to ta jego suka! *Są folie à deux*. I są siebie warci. Na Boga jedyne, jakich jeszcze kłamstw wam o mnie naopowiadała?!

8.

Anna Andriejewna

Niedziela, 13 maja 1934 roku

Podnosząc do ucha słuchawkę telefonu, wiedziałam już, że stało się coś strasznego. Borysik, głosem przerywanym statycznymi wyładowaniami spowodowanymi burzą magnetyczną, zakłócającą połączenie Petersburga z resztą Rosji, oznajmił: - Musisz bezwzględnie rzucić wszystko, co robisz, i przyjechać do Moskwy. - Powiedział to celowo w taki sposób, że nie zostawił mi miejsca na dyskusję. Mojemu kochanemu przyjacielowi udało się nadać głosowi brzmienie jednocześnie niespokojne i kamienne. I właśnie ta kamienna niewzruszoność sprawiła, że po plecach przeszedł mi dreszcz. Usiłowałam mu powiedzieć, że to nie najlepszy dla mnie moment na opuszczanie Petersburga. Mój dwudziestodwuletni syn, Lew, z którym kontakty nie układały mi się najlepiej, był akurat w mieście i rozmawialiśmy o tym, co między nami poszło nie tak, a on nie czynił mi wyrzutów z powodu opisanie macierzyństwa jako „słodkiej tortury”; mój trzeci mąż, historyk sztuki Nikołaj Punin, załatwił skierowanie na dwutygodniowe wakacje w jednym z uniwersyteckich ośrodków nad jeziorem Ładoga i marzył o wyrwaniu się z miasta; a z kolei znajomy wydawca zgodził się opublikować mój krytyczny esej o Puszkynie, pod warunkiem jednak, że skrócę tekst o połowę, a nie było to łatwe zadanie, jako że pierwotną wersję zdążyłam już okroić o jedną drugą. Borysik zbywał moje tłumaczenia, ja zaś zaczęłam się irtować, ale wtedy usłyszałam: - Nie rozumiesz, Anno. Nasz wspólny przyjaciel, którego nazwiska nie wymienię na wypadek, gdyby organa podsłuchiwały tę rozmowę, postanowił się zabić.

- Zabić się? - Usłyszałam własny głos powtarzający tępo groźne słowa.

- Pamiętasz rozmowę, jaką mieliśmy, nasza trójka, nieopodal soboru Chrystusa Zbawiciela, bombardowanego przez betonowe „lzy”? Cóż, wcielił w życie swoje plany. Usiłowałam go przekonać, że to szaleństwo, ale popierany przez upartą jak oślica żonę oznajmił, że Rosji potrzeba mniej rozsądku, a więcej szaleństwa. Jestem przekonany, że tylko ty możesz wyrzucić na niego jakiś wpływ w tej sprawie. Musisz natychmiast przyjechać do Moskwy i powstrzymać go, zanim... - zakłócenia na linii zagłuszyły Borysika na chwilę, a potem usłyszałam słowa: - ...rozlane mleko.

Właśnie dlatego rozczarowałam syna, męża i wydawcę. Mąż próbował namówić mnie,

abym zadzwoniła do Mandelsztamów i poprosiła, żeby Osip wyszedł po mnie na dworzec, ale bałam się, że będzie mi odradzał przyjazd, więc pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli tego nie zrobię. Ponieważ było za późno, żeby złapać nocny pociąg, a stanowczo za wcześnie na poranny, następne bezsenne godziny spędziłam na rzucaniu się po łóżku (po okropnej kłótni z Nikołajem, dowodzącym, że Osip jest dorosłym człowiekiem, który dobrze wie, co robi, i jeśli naprawdę postanowił odebrać sobie życie, moim moralnym obowiązkiem jest uszanować jego decyzję).

Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach dopada mnie gorączka podróżna - rajzefiber. W przeciwieństwie do Borysika, który uwielbia wskakiwać do ostatniego wagonu, kiedy pociąg odjeżdża ze stacji, wolę być na dworcu z zapasem czasu. Wiedząc o tym, mąż namówił sąsiada, mieszkającego przy naszym bulwarze i jeżdżącego samochodem służb miejskich, żeby zawiózł nas na Moskowskij wokzał na długo przed świtem. W poczekalni, pełnej podróżnych śpiących na ławkach, Nikołaj zauważył automat telefoniczny i znowu radził mi, żebym zadzwoniła do Mandelsztamów. Czy dlatego nie sprzeciwiłam mu się, że byłam wykończona i nie myślałam jasno - nie wiem. Ale połączyłam się z międzymiastową i podałam telefonistce numer telefonu znajdującego się na korytarzu pierwszego piętra w Domu Hercena. Po długim czekaniu usłyszałam, jak telefon na drugim końcu linii zaczął dzwonić. Ponieważ nikt nie odbierał, telefonistka zamierzała mnie rozłączyć, ale wyjaśniłam jej, że to aparat wspólny dla lokatorów całego piętra, i błagałam, żeby tego nie robiła. Kiedy w końcu ktoś podniósł słuchawkę, powiedziałam, że chcę rozmawiać z Mandelsztamem. „Czy zdajecie sobie sprawę, która jest godzina?” - spytał jakiś mężczyzna z rozdrażnieniem. Zanim zdążyłam odpowiedzieć choćby słowem, poinformował mnie, że w Domu Hercena nie mieszka żaden Mandelsztam. Zaczęłam go przekonywać, że bardzo się myli, że Mandelsztam mieszka w Domu Hercena, ale w słuchawce nastała cisza.

- O co mu chodziło, kiedy powiedział, że żaden Mandelsztam nie m i e s z k a w Domu Hercena? - zapytałam męża, a gruzel paniki rozrastał mi się w gardle.

- Usiłując czytać między wierszami, popełniasz poważny błąd - odpowiedział Nikołaj, ale po jego oczach widziałam, że on również obracał w myślach te słowa, jakby były kamieniami i szukał pod nimi robaków nieszczęścia.

Wzięłam ze sobą do pociągu artykuł o Puszkynie w nadziei, że przepracowując go, zajmę myśli, ale skończyło się na tym, że ucięłam sobie drzemkę na twardym siedzeniu wagonu drugiej klasy; z szalika zrobiłam prowizoryczną poduszkę, by ucho, oparte o szybę, nie posiniaczyło się od szarpnięć pociągu. I śniły mi się sny tak przerażające, że musiałam zmuszać się do czuwania, by uciec przed niepokojem, jakim napelniały mi duszę.

Żaden Mandelsztam nie mieszka w Domu Hercena! Czyżby ludzie, zostawiający niedopałki w popielnicze Nadzieży, przejęli kontrolę nad telefonem? Czy w ten sposób, na modłę czekistów, oznajmiali o śmierci poety Mandelsztama?

Słońce chowało się za dachy drewnianych chat, gdy pociąg mijał moskiewskie przedmieścia, pierwsze fabryki i bloki kwaterunkowe, z emblematem sierpa i młota nad łukowatymi bramami, i pełzył przez okolice o niewybrukowanych ulicach z nowo postawionymi budynkami, które przysły na ten świat z defektem okołoporodowym: brzydota. Było już ciemno, kiedy wjechaliśmy na wspaniałą Leningradskij wokzał przy Komsomolskoj płaszczadi. Opuściłam okno w przedziale i wychyliłam się, żeby sprawdzić, czy zobaczę znajomą twarz - Borysik powinien skalkulować, którym pociągiem przyjadę, i szepnąć o tym słówko Osipowi, przynajmniej tak pomyślałam, taką miałam nadzieję. Ale zbyt wielu pasażerów kręciło się po peronie, i to kiepsko oświetlonym. Chwyciwszy torbę podróżną, precisiłam się przez tłum na początek peronu. Jestem wystarczająco wysoka, by widzieć ponad głowami ludzi, mimo to i tak weszłam na betonowe obmurowanie, żeby mieć lepszy widok. Kazałam sercu nie zamierać, jeśli Osip się nie zjawi. Mógł przecież mieć spotkanie z redaktorem, chcącym opublikować jeden z jego wierszy, w których wyrażał się ogródkami. Mógł biegać po okolicznych stołówkach w poszukiwaniu tanich papierosów.

Kiedy nie udało mi się go wypatrzeć, moje nieposłuszne serce i tak zamarło. Może Borysik nie zdołał zamienić z nim słowa z tych samych powodów, przez które i ja nie mogłam się z nim skontaktować - bo żaden Mandelsztam nie mieszka w Domu Hercena!

Nigdy się nie dowiem, jak z duszą przerażoną przeczuciem tragedii, wzrokiem rozmazanym od niewylanych łez znalazłam odpowiednią linię tramwajową. Nie wykluczam, że zwykły instynkt zaprowadził mnie do tramwaju, pomógł mi kupić bilet u konduktorki na końcu wagonu i podpowiedział, gdzie wysiąść i dokąd iść. Mniej więcej czterdzieści minut później, z sercem walącym jak młot w klatce z żeber, znalazłam się przed drzwiami mieszkania Mandelsztama w Domu Hercena. Pamiętam, że uniosłam zakrzywiony palec, żeby zapukać, ale zaraz potem zapało mi dech w piersiach i cofnęłam się ze strachu, że nikt mi nie otworzy.

A co, jeśli żaden Mandelsztam nie mieszka w Domu Hercena?

I wtedy wstrzymałam oddech, zapukałam i w napięciu czekałam na odgłos kroków. Wydało mi się, że słyszałam kobiecy głos, wołający „Już idę” gdzieś ze środka. Sekundę później Nadieżda znalazła się po drugiej stronie zamkniętych drzwi i zapytała: - Kto tam?

W jakiś sposób udało mi się zmusić struny głosowe do działania: - To ja - wydukałam.

- To ja, Anna.

Drzwi otworzyły się natychmiast, a uśmiech zaskoczenia zmaterializował się na anielskiej twarzy Nadieżdy. Kiedy dotarło do mnie, że nie uśmiechałaby się, gdyby żaden Mandelsztam nie mieszkał w Domu Hercena, runęłam w jej ramiona.

- Osipie, zobacz, kto się zjawił w naszych progach! - zawołała Nadieżda, prowadząc mnie do kuchni. A tam siedział mój drogi Osip, z połami koszuli na wierzchu i w szelkach, popijający herbatę przy stole.

Na jego widok opadłam na krzesło i rozplakałam się z ulgi.

Kiedy uspokoiłam się na tyle, że mogłam włączyć się do rozmowy, opowiedziałam o wezwaniu mnie do Moskwy przez Borysika. Osip złażał mnie za to, że go nie uprzedziłam i przez to nie wyszedł po mnie na dworzec, ale wtedy weszłam mu w słowo, opisałam głos, który słyszałam we wspólnym telefonie, utrzymujący, że żaden Mandelsztam nie mieszka w Domu Hercena. Osip i Nadieżda wymienili spojrzenia. Osip uśmiechnął się ponuro. Nadieżda objęła go i pocałowała w ramię.

- Pewnie powinnam ci była powiedzieć - odezwała się. - Będzie już kilka miesięcy, od kiedy obcy ludzie zaczęli odwiedzać nasze mieszkanie, gdy nas nie ma. Od czasu do czasu znajduję pety w popielnicze.

Pamiętam, że wykrzyknęłam: - Ależ on o tym wie, Nadieżdo! Trzymał to w tajemnicy, żeby nie martwić c i e b i e.

Nadieżda wbiła wzrok w Osipa. - Wiedziałeś o niedopalkach?

Był pełen niedowierzania. - Tylko mi nie mów, że też o nich wiedziałeś!

I tych dwoje ludzi, niczym psotne dzieciaki, które odkryły, że mają wspólną tajemnicę, zaczęło się śmiać aż do łez.

- Tu nie ma się z czego śmiać - powiedziałam.

Oboje ucichli.

- Oczywiście, masz rację, Anno - odpowiedziała Nadieżda. - Jeśli się śmiejemy, to ze zdenerwowania.

- Nerwowy śmiech - zażartował Osip - jak powszechnie wiadomo, znakomicie działa na kiszki.

- Porozmawiajmy o wierszu - zaproponowałam.

- Wysłuchasz go? - zapytał Osip.

Nadieżda dotknęła mojego ramienia.

- Wysłuchaj - powiedziała. - Jest wspaniały.

Zgodziłam się skinieniem głowy. Osip wstał, zatknął połę koszuli za spodnie i zapiął

guzik pod szyją. Wziął głęboki wdech, odrzucił do tyłu głowę i zaczął recytować.

*Żyjemy tu, nie czując pod stopami ziemi,
Nie słyhać i na dziesięć kroków, co szepczemy,*

*A w półsłówkach, półrozmówkach naszych
Cień górala kremlowskiego straszy.*

Nie mogę powiedzieć, żebym przyjęła ten epigram tak, jak zwykle chłonęłam wiersze Mandelstama, przy pierwszym słuchaniu hipnotyzujące mnie nastrojem i melodią. Tym razem wiersz zapadł w moją świadomość odłamkami słów - fragmentami niemającymi żadnego związku ze sobą i z całością. Przyznałam się do tego, kiedy Osip zaczął domagać się komentarza.

- Angielski poeta Eliot w *Jałowej ziemi* twierdzi, że podparł fragmentami swoją ruinę - powiedziałam. - Ale twoje fragmenty sprowadzą ruinę na ciebie.

- Jak możesz zredukować mój epigram do fragmentów? - odparował, najwyraźniej niezadowolony z mojej reakcji.

Nadzieźda, jak zawsze, stanęła w jego obronie.

- No właśnie, o jakich fragmentach mówisz?

Prawdę mówiąc, serce mi pękało, bo nie byłam w stanie zareagować pozytywniej. Ale przeszliśmy z Osipem długą drogę - razem z moim nieżyjącym już mężem Gumilowem staliśmy się towarzyszami w poezji na wiele lat przedtem, zanim Nadzieźda pojawiła się w jego życiu. I ważną cechą naszego poetyckiego braterstwa była absolutna, nawet brutalna szczerłość. Więc powiedziałam mu, które fragmenty wryły mi się w pamięć.

- Góral kremlowski... palce tłuste jak czerwce... karalusze wąsiska... usłużni półludzikowie... ach, i ten kawałek o każdej nowej śmierci kapiącej miodem na osetyńską pierś. Dobry Boże, Osipie, przecież słyszeliśmy o ludziach, którzy przepadli w więzieniach za samo wspomnienie o tym, że Stalin ma w żyłach kroplę bandyckiej osetyńskiej krwi, bo to przeczy jego czysto gruzińskiemu pochodzeniu.

Rozpinając guzik pod szyją koszuli, Osip usiadł przodem do mnie.

- Twoim zdaniem to nie jest dobry wiersz - powiedział bezbarwnym głosem.

Sięgnęłam do jego ręki.

- Pomijając jego zuchwałość, nie uważam go za dobry wiersz, nie. W moich uszach nawet nie zabrzmiał jak wiersz. Nie wsłuchiwałeś się w muzykę słów, kiedy je łączyłeś.

Myślałeś o czym innym. To polemika, która z założenia ma uchodzić za polityczną argumentację. Czegoś takiego nie włączyłbyś do zbioru poezji, jeśliby miał być kiedyś opublikowany.

Osip pokręcił głową.

- Dekabryści mieli polityczne wiersze Puszkina w kieszeniach, gdy powstałi przeciwko carowi w Petersburgu.

Pamiętam, że Nadieżda wtrąciła się, wzburzona: - To, czy ten wiersz jest dobry, czy niedobry, nie ma nic do rzeczy.

Osip powiedział: - To wiersz mówiący prawdę, jeden z tych, w których nie owija się w bawełnę. To wiersz oczyszczający, pozwala odciąć się od tego, co było, tak by Rosja mogła zacząć znowu od początku.

Czułam się w obowiązku wskazać mu na sprawę oczywistą.

- Zabiją cię przez niego, jeśli stanie się znany.

- To właśnie mówił Borys - zauważyła Nadieżda.

- Borysik cię kocha tak samo jak ja, Osipie. Ryzykowanie życia dla prawdziwego wiersza to jedno, a co innego narażanie życia - i twojej przyszłej twórczości - na niebezpieczeństwo z powodu polemiki.

- My tego tak nie widzimy - powiedziała Nadieżda.

Uśmiechnęłam się, słysząc to m y. Nadieżda zawsze była trochę zazdrosna o moje relacje z Osipem. Kiedy teraz przypominam sobie tamtą rozmowę, myślę, że użyła tego zaimka do podkreślenia swojego niewątpliwego statusu żony, bo ja byłam tylko długoletnią przyjaciółką. Noc się kończyła, a my siedzieliśmy przy niewielkim kwadratowym stole bez szans na porozumienie. Nic, co mówiłam, nie robiło na nich najmniejszego wrażenia. Borysik bardzo się zmartwił, kiedy się dowiedział, że nie zdołałam przekonać Osipa, by wrócił na grunt rozsądku.

Musiała już dochodzić jedenasta, kiedy usłyszeliśmy, że ktoś skrobie w drzwi mieszkania.

- To pewnie Siergiej Piotrowicz - powiedziała Nadieżda, zrywając się na równe nogi, zadowolona z pretekstu do zakończenia bezcelowej dyskusji. - Przychodzi mniej więcej o tej porze, żeby skorzystać z łazienki i pożyczyc.

- Co pożyczyc?

Nadieżda odpowiedziała: - Cokolwiek akurat mamy do jedzenia. Wszystko, co zarobi, wydaje na alkohol, ale przed pójściem do łóżka robi się głodny. Nie jest wybredny, bierze cokolwiek - jajko, trochę kaszy, kromkę chleba z konfiturą albo bez. Nawet korniszona.

Osip dodał ze śmiechem: - Nawet korniszona.

Kiedy Nadieżda poszła go wpuścić, Osip opowiedział mi o ich przyjacielu i sąsiedzie Siergieju Piotrowiczu, który mieszkał na drugim piętrze w pozbawionej łazienki połowie mieszkania byłej żony. Ponieważ tych dwoje ze sobą nie rozmawiało, musiał w ciągu dnia pukać do różnych drzwi i prosić o użyczenie toalety.

- Jest całkiem przyzwoitym poetą lirycznym, pół-Gruzinem po matce. Jakiś czas temu został zwolniony z posady redaktora literackiego regionalnej gazety za wydrukowanie wiersza Mandelsztama, stąd mam wobec niego dług wdzięczności. Od chwili gdy go wyrzucono, nie może znaleźć pracy. Wiąże jakoś koniec z końcem tłumaczeniem nieskończenie długiego epickiego poematu. Ponieważ poemat jest gruziński, wszyscy myślą, że to przedsięwzięcie jest bliskie sercu Stalina, i tak Siergiej dostaje co miesiąc stypendium niezależnie od tego, jak wiele czy jak mało stron przełoży.

Nadieżda wróciła do kuchni, liryczny poeta - z oparami alkoholu w oddechu - podązał roztrzęsiony za nią. Chwytał moją dłoń, pocałował niczym światowiec, ledwie muskając skórę spękanymi ustami.

- *Oczeń rad* - powiedział. - Poznanie sławnej Achmatowej we własnej osobie jest swego rodzaju spełnieniem, bardziej gratyfikującym od seksu, którego zresztą nie doświadczyłem od lat. - Przysunął drewnianą skrzynkę po jabłkach, ustawił ją na boku i usiadł z nami przy stole.

Siergiej Piotrowicz był równie wysoki jak ja, ale chudy jak szczapa, przez co wydawał się wyższy. Jego długa biała broda nosiła ślady jedzenia, które udało mu się wyłudzić. Na poplamionej białej koszuli miał kamizelkę, na nogach powypychane spodnie i filcowe kapcie z odciętymi piętami, bo były za małe na jego wielkie stopy. Pozbawione rączek okulary przytrzymało mu na głowie sznurowadło. Nadieżda przesunęła ku niemu po stole tutkę z wyrwanej z gazety strony wypełnioną kaszą. Siergiej Piotrowicz zdołał uklonić się całym torsem, mimo że siedział.

- Dziękuję, kochani - powiedział. - Ale dziś wieczorem będę potrzebował raczej pokarmu dla myśli. - Pochylił się do przodu i popatrzył dziwnie na Osipa. - Wiecie, że wszyscy w Domu Hercena o tym mówią.

Wyczuwałam kapusia.

- O czym mówią? - zapytałam.

Kiwając się na prowizorycznym stołku, Siergiej Piotrowicz wpatrywał się w Osipa.

- O wierszu o Stalinie, to jasne.

- Kto to: wszyscy? - chciałam wiedzieć. Obróciłam się do Osipa poirytowana. -

Puściłeś w obieg napisany epigram?

Nadieżda odpowiedziała za niego: - Nigdy nie został spisany. Nie jesteście głupcami.

- Ilu osobom powiedziałaś ten wiersz, Osipie? - spytałam.

Nadieżda znowu się odezwała: - W Domu Hercena dwóm lub trzem, nie licząc mnie.

Osip buntowniczo wysunął jedno ramię do przodu.

- Droga Anno, to skutek wywołania kół na wodzie.

- Ilu? - upierałam się.

- Pięciu lub sześciu. Na pewno nie więcej niż sześciu.

Siergiej Piotrowicz powiedział: - Siedmiu. A jeśli poeta uczyni mi ten zaszczyt, będę ósmy.

I tak mój biedny, niewinny i naiwny Osip wstał z krzesła i wyrecytował epigram temu zafajdanemu moczymordzie. Cały. Słowo po słowie. Niczego nie pominął, ani górala kremłowskiego, ani palców tłustych jak czerwie, ani karaluszyczych wąsisk, ani usłużnych półludzików, ani sukinsyna z Osetii, dla którego miodem kapie każda nowa śmierć. Mój Boże, w świetle tego, co wydarzyło się później, samo wspomnienie tamtej chwili sprawia, że zbiera mi się na wymioty.

Siergiej Piotrowicz milczał, gdy Osip skończył. A potem głośno wciągnął powietrze przez rozszerzone nozdrza i oznajmił *ex cathedra*: - To naprawdę wspaniały wiersz, kochani. Nie ma co do tego wątpliwości. Pękam z dumy, że słyszałem go jako jeden z pierwszych, Osipie Emiljewiczu. Jeszcze na łożu śmierci będę się tym chwalił.

Nadieżda spojrzała na mnie triumfalnie. Osip tak się wzruszył, że zapomniał języka w gębie. Klepiąc gościa po ramieniu, kiwał głową, słuchając podziękowań.

Siergiej Piotrowicz chciał wiedzieć, kiedy wiersz powstał, czy był przerabiany, kto poza ósemką z Domu Hercena go słyszał, jak zareagowali poszczególni słuchacze. Chwali się Osipowi, że odpowiadał wymijająco. W końcu zaczął dyskutować z gościem o poetach, którzy buntowali się przeciwko carom przed rewolucją bolszewicką. Sięgnął do czajniczka, w którym Nadieżda chowała przepisane przez siebie wiersze, przerzucił je, aż znalazł ten z wersami Błoka, napisany z tyłu kartki z brudnopisem jakiegoś wiersza Mandelstama, i przeczytał je głośno: - „Nie będzie zmian. Nie przyjdzie cud”¹⁵. Podniesiony komplementami Siergieja Piotrowicza, Osip aż tak się zagalopował, że porównał samego siebie do Lermontowa, który otwarcie oskarżył cara o współudział w śmierci Puszkina i pomstował, mówiąc: „wy, stojący przed tronem zgrają niewolniczą”¹⁶.

¹⁵ Przekład Seweryna Pollaka.

¹⁶ Przekład Wiesława Karczewskiego.

Siergiej Piotrowicz kiwał głową w potulnym potakiwaniu.

- Ta „zgraja niewolnicza” Lermontowa jest duchowym ojcem twojej „hałastry cienkoszyich wodzów”, twoich „usłużnych półludzików”.

- Nigdy o tym nie pomyślałem w ten sposób - powiedział Osip. - Ale przyznaję, że może być coś w tym, co mówisz.

Kiedy wreszcie mogłam dojść do słowa, zapytałam Osipa, czy przypadkiem pamięta ostatnie słowa Puszkina.

- Jestem pewny, że mi je przypomnisz. - Był podenerwowany.

I przypomniałam: - Umierając od rany zadanej kulą, którą trafił go w pojedynku zdradziecki Francuz d'Anthes, powiedział: „Odejdź w zapomnienie. Przeprowadź się na wieś”¹⁷. Co właśnie ty i Nadieżda powinniście zrobić, zamiast zwracać na siebie uwagę politycznym wierszem.

Zaczynałam się zastanawiać, jak długo jeszcze ta rozmowa będzie się ciągnęła. Ponieważ poprzedniej nocy prawie nie zmrużyłam oka, teraz leciałam z nóg i marzyłam o wyciągnięciu się na wersalce w sąsiednim pokoju. Mimo że Nadieżda cieszyła się z wizyty Siergieja Piotrowicza, spostrzegłam, że ukradkiem tłumi ziewanie. Wiszący nad naszymi głowami szwajcarski zegar z ciężarkiem zawieszonym na łańcuszku tykał powoli i głośno jak zawsze. zaproponowałam, żebyśmy przeszli do pokoju dziennego, mając nadzieję, że gość zrozumie aluzję i wyjdzie. Zauważyłam, że Siergiej Piotrowicz wyjął wielki zegarek cebulę z kieszonki kamizelki, kiedy szedł za mną korytarzem.

- J e s t późno - powiedział, gdy ja i Nadieżda opadłyśmy na wersalkę, a obaj mężczyźni zajęli przyniesione krzesła. Ale nie szykował się do wyjścia.

Grzebiąc w kieszeni, Osip wyciągnął pomietą paczkę bułgarskich papierosów. Kiedy zobaczył, że zostały tylko dwa, zerwał się na równe nogi, niezadowolony.

- Bardzo nie lubię przerywać tak miłego wieczoru - odezwał się - ale muszę koniecznie iść po papierosy.

W jednej chwili Siergiej Piotrowicz zaprezentował nieotworzoną paczkę papierosów marki „Hercegowina Flor” i rzucił ją Osipowi.

- To dla ciebie - powiedział tak wielkopańsko, jakby częstował kawiozem i wódką.

- Nie wiedziałem, że palisz - odrzekł Osip, siadając i przyglądając się paczce.

- Nie palę - odpowiedział Siergiej Piotrowicz. - Ktoś mi je dał za przetłumaczenie listu, a ja daję ci te papierosy z podziękowaniem za możliwość korzystania z waszej łazienki.

¹⁷ Puszkina wyrzekł te słowa do żony, przewidując, że padnie ona ofiarą oskarżeń o przyczynienie się do śmierci wielkiego poety.

- Naprawdę r o b i s i ę późno - odezwała się Nadieżda. - Może to rzeczywiście pora, żeby zakończyć ten wieczór.

- Przetrzymuję was? - zapytał gość. Nie był to mój dom, żebym mogła odpowiedzieć twierdząco, ale pamiętam, że prychnęłam głośno na tę jego bezczelność. Siergiej Piotrowicz sprawdził nerwowo godzinę na cebuli. - Pójdę sobie, jak tylko się dowiem, w jaki sposób Achmatowa i Mandelsztam się poznali - oświadczył, patrząc wprost na mnie. - Chcę potem opowiadać, że znam tę historię z pierwszych ust.

To przekraczało granice mojej tolerancji - skończyła mi się cierpliwość dla tego poety pijaczyny, który uznał, że to on dyktuje warunki.

- Poznaliśmy się już po waszym urodzeniu, ale jeszcze zanim zaczęliście pić - rzuciłam.

Siergiej Piotrowicz wcale nie przejął się moim atakiem.

- Nie czuję się obrażony - powiedział do Osipa, który jako zbyt dobrze wychowany, by wyprosić gościa, zaczął opowiadać o naszym spotkaniu w tysiąc dziewięćset jedenastym roku. Nadieżda, która słyszała tę historię sto razy, poszła do sypialni i przyniosła kołdrę, pod którą zwykle u nich spałam. Siergiej Piotrowicz nadal nie zamierzał wychodzić.

I zaraz zrozumiałam dlaczego.

Nieważne, jak bardzo to boli, muszę opowiedzieć, jak było. A ból sprawiają szczegóły. Ktoś zapukał cicho do drzwi mieszkania. Nadieżda spojrzała nerwowo na zegarek na ręku.

- Kto może pukać o tak późnej porze? - zapytała płaskim głosem.

Osip ponownie zapiął guzik koszuli pod szyją, jakby w obawie, że zły wygląd będzie świadczył przeciwko niemu.

- „Boże - wyszeptał pod nosem, cytując wiersz, który słyszałam pierwszy raz na początku lat trzydziestych - pozwól mi noc dzisiejszą przeżyć”¹⁸.

Ktokolwiek stał przed drzwiami, załomotał bardziej natarczywie. Osip odezwał się do Nadieżdy bardzo spokojnie: - Otworzysz czy ja mam to zrobić?

Wstała. Krew odpłynęła jej z ust. Spojrzała na mnie, jakbym potrafiła wymyślić odpowiedź na pytanie, które bała się zadać. Byłam zbyt przerażona, żeby próbować. Siergiej Piotrowicz wyciągnął niewielką buteleczkę z przezroczystym płynem i szybko wypił łyk. Rękawem koszuli wytarł usta, które musnęły wierzch mojej dłoni. Cuchnący alkoholem, ale nagle zupełnie trzeźwy, powiedział: - Nie wiedziałem, że przyjdą dziś wieczorem, przysięgam

¹⁸ Przekład Marii Leśniewskiej.

na głowę byłej żony.

- Kto miał przyjść dziś wieczorem? - zapytałam tak cicho, że nikt mnie nie usłyszał. Nadieżda pochyliła się nad gościem i wysyczała: - Wspomnisz jednym słowem o epigramie, Siergieju, a obrzeżam cię nożem kuchennym. - Wyglądziła zagniecenie na spódnicy trzęsącą się ręką i poszła otworzyć drzwi.

Kiedy wróciła, tłoczyło się za nią sześciu mężczyzn. Pięciu nosiło płaszcze przeciwdeszczowe ściągnięte paskami, kojarzone z tajną milicją, szósty, ubrany w czarny garnitur z dwurzędową marynarką, miał rysy kruka; ludzie gadali, że gardłowe krakanie kruka może przypominać ludzką mowę, ale sama aż do tej pory nigdy czegoś takiego nie słyszałam. (Nie wiem, jakim cudem pamiętam takie drobiazgi. Ta scena po prostu wryła mi się w pamięć).

Mężczyzna w ciemnym garniturze, najwyraźniej agent dowodzący, podszedł do Siergieja Piotrowicza i patrząc na niego z góry, powiedział: - Mam nakaz aresztowania was.

Biorąc pod uwagę, że aresztowanie Mandelsztama musiało być zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach, nie mogłam powstrzymać uśmiechu na widok tego ostentacyjnego pomylenia osób. Niemal można było współczuć rozpitemu kolaborantowi, który został wysłany, by się upewnić, że osoba szukana przez Czeka będzie na miejscu, kiedy się zjawia, by go zabrać w godzinie duchów; i który w chwili aresztowania odgrywałby rolę obowiązkowego cywilnego świadka, wymaganego przez radzieckie prawo. To wyjaśniało uporczywe natręctwo Siergieja, że nie wspomnę o pełnej paczce papierosów w jego kieszeni.

Osip wstał i zwrócił się do funkcjonariusza, nazwanego przeze mnie Krukiem.

- Pomyliliście się, towarzyszu strózu prawa. On jest świadkiem. Ja jestem poetą.

- Osip Mandelsztam?

- Tak. To ja jestem poetą o nazwisku Mandelsztam.

- A ja jestem pułkownik Abakumow. Mam nakaz aresztowania was. Zarzuca się wam naruszenie artykułu pięćdziesiątego ósmego, rozpowszechnianie antyradzieckiej propagandy i działalność kontrrewolucyjną.

- Nie wątpię, że jesteście w posiadaniu nakazu. Mimo to jednak czy mógłbym go zobaczyć?

Kruk wyjął papier z kieszeni na piersi marynarki. Osip przejrzał pobieżnie dokument.

- Podpisał go sam Gienrich Jagoda - poinformował nas. - Przypuszczam, że aresztowanie na podstawie nakazu podpisanego przez szefa Czeka powinienem uznać za oznakę szacunku. - Spojrzał na Siergieja Piotrowicza, który siedział z brodą opuszczoną na pierś, z oczami szczelnie zamkniętymi. - Powiedz, co o tym sądzisz, Siergieju. Czy byłby to

jedynie podszept wyobraźni, gdybym przyjął ten podpis jako dowód, że mimo wszystko nie jestem uważany za pomniejszego poetę?

Nasz gość nie poruszył się ani nie odpowiedział.

Kruk zwrócił się do Osipa: - Jesteście uzbrojeni?

Ku memu zaskoczeniu Osip skinął głową.

- Prawdę powiedziawszy, tak.

Kruk wydawał się tym równie zaskoczony.

- W co jesteście uzbrojeni? Gdzie ukrywacie broń?

- Jestem uzbrojony w materiał wybuchowy zamknięty w jądrze poezji. Rzeczone wiersze ukryłem w głowie.

Kruk nie uznał tego za dowcipne.

- Podchodźcie do tej sprawy bardziej niefrasobliwie, niż powinniście. Jeden z moich ludzi pójdzie z wami do sypialni. Wolno wam się ubrać. Wolno wam zabrać do torby kilka osobistych rzeczy, w tym zmianę bielizny.

Osip poszedł za agentem do sypialni. Nadieżda powiedziała: - Chcę zobaczyć nakaz aresztowania.

- To nie wchodzi w grę. Chroni go klauzula tajemnicy państwowej. Procedura dopuszcza pokazanie go podsądnemu, a nie każdej osobie obecnej podczas zatrzymania.

- Dokąd go zabieracie? - Nadieżda chciała wiedzieć.

- To także tajemnica państwowa.

- Kto będzie go przesłuchiwał? Jak będzie przesłuchiwany?

- Metody prowadzenia śledztwa to ściśle strzeżona tajemnica państwowa. Gdyby nasi wrogowie je znali, pomagałoby im to w czasie przesłuchań.

- Na pewno jednak istnieją jakieś zasady prowadzenia jakiegokolwiek przesłuchania.

- Rzeczywiście są takie zasady - zgodził się Kruk. - Ale to tajemnica państwowa.

- Mandelsztam jest poetą, intelektualistą - wybuchnęła Nadieżda. - Nie złamał prawa.

- Jeśli tak jest, nie ma się czego obawiać. Wkrótce zostanie odesłany do domu.

Agenci w płaszczach rozeszli się po mieszkaniu i zaczęli przetrząsać kredens, szafki, szuflady i szafę w przedpokoju, wyrzucali ich zawartość na stertę tworzącą się pośrodku pokoju.

- Czemu Jagoda zainteresował się poetą, który nie jest nawet drukowany? - zapytałam.

Kruk wzruszył ramionami.

- Szczegóły dotyczące aresztowania Mandelsztama są tajemnicą państwową.

Nie starając się zatuszować ironii w głosie, zapytałam: - Czy istnieje coś, czego nie

obejmuje tajemnica państwowa?

Kruk obdarzył mnie lekkim uśmiechem.

- Odpowiedź brzmi naturalnie: tak. Ale to, co nie jest tajemnicą państwową, jest tajemnicą państwową.

Osip wyłonił się z sypialni. Miał na sobie swój jedyny garnitur i kołnierzyk przypięty do koszuli. Niósł niewielką teczkę wypełnioną, jak przypuszczam, przyborami toaletowymi i zmianą bielizny. Zatrzymał się przy biblioteczce i wyjął z niej niewielki zbiór wierszy Puszkina, zredagowany przez Tomaszewskiego. Jeden z agentów wyrwał mu go z rąk i wytrząsnął, trzymając za grzbiet, a upewniwszy się, że nic nie było tam ukryte, oddał mu książkę. Osip wsunął ją do kieszeni marynarki.

Nadieżda chciała objąć męża, ale drugi z agentów stanął między nimi. Drżącymi ustami Osip wyrecytował wers ze swego cyklu *Tristia*: - „Zgłębiłem już naukę gorzką rozstawania...”

A śmiertelnie blada Nadieżda dokończyła strofę: - „I z śpiewem muz przeplatał się lament niewieści”.

Jeden Bóg wie, dlaczego zapamiętałam linijki z tego samego wiersza. „Wszystko już było dawniej, wszystko wróci znowu / I jedynie poznanie moment bywa błogi”¹⁹.

Oślepiąca potokami łez w oczach, nie widziałam, jak Osip wychodził. Kiedy frontowe drzwi zamknęły się za nim, Nadieżda i ja objęłyśmy się mocno.

Kolaborant nadal siedział w pokoju. Jeden z agentów poklepał go po ramieniu.

- W kuchni wezmę od was oświadczenie - powiedział i gestem nakazał Siergiejowi Piotrowiczowi, by za nim poszedł.

Oficer i dwóch innych agentów nadal przeszukiwali mieszkanie. Przeglądając książki, półka po półce, Kruk trochę zgłupiał, nie znajdując na nich marksistowskiej klasyki.

- A gdzie trzymacie Marksa, Lenina i Stalina? - zapytał.

Odpowiedziałam: - To na pewno pierwszy przypadek, kiedy zaarrestowaliście kogoś, kto nie ma książki Stalina *Marksizm a kwestia narodowa*.

- Nieposiadanie egzemplarza *Marksizm a kwestia narodowa* może przemawiać przeciwko podejrzanemu w trakcie przesłuchania - odparował Kruk. Nie potrafiłam odgadnąć, czy kpił, czy nie. Prawdopodobnie nie.

Rewizja trwała do świtu. Przez cały czas siedziałyśmy odrętwiałe z Nadieżdą na wersalce i patrzyłyśmy na nich. Szukali przede wszystkim ręcznie zapisanych papierów -

¹⁹ Cytaty w przekładzie Marii Leśniewskiej.

listów, wierszy, a nawet (jak się okazało) list zakupów - i po to między innymi wytrząsali za grzbiet każdą książkę w biblioteczce. W którymś momencie usłyszałyśmy, jak szpicel Siergiej Piotrowicz wychodzi z mieszkania.

Nadieżda zawołała za nim: - Nie zapomnij kaszy! - Ale nawet jeśli ją usłyszał, nie zareagował.

Wkrótce potem z kuchni wyszedł agent, niosąc zapasowy czajniczek do herbaty. Uśmiechając się triumfalnie, uniósł pokrywkę, obrócił go do góry nogami i wtedy wiersze ukryte tam przez Nadieżdę, zapisane na skrawkach cienkiego papieru, rozsypały się po podłodze. Każda zapisana karteczka została włożona do teczki z napisem „Własność państwowa”. W którymś momencie rewizji najmłodszy z agentów, chłopak o zarumienionych policzkach i blond włosach, podszedł do nas, aby poczęstować mnie i Nadieżdę karmelkami z niewielkiego metalowego pudełka, które wydobył z kieszeni. Obie odmówiliśmy.

- Nie są zatrute - powiedział, wzruszając ramionami.

Kiedy dało się już słyszeć pierwszych mieszkańców Domu Hercena, biegnących korytarzem, by złapać poranny tramwaj do pracy, Nadieżda drzemała z głową opartą na moim ramieniu, a jej ciałem wstrząsało tłumione łkanie. Pod koniec rewizji z sypialni wyszedł agent trzymający w rękach stos damskich butów, wypchanych stronami z gazet, żeby się nie odkształciły. Nadieżda obudziła się i chwyciła mnie za łokieć. Wiedziałam, że spisała wiele nieopublikowanych wierszy Mandelsztama na marginesach artykułów w „Prawdzie” i mnąc potem papier, ukryła je w butach. Gdy agent zorientował się, że trzewiki są wypchane gazetami, rzucił je na stos ubrań pod oknem. Nadieżda i ja nie ośmieliłyśmy się spojrzeć na siebie z obawy, że zdradzi nas wyraz twarzy.

Kiedy czekałszy byli gotowi do wyjścia, Kruk wziął teczkę razem z tuzinem tomików francuskiej i włoskiej poezji, które postanowił skonfiskować.

- Jeśli chcecie pomóc Mandelsztamowi, nikomu nie mówcie o aresztowaniu - poradził nam.

- Czy fakt aresztowania to też tajemnica państwowa? - zapytałam.

Kruk spiorunował mnie wzrokiem. - Uważajcie, Achmatowa, możecie być uznana za współniczkę. - I z tymi słowami wyszli.

Poszłam do kuchni zrobić herbatę. Nadieżda, oddychając prawie niesłyszalnie, siedziała w bezruchu na wersalce, kiedy wróciłam z dwoma kubkami i jeden wcisnęłam w jej lodowato zimne ręce.

- Ten drań, wychodząc, zabrał kaszę - powiedziałam, ale wątpię, czy mnie słyszała.

- Jeśli nie będą chcieli mi powiedzieć, dokąd zabrali Osipa, jakim cudem go znajdę? -

zapytała Nadieżda.

Usiadłam obok niej.

- Jest taka stara sztuczka - odpowiedziałam. - Przygotujesz niewielką paczkę z mydłem, skarpetkami i podobnymi rzeczami i zaadresujesz do Osipa Mandelsztama. Pójdę z tobą. Razem będziemy chodzić od więzienia do więzienia i stać w kolejkach przed okienkami, gdzie przyjmują paczki dla więźniów. Sprawdzą listę osadzonych - jeśli go tam nie będzie, każą ci odejść. On będzie w więzieniu, gdzie tę paczkę przyjmą.

- Skąd wiesz takie rzeczy, Anno?

Patrząc na to z perspektywy czasu, myślę teraz, że na niej wyładowałam swoją złość na Osipa. Umierała ze strachu przed natychmiastową egzekucją męża, co niestety nie byłoby czymś wyjątkowym w tym naszym robotniczym raj. Z drugiej strony, stałam wobec perspektywy utraty niezastąpionego poety-brata.

- Przypisz to mojemu życiu niespędzanemu pod kloszem jak twoje - powiedziałam tonem bardziej kwaśnym, niż powinnam w tamtych okolicznościach.

- Ależ o moim życiu można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że spędzam je pod kloszem!

- Twoje życie może i jest niekonwencjonalne seksualnie, ale odcięte od rzeczywistości politycznej. Nie rozumiesz: dzisiaj zamyka się i skazuje ludzi bez powodu! Tasuje się nas jak talię kart. Tylko ktoś, kto nie ma zielonego pojęcia o politycznej rzeczywistości, mógł utwierdzać Osipa w jego szaleństwie.

- To nie tak. Braliśmy pod uwagę więzienie i godziliśmy się na to ryzyko.

Nie wierzyłam własnym uszom.

- B r a l i ś c i e p o d u w a g ę w i ę z i e n i e ? !

Nadieżda zaczęła bardzo szybko oddychać, rozmasowałam więc jej splot słoneczny, żeby odzyskała normalny oddech.

- A co zrobię, kiedy już się dowiem, gdzie jest? - zapytała cicho. - Musimy znaleźć ludzi, którzy podejmą ryzyko interweniowania w jego sprawie - powiedziałam. - Zawiadomię Borysika. On na pewno skontaktuje się z Nikołajem Bucharinem. Musisz uzyskać posłuchanie u Bucharina i wyjaśnić mu, co się stało. Pomógł już tobie i Osipowi. Pomoże znowu, jeśli tylko będzie mógł. Jednak cokolwiek zrobisz, nie wspominaj o epigramie na Stalina. Wiesz jedynie, że Osip został aresztowany.

- Bucharin wypadł z łask pod koniec lat dwudziestych...

- Nie należy już do politbiura, ale Stalin rzucił mu kość - redagowanie „Izwestii”. Ludzie powiadają, że liczy się ze zdaniem Bucharina.

Nie pamiętam, jak długo siedziałyśmy w ogłuszającej ciszy, sącząc herbatę, która zupełnie wystygła, zatopione w myślach albo w pustce. Moskiewski ranek zalał pokój ciemnoszarym trupim światłem. Pamiętam, że pomyślałam wtedy o poetce Cwietajewej. Znałam piękną Marinę, kiedy ona i Osip byli krótko ze sobą, jeszcze zanim bolszewicy pojawili się na scenie. W czasie aresztowania Mandelsztama mieszkała na wygnaniu w Paryżu, a jej wiersze krążyły po ojczyźnie w odpisach. Jeden z jej wierszy, na który natknęłam się wcześniej tamtego roku, mówił o rewolucji bolszewickiej i „śmiercionośnych dniach Października”. Siedząc w pustym pokoju, który kiedyś tętnił życiem i miłością, śmiechem i poezją, nagle usłyszałam złowieszcze wersy Cwietajewej dzwoniące mi w uszach.

- *Gdzie są łabędzie?*

- *Odleciały, łabędzie.*

- *A kruki też?*

- *Te tu zostały, kruki*²⁰.

²⁰ Przekład Krzysztofa Ołtaka.

Osip Emiljewicz

Czwartek, 17 maja 1934 roku

Z perspektywy czasu widzę, że aresztowanie jest cudownie wyzwalającym doświadczeniem - oswobadza od strachu przed aresztowaniem. To poczucie uwolnienia od strachu przed zamknięciem ma jednak pewien minus - zmusza do skupienia uwagi na pomniejszych obawach: skąd weźmie się kolejny posiłek albo kolejnego papierosa; co się stanie, jeśli muza lub erekcja znikną bez ostrzeżenia; jak poradzą sobie bliscy, jeśli państwo w swej nieskończonej mądrości postanowi, że są bardziej przydatni jako najbliżsi krewni; jaki to wywrze skutek na literacką reputację poety, jeśli wyjdzie na jaw, że przerażał go strach. Koncentrowałem się na mniej ważnych lękach, kiedy eskortujący mnie funkcjonariusz przywiózł moje pocące się ciało do więzienia na Łubiance i kazał komuś podpisać jego odbiór. Nigdy nie widziałem tego kwitu, ale przypuszczam, że było to coś (à la Lewis Carroll) podobnego do: „Przyjęto jednego szalonego kapelusznika, telepiącego się od zatrucia rtęcią albo ze strachu przed odesłaniem do nieodkrytego kraju, z którego żaden podróżnik nie powrócił”.

A tak mówiąc między nami, przyznam się, że byłem już wcześniej w więzieniu, krótko, na Krymie, w czasie wojny domowej, zatrzymany przez białogwardzistów Wrangla, zgarniających obywateli, którzy nie posiadali pozwoleń na podróżowanie albo nie mieli dość pieniędzy, by się wykupić. Zostałem oswobodzony, kiedy czerwoni uderzyli na miasto i na drzewach okolicznych wzgórz powiesili s w o i c h więźniów. Co dziwne, raz już byłem na Łubiance, w tym budynku o barwie prażonych migdałów. A stało się to tak. Mój brat, Jewgienij, został tam uwięziony w 1922 roku. Desperacko pragnąc go uwolnić, załatwiłem sobie przez wspólnego znajomego spotkanie z Nikołajem Iwanowiczem Bucharinem, wschodzącą gwiazdą na bolszewickim firmamencie, „ulubieńcem partii” namaszczonego przez Lenina. Pomimo niekwestionowanych przekonań bolszewickich Bucharin okazał się światłym człowiekiem, skłonnym pomagać artystom, gdy miał taką możliwość. Poszedłem do niego do mieszkania w budynku zajęтым przez władze, gdzie kiedyś był hotel Metropol, zapewniłem go o niewinności brata i błagałem o interwencję. Odłożywszy szczotkę, którą tłukł olbrzymie karaluchy, Bucharin natychmiast połączył się z otoczonym złą sławą szefem

Czeka, Polakiem Feliksem Dzierżyńskim, i umówił mnie z nim na spotkanie. Mam żywo w pamięci obraz „żelaznego komisarza”, jak nazywano Dzierżyńskiego (nie muszę dodawać, że za jego plecami), o twarzy jakby ściśniętej w imadle i ze stylową kozią bródką, w którą się bez przerwy drapał podczas rozmowy ze mną w przepastnym gabinecie na jednym z górnych pięter Łubianki. (Kiedy opowiadałem Bucharinowi o tym spotkaniu, wywołałem jego śmiech sugestią, że bródka Dzierżyńskiego mogła być zawszona). Skory do wyświadczenia Bucharinowi przysługi „żelazny komisarz” zaoferował uwolnienie brata, jeśli za niego poręczę. P o r ę c z y ć z a n i e g o! Święty Boże, jakiś przybysz z Marsa mógłby wziąć Rosję za cywilizowany kraj. W ciągu kilku godzin Jewgienij został wyprowadzony z celi i uwolniony, a ja znowu szperałem wśród książek na straganach na Kuznieckim Moście, kilka kroków od Łubianki, i popatrywałem na ciężki granitowy wysokościowiec, który po wybudowaniu służył jako siedziba towarzystwa ubezpieczeniowego, i usiłowałem wyobrazić sobie, co się dzieje za plisowanymi, włoskimi w stylu zasłonami, zakrywającymi więzienne okna.

Niewielką pociechą było dla mnie to, że teraz się tego dowiem.

W chwilę po znalezieniu się na Łubiance trafiłem do pomieszczenia przypominającego kostnicę, z białymi kafelkami na podłodze i ścianach.

- Nazwisko, imię, otczestwo? - wrzasnął do mnie strażnik, kościsty mężczyzna o ogolonej głowie i cuchnącym oddechu.

- Mandelsztam Osip Emiljewicz - odrzyknąłem, jakbym odpowiadał sierżantowi, który mnie musztruje.

- Dlaczego krzyczycie?

- Krzyczę, bo wy krzyczycie.

- Nie krzyczę - wrzasnął sierżant od musztry. - Mówię normalnym głosem.

Sprawdził ponownie moje nazwisko i nakaz aresztowania, a potem zwilżył językiem koniec ołówka i starannie wpisał je ręcznie do czegoś, co wyglądało jak księga rachunkowa.

- Czy Mandelsztam to wasze prawdziwe nazwisko?

Skinąłem głową.

Bez podnoszenia wzroku krzyknął: - Nie dostałem odpowiedzi na moje pytanie! Czy Mandelsztam to wasze prawdziwe nazwisko, czy pseudonim?

- Prawdziwe nazwisko.

- Odpowiadajcie całymi zdaniami, a nie fragmentami.

- „Te fragmenty oparłem o moje ruiny”²¹.

- Powtórzcie.

- Mandelsztam to moje prawdziwe nazwisko.

- Zawód?

- Jestem poetą.

- Poeta to nie zawód proletariacki, jak głosi radziecka ustawa.

Doznałem olśnienia.

- Jestem inżynierem ludzkich dusz.

Najwyraźniej nie rozpoznał tego sformułowania, przypisywanego Stalinowi przez gazety.

- Jakie usługi świadczyście państwu? - wrzasnął. - Kto wam płaci za świadczone usługi?

- Tworzę wiersze, ale minęły lata, od kiedy ostatni raz dostałem honorarium za świadczone usługi.

- Honorarium?

- Wynagrodzenie. Zapłatę.

Nabazgrał słowa „inteligent” i „pasożyt” w swoim rejestrze.

- Data urodzenia?

- „Noc urodzenia z drugiego na trzeci stycznia... a stulecia obiegły mnie ognistym ściegiem”²² - odpowiedziałem, cytując wiersz, który miałem zamiar napisać, jeśli przeżyję.

Strażnik podniósł wzrok i jakby od niechcienia uderzył mnie boleśnie w twarz.

- Nie traktujecie poważnie swojego aresztowania - ostrzegł.

- Ależ tak, tak - pamiętam, że zapewniłem go przez łzy. - Nie oczekuję po was, że zrozumiecie, ale aresztowanie właściwie przyniosło mi ulgę. Mam o jedno zmartwienie mniej.

- Data urodzenia? - wrzasnął strażnik dokładnie takim samym obojętnym tonem.

- Trzeci stycznia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego pierwszego.

- Mówcie głośniej.

- Trzeci stycznia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego pierwszego.

- Adres zamieszkania?

- Dom Hercena przy ulicy Naszczokina.

²¹ Przekład Czesława Miłosza.

²² Przekład Stanisława Barańczaka.

Strażnik ponownie na mnie spojrział.

- Numer?

- Nie pamiętam numeru. - Skrzywiłem się w przewidywaniu następnego bolesnego spoliczkowania.

- Nazwisko, stopień pokrewieństwa najbliższego krewnego, który zostanie zawiadomiony w przypadku waszej ewentualnej śmierci?

- Nadieżda Jakowlewna Mandelsztam, żona.

- Zdejmijcie szelki i sznurowadła. Opróżnijcie kieszenie. - Wziął mój tomik Puszkina, chwycił go za grzbiet, wytrząsnął, a potem rzucił na stół. - Rozbierzcie się do gołego.

Kiedy stałem przed nim nagi, dodał słowo „Izraelita” do wpisu w rejestrze i potrząsnął niewielkim dzwonkiem. Z lewej strony weszła kobieta w średnim wieku, w grubych okularach i białym lekarskim kitlu. Podczas gdy strażnik przepatrywał każdy szew mojego ubrania, bez wątpienia szukając rzeczy wymienionych na liście przymocowanej do drzwi - żyłek, nożyczek do paznokci, ołówków, listów i innych pisanych dokumentów, zdjęć, wszelkiego rodzaju lekarstw - lekarka, jeśli nią była, włożyła chirurgiczne rękawiczki i metodycznie skontrolowała mi włosy na głowie. Potem odsunęła na bok mój organ i przecesała palcami moje włosy łonowe, po czym zręcznie posługując się patyczkiem do badania gardła, odwiedziła najważniejsze otwory mojego ciała w odwrotnym porządku.

Gdybym miał wybór, wolałbym upokorzenie słowami: „Kiedyś, dawno temu, był taki poeta...”

- Dlaczego się trzęsiecie? - krzyknął strażnik.

- Zmarzłem na kość - odkrzyknąłem.

- Pociliście się, kiedy was przywieziono.

- Mam wbudowany termostat, który reaguje na poziom strachu. Czasem się pocę, a czasem trzęsę.

Strażnik dał mi znak pstryknięciem palców, żebym się ubrał. Rzeczy z moich kieszeni zostały umieszczone w tekturowym pudle, a mnie polecono podpisanie w rejestrze listy skonfiskowanych przedmiotów. Dowód osobisty na nazwisko Mandelsztam Osip Emiljewicz, sztuk jeden. Meldunek w Moskwie, na to samo nazwisko, sztuk jeden. Bawełniana chustka do nosa, postrzępiona na krawędziach, sztuk jeden. Pudełko zapalek marki „Komsomolskaja” w połowie puste, sztuk jeden. Paczka papierosów „Hercegowina Flor”, sztuk jeden. Dozownik nici dentystycznej z Odessy, sztuk jeden. Klucz uniwersalny (do drzwi frontowych Domu Hercena), sztuk jeden; klucz do zamka (do naszego mieszkania na parterze), sztuk jeden. Fiolka pigułek na receptę na palpacje serca, sztuk jeden, i buteleczka z kroplami

walerianowymi na uspokojenie i sen. Czterdzieści rubli w banknotach, dwadzieścia kopiejek w bilonie luzem. Wydano mi wojskowy koc, mały ręcznik i kostkę szarego mydła, a także porcelanową miskę na zupę, absolutnie niepasującą do tego więzienia, która, jak podejrzewam, musiała być częścią eleganckiego serwisu, należącego do towarzystwa ubezpieczeniowego na przełomie wieków. Trzymając jedną ręką spodnie i tomik Puszkina, szurając nogami w butach bez sznurowadeł, ruszyłem za klawiszem przez labirynt korytarzy do części z celami w samym środku Łubianki. Co mniej więcej dwadzieścia metrów otwierały się przed nami ze szczękiem stalowe drzwi, a harmider, jaki czyniły, informował wszystkich, że kolejna dusza wkraczała do radzieckiego *purgatorio*.

Zdezorientowany krętością korytarzy, zagłębiałem się w szmer serca domeny Dantego Alighieri, na wpół oczekując przy każdym załomie, że natknę się na Wergiliusza, zmywającego piekielną kurzawę z mojego ukochanego Dantego, i usłyszę jego cudowne, niemal dziecinne paplanie.

E consolando, usava l'idioma

Che prima i padri e le madri trastulla;

(...) Favoleggiava eon la suafamiglia

*De' Troiani, di Fiesole, e di Roma*²³.

W końcu wepchnięto mnie do celi oświetlonej oślepiająco jasną elektryczną żarówką zawieszoną u sufitu. Wysoko na ścianie znajdowało się okno, ale zakryto je deskami. Osłoniłem oczy tomikiem Puszkina i spostrzegłem, że w celi było już dwóch więźniów. Jeden z nich kulił się w kącie, w czymś, co cuchnęło jak kałuża uryny i kału, i jęczał, kołysząc się w przód i w tył na bosych stopach. Drugi więzień, ogromny mężczyzna, siedział na kocu, oparty plecami o ścianę.

- Moim zdaniem on umiera - powiedział olbrzym, wskazując brodą na jęczącą postać. Obrócił głowę, tak by jego prawe ucho było skierowane na mnie, i zapytał: - Jaka jest wasza wina, towarzyszu?

Położyłem dobytek na kamiennej podłodze i usiadłszy na złożonym kocu przodem do niego, zakryłem usta i nos ramieniem.

- Jestem winny bycia poetą - odpowiedziałem. - Jestem winny nieowijania w bawełnę.

- Pisanie poezji nie wydaje mi się uczciwą pracą - powiedział olbrzym - w takim

²³ *I ową gwarą właściwą dziecinie / Kołysząc, słowa pieśczośliwe szepce. (...) Snując powieści, tak wieczór ulata, / O Troi, Rzymie, fizeolskiej dziedzinie* - przekład Edwarda Porębowicza.

sensie, że nie wytwarzacie niczego, co ludzie mogliby jeść albo wkładać na siebie. Nazywam się Szotman Fikrit Trofimowicz. On to Sergo. Jego nazwisko i otczestwo pewnie zna Bóg, ale nie ja.

- Mandelsztam Osip Emiljewicz - odrzekłem.

- Miło mi. Prawdę mówiąc, cieszę się, że będę miał z kim pogadać. Sergo już nie jest w stanie mówić. Pracuję jako siłacz w cyrku.

- Więc nie wytwarzacie niczego, co ludzie mogliby jeść albo wkładać na siebie.

- Dostarczam rozrywki klasie robotniczej. Wy dostarczacie rozrywki inteligencji. Nie można tego porównywać. Mam konkubinę, jest tatuowaną damą w tym samym cyrku co ja. Jej tatuaże przedstawiają sztukę, historię, naturę i geografię złączone w jedno, i jak je zobaczyłem pierwszy raz, od razu się w niej zakochałem. A wy? Jesteście żonaci? - Kiedy odpowiedziałem, że tak, chciał się dowiedzieć, czy moja żona ma jakieś tatuaże. Słyszac, że żadnych, odrzucił głowę do tyłu. - Nieważne. Pewnie ma inne zalety. Jak się poznaliście?

Opowiadanie pozwoliło mi zapomnieć o niewesołym położeniu, w jakim się znalazłem.

- Pierwszy raz zobaczyłem Nadieżdę - bo tak ma na imię - w kabarecie o nazwie CHŁAM w Kijowie. Przyglądałem jej się prawie przez godzinę - droczyła się ze swoim towarzystwem, śmiała z ich żartów, słuchała uważnie ich historii, przez cały czas aż płonęła zmysłowością. Ogarnęło mnie pragnienie, by ogrzać się przy jej ogniu. Wszystko, co wymyśliłem, ograniczyło się do poproszenia jej o papierosa. Spojrzała do góry, uśmiechnęła się, dała mi jednego i od tamtej pory jesteśmy razem. Powiedzcie, Fikricie, jak długo przebywacie na Łubiance?

- Straciłem rachubę.

- Czy kiedykolwiek wyłączają światło?

- Nigdy.

- Jak można spać, kiedy tak świeci człowiekowi w oczy przez cały czas?

- Nie można - odpowiedział. - I dlatego zostawiają je włączone. Jeśli się zaśnie, towarzysz strażnik, który obserwuje nas przez judasza, zaczyna walić w drzwi i wali tak długo, aż się człowiek obudzi. Mój śledczy, doświadczony czekista, w głębi serca życzący swoim więźniom jak najlepiej, mówi, że wyczerpanie pomaga oczyścić umysł z burżuazyjnych złudzeń o niewinności. Skoro tu jesteś, to dlatego, że masz coś na sumieniu. Im szybciej określisz swoje przestępstwo, tym szybciej twoja sprawa zostanie zamknięta.

Spojrzałem ponownie na postać skuloną w kącie.

- Jeśli on naprawdę umiera, dlaczego nie wezwiecie pomocy lekarskiej?

Olbrzym uznał moją uwagę za śmieszna.

- Pomoc medyczna! To ci dopiero! Specjalnie tak robią, żeby umarł.

- Dlaczego chcą, żeby umarł?

- Bo nie chce przyznać się do winy.

- A co mu się zarzuca?

- Artykuł pięćdziesiąty ósmy: antyradziecka propaganda i działalność kontrewolucyjna. Jest winny sabotażu i sam mi to powiedział, kiedy jeszcze był w stanie mówić. Podniósł sprawę kolektywizacji przed Stalinem na publicznym spotkaniu. - Fikrit musiał zauważyć, że się trzęsę. - Nie bójcie się aż tak bardzo, Osipie Emiljewiczu. Nie będą was bili, jeśli od razu wyznacie prawdę.

- Gdyby się przyznał do sabotażu, przestaliby go bić?

Fikrit się oburzył.

- To Związek Radziecki. Socjalistyczna sprawiedliwość i rządy prawa zawsze triumfują. Kiedy tylko Sergo się przyzna, przestaną go bić i rozstrzelają.

- Bez sądu?

- Może i odbędzie się tajna rozprawa, choć prawo nie wymaga, żeby był na niej obecny albo miał wgląd w dowody, które go obciążają, tak mi powiedział towarzysz śledczy. Jak sami widzicie, Sergo nie nadaje się na publiczną rozprawę.

- A wy przyznaliście się do winy?

- Z początku nie, ale nie dlatego, że chciałem ich wyprowadzić w pole, żeby uznali mnie za niewinnego, nic z tych rzeczy. Nie przyznawałem się, bo nie wiedziałem, jaka wina na mnie ciąży.

- Bili was?

- Bili. Ale to bicie i zupełny brak snu mnie oświeciły. Przyznałem się, że jestem członkiem grupy popierającej trockistowski antybolszewicki ośrodek działający w Paryżu. Kiedy nadejdzie dzień odebrania bolszewikom władzy, członkowie tego spisku poznają się nawzajem, bo mamy charakterystyczne nalepki z wieżą Eiffla na walizkach albo kufrach. Wieża Eiffla, gdybyście nie wiedzieli, znajduje się w Paryżu. Moją sytuację pogarsza jeszcze i to, że trzymałem carskie obligacje na wypadek, gdyby dzięki Trockiemu kapitalizm został przywrócony, a ja mógłbym je spieniężyć.

- Skoro przyznaliście się do winy, jak to możliwe, że nadal przebywacie w więzieniu?

- Bo na tyle dopisało mi szczęście, że będę miał publiczny proces. Obiecali, że

przyjdzie tam moja konkubina i będzie mogła mnie zobaczyć. Po waszym garniturze od razu się domyśliłem, że jesteście inteligentem - poeta to to samo co intelektualista, prawda? - dlatego pewnie mnie nie poznajecie. Jestem, wybaczenie, że sam to mówię, sławny w Rosji, bo zdobyłem srebrny medal na mistrzostwach Europy w Wiedniu w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku. Na pierwszej stronie „Prawdy” wydrukowano moje zdjęcie, jak na Kremlu towarzyszył Stalin podaje mi rękę. Towarzysz śledczy obiecał mi, że moje zdjęcie znowu pojawi się na pierwszej stronie „Prawdy”, kiedy w relacji z mojego procesu będą podawali szczegóły trockistowskiego spisku. Uczę się właśnie na pamięć szczegółów.

Biedny Sergo, jeśli naprawdę umierał, dokonywało się to centymetr po centymetrze. Jego skowyt nie ustawał nawet na chwilę. Nawet teraz, kiedy myślę o tamtej celi, słyszę postękiwania Serga, niedobrze mi się robi na wspomnienie smrodu, rozchodzącego się z jego zmaltretowanego ciała. Co do Fikrita, łatwo było odgadnąć, że to dobroduszny człowiek, ale kiedy opowiedział mi już o swoim dzieciństwie w Azerbejdżanie, wyczynie w Wiedniu, operacji kontuzjowanego kolana i życiu cyrkowego siłacza, skończyły się nam tematy do rozmowy. Kiedy nie wzywano go na przesłuchanie, spędzał niekończące się godziny, siedząc z plecami opartymi o kamienną ścianę, z wielką głową między ogromnymi rękami, i powtarzał na głos zeznanie, które miał wygłosić na procesie. Zapadły mi w pamięć fragmenty (które sprowadziły na niego ruinę!) o tym, jak to zwerbowano go w Wiedniu w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku i opłacono w amerykańskich dolarach; jak kontaktował się ze swoim agentem prowadzącym za pomocą tajnego szyfru, ukrytego w dedykacji pod okładką amerykańskiego magazynu poświęconego sprawności fizycznej, jak uniesiony nienawiścią do nowego porządku zdeformował wizerunek Stalina wytatuowany na bicepsie. Było tego więcej, znacznie więcej, ale już dawno o tym zapomniałem.

Podjąłem próbę rejestrowania upływu czasu, ale okazało się to sporym wyzwaniem, wymagającym jasności myśli, a przez to poza moimi możliwościami. Dni zlewały się ze sobą w nieprzerwany ciąg. Wierzę - choć nie mógłbym przysiąc - że zabrano mnie na przesłuchanie po spędzeniu w celi około czterech dni i czterech nocy, podczas których spałem nie dłużej niż kilka minut, zanim towarzyszył strażnik, wedle określenia Fikrita, nie zaczął walić młotem w metalowe drzwi, budząc mnie i wszystkich pozostałych w bloku z celami. Pewny jestem jedynie, że przyszli po mnie po kolacji, na którą dali wodnistą zupę w porcelanowej misce. Zwalisty strażnik otworzył drzwi celi i wskazał na mnie czymś, co skojarzyło mi się z ościeniem do poganiania bydła. Fikrit musiał wyczuć, dokąd idę, bo w ostatniej chwili udzielił mi rady.

- Słyszałem, że poeci są w jakiś sposób powiązani z kulturą. A to oznacza, że waszym

śledczym będzie towarzysz Christoforowicz, bo to on specjalizuje się w kulturalnych przestępcach, jak wy. Domyślcie się, jaka jest wasza wina, i przyznajcie się, Osipie Emiljewiczu, wtedy wszystko pójdzie gładko.

Zdałem sobie właśnie sprawę, z jakim trudem przychodzi mi odtworzenie tamtych czternastu dni na Łubiance, tym bardziej że umierałem wtedy ze strachu, nawet gdy udawało mi się zdrzemnąć. Co w sumie znaczy, że mój umysł pracował ospale. Odnosiłem wrażenie, jakby cień wątpliwości okrył mi głowę, skutkiem czego nie miałem pojęcia, w jakim porządku rzeczy następują po sobie albo czy w ogóle się wydarzyły. Prawdopodobnie najlepiej oddam stan mojego umysłu przez porównanie go do braku głębokiego postrzegania, braku, który nękał mnie przez całe miesiące po aresztowaniu; wskutek zaburzonej klarowności widzenia rzeczy nie jest się wtedy pewnym, czy znajdują się one tuż przed nosem, czy kilka metrów dalej; w końcu człowiek przestaje być pewny, czy są w całości, czy może tylko we fragmentach tworami wyobraźni.

Do dziś prześladują mnie widmowe wspomnienia, mające ziarnistość koszmarnych snów: otwartej windy towarowej podążającej straszliwie letargicznie na wyższe piętro; jasno oświetlonych korytarzy z wytartymi chodnikami, które, podobnie jak porcelana, pochodziły prawdopodobnie z przełomu wieków, kiedy gmach był siedzibą towarzystwa ubezpieczeniowego; mosiężnego, wypolerowanego numeru 23 na drzwiach; bardzo przestronnego pokoju z lampami, których jaskrawe światło sprawiało oczom ból już od chwili przekroczenia progu; stukotu maszyny do pisania dochodzącego zza lekko uchylonych drzwi; odległego podzwania kurantów na kremłowskiej wieży Spasskiej; niewyraźnej postaci mężczyzny ubranego w rodzaj munduru i w skórzany rzeźniczy fartuch, nakazującego strażnikom wyjście.

Usłyszałem, jak człowiek, siedzący pod ogromnym portretem Stalina, przedstawił się.

- Christoforowicz.

Widzę, jak zasłaniam sobie oczy dłonią, ale szybko ją cofam, bo mógłby ten gest wziąć za salutowanie.

- Mandelsztam.

- Siadajcie.

Mrużąc oczy, by chronić je przed światłem, opadłem na drewniany stołek, którego przednie nogi były krótsze od tylnych, w rezultacie czego musiałem robić wszystko, żeby się nie zsunąć.

Śledczy wpatrywał się we mnie zza góry akt.

- Macie jakieś zażalenia dotyczące pobytu w więzieniu? - A kiedy nie

odpowiedziałem, spytał: - Jak się czujecie?

- Jestem wyczerpany. - Miałem zamiar na tym poprzestać, ale przesłuchanie pomyliło mi się ze spowiedzią i usłyszałem własny głos: - Wyczerpany i przerażony.

Pozwólcie, że przerwę opowieść i dodam, że kiedy przeprowadzano ze mną wywiady w czasach, gdy nie miałem jeszcze statusu *poeta non grata*, przypisywanym mi słowom i frazom, które ukazywały się drukiem w czyimś artykule, daleko było do dokładności; dziennikarze mają naturalną tendencję do filtrowania tego, co się im mówi, przez pryzmat składni i stylistyki, więc to, co się słyszy, jest ich głosem, a nie waszym. Co uświadamia mi, że zdania, które odtwarzam dla was z pamięci, muszą mieć piętno tego samego defektu. Słowa, które przypisuję innym, są z pewnością jedynie przybliżone - z godnym uwagi wyjątkiem tego, co oznajmił śledczy Christoforowicz, gdy przyznałem się do strachu. Kiedy przywołuję je dzisiaj, nadal słyszę intonację jego głosu: łagodną i pełną groźby, niczym odległy grzmot, wróżący nadejście wyjątkowo gwałtownej burzy. Oto co, słowo po słowie, mi odpowiedział:

- Odczuwanie strachu jest korzystne dla poety - może zainspirować wers. Zapewniam was, że doświadczycie strachu w pełnym wymiarze.

Próbowałem przeanalizować to w nadziei znalezienia znaczeń innych niż oczywiste, kiedy zapytał cicho: - Czy domyślacie się, dlaczego tu jesteście?

Mimo zmęczenia zdałem sobie sprawę, że muszę postępować ostrożnie. Trzymając się nadziei, że śledczy nie ma pojęcia o istnieniu epigramu na Stalina, wyruszyłem na pole minowe.

- Z powodu czegoś, co napisałem?

- Oryginalny domysł - Christoforowicz zgodził się ze mną, wydając z siebie pusty śmiech.

- Może chodzić jedynie o kawałek mojej prozy *Rozmowy o Dantem*.

Śledczy zdjął okulary o zielonych szklach i usiłował przyglądać niesforny kosmyk włosów.

- To, co napisaliście o Dantem, nie było wywrotowe - powiedział.

- Znacie mój esej o Dantem!

- Nieobca jest mi wasza teza, ta, że piekło jest opisane przez Dantego tak, jakby to było więzienie. - Śliniąc opuszkę kciuka, Christoforowicz kartkował opasłe akta, znalazł stronę, której szukał, i zaczął czytać słowa, które napisałem. - „Cały wysiłek został tutaj

skierowany na walkę z gęstą ciemnością miejsca. Formy światła wyrzynają się jak zęby"²⁴. Jak wkrótce się przekonacie, znam każde napisane przez was słowo. Po waszej żonie i po tej ladacznicy Achmatowej jestem prawdopodobnie głównym ekspertem w Związku Radzieckim od twórczości Mandelsztama.

- Jeśli nie esej o Dantem, musi chodzić o jakiś wiersz, który strącił mnie do tego piekła.

Czekał. Domyśliłem się, że milczenie jest jednym z narzędzi jego fachu. Spróbowałem rozproszyć je fragmentem starego wiersza: - „W aksamitną czerń styczniowej nocy...”²⁵

Wyciągnął kolejną stronę z akt.

- Rocznik tysiąc dziewięćset dwudziesty, jak wynika z moich notatek. Spróbujcie ponownie.

- „Kogo zabijesz jeszcze? Kogo znów osławisz?”²⁶

Śledczy najwyraźniej dobrze się bawił starciem ze mną.

- To z waszego wiersza o tytule *Pierwszy stycznia tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego*. Wiemy o nim od drugiego stycznia tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku.

Tymczasem zaczynało mi brakować oddechu.

- „Wiek, jak brytan wilkowi, do gardła mi skacze... Lecz ja wilkiem nie jestem, nie jestem”²⁷.

W ostrym świetle widziałem, jak Christoforowicz kręci smutno głową.

- Zbliżacie się w czasie, to z tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego.

- „O, jakże bardzo pragnę się rozbawiać, wygadać się, powiedzieć wreszcie prawdę”.

- Utknęliście w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym, choć duch tego akurat wiersza jest bliższy temu, który doprowadził was w tutejsze progi.

Serce waliło mi jak młotem, kiedy wysilałem umysł, by znaleźć wersy, które mu rzucę.

- „Jak w filcowych papuciach chłopci wygłodzeni, nie dotykając skobla u wrót pełnią straż”²⁸.

- Ciepłej, ciepłej, Mandelsztam. Maj tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku,

²⁴ Przekład Ryszarda Przybylskiego.

²⁵ Przekład Seweryna Pollaka.

²⁶ Przekład Marii Leśniewskiej.

²⁷ Przekład Jerzego Pomianowskiego.

²⁸ Przekład Tadeusza Nyczka.

jeśli się nie mylę. Zatyłowaliście go *Stary Krym*, kiedy recytowaliście go pierwszym słuchaczom.

A potem Christoforowicz, ruszając się jakby w zwolnionym tempie, wyciągnął pojedynczą kartkę z akt i ustawiając ją do światła, zaczął czytać.

- „Żyjemy tu, nie czując pod stopami ziemi, nie słysząc i na dziesięć kroków, co szepczemy, słyszymy jeno górala kremlowskiego, mordercę, oprawcę chłopskiego”.

Nikła nadzieja, że może jakoś wyjdę z tego żywy, runęła w dół jak zestrzelony ptak. Ruchome piaski wciągały mi stopy. Widziałem jego wzrok wbity we mnie ponad kartką papieru.

- Czy te wersy coś wam mówią, Mandelsztam?

Kiedy nie mogłem wykrztusić odpowiedzi, cisnął mi w twarz najbardziej soczyste słowa z epigramu: „palce tłuste jak czerwie... karalusze wąsiska... hałastra cienkoszyich wodzów”. Ostatnie dwa wersy wyrecytował z pamięci.

- „Miodem kapie każda nowa śmierć na szeroką osetyńską pierś”.

Christoforowicz podszedł do stołu.

- Powiadają, że umiejętnie interpretujecie poezje. Kto, waszym cenionym zdaniem, jest góralem kremlowskim? Kto ma szeroką osetyńską pierś?

Trzymając spodnie w pasie zdrętwiałymi palcami, czując, jak buty bez sznurowadeł zapadają się w piasek, zapierając się, by nie spaść ze stołka na pewne uduszenie, podniosłem wzrok na górującego nade mną śledczego. Usłyszałem, jak mówi: - Uspokójcie się, Mandelsztam. Musieliście wiedzieć, w co się pakujecie, kiedy tworzyliście ten wywrotowy wiersz, kiedy popisywaliście się nim przed pierwszymi słuchaczami.

Wydaje mi się, że odpowiedziałem następującymi słowami: „Nie mam już szans na uspokojenie, towarzyszu śledczy, nigdy się już nie uspokoję. Doświadczam strachu w pełnym wymiarze”.

- Doskonale. To będzie o tyle korzystne, że znacznie przyspieszy mozolny zwykle proces przesłuchiwania. Rzecz w tym, żebyście uznali w nas współpracowników. Moja praca jest wyczerpująca. Kiedy przez całą noc się was przesłuchuje, nie zapominajcie, że to ja muszę zadawać wam pytania przez tę noc. Przez całą noc i kolejne noce, aż nie dość, że uznacie swoją winę, to jeszcze podacie mi nazwiska tych, którzy słyszeli ten wiersz.

- W jaki sposób taki przestępca spośród ludzi kultury jak ja mógłby współpracować ze śledczym do spraw kultury?

- Moglibyśmy iść wzajemnie na ustępstwa.

- Nie ma szans na ustępstwa w ogrodzie pełnym chwastów. Sam Stalin wydał dekret,

że są tylko dwie możliwości: albo jesteś z nami, albo przeciwko nam. - Myśląc o Nadzieździe, dodałem: - Jestem gorliwym wyznawcą ustępstw. Gdyby Stalin zostawił srebrnik kompromisu, rzuciłbym się na szansę przeżycia tych kilku lat, jakie dzięki temu by mi jeszcze zostały.

- To, co Stalin powiedział, jest jedynie stylistyczną figurą, sloganem, który ma zmobilizować oddziały do walki klasowej. Tu jest sanktuarium Łubianki, tu jest miejsce osiągnięcia kompromisu, gdzie wy i ja możemy się spotkać, Mandelsztam. My, bolszewicy, nie jesteśmy prymitywami z upodobaniem do niszczenia dla samej przyjemności niszczenia. Jesteśmy budowniczymi. Próbujemy dokonać czegoś, czego nie próbował wcześniej nikt inny - chcemy zbudować socjalizm, a kiedy go zbudujemy, stanie się on naszym kamieniem milowym na drodze do budowy komunizmu. Wojna, ubóstwo, nierówność, wyzysk znikną z powierzchni ziemi albo przynajmniej z tej części ziemi, której przewodzimy. Znałe jest wam dzieło dramaturga Nikołaja Pogodina? Na początku lat trzydziestych napisał doskonałą sztukę, która podsumowuje to, kim jesteśmy i co robimy. Nosi tytuł *Mój przyjaciel*. Stalin osobiście dobrze się o niej wyrażał. Sztuka opowiada o zmaganiach, jakie towarzyszą budowaniu dużej fabryki w zacofanej wsi. Bohaterowie Pogodina to zwykli robotnicy, pokonujący ogromne przeszkody, dokonujący heroiczych czynów, żeby zbudować socjalizm. My wszyscy, począwszy od towarzysza Stalina aż po skromnego czekistę, przesłuchującego wicherzycieli na Łubiance, jesteśmy zwykłymi robotnikami dokonującymi heroiczych czynów, usiłującymi stworzyć państwo działające na rzecz dobra wszystkich obywateli, a nie tylko garstki bogatych kapitalistycznych wyzyskiwaczy, którzy posiadają środki produkcji. Z pewnością rozumiecie, że aby ten szlachetny plan się powiódł, pierwszym zadaniem jest chronienie go przed sabotażystami takimi jak wy.

Christoforowicz uderzył nasadą dłoni w niewielki dzwonek. W drzwiach pojawił się strażnik, który mnie przyprowadził.

- Przemyślcie to, co wam powiedziałem, Mandelsztam. Jutro wieczorem zaczniemy od miejsca, gdzie dziś skończyliśmy. Mam nadzieję, że uda się nam znaleźć kompromis, na bazie którego będziemy mogli spokojnie współpracować.

A oto drugie przesłuchanie, a w każdym razie to, które w mojej niedoskonałej pamięci uważam za drugie przesłuchanie. Przypominam sobie, że ponownie prowadzono mnie długimi korytarzami do drzwi z numerem 23. Z jakiegoś powodu Christoforowicz nie siedział za stołem. Wpatrywałem się w zdjęcie Stalina na ścianie, na wpół przekonany, że to on tym razem osobiście będzie mnie przesłuchiwał, cały czas świadomy zwierzęcego lęku, narastającego we mnie niczym guz: strachu przed trucizną, przed uduszeniem się,

zaduszeniem, ucięciem głowy. Musiałem zasnąć na stołku, bo strażnik wykopał go spode mnie, zrzucając mnie na podłogę, na którą upadłem jak długi. Z pewnym wysiłkiem wczołgałem się z powrotem na stołek. Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem Christoforowicza wpatrującego się we mnie zza stołu.

- Czy wymyśliliście, jaki kompromis jest możliwy między śledczym do spraw kultury a przestępcą ze środowiska kultury? - zapytał.

Ogłupiałam przerażeniem, chwyciłem się brzytwy.

- To, co posiadacie, jest wcześniejszą wersją epigramu na Stalina. Drugi dwuwiersz został przerobiony. W wersji ostatecznej nie ma już „mordercy i oprawcy chłopskiego”.

Christoforowicz pchnął pustą kartkę po blacie stołu razem z wiecznym piórem. Dał mi znak, że bym przysunął się ze stołkiem.

- Napiszcie własnoręcznie ostateczną wersję tego wiersza - polecił mi.

W głowie miałem natłok scenariuszy. Czy aby na pewno ludzie zostawiający niedopałki w popielniczce założyli urządzenia podsłuchowe w ścianach naszego mieszkania? Czy nagrali deklamację pierwszej wersji Nadieńce i Zinaidzie? Czy słyszeli, że zgodziłem się spisać ją dla Zinaidy, żeby mogła się jej nauczyć na pamięć? Czy aresztowali ją i przejęli ten obciążający dowód, zanim ta biedna dziewczyna zdążyła go zniszczyć? Czy Nadieńka i Zinaida nie kulą się teraz ze strachu w czeluściach Łubianki? W chaosie myśli i uczuć jedna rzecz wydawała mi się jasna: fakt, że Christoforowicz wejdzie w posiadanie oryginału epigramu, będzie oznaczał, że przestanę mieć szansę na ocalenie. Ale nadal istniała nadzieja, że uratuję Nadieńkę i Zinaidę razem z innymi, którzy słyszeli epigram. Pochylając się nad stołem, napisałem wiersz ze zmienioną wersją drugiego dwuwiersza.

A w półsłówkach, półtrozmówkach naszych

Cień górala kremlowskiego straszy.

Christoforowicz wyrwał mi z ręki nową wersję i przeczytał uważnie. Kiedy skończył, na jego ustach pojawił się, jak bym to określił, uśmiech zadowolenia z siebie.

- Ale to wszystko zmienia, Mandelsztam. Bez „mordercy i oprawcy chłopskiego” cała rzecz jest znacznie lepiej wyważona. Choć nadal mamy do czynienia z „karaluszymi wąsikami” i choć wciąż „miodem kapie każda nowa śmierć na szeroką osetyńską pierś”. Z tą zmianą jednak może i będzie dla was cień nadziei, jeśli...

Był wyrafinowanym śledczym. Każdy przyznałby z podziwem, że po mistrzowsku zawiesił w powietrzu między nami to „jeśli”.

- Jeśli? - powtórzyłem.

Wzruszył ramionami.

- Wymienicie bezwzględnie nazwiska. Jeżeli to dla was jakaś pociecha, zapewniam, że mamy je wszystkie - wiemy, komu wyrecytowaliście ten wiersz, znamy różne reakcje tych ludzi. W sytuacji jednak, gdy te dowody będą pochodziły od nas, wy pograżycie się jeszcze bardziej jako ten, który odmówił złożenia zeznań. Jeżeli chcecie to i owo naprawić, złagodzić wymiar przestępczego czynu, współpracujcie, podajcie nazwiska.

- Jednostka obdarzona poetyckim talentem ma święty obowiązek nie zdradzać tego talentu - odpowiedziałem.

Christoforowicz uśmiechnął się jedynie.

- Osoba obdarzona poetyckim talentem ma święty obowiązek pozostania wśród żywych i kultywowania tego talentu.

Przesłuchanie trwało dalej przez noc. Christoforowicz przekonywał i schlebiał mi, nakłaniał i straszył; w którymś momencie poinformował mnie, że Nadienka i Zinaida zostały aresztowane jako współuczestniczki spisku mającego na celu obalenie Stalina i są przesłuchiwane w innej części Łubianki. Oskarżył mnie o egoistyczne wystawianie ich życia na niebezpieczeństwo, podobnie jak wszystkich innych, którym wyrecytowałem epigram. Rozdrażniony moją odmową podania nazwisk, wezwał olbrzymiego Uzbeka o zdeformowanym nosie, aby przykuł mnie za nadgarstki do żelaznych klamer wmontowanych w ścianę. Od razu zemdlałem ze strachu. Kiedy się ocknąłem, sanitariuszka osłuchiwała mi serce stetoskopem i kręciła głową.

- Jeśli nie chcecie, żeby wam tu umarł, radziłabym odłożenie przesłuchania i pozwolenie mu na kilka godzin snu, towarzyszu śledczy.

Kiedy przyszedł strażnik, żeby odprowadzić mnie do celi, dostrzegłem różane smugi świtu, wsączające się przez okno w miejscu, gdzie zasłony nie zachodziły na siebie. Gdyśmy minęli ostatnie stalowe drzwi, znalazłem się w moim bloku. Strażnik zostawił mnie, żeby pożyczyć ogień od klawisza. Stojąc z plecami przy ścianie, gdzie, choć zabrzmiało to nieprawdopodobnie, ktoś przymocował kartki z jakiegoś magazynu z portretami generałów, którzy pokonali Napoleona, odniosłem wrażenie, że słyszę lament kobiety - dźwięk dochodził spod drzwi celi oddalonej od mojej o dwa pomieszczenia. A potem, dobry Boże, usłyszałem bez wątpienia głos Nadienki - najwyraźniej pocieszała drugą kobietę. Było to przelotne wrażenie, wywołane bardziej intonacją niż samymi słowami. Ale jej głos rozpoznałbym wszędzie. Już w celi uklęknąłem obok Fikrita i wyszeptalem mu do zdrowego ucha: - Słyszeliście kobiece jęki?

- Słyszałem - odpowiedział. - Kiedy przycisnę zdrowe ucho do ściany słyszę, jak moja Agrippina wyplakuje sobie oczy, słyszę, jak powtarza raz za razem: „Fikricie, Fikricie, w co ty nas wpakował?” Kiedy Sergo jeszcze mógł mówić, ostrzegał mnie, że odtwarzają nagrania kobiecych głosów, żeby osłabić nasz opór. Ale ja już się nie opieram i nadal słyszę jej szloch. To nie jest nagranie. Nie ma co do tego wątpliwości - tak jak ja, ona też jest więźniem Łubianki.

Poczołgałem się do mojej części celi, zwinąłem w kłębek i zapadłem w sen tak płytki, że co kilka minut budziło mnie walenie w drzwi, którego tak naprawdę nie było. Śniło mi się, że jako lunatyk przechodziłem przez mury, ale zacząłem się tak strasznie bać utknięcia w ścianie, że zmusiłem się do obudzenia, albo tak mi się przynajmniej zdawało. Nie byłem pewny, czy śpię, czy śni mi się, że się obudziłem, czy rzeczywiście się zbudziłem, kiedy sikałem do wiadra. Odgłos sikania i smród dochodzący z kąta Serga wydały mi się wystarczająco realne, abym uznał, że jednak nie śnię. Widząc, że obaj, Fikrit i Sergo, śpią głęboko, sprawdziłem, czy skórzana klapka zakrywa judasza w drzwiach, a potem przeszedłem do ściany, chcąc przytknąć do niej ucho. Powodowany impulsem napałem na nią i przeszedłem przez mur do sąsiedniej celi. Dwóch więźniów, jeden stary, z gęstymi siwymi włosami, opadającymi mu na obojczyk, drugi młody, przedwcześnie wyłysiały, z kocem narzuconym na ramiona, grało w szachy na betonowej posadzce maleńkimi figurami zrobionymi z kawałeczków mydła.

- Szach - oznajmił starzec triumfalnie, przesuwając wieżę paznokciem.

- Ach - odpowiedział jego przeciwnik. - Tego nie przewidziałem.

Chrząknąłem, żeby zwrócić na siebie ich uwagę. Obaj podnieśli wzrok.

- Wybaczcie, że przerywam wam partię - odezwałem się.

- Jeśli szukacie kobiet - powiedział młody człowiek - to są jedną celę dalej. - I wskazał przeciwną ścianę kciukiem pozbawionym paznokcia.

Zacząłem mu dziękować, ale wrócił do gry i skupił się na tym, jak ratować króla.

Patrzyłem na nich przez chwilę, nie rozumiejąc, jakim cudem znalazłem się w tej celi, i nie wiedząc, jak się z niej wydostać. A potem, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie, przeszedłem przez ścianę, którą wskazał młody więzień, i znalazłem się w mniejszej celi, oświetlonej żarówką tak słabą, że widać w niej było żółty żarnik. Kiedy oczy przywykły mi do gęstego mroku, zarysy dwóch podświetlonych sylwetek odcięły się od niego niczym zęby. Nadienka i Zinaida spały, objęte ramionami. Nadienka miała na sobie sukienkę, w którą była ubrana w noc mojego aresztowania, Zinaida zaś muślinowy kostium w kolorze złamanej bieli, w którym występowała w *Trzech siostrach*. Upadłem na kolana przed Nadienką. Wyczuwając

czyjąś obecność, poruszyła się. Otworzyła oczy i wpatrywała się we mnie, przerażona. Położyłem palec na jej ustach, żeby nie krzyczała.

- Jak, do diaska, się tu dostałeś? - zapytała stanowczo.

Usłyszałem własny głos: - Nie uwierzysz mi, jeśli ci powiem, dlatego lepiej będzie, jeśli ci nie powiem, chyba że weźmiesz mnie za szalonego kapelusznika. Kiedy cię aresztowano?

- Podczas rewizji w mieszkaniu znaleźli wiersze schowane w czajniczku; ta Świnia Siergiej Piotrowicz musiał im zdradzić tę kryjówkę. Kiedy stwierdzili, że to moje pismo, od razu mnie aresztowali.

- A Anna Andriejewna?

- Anna została w pokoju, kiedy mnie zabierali. Nie wiem, co się z nią stało.

- A kiedy aresztowali Zinaidę?

- Przeszukali jej mieszkanie, kiedy była w teatrze, i znaleźli epigram. Biedna mała paskudnie się czuje ze świadomością, że go nie zniszczyła. Zjawili się w teatrze i aresztowali ją między aktami. A ponieważ nie było dublerki, przedstawienie odwołano. - Nadienka wzięła moją dłoń i przytuliła policzek do jej grzbietu, a ja poczułem łzy płynące jej z oczu. - Och, Osja, co teraz zrobimy?

Z powodu powstałego zamieszania Zinaida drgnęła i również się obudziła. Kiedy zobaczyła, że to ja, wybuchnęła płaczem.

- Nigdy, przenigdy sobie nie wybaczę, że nie podarłam epigramu - zdołała wydukać między szlochami wstrząsającymi jej ciałem.

Kiedy opadły pierwsze emocje, jakie wywołał mój widok w celi, w Nadienke, zgodnie z jej charakterem, odezwał się praktycyzm.

- Jesteś przesłuchiwany? - zapytała. I nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: - To musi być ten, którego nazywają Christoforowiczem. Powiadają, że to śledczy zajmujący się przestępstwami w sferze kultury Torturowali cię? Zrobili krzywdę?

Powiedziałem Nadienke o tym, jak odczytał pierwotną wersję epigramu; jak napisałem zmienioną wersję bez obraźliwych wersów, o których usunięcie prosił mnie Pasternak; jak wreszcie wszystko zaczęło się sprowadzać do kwestii wyjawienia nazwisk ludzi znających epigram, czego jak do tej pory odmawiałem.

- Ależ oni na pewno wiedzą, kto słyszał epigram - powiedziała Nadienka.

- Zainstalowali mikrofony w waszych ścianach - wyszeptała Zinaida. - Będą mieli nagrania wszystkiego, co powiedzieliśmy. - Przyszła jej do głowy straszna myśl. - Będą mieli nagrania wszystkiego, co r o b i l i ś m y.

Nadieżka obróciła się ku niej.

- Gdyby zamontowali mikrofony w ścianach, aresztowaliby naszą trójkę wiele miesięcy temu, żeby zdusić sprawę w zarodku. Zjawiliby się w Domu Hercena i aresztowali Mandelsztama rankiem, kiedy wyrecytował nam epigram. Nie było żadnych mikrofonów, co oznacza, że musimy wymyślić jakąś historyjkę, którą łykną. - Sięgnęła do mojej głowy i przyciągając ją do siebie, oznajmiła stanowczym tonem: - Posłuchaj mnie, Osja. Musisz podać te nazwiska. Musimy sprawiać wrażenie naiwnych intelektualistów, którzy pobłądzili i są gotowi to naprawić. To nasza jedyna szansa.

- Jak mógłbym zrobić Achmatową? Jak mógłbym zrobić Pasternaka i pozostałych?

- Powiesz, że wyrecytowałeś im epigram bez ostrzeżenia, czego będą słuchali. Powiesz, że wszyscy zareagowali jak Pasternak - przerażeniem. Nakłamiesz, że każdy, kto usłyszał epigram, był zbulwersowany samym pomysłem szkalowania wielkiego Stalina. Wszyscy jak jeden usiłowali nakłonić cię do zniszczenia epigramu. To im powiesz. - Nadieżka dotknęła czołem mojego czoła. - Potrafisz to zrobić, Osja. Musisz to zrobić, dla własnego dobra, dla dobra nas wszystkich. Musisz im dać, czego chcą.

- Nadieżka ma rację - błagała Zinaida. - Proszę, proszę, współpracuj z władzami, żebyśmy ocalili życie.

I tak wymieniłem nazwiska. Byłem kłębkim nerwów - nie co dzień przechodzi się przez ściany - i zacząłem mówić tak raptownie, że Christoforowicz miał problem z nadążaniem za moimi zeznaniami. Wezwał stenografa i kazał mi zacząć wszystko od początku. Chciał nazwisk - dałem mu nazwiska.

- Nadieżka Jakowlewna, najlepszy przyjaciel, towarzyska życia, żona, jak Majakowski, gorliwa zwolenniczka bicia jaj, żeby zrobić omlet, była pierwsza z jedenastu. Jak zareagowała? Jeszcze nigdy wcześniej nie była tak bliska wyrzucenia mnie z mieszkania. Czysta głupota, krzyczała, obraza dla inteligencji każdego, kto by to usłyszał, bo cały świat wie, że Stalin jest pierwszy pomiędzy równymi, jest kimś, kto przewodzi kolegalnie. Zinaida Zajcewa-Antonowa, aktorka teatralna, miłośniczka poezji, przyjaciółka, była druga. Niedobrze się jej zrobiło, gdy usłyszała, że mogłem upaść na tyle nisko, by zniesławiać kogoś tak wspaniałego i jednocześnie skromnego jak Stalin. Pasternak zagroził, że zerwie naszą długoletnią i bliską przyjaźń, jeśli nie zniszczę tego skandalicznego epigramu. Co do Achmatowej, to myślałem, że zwymiotuje na podłogę w pokoju, gdy go usłyszała. Upierała się, że to w ogóle nie jest wiersz, tylko polemika, polityczna dyskusja, i to zupełnie nietrafiona, jako że Stalin nie ma żadnych związków z Osetią i jest powszechnie szanowany, nawet przez politycznych przeciwników, za swoją szczerą i idealizm. Tak samo było w

przypadku Siergieja Piotrowicza, którego nazwisko uleciało mi z głowy. Podobnie z sześcioma innymi osobami, które miały pecha i zawędrowały do naszego małżeńskiego gniazdko jedynie po to, by przymusowo wysłuchać przekłętego wiersza. Oni wszyscy, poczynając od Nadieždy, przekonywali, że nie powinienem marnować talentu, zakładając, że mam jakiś, na nikczemne podszepty wicherzycieli i kontrrewolucjonistów, że zamiast tego powinienem stworzyć odę na cześć Stalina, słać jego odwagę w czasie rewolucji i wojny domowej, jego dokonania jako budowniczego socjalizmu w jedynym robotniczym państwie na świecie, jego inspirujące przywództwo, które przynosi zacofanej Rosji uprzemysłowienie i kolektywizację. Teraz widzę, że mieli rację, a ja się myliłem.

Kiedy zabrakło mi oddechu, Christoforowicz kazał stenografowi odczytać moje zeznanie. Przepisał fragmenty na kartce papieru, zanim sam przeczytał je na głos.

- „...na nikczemne podszepty wicherzycieli i kontrrewolucjonistów”. To są wasze słowa.

Nie miałem pojęcia, do czego zmierzał, więc kiwnąłem jedynie głową z wahaniem.

- Co doprowadza nas do sedna waszego przestępstwa, Mandelsztam. Po pierwsze jednak chcę wiedzieć, kto popychał was do napisania tego epigramu? Kto wam kazał recytować go tylu ludziom, ilu tylko zdołacie zgromadzić, w nadziei, że jego trucizna się rozprzestrzeni? - Wyciągnął kolejną stronę z akt i przeczytał: - „...rozniesie się szerokim echem po kraju niczym kręgi na zastanej wodzie po wrzuceniu kamienia”.

Szczęka musiała mi opaść. Christoforowicz zarżał z radości, widząc moje zaskoczenie.

- Zakładam, że rozpoznajecie własne słowa. Jak pewnie zdążyliście się już domyślić, młoda kobieta, pchająca wózek za wami tamtego dnia w Moskwie, była wyposażona w mikrofon kierunkowy i nagrała wszystko, co powiedzieliście. - Towarzysz śledczy przeczytał nagłówek strony. - Zapis rozmowy pomiędzy Mandelsztamem, Pasternakiem i Achmatową, czwartek, dwunasty kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku. Moskiewska ulica. „Partia ogłosi święto narodowe. Komsomolcy będą go śpiewać - go, czyli wasz oszczerczy epigram - kiedy będą maszerowali do wyznaczonych zadań. Na zjeździe w Teatrze Wielkim z każdej łoży i balkonu będą go skandowali robotnicy. Młodzi ludzie, którzy zestarzelili się przed czasem ze strachu, będą tańczyli na ulicach z radości. To będzie koniec Stalina”. Nie ma wątpliwości, że tylko ktoś z władz bolszewickich był w stanie zasugerować wam, jak partia, jak komsomolcy, jak delegaci na zjazd w Teatrze Wielkim zareagują na upadek Stalina. Czy to Kamieniew, a może Zinowiew, obaj zresztą wyrzuceni z partii jako trockiści w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym roku? Czy chodzi o to ścierwo,

Rykowa, który spiskuje przeciwko Stalinowi od śmierci Lenina? A może „ulubieniec partii”, wspaniały Bucharin, usunięty z politbiura, bo skumał się z wrogami Stalina, krytykującymi rewolucyjną - w miejsce ewolucyjnej - kolektywizację? W końcu istnieje długa lista działań Bucharina jako waszego anioła stróża, począwszy od uwolnienia waszego brata z więzienia, przez załatwienie wam mieszkania i kartek żywnościowych, i miesięcznej renty za dokonania na polu rosyjskiej literatury, a nawet doprowadzenie do zawarcia umowy na wydanie waszych przyszłych dzieł, za co wam zapłacono, ale niczego nie opublikowano. Lista przysług, jakie wyświadczył wam Bucharin, jest długa jak wasze ramię: użył swoich wpływów, żebyście dostali pozwolenie na podróż na Krym, pociągnął za odpowiednie sznurki, żeby doprowadzić do publikacji fragmentów waszej prozy, zaproponował nawet wam i waszej żonie wizy wyjazdowe z Rosji w połowie lat dwudziestych, z czego, co się wam chwali, nie skorzystaliście. Szkoda. Może nie znaleźlibyście się w sytuacji, w jakiej jesteście dzisiaj, gdybyście zdecydowali się na emigrację. Czy to Bucharin zasugerował, że dobrą zapłatą za te wszystkie przysługi byłoby rozpropagowanie wiersza oczerniającego Stalina? A może sam arcyzdrajca Trocki natchnął was do napisania tego epigramu?! Właściwie im więcej o tym myślę, tym większego nabieram przekonania, że „kręgi na zastalej wodzie” to wyrażenie, które z pewnością poruszyłoby umysł tak wynaturzony, jakim dysponuje Żyd Trocki. To przecież on kierował grupą sabotażystów, którzy wrzucali tłuczone szkło do worków z mąką. Kazał mechanikom dolewać wody do paliwa lotniczego. Zachęcał kułaków, by raczej zabijali trzodę, niż odstawiali zwierzęta do kolchozów. A zapewne zniżyłby się też do wichrzycielstwa psychologicznego i popchnął naiwnego poetę do rozprzestrzeniania trucizny o Stalinie niczym „kręgów na zastalej wodzie”.

- Nikt mnie do niczego nie popychał - upierałem się. - Pomysł mówienia prawdy pochodzi ode mnie.

- Na pewno nie oczekujecie, że w to uwierzemy. Jesteście intelektualistą. Nie macie cech kontrrewolucjonisty - Christoforowicz zerknął na kolejny raport w aktach. - Pamiętacie chyba, co powiedziała tamta dziewczyna w stołówce dla motorniczych tramwajowych w styczniu? „Kiedyś, dawno temu, był taki poeta”. Może właśnie w tamtej chwili, gdy was obrażono, ktoś szepnął wam do ucha: „Jako poeta wypadliście poza literacki horyzont. Jeśli puścicie w obieg oszczerzy wiersz o Stalinie, wasza gwiazda wzejdzie - uznają was za jednego z wielkich rosyjskich poetów”. Kto wam szeptał do ucha? Kto zorganizował ten spisek? Tylko zeznanie może was uratować.

- Nie stworzyłem tego wiersza, żeby zwrócić na siebie uwagę. Nie należę do żadnego spisku. Jestem poetą, nie spiskowcem. Nie wiedziałbym, jak działać w konspiracji.

- Manipulowano wami, Mandelsztam, teraz na pewno to rozumiecie. Musicie wskazać osobę lub osoby, które zapoczątkowały ten kontrrewolucyjny plan. Wasze zeznanie, podanie nazwisk, nie będzie warte papieru, na którym je spisano, dopóki nie określicie podżegaczy. - Zaczął chodzić za moimi plecami i mówić do mojego karku: - Spójrzcie, w jakie tarapaty was wpakowali. Was, waszą żonę i waszą kochankę. Pasternaka, Achmatową i całą resztę. Zdrajcy, którzy was do tego popchnęli, nie dbają o to, co się z wami stanie. Dlaczego chronicie szumowiny? Nic im nie zawdzięczacie. Ocalcie się. Ocalcie Nadzieję i innych od losu gorszego niż śmierć: powolnego konania, kiedy wisi się na krótkiej linie, upozorowanego utonięcia w wannie w pralni, uduszenia w szczelnie zamkniętej celi, wystawiania nago przez wiele dni na mrozie, połamania któregoś dnia wszystkich kości, czego doświadczył Sergo, wasz kolega z celi. Podajcie nazwisko prowodyra.

Zbierając w sobie resztki gniewu, jaki jeszcze został w moim rozdygotanym ciele, powiedziałem: - Twierdzicie, że jesteście budowniczymi, ale w ostatecznym rozrachunku jesteście tylko oprawcami.

Towarzysz śledczy poczuł się straszliwie obrażony.

- Mój biedny Mandelsztamie, nie jesteście oprawcami. W tradycji czekistów tortury są koniecznością, śledztwo musi wstrząsnąć sumieniem.

Pomyślałem, że uda mi się znaleźć ryse w jego logice.

- Jak śledztwo może wstrząsnąć sumieniem, jeśli wy nie macie sumienia?

- Dokonujecie błędnej oceny, Mandelsztam. My, bolszewicy, żyjemy sumieniem. Wyznajemy zasadę, że cel uświęca środki. A jako że celem w naszym przypadku jest zbudowanie komunizmu, nasze sumienie podpowiada, że wszelkie środki, jakiegokolwiek środki, są usprawiedliwione.

Zrozumiałem, do czego zmierzał Christoforowicz: chciał, żebym przyznał, jak Fikrit z mojej celi, że należę do antybolszewickiej trockistowskiej organizacji. Chciał publicznej rozprawy sądowej. To jasne, że moje zeznanie miałyby większy oddźwięk niż niewykształconego srebrnego medalisty z mistrzostw w Wiedniu w 1932 roku. Ale podanie nazwisk ludzi, którzy rzeczywiście słyszeli mój smutny, krótki epigram, to zupełnie co innego niż wymyślenie jakiegoś spisku w celu wykorzystania go podczas pokazowych procesów, które, zgodnie z pogłoskami, przygotowywano Zinowiewowi i Kamieniewowi, Bucharinowi, mimo estymy, jaką się cieszył u większości bolszewików, i samemu Trockiemu, gdyby udało się Stalinowi zwabić go z powrotem, jak Gorkiego, z emigracji. Dlatego trzymałem się swojej wersji wydarzeń, która była przecież prawdziwa, choć nie miało to żadnego znaczenia w *purgatorio*. Christoforowicz nie zamierzał ustępować. Kojarzył mi się z upartym kochankiem,

który odmawia uznania odpowiedzi na „nie”, a zarazem jest rozczarowany, słysząc, „tak”, bo to skraca przyjemność płynącą ze złamania czyjejś woli. Cechowała go wytrzymałość maratończyka. W końcu przetrzymywał mnie godzinami, obiecywał, że państwo będzie pobłażliwe dla mnie i moich bliskich, jeśli będę zeznawał przeciwko wskazanym podżegaczom, straszył egzekucją, jeśli nie dam mu tego, czego żądał - czego, jak teraz przypuszczam, potrzebował do rozkwitu swojej kariery.

Wiem, że zdaniem Nadienki wspomnianie tamtego epizodu ma działanie terapeutyczne w takim sensie, iż rzuca światło na wszystko, co wydarzyło się potem. Osobiście nie jestem przekonany, by to służyło czemuś pożytecznemu. Co można zyskać ponownym przeżywaniem egzekucji? Do dziś jestem zdumiony, że nie zastrzelili mnie od razu po przywiezieniu na Łubiankę. Przy każdym wyprowadzaniu z celi na wprost spodziewałem się, że idę na śmierć - słyszałem pogłoski o więźniach straconych w piwnicach, które służyły kiedyś za magazyny towarzystwa ubezpieczeniowego, i odzyskiwałem oddech, kiedy winda towarowa ruszała w górę, a nie w dół. Aż do nocy... koszmarnej nocy... najsmutniejszej nocy, kiedy pojechała na dół.

Więc teraz dokonam mojej egzekucji.

Następnego wieczoru o tej samej co zawsze godzinie, kiedy zabierali mnie na przesłuchanie, w drzwiach celi zjawili się trzech prymitywnych osobników, których wcześniej nie widziałem na oczy. Dwóch wniosło do celi zwykłe drewniane krzesło i płóciennymi pasami przywiązało do niego Serga. Trzeci uniósł obcas buta nad moją porcelanową miskę i strzaskał ją na kawałki.

- Nie będzie ci już potrzebna. - Tak wyjaśnił swój czyn. Chwycił mnie za ramię i brutalnym szarpnięciem postawił na nogi, wykręcił mi ramiona za plecy i związał mocno w nadgarstkach. Fikrit, niech Bóg go błogosławi, poderwał się, jakby chciał interweniować. Strażnik położył dłoń leniwym gestem na kolbie pistoletu w płóciennej kaburze i wbijał w niego wzrok, dopóki olbrzym nie cofnął się powoli pod ścianę. Chyba udało mi się powiedzieć: „Dziękuję wam, Fikricie”, choć jest całkiem możliwe, że poruszyłem ustami, ale nie dobyło się z nich żadne słowo. Czubkiem buta popchnąłem tomik Puszkina po podłodze w kierunku kolegi z celi.

- Nie umiem czytać - powiedział Fikrit.

- To się nauczcie - powiedziałem. - Zaczniście od Puszkina. Jeśli któregoś dnia poznacie jego słowa, do końca życia nie będziecie potrzebowali czytać niczego innego.

Dwóch klawiszy wyniosło z celi Serga przywiązanego do krzesła. Popychany przez trzeciego strażnika ruszyłem ich śladem. Już w drzwiach odwróciłem się i zobaczyłem przez

ły, jak olbrzymi siłacz kłania mi się na pożegnanie do ziemi, ocierając kostkami rąk o podłogę, tak jak to robią chłopi z gór Azerbejdżanu.

Nasza niewielka grupa szła korytarzem przez kilkoro stalowych drzwi, do otwartej windy towarowej. Kiedy znaleźliśmy się w niej w pięciu, strażnik pociągnął wajchę w dół - nie, nie, muszę wszystko rejestrować, byłem tylko odzyskał oddech - a winda, mój żołądek, serce i głowa zaczęły opuszczać się głębiej w piekło.

Kiedy winda dotarła do podziemi, Christoforowicz czekał już w piwnicy o murowanym sklepieniu. Na mundur miał włożony skórzany fartuch i trzymał w ręku marynarski rewolwer o dużym kalibrze. Strażnicy wynieśli Serga z windy i postawili na środku łąty ziemi pokrytej trocinami. Zmusili mnie, żebym uklęknął obok krzesła. Widziałem, jak towarzysz śledczy, zagryzając dolną wargę, wyjął z magazynka pięć ogromnych kul, potem włożył jedną z powrotem i zakręcił obrotowym bębenkiem, jakby zamierzał grać w rosyjską ruletkę. Trzech strażników cofnęło się.

Christoforowicz zapytał: - Który chce iść na pierwszy ogień? Wiek przed urodą? Talent przed miernotą? Miejski intelektualista przed wiejskim prostakiem?

Usłyszałem Serga wykrztuszającego słowa spomiędzy opuchniętych, zaropiałych ust. „Pierdolę... Stalina”, chyba właśnie to powiedział. Christoforowicz przywołał strażników.

- Wygląda na to, że mamy tu kogoś, kto z niecierpliwością czeka na spotkanie ze swoim stwórcą, towarzysze. Nie pozwolę, by mówiono o mnie, że nie spełniam ostatnich życzeń skazanych.

Stając za krzesłem, wyciągnął na całą długość ramię z rewolwerem, przystawił lufę do nasady głowy Serga i... pociągnął... pociągnął za spust. Iglica uderzyła w pustą komorę. Sergio wydał z siebie jęk umęczenia, jakby żałował, że nadal jeszcze żyje.

- Wasza kolej, Mandelsztam - oznajmił Christoforowicz. - Zostaliście osądzeni i skazani na najwyższy wymiar kary.

- Przecież nie było żadnej rozprawy sądowej! - krzyknąłem.

- Rozprawa odbyła się bez waszego udziału.

Przycisnął mi lufę do nasady głowy i pociągnął za spust - następna pusta komora. Kolana odmówiły mi posłuszeństwa i upadłem czołem w trociny. Christoforowicz chwycił mnie za kołnierz i zmusił do wyprostowania pleców, a potem obrócił się do Serga i celując mu w kark, ponownie nacisnął cyngiel. Ogłuszający huk zawibrował pod sklepieniem piwnicy, kiedy krzesło i przywiązane do niego ciało przewróciły się na bok. Pomyślałem, że wielu więźniów zastrzelono jednocześnie w innych częściach podziemia, bo dźwięk powrócił echem z różnych stron. Strzępy mózgu i krew zachlapały mi koszulę.

- Wierzycie w coś, Mandelsztam? - zapytał natarczywie śledczy, wkładając następną kulę do komory i kręcąc magazynkiem.

Musiałem odpowiedzieć, że tak, bo spytał: - A w co?

- W poezję.

- Poezja was nie ocali - powiedział, dociskając lufę do mojego karku.

Poczułem ciepły strumień uryny moczący mi spodnie, kiedy on... och, Jezu... kiedy pociągnął za tę rzecz, za cyngiel. Musiałem usłyszeć głucho uderzenie iglicy o spłonkę, bo zwymiotowałem na trociny pod kolanami. Całą wieczność zabrało mi uświadomienie sobie, że skoro rzygam, to żyję. Christoforowicz i strażnicy zaczęli chichotać, początkowo cicho, potem głośniej, aż zanieśli się hałaśliwym śmiechem, a echo niesło go po sklepionej piwnicy tak samo, jak niesło po wystrzale, który położył kres cierpieniom Serga.

- Macie większe szczęście od Serga - zdołał powiedzieć Christoforowicz. - Zabierzcie go z powrotem do celi. Spróbujemy innej nocy.

Co się działo w mojej głowie w chwili egzekucji? Powszechnie mówi się, że wtedy całe życie przesuwa się człowiekowi przed oczami. Ale w moim przypadku tak się nie stało. Zmuszałem się do przywołania obrazu żony, ale nie mogłem sobie przypomnieć jej wyglądu. Mimo usiłowań wyobraźnia nie kreowała erotycznej wizji. Zmagałem się, by wywołać z pamięci jakiś wers, jakikolwiek wers z jednego z moich wierszy, ale zawiodły mnie słowa. W głowie miałem pustkę. Wysiłem się, żeby przypomnieć sobie jedną linijkę z *Boskiej komedii*, i nic. Nie wiedziałem nawet, kto ścierał znamiona z czoła Dantego. Mózg wyzbył się myśli; myśli zostały usunięte w cień przez strach, jakby komórki w płatach mózgowych rozbiegły się w panice, żeby zejść z drogi obcemu obiektowi, który miał się wedrzeć do ich ula.

Nie potrafię opowiedzieć, co się działo po mojej fingowanej egzekucji. (Dopiero teraz rozumiem, że nie miał zamiaru mnie zabijać, a chciał jedynie złamać). Są w tej opowieści dziury, których żadne natężenie skupienia nie jest w stanie wypełnić. Po jakimś czasie od powrotu do celi - nie wiem, czy po dniu, czy po godzinie - spróbowałem podciąć sobie żyły odłamkiem porcelanowej miski. Fikrit powstrzymał mnie, kiedy dydoliłem nadgarstek. Oderwał kawałek tkaniny od dołu mojej koszuli i zabandażował ranę, która choć nie była głęboka, bardzo bolała. Co dziwne, ból stał się dla mnie źródłem radosnego nastroju. Przypomniałem sobie, jak matka powiedziała mi kiedyś - gdy poparzyły mnie pokrzywy gdzieś nad jakimś jeziorem niedaleko Warszawy - że nic bardziej od bólu nie uświadamia nam, że żyjemy. Kulenie się w kącie celi na Łubiance, w koszuli poplamionej mózgiem Serga, miało niewiele wspólnego z tym, o czym myślała matka, gdy mi mówiła o korzyściach

płynących z bólu; a jednak musiałem przyświadczyć tej straszliwej prawdzie: byłem przeszczęśliwy, że żyję.

Chyba trwałem w tym euforycznym stanie przez wiele dni, bo nawet jeśli zabierano mnie na przesłuchania albo egzekucje, zupełnie ich nie pamiętam. To dziwne, czego dokonuje mózg poddany stresowi. Pamiętam, że przez bardzo długi czas wpatrywałem się w moje buty, zdumiony brakiem sznurowadeł. Pamiętam, że oglądałem uważnie odłamki porcelanowej miski leżące na podłodze celi i usiłowałem wyobrazić sobie, jak wyglądał ten przedmiot przed stłuczeniem. Pamiętam, że kiedy Fikrit wręczył mi nieśmiało niewielką książeczkę, zastanawiałem się, co ciężarowiec analfabeta robił z tomikiem Puszkina. Gdy odzyskałem zmysły, czy raczej to, co z nich zostało, siedziałem okrakiem na stołku z krótszymi przednimi nogami w gabinecie Christoforowicza. Nie miałem pojęcia, ile czasu upłynęło od mojej egzekucji. Towarzysz śledczy, przymuszony skurczami brzucha, wyszedł w trakcie przesłuchania do ubikacji, zostawiając mnie samego ze Stalinem, tak wyjątkowo realistycznym na zdjęciu wiszącym na ścianie za stołem, że niemal spodziewałem się usłyszeć jego głos. Nie wiem, jak długo tak siedziałem, porzucony w ogromnym pokoju z plisowanymi zasłonami na oknach, budzikiem i resztkami kolacji na stole, wpatrzony w Stalina. Od dawna już zgadzałem się z opinią, że tak czy inaczej charakter człowieka jest wypisany na jego twarzy. Jak większość rosyjskich intelektualistów byłem zafascynowany Stalinem i zastanawiałem się, jaki był pod maską. Wyobraziłem sobie rozmowę z nim, podczas której jego pewność siebie pozwoliłaby mi zrozumieć, co zmieniło go w rzeczywistego paranoika (moja diagnoza, czysto intuicyjna, niepoparta medycznymi dowodami), uważającego, że na wszystkich ciąży jakaś wina. Pasternak i ja bez końca drążyliśmy ten temat, a Borysa rozśmieszały do łez biograficzne szczegóły, którymi wypełniałem historię Soso Dżugaszwilego. Czy burzliwe dzieciństwo w Gori odcisnęło na Stalinie niezatarte piętno? A może napady na banki, jakie przedsiębrał, żeby zdobyć pieniądze dla bolszewików? Albo kilkakrotne zsyłki do mroźnej tundry pod kołem polarnym? Albo wyjątkowo okrutne przeżycia z czasów wojny domowej, a może śmierć (mówi się, że to było samobójstwo) młodej żony półtora roku wcześniej? Intensywne wpatrywanie się w twarz Stalina nie przyniosło żadnych odpowiedzi. Nie da się wyczytać zbyt wiele z oficjalnych portretów lub zdjęć Stalina, bo starannie je retuszowano, żeby usunąć dzioby po ospie, dodać rumieńce na policzkach i zaprawić dobroduszością cień uśmiešku, igrającego mu na ustach. Rozejrzałem się wokół, by zyskać pewność, że jestem sam w pokoju, a potem, okrążywszy stół, podszedłem bliżej, żeby przyjrzeć się twarzy Stalina. Bez wstydu przyznaję, że ciągnęła mnie do niego jakaś hipnotyczna siła, jaką wcześniej odczuwałem jedynie w relacji z

przedstawicielkami płci przeciwnej. Jego pełne dezaprobaty oczy patrzyły na mnie ze ściany karcąco. W chwilę później, choć wiem, że zabrzmi to bardzo dziwacznie, poczułem, że zdjęcie mnie zasysa, zostaję w nie wessany. W uszach podzwaniały mi niesformułowane słowa. Linijki wiersza, którego jeszcze nie napisałem, zaczęły stukać niczym pięść o okno:

*I ja do niego - w jego rdzeń
Do Kremla wszedłem jak do domu,
Stargawszy odległości len,
Z głową, pokornie pochyloną²⁹.*

Prawie nie śmiałem otworzyć oczu. A kiedy to zrobiłem, poczułem się zagubiony w mroku wygłuszającym wszelkie dźwięki, stopniowo rozpraszającym się, jak gęsta poranna mgła, i dopiero wtedy odkryłem, że jestem w połowie wąskiego korytarza. Na ścianach po obu stronach wisiały portrety generałów, którzy pokonali Napoleona, każdy podświetlony niewielką lampką umocowaną do złoczonej ramy. Opuszkami palców dotknąłem jednej ze ścian. Robiła wrażenie zimnej i wilgotnej. Pod stopami wyczuwałem miękkość grubego dywanu. Domyśliłem się, że są dwie możliwości: albo sobie tego nie wyobraziłem, albo wyobrażałem sobie, że sobie tego nie wyobraziłem. Na końcu korytarza, po dwóch stronach niskiego stolika siedziało dwóch mężczyzn w dopasowanych europejskich garniturach i grało w malusieńkie szachy z gliny. Starszy z nich, o gęstych siwych włosach sięgających obojczyka, wydał mi się jakby znajomy.

- Mandelsztam? - zawołał, przywołując mnie machaniem ręki.

Musiałem mieć zdziwioną minę, bo drugi mężczyzna, młodszy od pierwszego i przedwcześnie wyłysiały, powtórzył to pytanie.

- Jesteście Mandelsztam?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

- Nie mam przepustki do Kremla - powiedziałem.

- A dlaczego uważacie, że jesteście na Kremlu? - dopytywał się młodszy.

- Wiadomo, że portrety generałów, które mam za plecami - odpowiedziałem - wiszą na Kremlu.

Rozbawiony moją amatorską robotą detektywa, wyjął z szafy na dokumenty terminarz spotkań i przesuwał palcem po liście nazwisk. Przy jednym z nich postawił ptaszka.

- Nie potrzebujecie przepustki - powiedział. - Stalin was oczekuje. Przez podwójne

drzwi. Nie kłaniajcie się, nie czapkujcie ani nic w tym rodzaju. Gardzi protokołem. W końcu nie jest carem, jedynie sekretarzem generalnym partii.

Wielki mężczyzna, którego widziałem wcześniej na zdjęciach w gazecie i rozpoznałem teraz jako ochroniarza Stalina, Własika, otworzył na oścież podwójne drzwi i nie spuszczał ze mnie wzroku ani na chwilę, odsunął się na bok.

- Wejdźcie po prostu do niego, jakbyście odwiedzali zwykłego człowieka, i podajcie swoje nazwisko - poinstruował mnie. - Jeśli poda wam rękę, uściśnijcie ją.

Usłyszałem szcęk zamykających się za mną drzwi. Józef Stalin siedział w dalekim końcu prostokątnego pokoju za olbrzymim biurkiem, na którym leżały wysokie stosy książek. Całą jedną ścianę zajmowały bogato zdobione rosyjskie piece. Grube zasłony na oknie były częściowo rozsunięte, dostrzegłem nawet cebulaste kopuły cerkwi Wasyla Błogosławionego, oświetlone reflektorami przeciwlotniczymi, co oznaczało, że naprawdę, jak przypuszczałem, znalazłem się na Kremlu. Światło w pokoju pochodziło z niskiej biurkowej lampy i z lampki do czytania zamontowanej na wysięgniku nad tapicerowanym fotelem. Człowiek nazywany w kremlowskich kręgach chozjainem, ubrany w wojskową bluzę rozpiętą pod szyją i palący papierosa, podniósł się i obszedł biurko.

- Stalin - wymamrotał.

- Mandelsztam - odpowiedziałem.

- Wiem, kim jesteście - powiedział. - Wasza sława was wyprzedza.

Usłyszałem własny głos, mówiący: - A wasza ciągnie się za wami jak ślad na wodzie. - I natychmiast pożałowałem mojej beczelności. (Czy naprawdę wypowiedziałem te słowa, czy jedynie tak właśnie chciałbym się zachować?) Moja uwaga, zakładając, że ją zrobiłem, zirykowała pana tego domu.

- I to właśnie jest problem - odezwał się. - Ślady na wodzie z czasem znikają.

Spojrzał na moje buty.

- Co się stało z waszymi sznurowadłami?

- Zadaję sobie to samo pytanie - odpowiedziałem.

Uniósł brwi, najwyraźniej zdumiony, i po chwilowym wahaniu niezręcznie wyciągnął przed siebie rękę. Ja zaś równie niezręcznie ją ująłem. Z kieszeni bluzy wyjął paczkę kasek i poczęstował mnie papierosem o długiej kartonowej tutce. Zapalniczka z brązu zmaterializowała się w jego kłocowatych palcach. Ująłem go za nadgarstek i pochyliłem się, by zbliżyć koniec papierosa do płomienia. Stalin nie mógł nie zauważyć, że ręka mi się

trzęsie, ale był na tyle dyskretny, żeby tego nie komentować. Zaciągnięcie się papierosem, pierwszym od chwili aresztowania, miało rozpocząć długi proces kojenia moich zszarpanych nerwów.

- Porozmawiajmy - zaproponował, wskazując na fotel i przysuwając wiklinowe krzesło z wysokim oparciem.

Znaleźliśmy się naprzeciw siebie, niemal dotykając się kolanami.

- O czym będziemy rozmawiać? - zapytałem.

- Możecie zacząć od wyjaśnienia, jak to się dzieje, że wszyscy rosyjscy kompozytorzy i malarze, i pisarze, i poeci, poza wami, są gotowi dedykować swoje utwory Stalinowi.

- Z całym szacunkiem, ale skoro wszyscy kompozytorzy, malarze i pisarze, i poeci dedykują Stalinowi swoje utwory, moje są wam chyba niepotrzebne.

W rzeczywistości Stalin wyglądał zupełnie inaczej niż na zdjęciach. Okazał się sporo niższy od postaci z portretów, był prawie karłem. Jego lewe ramię, wyraźnie uschnięte, zwisało sztywno ze zgarbionego barku. Brzuch zaczynał mu się zaokrąglać. Twarz, pokryta dziobami po ospie i piegami, była rumiana, ale przy uważniejszym przyjrzeniu się odniosłem wrażenie, że nakładał na nią coś, co kobiety nazywają różem. Zęby miał w gorszym stanie niż ja, oczy żółte, wąsy nad górną wargą poczernione pastą do butów. Skóra łuszczyła mu się w niektórych miejscach na głowie. Czarne włosy sterczały mu z nozdrzy.

Podobnie jak poeta Mandelsztam w swym ostatnim wcieleniu, Stalin nie owijał niczego w bawełnę.

- Powiedzmy to jasno, Mandelsztam: nie boję się śmierci. Patrzyłem jej w oczy dziesiątki razy jako młody rewolucjonista, jako komisarz oskarżony o bronienie caratu w czasie wojny domowej. Nie. Ale choć n i e c h ę t n i e, to przyznaję, boję się, że ślad na wodzie zacznie zanikać po przepłynięciu mojego statku. Wysłałem całe walizy rubli ukraińskiemu szarlatanowi od odmładzania, Bohomolcowi, żeby finansować jego eksperymenty - powiada się, że jego zdaniem picie wody z lodowców powoduje, że Gruzini dożywają późnej starości - ale nie pokładam zbyt wielkich nadziei w magicznych eliksirach tego profesora. Z wodą z lodowców czy bez niej, kurtyna mojego życia opadnie.

I co wtedy? Wszystkie obiekty nazwane imieniem Stalina - czołgi, traktory, okręty wojenne, fabryki - wszystkie wcześniej czy później zniszczą albo zastąpią je nowe czołgi, nowe traktory, nowe okręty wojenne i nowe fabryki nazwane imieniem nowego sekretarza generalnego. Limuzyna, którą jeżdżę, to zis. Jak zapewne wiecie, to skrót od Zakładów imienia Stalina. Kiedy ostatni zis skończy w muzeum dawnych samochodów, ludzie zapomną, co oznaczają te litery. Ulice w miastach nazwane imieniem Stalina, a nawet miasta

takie jak Stalingrad, wróć ostatecznie do pierwotnych nazw. Gdzie zatem, pytam o to poetę Mandelsztama, gdzie mogę spodziewać się płomyka życia po śmierci? Odpowiedź brzmi: jeśli istnieje coś takiego jak nieśmiertelność, to tkwi ona w poezji geniusza.

Stalin dźgnął mnie w kolano palcem poślódkłym od nikotyny.

- Jesteście upartym capem, Mandelsztam. Wasz kumpel, Pasternak, napisał wiersz, co prawda marniutki: „Więc idź naprzód bez wahania, jak długo życia wystarczy...”³⁰. Szostakowicz skomponował całą symfonię, którą określił jako twórczą odpowiedź na celny krytycyzm Stalina, choć głowa mi pęka, kiedy zmusza się mnie do siedzenia w czasie jej wykonywania. (Kiedy teraz o tym myślę, nie wykluczam, że o to właśnie temu durniowi chodziło. Powinienem był kazać aresztować Szostakowicza za rujnowanie mi snu!) Tysiące pomniejszych poetów i pisarzy czczą Stalina w setkach języków. Nikt w Rosji nie opublikuje książki, broszury, pracy naukowej z filozofii, filologii czy astronomii lub lingwistyki bez wykazu wyszczególniającego, ile to zawdzięcza Stalinowi. Znacie *Pieśń Stalina* Chaczaturiana? - Zaczął nucić pierwsze takty wysokim głosem chłopca chórzysty, którym był nigdyś. - No, to macie teraz o tym jakieś pojęcie. - Chozjain wyjął kolejnego papierosa z paczki i przypalił go od peta, którego przed chwilą jeszcze trzymał w ustach, a potem napełnił płuca dymem. - Nie dajcie się zwieść pozorom, Mandelsztam, ta rozmowa nie jest dla mnie łatwa. Nie mam zwyczaju p r o s i ć o cokolwiek. Zwykle jest tak, że rzeczy, których potrzebuję, a jest ich niewiele, są m i o f e r o w a n e. Można by pomyśleć, że Stalin dostaje z całej Rosji wszystko, czego dusza zapagnie, z wyjątkiem waszej poezji. Pytam wprost, jak mężczyzna mężczyznę: czy taka sytuacja jest normalna?

Kiedy patrzę na to spotkanie ze Stalinem z perspektywy czasu, widzę, że byłem tak zdumiony przebiegiem naszej rozmowy, że nie potrafiłem znaleźć słów, żeby odpowiedzieć. Biorąc moje milczenie za upór, Stalin zaczął się złościć.

- Natknięcie się na kogoś, kto nie boi się sekretarza generalnego, który rządzi partią, a tym samym całym krajem, jest czymś niezwykłym. W innych okolicznościach podziwiałbym takiego człowieka. Upewnijmy się jednak, że wiecie, co jest stawką, Mandelsztam. - Odsuwając krzesło, wstał, zaszedł mnie od tyłu i zaczął mówić do mojego karku. - Czy macie pojęcie, ile waży państwo?

- Ile waży państwo?

- Ze swoimi fabrykami i tamami, pociągami i samolotami, ciężarówkami, statkami i czołgami?

³⁰ Przekład Krzysztofa Oltaka.

- Nikt nie potrafi obliczyć ciężaru państwa. To już domena astronomicznych liczb.

- Czy, waszym zdaniem, jeden człowiek może się oprzeć naciskowi tej astronomicznej wagi? Będę miał wasz wiersz, Mandelsztam. A jeśli z jakichś powodów nie będę mógł dostać waszego wiersza, zostaniecie zmiażdżeni ciężarem państwa.

Jego obcesowość zaparła mi dech w piersiach.

- Nie jestem zagrożeniem dla radzieckiego państwa - odpowiedziałem, bo tylko to przyszło mi do głowy.

Obszedł tapicerowany fotel, stanął nade mną i ssąc papierosa, wpatrywał się we mnie żółtymi oczami pełnymi złości.

- Bez wątpienia stanowicie zagrożenie dla władzy radzieckiej. Ktoś, kto odmawia podporządkowania się woli Stalina, może podporządkować się woli jego wrogów. Nie ma nic między wielbieniem ziemi, po której Stalin stąpa, a bezczeszczeniem jej.

Stalin wciągnął z powrotem wiklinowe krzesło za biurko i opadł nań, zatopiony przez chwilę w myślach.

- Więc jak brzmi wasza odpowiedź, Mandelsztam? - zapytał. - Nie mam na to całej nocy. Zrobicie, co do was należy, żeby zapewnić nieśmiertelność sekretarzowi generalnemu?

- Zrobiłbym, gdybym potrafił.

Zwęził oczy, stał się podejrzliwy.

- A co to niby znaczy?

- Nawet gdybym napisał taką odę, byłaby dla was bez wartości. Bo powstałaby z przymusu. W rzeczywistości nie znam was wystarczająco dobrze, by stworzyć coś prawdziwego, a jednocześnie zredukowanego do absolutnego minimum, bo taki właśnie musi być wiersz, jeśli ma żyć dalej po śmierci poety. Dla mnie jesteście ikoną, która przeżyje was samych, legendą, mitem, ale nie człowiekiem z krwi i kości. Nie ma sposobu, żeby umiał temu sprostać.

- Stalin jest człowiekiem z krwi i kości, jak wy. - Wyprostował się na krześle. - Ile macie lat?

- Czterdzieści trzy.

- Wyglądacie starzej. Tak się składa, że jestem od was trzynaście lat starszy, ale pomimo różnicy wieku mamy wiele wspólnego. Obaj nasi ojcowie mieli do czynienia z wyprawioną skórą - wasz handlował nią w Warszawie, mój był szewcem w Gruzji. Nie można wykluczyć, że mój ojciec robił buty ze skór dostarczonych przez waszego ojca. Wiadomo, że o wiele dziwniejsze rzeczy się zdarzały. Dodatkowo obaj interesujemy się poezją. Sam napisałem romantyczne wersy; kilka moich wierszy wydrukowałem w

gruzińskiej gazecie pod pseudonimem Soso, zanim zostałem pełnoetatowym rewolucjonistą. Ale to nie wszystko. To na pewno nie przypadek, że obaj ożeniliśmy się z kobietami, których imię, Nadieżda, oznacza po rosyjsku n a d z i e j ę - możemy mieć nadzieję w różnych sprawach, ale obaj mamy skłonność do nadziei. I, co dziwne, obaj mamy takie samo imię. W czasie jednego z moich zesłań miejscowi w Solwyczegodsku w obwodzie archangielskim zaczęli nazywać mnie Osipem, co na północy Rosji jest popularną formą zdrobnienia od Józefa. Podpisywałem się nawet jako Ekscentryczny Osip w listach miłosnych, jakie pisałem do tamtejszej uczennicy o imieniu Pelagia. Bycie rewolucjonistą, rabowanie banków na rzecz świętego dzieła proletariuszy łączyło się z pewnymi korzyściami - można się było dobierać do majątek dziewczyn.

- Bycie poetą również łączy się z pewnymi korzyściami - odpowiedziałem, choć widać było, że zatopił się we własnych myślach i nie słuchał mnie.

- Dobry Boże, to były czasy. Radosne. Niebezpieczne. Czysta zabawa. W Gori, w Tbilisi stałem się lokalnym bohaterem. Ludzie na Kaukazie szanowali mnie za to, kim jestem, a nie - machnął ręką w stronę kremlowskiego dziedzińca - za to, gdzie mieszkam. - Stalin przypomniał sobie o mojej obecności. - Coś mówiliście?

- Nie.

Pokiwał głową z roztargnieniem.

- Jezus, od lat nie myślałem o Pelagii. Pamiętam nawet jej nazwisko. Pelagia Onufriewa. Muszę kazać moim ludziom, żeby ustalili, co się z nią stało.

Pomyślałem, że może szansą na przymilenie się Stalinowi będzie pozwolenie mu, by opowiadał o sobie.

- Zesłanie na Syberię musiało być gorzkim doświadczeniem - powiedziałem.

Stalin wydmuchał powietrze przez lekko rozchylone usta.

- Określenie „gorzkie” nie jest w stanie tego oddać. Zsyłano mnie siedem razy, siedem razy przetrwałem, żeby wrócić do europejskiej części Rosji. Powiem wam, co trzymało mnie przy życiu na zesłaniu: poza życiem na kocią łapę z więźniarkami, żebyśmy mogli ogrzać się nawzajem w nocy, były tam książki. Czytanie trzymało mnie przy życiu. Za każdym razem, kiedy umierał jeden z więźniów, biliśmy się o jego książki. Zwykle wygrywałem. Moje siódme zesłanie skończyło się, kiedy przemierzyłem kraj i dotarłem do Piotrogradu, już po obaleniu cara, żeby kierować bolszewikami do czasu, aż Lenin wynegocjuje bezpieczne warunki przejazdu przez Niemcy i wróci do kraju z zagranicy. Najlepiej oddaje Syberię określenie, że to zamrożone piekło. Spróbujcie sobie wyobrazić, że wasze szczyny zamarzają, zanim uderzą o grunt. Spróbujcie sobie wyobrazić ssanie sopła zamrożonej

wódki, żeby się upić. Lato, które trwa tam mgnienie oka, nie jest o wiele lepsze przez roje komarów. Ha! Lato! W chwili gdy zmarzlina zaczynała się topić, my, mężczyźni, wczolgiwaliśmy się pod łaźnię dla kobiet i pełziliśmy tam, gdzie krople wody przeciekały przez deski, a potem przez tę kapiącą wodę patrzyliśmy do góry, żeby zobaczyć nagą kobietę, która myła się nad nami. Jeśli wypatrywało się wystarczająco długo, można było zobaczyć szparę...

- Szparę?

- Pęknięcie w kroku. Dziurkę. Pizdę, idioto. A pizdy nie są wam obce, Mandelsztam. Powiedziano mi, że niezły z was kogucik. Z akt Czeka wynika, że wasza żona to sporadycznie lesbijka, że wy i wasza żona macie oboje romans z aktorką teatralną, że czasem patrzycie na nie, a czasem ona patrzy na was dwoje, a czasem robicie to *à trois*, na francuską modłę. Sam nigdy nie jebałem więcej niż jedną kobietę naraz, ale nie dlatego, że nie miałem takiej okazji. Kilka razy próbowałem namówić moją Nadieżdę do eksperymentowania z wyzwolonym seksem w duchu bolszewickim, ale mimo jej cech rewolucjonistki - czy wiecie, że przepisywała na maszynie przemówienia Lenina przed rewolucją? - okazała się zbyt purytańska, żeby uwolnić się od burżuazyjnej definicji małżeństwa. Teraz jebię moją gospodynię, Waleczkę. Wszystko, co potrafi, ogranicza się do pozycji dawniej akceptowanej przez Kościół, w czym tkwi pewna ironia, jako że modlę się zgodnie z ewangelią Marksa.

Patrzyłem, jak Stalin nalewa z dzbanka wodę do szklanki, a potem wkrapla coś do niej z ampułki.

- Jodyna - powiedział. - Nie ufam lekarzom. Leczę kilka swoich dolegliwości dziesięcioma kroplami dziennie. Czyni cuda. - I wykrzywiając twarz w przewidywaniu paskudnego smaku, połknął zawartość szklanki. - Przy odrobinie szczęścia te opowiadki przełamają lody między nami. Może w końcu zaczniecie widzieć we mnie człowieka z krwi i kości, co zainspiruje was do napisania poważnego wiersza o Stalinie, jako przeciwwagi do błahej, lecz zdradzieckiej polemiki.

Mogłem jedynie pokiwać głową na znak, że się zgadzam. Kto mógłby wykluczyć możliwość, że poznawszy te intymne szczegóły jego życia, byłbym w stanie napisać odę do Stalina i uniknąć zmiżdżenia przez państwo?

Sięgnął do lampy na biurku i skierował jej światło na zdjęcie wiszące na ścianie pomiędzy nami.

- To ja w kondukcje pogrzebowym Lenina. Jak widzicie, co wiedzą wszyscy Rosjanie, byłem jednym z niosących jego trumnę na własnych ramionach na plac Czerwony. Była gołoledź, bałem się, że się poślizgnę i trumna upadnie na ziemię, otworzy się, a trup Lenina

wyturla się na ulicę. Nie muszę dodawać, że byłem oddany Leninowi, choć stary, jak go nazywaliśmy, bywał czasem uciążliwy. Trzeba zacząć od tego, że nie należał do najodważniejszych. Podczas gdy my robiliśmy rewolucję na ulicach Piotrogradu, on ukrywał się w szkole dla dziewcząt, gdzie mieliśmy swoją kwaterę główną. Kiedy wreszcie zdobył się na odwagę, by wyjść ze Smolnego, owinał twarz bandażem, żeby nikt go nie rozpoznał. Zdradzę wam jedną tajemnicę państwową, Mandelsztam. Mówiąc wprost, Lenin nie był za bardzo leninowski. Och, potrafił do świtu teoretyzować o proletariackiej rewolucji, ale kiedy przyszło wprowadzać teorię w życie, trząsł się jak osika. „Dwa kroki do przodu i jeden do tyłu”, to była jego definicja postępu. Lenin nie miał dość ikry, żeby zdecydowanie rozwiązać problem chłopów; trzeba było Stalina, żeby tego dokonać. Historia przyzna mi rację. Kolektywizacja, mimo sporadycznych niedogodności dla garstki wieśniaków, stanie się szczytowym zwieńczeniem mojej spuścizny.

Stalin opadł na wysokie oparcie trzcinowego krzesła, palił papierosa krótkimi sztachnięciami, najwyraźniej złapany w sieć rozpamiętywania swojego życia.

- Posłuchajcie, byłem jedynym człowiekiem w grupie najbliższych współpracowników Lenina, który miał chłopskie korzenie, jedynym działającym rewolucjonistą, który dowodził oddziałami bolszewików w walkach na ulicach, byłem przeciwieństwem kawiarnianych intelektualistów. Co czyniło ze mnie odstające od reszty dziwadło, jedno wielkie utrapienie w tej ich strukturze. Gdy chodziło o porządek dziobania, nikt nie traktował mnie poważnie. Cóż, oni wszyscy mnie nie doceniali, prawda? W tym tkwi tajemnica mojego wspięcia się na sam szczyt. Dali się zwieść mojemu gruzińskiemu akcentowi, śmiali się za moimi plecami z błędów gramatycznych, jakie popełniałem, mówiąc po rosyjsku, brali mnie za wsiowego prostaczka, który nie przetrwa w wielkim mieście. Ostatecznie wyruchanie tych wszystkich Żydów - Trockiego, Kamieniewa, Zinowiewa, a nawet Karola Marksa, Wandala, który miał pecha i urodził się jako kolejny potomek jakiegoś rabina - okazało się dziecinnie proste. Marks przewraca się prawdopodobnie w swym londyńskim grobie na myśl, że ktoś, kto tak naprawdę nie rozumie jego zasranych pierdoł, został przywódcą światowego ruchu komunistycznego. Przechytrzyłem nawet tego durnia Bucharina, który pojmuje brednie Marksa albo tylko udaje, że je pojmuje. Jak to zrobiłem? Zaczęłem od tego, że wziąłem robotę, której nikt z nich nie chciał wziąć - zgodziłem się zostać sekretarzem generalnym partii. Robiłem to, czym żaden z nich nie chciał pobrudzić rączek - spełniałem nudne, rutynowe, codzienne przykre obowiązki. Tak więc oni zajęli się teoretyzowaniem, planowaniem i stroszeniem piórek, podczas gdy ja zbudowałem aparat złożony z ludzi lojalnych wobec mnie i zabrałem się do rządzenia krajem. I jak mi się za to

odwdzięczyli? Po pierwszym wylewie Lenina otoczyły sępy, które robiły wszystko, żeby zwrócić go przeciwko mnie. Zdradzę wam kolejną tajemnicę. Dni, które poprzedziły chwilę, kiedy stary kopnął w kalendarz, wypełniało mu pisanie testamentu potępiającego Stalina za - tylko posłuchajcie! - prostackie zachowanie wobec Krupskiej, tej oślizłej glisty, która była żoną Lenina, wścieklej na mnie za to, że rozmawiałem przy niej o jego romansach z dziewczętami w biurowej hali maszyn. Nie trzeba dodawać, że zatuszowałem istnienie tego tak zwanego testamentu. Mam w biurku oryginał, napisany drżącą ręką Lenina. Nie wierzycie mi? Proszę. - Wyciągnął z szuflady kartkę papieru i machając zdrową ręką, podobnie jak ja, gdy recytuję, zaczął go czytać na głos. - „Stalin jest zbyt prostacki... Proponuję towarzyszom, by wymyślili jakiś sposób przeniesienia go ze stanowiska sekretarza generalnego na pomniejsze... i wybrali kogoś bardziej tolerancyjnego, uprzejmiejszego, mniej kapryśnego" i tak dalej, i tym podobne. Cóż, poznaliście sedno. Ja kapryśny! A to dobre. Kiedy Lenin wyciągnął nogi, Krupska groziła, że puści w obieg odpis, ale powiedziałem jej w oczy, że wyznaczę nową wdowę po Leninie, jeśli zacznie igrzać z tym testamentem. I jak łatwo się domyślacie, suka ucichła. - Stalin roześmiał się z głębi trzewi. - To, że srała do tej samej dziury co Lenin, nie dawało jej prawa wycierania sobie mną butów.

Rozdzwonił się jeden z kilku telefonów stojących na biurku. Stalin podniósł słuchawkę i przystawił ją do ucha.

- Zgoda - powiedział. - Oczywiście, że spiskowali, żeby zabić Stalina. To samo bym robił na ich miejscu. Jeśli chodzi o proces, udzielenie pozwolenia na wysłuchanie zeznań zagranicznym dziennikarzom i dyplomatom wzmocniłoby jego wiarygodność. Co do opery *Oniegin*, którą wczoraj widziałem, to niesłychane, żeby Tatiana pojawiała się na scenie w prawie przezroczystej sukience. Stalin nie wydaje żadnych poleceń, wyraża jedynie swoją opinię. Co się stało z bolszewickim poczuciem przyzwoitości? Wyślijcie pismo do reżysera mówiące, że Stalin zasłyszał uwagi o tym, jak Iwan Groźny, wielki i mądry car, wychłostał ciężarną synową za nieskromny ubiór. Niech nasi pracownicy kultury wyciągną odpowiednie wnioski. - Odkładając słuchawkę, spojrzał na mnie. - Zgubiłem wątek naszej rozmowy.

- Mówiliście o ludziach, którzy próbowali zwrócić przeciwko wam Lenina - przypomniałem mu.

- Tak, tak, to cena, jaką się płaci za sukces - Stalin podjął wątek, przypalił kolejnego papierosa od peta, którego końcówka żarzyła mu się w ustach. - Usiłowali poróżnić mnie z Leninem i niemal im się to udało. Dziesięć lat później te same kutasy knuły ponownie, usiłując zwrócić przeciwko mnie żonę. - Spostrzegłem, że samo napomknięcie o żonie obudziło w nim silne emocje. Zmarszczył brwi z bólu, zwęził oczy z irytacji. - Nasze

małżeństwo nigdy nie było, jak to mówią, usłane różami. Trzeba zacząć od tego, że byłem od niej dwadzieścia lat starszy i w jej oczach bardziej przypominałem ojca niż kochanka. Prawdę powiedziawszy, raz ode mnie odeszła, uciekła z dziećmi do Piotrogradu, ale pojechałem za nią i słodkim gruchaniem namówiłem do powrotu do domu. A potem, na początku lat trzydziestych, kiedy ruszała kolektywizacja i nikt nie wiedział, jaki obrót przybierze, Bucharin napłótl jej bzdur o głodujących dzieciach ze wzdętymi brzuchami, żebrzących na dworcach, o rozprzestrzeniającym się na Ukrainie głodzie spowodowanym przez radziecką władzę, o masowych deportacjach i zbiorowych egzekucjach. Patrząc z perspektywy czasu, uważam, że Bucharin zrujnował nasze małżeństwo. Nadieżda i ja kłóciliśmy się, bardzo rozgoryczeni. Odpierałem jej argumenty cytatami z Lenina - nie żeby on sam zgodnie z nimi postępował - o konieczności niewielkiego głodowania przez chłopów. Sztuczka polega na tym, mawiał, żeby nie stracić zimnej krwi. Chłopi opierający się kolektywizacji, którzy zaszlachtowali swoje bydło i konie i zniszczyli ziarno, liczyli na to, że stracimy zimną krew i będziemy ich karmić. Zinowiew i Kamieniew, Bucharin i Nadieżda ją tracili, ale ja ją zachowałem. Byłem tym samym Stalinem, który ryzykował własną skórę w czasie rabowania banków na Kaukazie, który zmusił defetystycznych dowódców bolszewickich do wejścia na barkę w Carycynie i zatopił ją na Wołdze, pozbywając się zdrajców i ocalając miasto przed białymi. Napięcie między mną a Nadieżdą sięgnęło szczytu na bankiecie zorganizowanym na Kremlu z okazji piętnastej rocznicy rewolucji. - Stalin pokręcił głową w poruszeniu. - To było półtora roku temu, ale mam tę scenę tak świeżo w pamięci, jakby to działo się wczoraj.

- Co się stało?

- Zorientowałem się, że Nadieżda jest w ponurym nastroju, gdy puściłem polkę na amerykańskim gramofonie. Anastas Mikojan, mój armeński kumpel z politbiura, przeszedł przez salę i wyciągnął ramiona, zapraszając Nadieżdę do tańca, ale ona ostentacyjnie odwróciła się do niego tyłem. Anastas, który z niewielkimi wąsikami à la Hitler uważał się za kogoś w rodzaju dandysa, wzruszył ramionami i ruszył do tańca z żoną Woroszyłowa, Jekatieriną. Nadieżda lekceważąco potraktowała mojego starego przyjaciela z Gruzji, Berię, czekistę odpowiedzialnego za oczyszczenie Zakaukazia z sabotażystów, kiedy próbował ją zagadnąć. Insynuowała przy jakiejś okazji, że Beria jest znany z upodobania do gwałcenia młodych sportsmenek, ale nie mam powodu, by nie uważać tego za kolejną plotkę, od których roi się na Kremlu. Pochodziłem po sali, pogawędziłem z Bucharczykiem, jak nazywam Bucharina - lubię nadawać przezwiska ludziom z mojego najbliższego otoczenia - drażniłem się z nim, mówiąc o różnicy wieku pomiędzy nim i słodką dupeczką Anną Lariną, do której się otwarcie zalecał. Pamiętam, że powiedziałem mu: „Tym razem mnie przebiłeś”, co było

aluzją do tego, że jebał kogoś jeszcze młodszego niż moja Nadieżda, kiedy ją brałem. Mimo że Anna Larina była oszałamiająco śliczna, nie mogła się równać z moją żoną, wyglądającą szczególnie pięknie tamtego wieczoru, gdy odbywało się przyjęcie. Ubrała się w czarną suknię wyszywaną różowymi perłami, którą jej brat, Paweł, przywiózł dla niej z Berlina. Miała ładnie uczesane włosy z wpiętą w nie herbacianą różą. Kiedy zmęczyliśmy się już tańcem i śpiewaniem gruzińskich pieśni, podryfowaliśmy do długiego stołu, zastawionego wazami z zupą, półmiskami z soloną rybą i jagnięciną, i oszronionymi butelkami wódki. Usiadłem pośrodku stołu obok aktorki filmowej Galiny Jegorowej, żony czerwonoarmijnego majora, który - jak dobrze się składało! - był odesłany do Azji Środkowej, gdzie zarządzał okręgiem wojskowym. Galina ubrała się na przyjęcie w jedną z tych wydekoltowanych sukienek, jakie ogląda się we francuskich magazynach. Widzieliście ją kiedyś na ekranie? Może i nie jest najlepszą aktorką, ale mogę śmiało powiedzieć, że jest cholernie dobra w łóżku. Nadieżda usiadła naprzeciwko mnie i posyłała mi zazdrosne spojrzenia za każdym razem, gdy mój wzrok podążał ku cyckom Galiny. Z jakiegoś powodu Jagoda i Mołotow zaczęli przechwalać się oszałamiającym powodzeniem kolektywizacji. Lazar Kaganowicz, komisarz do spraw kolei, wrócił właśnie z północnego Kaukazu, gdzie zajmował się przygotowaniem wagonów bydlęcych do wywozu na Syberię chłopów sprzeciwiających się kolektywizacji. Koszerowicz, jak nazywałem Łazara, żeby nikt nie zapomniał o jego izraelickich korzeniach, wyciągnął z kieszeni kartkę i zaczął czytać liczby. „Ukraina - sto czterdzieści pięć tysięcy; północny Kaukaz - siedemdziesiąt jeden tysięcy; dolna Wołga - pięćdziesiąt tysięcy; Białoruś - czterdzieści dwa tysiące; zachodnia Syberia - pięćdziesiąt tysięcy; wschodnia Syberia - trzydzieści tysięcy”. Próbowałem go uciszyć, ale był za bardzo pijany, żeby zauważyć groźne spojrzenia, jakie mu posyłałem. Nadieżda krzyknęła przez stół: „Czego dotyczą te liczby, Łazarze?” Oczy miał mętne od alkoholu i nie widział nadciągającej burzy. „No przecież deportacji, bo czego by innego?!”, odpowiedział. Usiłowałem odwrócić uwagę Nadieżdy toastem. „Za zgubę wrogów socjalizmu”, zawołałem, unosząc kieliszek. Wszyscy przy stole poszli w moje ślady i powtórzyli słowa toastu. Wszyscy poza moją Tatoczką. Siedziała milcząca, wzburzona wewnętrznie i wpatrywała się we mnie przez stół z nienawiścią w oczach, bo inaczej nie da się tego określić. Gdyby, jak mawiają wieśniacy, wzrok mógł zabijać, padłbym martwy na miejscu. „Dlaczego nie pijesz? - zapytałem ostrym tonem. - Jesteś przeciw wrogom socjalizmu czy za nimi?” Kiedy odwróciła wzrok, nie odzywając się słowem, dał o sobie znać mój gruziński temperament i rzuciłem w nią garść skórek pomarańczy. „Hej, ty, pij!”, wrzasnąłem. A Nadieżda, upokarzając mnie na oczach wszystkich, odkrzyknęła: „Nie wołaj do mnie «hej»”. Potem jeszcze zrobiła mi przykrość,

wybiegając z sali. Co mogłem zrobić? Obraziła mnie na oczach całego politbiura. Kiedy usiadłem z powrotem na krześle, cisza była jak makiem siał. Próbowałem przedstawić ten incydent jako zwykłą domową kłótnię. „Ożeniłem się z wariatką - powiedziałem, rzucając niedopałki na puste krzesło naprzeciw mnie. - Wszystkie kobiety są pęknięte - gestem wskazałem genitalia aktorki siedzącej obok - i z jakiegoś powodu, niewiadomego nawet Marksowi, jesteśmy więźniami tego pęknięcia, skazanymi na dożywocie". Jagoda wykazał się rozsądkiem i wybuchnął śmiechem, a inni poszli jego śladem i wszyscy głośno się zaśmiali. Wszyscy poza mną. Nie nudzę was, Mandelsztam? Chcecie usłyszeć resztę czy wolicie wrócić do celi?

- Na pewno mnie nie nudzicie.

- Kiedy przyjęcie się skończyło, narzuciłem na ramiona wojskowy płaszcz i zabrałem Galinę jednym z packardów do daczy pod Moskwą, w Zubałowie. Spędziliśmy razem kilka nieprzyjemnych godzin - denerwowała się, że Nadieżda w napadzie zazdrości każe ją aresztować. Musiałem ją zapewniać, że tylko ja mogę zlecać aresztowanie. Mimo to nastrój był zwarzony. Trudno jest ruchać kobietę, która nie jest wilgotna z pożądania, więc skończyło się na tym, że graliśmy w bilard. Nad ranem Własik odwiózł mnie do domu. Jechaliśmy opustoszałymi ulicami Moskwy, a ja drzemałem na tylnym siedzeniu. Obudziłem się, gdy mijaliśmy bramę w wieży Troickiej i wjeżdżaliśmy na teren Kremla. Pamiętam, że padał niewielki śnieg. Zdążył już zakryć ślady gości, którzy wyszli z przyjęcia wiele godzin wcześniej. Ktoś zostawił dla mnie zapalone światło w holu, ale nikt się nie kręcił po naszym mieszkaniu w pałacu Potiesznym. To prawda, złość we mnie wezbrała. Codzienne bombardowanie złymi wiadomościami z Ukrainy wszystkim nadszarpywało nerwy. Jagoda doniósł mi, że Zinowiew i Kamieniew, a nawet Bucharin rozpuszczali pogłoskę, jakoby Stalin spieprzył sprawę - zarzucali mi rozpoczęcie kolektywizacji w przekonaniu, że chłopci powitają nas z otwartymi ramionami, i brak planu radzenia sobie z chaosem na wypadek, gdyby sprawy przybrały nieprzewidziany obrót. Publiczna zniewaga ze strony Nadieżdy ostatniej nocy była kroplą przepełniającą puchar. Wpadłem do jej sypialni i zastałem ją ubraną nadal w czarną sukienkę, śpiącą na wąskim łóżku, na którym zwykle sypiała, mając kobiece problemy, nękające ją od czasu aborcji w połowie lat dwudziestych. Pochyliłem się nad łóżkiem i potrząsnąłem nią, żeby ją obudzić. „Przyszedłeś przeprosić za noc z tą dziwką?”, spytała ostrym tonem. „To ty powinnaś przeprosić za wyjście z przyjęcia, za postawienie mnie w kłopotliwej sytuacji przed kolegami - odparowałem. - Zrobisz to jeszcze raz, a *ubiju* - zabiję”. W chwili gdy wypowiedziałem te słowa, już ich pożałowałem. Nadieżda była krucha jak szkło, łatwo wpadała w histerię i równie łatwo poddawała się depresji. To właśnie wtedy

pokazała mi francuski rewolwer, który Paweł jej dał razem z sukienką. Była dziwnie spokojna, gdy wyjmowała kule z magazynka, poza jedną, i zakręciła bębenek długim ładnym palcem, jakby zamierzała grać w rosyjską ruletkę. „Posuwasz się za daleko” - ostrzegłem ją. Popelniła błąd, bo zaczęła kpić ze mnie. „Stał ci dzisiaj z Galiną? Stał ci przy fryzjerce albo przy tej dziewczynie z hali maszyn w zeszłym tygodniu? Po twojej twarzy widzę, że nie. Oczywiście, że wszystkim powiedzą, cała Moskwa będzie się z ciebie naśmiewać. Jak na kogoś, kto szczyci się bolszewicką twardością, często jesteś wiotki. Proszę - powiedziała, wyciągając przed siebie rękę z rewolwerem, kolbą do przodu - udowodnij światu, że jesteś równie twardy jak twój alter ego, Iwan Groźny, który w napadzie złości zabił własnego syna”. I udowodniłem. Ogarnięty szalem, wycelowałem w jej serce, Mandelsztam. Wycelowałem w jej serce i pociągnąłem za cyngiel.

- I? - zapytałem, niemal bojąc się oddychać. - Czy iglica trafiła w kulę?

- Zostańmy przy tym „i”... Ja wiem, a wy możecie się domyślać - odpowiedział Stalin.

- Służący znaleźli jej ciało rankiem, już stężałe. Na twarzy miała siniaki, ale nie pamiętam, żebym ją bił. Pistolet i pięć kul, które wyjęła z bębena, leżały na poduszce obok jej głowy. Własik zjawił się z lekarzem, chętnym do wypisania aktu zgonu. Jako przyczynę podał zapalenie otrzewnej, co było oficjalną wersją, opublikowaną w „Prawdzie”. Ale wszyscy na Kremlu byli przekonani, że popelniła samobójstwo. - Oczy Stalina zalśniły nagle, co wzięłem za wyraz niepocieszenia. - Złamała mi życie - powiedział tak cicho, że musiałem się wysilić, by coś usłyszeć. Czy aby dobrze go zrozumiałem? „Złamała mi życie”?!

Rozległo się pukanie do drzwi. Ochroniarz Własik wetknął głowę do pokoju.

- Mam listę Jagody z nocy - powiedział.

Stalin kiwnął głową, dając mu znak, żeby wszedł. Własik położył kilka kartek na biurku.

- Obaj, Jagoda i Mołotow, już ją podpisali - powiedział, odkręcając skuwkę z pióra wiecznego i podając je chozjainowi.

Stalin popatrzył podejrziwie na pióro.

- Jest produkcji radzieckiej? - zapytał.

- Niemieckie - odpowiedział Własik, zażenowany.

Stalin zwęził oczy z niezadowolenia. Ignorując wieczne pióro, wybrał czerwony ołówek z kubka pełnego ołówków. Wskazującym palcem przesuwiał po liście, od czasu do czasu skreślając jakieś nazwisko, i mamrotał coś o tym, że „terror, aby był skuteczny, musi być losowy”. Bazgrał „za” - zaakceptowano, i stawiał parafkę w prawym górnym rogu każdej przejrzonej strony.

- Kim jest Akaki Mgeladze? - zapytał w którymś momencie.
- To Abchaz, nazywacie go Wilkiem.
- Komisarz, którego wysłałem, żeby wyprostował sprawy w Gruzji?
- Ten sam.

Stalin przekreślił jego nazwisko i czytał dalej. Zapytał jeszcze o dwoje ludzi, których nie potrafił zidentyfikować. Kiedy Własik mu przypomniał, zostawił oba nazwiska na liście.

- A co my tu mamy? - wykrzyknął chozjain. - Mandelsztam Osip Emiljewicz. - Spojrzał na mnie. - Pewnie was zainteresuje fakt, że Jagoda włączył was do grupy skazanych na śmierć. Może i ma rację. Czytałem wasz gówniany epigramik. Skoro wszystko zostało powiedziane, powinno się was zastrzelić za pisanie kiepskich wierszy. - Serce waliło mi jak młotem, a on udawał, że omawia ten problem z ochroniarzem. - I co mamy zrobić z tym Mandelsztamem? Z jednej strony, nie chcę zapisać się w historii jako ten, który skrócił życie rosyjskiego poety. Z drugiej jednak, stałoby się to złym precedensem, jeśli bym okazał w a h a n i e - ludzie zaczęliby mnie brać za Lenina. Więc jak będzie? Rozstrzelać czy i z o l o w a ć i z o s t a w i ć w i ę ż n i a p r z y ż y c i u? - Ćmiąc papierosa, chozjain, ku mojej wielkiej uldze, przekreślił moje nazwisko i parafując ostatnią stronę, oddał kartki Własikowi. - Powiedz Jagodzie, że nie podjąłem decyzji w sprawie Mandelsztama. Może dodać jego nazwisko do jutrzejszej listy. Wtedy postanowię.

- To wszystko? - zapytał ochroniarz.

- Jeszcze jedno - odpowiedział Stalin. - Sprawdź, co się stało z dziewczyną, którą kiedyś znałem, nazywa się Pelagia Onufriewa.

Zinaida Zajcewa-Antonowa

Poniedziałek, 20 maja 1934 roku

Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewałam, była nagroda, ale organa są znane ze wspaniałomyślnego traktowania współpracowników, co jest uważane za jeden z ich sposobów zachęty do współdziałania. Dlatego nie mogę powiedzieć, że byłam zaskoczona, kiedy któregoś wieczoru po próbie jakiś czekista dopadł mnie w garderobie i oświadczył: - Z chęcią okazemy naszą wdzięczność za waszą lojalność wobec Stalina i rewolucji. Nie co dzień przychodzi do nas ktoś, kto dostarcza dowodów zdrady napisanych ręką samego zdrajcy.

Z jego ust padło kilka propozycji. Paszport zagraniczny i pozwolenie na wyjazd do Paryża albo Rzymu? Lepsze role w większych teatrach? Miesięczne wakacje z pokryciem wszystkich kosztów w luksusowym hotelu nad Morzem Czarnym, gdzie odpoczywa nomenklatura? Obdarzyłam swojego gościa jednym ze spojrzeń pełnych winy, jak określał to Mandelsztam.

- Spełniłam tylko swój obowiązek radzieckiej obywatelki - odpowiedziałam mu nieśmiało. - O nic nie proszę.

Czekista, starszy pan, którego usta ledwie się poruszały, gdy mówił, uśmiechnął się, jakbyśmy dzielili jakiś sekret. Kilka złotych zębów w jego dolnej szczęce błyszczało od śliny.

- Na pewno jest coś, co państwo mogłoby zrobić, żeby ułatwić wam życie - nie ustępował.

Ton jego głosu wskazywał, że moja dalsza odmowa mogłaby zostać opacznie zrozumiana i wzięta za przyznanie się, że właśnie licząc na nagrodę, zdecydowałam się na współpracę. Naprawdę czułam, że nie mam wyboru i muszę się zgodzić. Dlatego przewróciłam oczami z zakłopotania i powiedziałam lekko zachrypniętym głosem, jakiego aktorzy używają na scenie, gdy chcą okazać brak entuzjazmu: - Rzeczywiście, jest taka drobnostka. - I wysunęłam delikatną kwestię ryzyka utraty dwudziestodwumetrowego kwaterunkowego mieszkania w pobliżu Arbatu i moskiewskiego meldunku, gdybym rozwiodła się z mężem. Wyciągnął niewielki notes z kieszeni i coś zapisał.

- Możecie się rozwodzić - poradził mi. - Sprawę mieszkania i meldunku zostawcie w naszych rękach. - Wstał, szykując się do wyjścia.

Odprowadziłam go do drzwi i wyciągnęłam do niego rękę.

- Jak mam wam dziękować? - zapytałam. To dziwne, ale nie dotknął mojej dłoni.

- Nie ma potrzeby dziękować - odpowiedział. - Dobrą opiekę nad ludźmi, którzy dla nas pracują, organa stawiają sobie za punkt honoru.

Jego słowa mnie zaskoczyły. Zanim zdążyłam pomyśleć, zarepostowałam: - Nie miałam świadomości, że dla was pracuję.

Spojrzał na mnie z pobłażliwym uśmiechem, jak na dziecko, które wypowiedziało wulgarnie słowo, i dodał: - Nie wierzymy w jednorazowe kontakty.

Nadieżda Jakowlewna

Wtorek, 21 maja 1934 roku

Moja kochana przyjaciółka Anna Andriejewna nie traciła głowy do chwili, gdy odzyskałam zdrowy rozsądek. Kiedy wiele lat później rozmawialiśmy o aresztowaniu Osipa, Achmatowa twierdziła, że zanosłam się płaczem, aż zabrakło mi łez, a potem wściekałam się na wszystko i wszystkich pod słońcem: na Mandelsztama za mówienie prawdy w tym bagnie kłamstw; na górala kremlowskiego za zrównanie poczynań poety z aktem kontrewolucyjnym; na mole pleniące się w filcu naszych ścian; na sąsiada Siergieja Piotrowicza za zdradzenie Czeka tajemnicy czajniczka do herbaty; na siebie za to, że nie namówiłam męża na wspólne samobójstwo, kiedy zdałam sobie sprawę, że postanowił rozpropagować epigram. Tak, tak, teraz wiem, że powinniśmy byli się zabić w chwili, gdy późną nocą usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Dopiero potem wzięłam się jakoś w karby i zaczęliśmy z Anną myśleć konstruktywnie. Następnego dnia po aresztowaniu Mandelsztama włożyliśmy skarpetki, bieliznę, mydło, papierosy i dwadzieścia deko wędzonej szynki do niewielkiego pudełka i zrobiliśmy rundę po moskiewskich więzieniach, żeby sprawdzić, w którym przyjmą paczkę dla więźnia Mandelsztama. Zgodnie z sugestią Anny, zaczęliśmy od Butyrek, dokąd zwykle zabierano na przesłuchania pisarzy i artystów. Przed nami w kolejce stały dwie dziewczynki, miały po pięć, może siedem lat, ubrane w wykrochmalone sukienki i powtarzające wszystkim w zasięgu słuchu: „Mama została aresztowana”. W końcu z bocznych drzwi wyszedł żołnierz i dokąś je odprowadził. Za nami jedna z kobiet mówiła drugiej: „Musimy odesłać do dziadków dzieci, zanim przydarzy im się coś takiego”. Po dwóch i pół godzinie czekania dotarliśmy wreszcie z Achmatową do okienka, tylko po to, żeby odesłał nas stamtąd strażnik o twarzy dziecka, który sprawdził listę i oświadczył, że nie ma nikogo o nazwisku Mandelsztam. Następna była Łubianka. Stałyśmy prawie dwie godziny w niewielkim deszczu, przytulone pod połamanym parasolem, zanim doszłyśmy do punktu oddawania paczek dla więźniów. I patrzyłyśmy, jak wartownik na dyżurze sprawdził nazwisko z mokrej paczki na napisanej na maszynie liście i bez słowa ją przyjął.

- Wiemy przynajmniej, gdzie jest - powiedziałam, rozkoszując się tym małym triumfem.

- Wiemy też, że żyje albo żył, kiedy lista była pisana - odezwała się Anna. - Nie chciałam cię straszyć, kiedy odchodziłyśmy spod Butyrek, ale nie przyjmują też paczek, jeśli więzień nie żyje.

Kiedy teraz o tym myślę, przypominam sobie nasze zdziwienie, że nie zostałyśmy aresztowane jako współkonspiratorki, choćby tylko po to, żeby organa miały większe możliwości wywierania nacisku na Mandelsztama. Rozpaczliwie usiłowałam skontaktować się z Zinaidą, bo chciałam wiedzieć, czy zniszczyła jedyną papierową wersję epigramu na Stalina, napisaną ręką Osipa, ale za każdym razem, gdy ktoś odbierał telefon w jej kwaterunkowym mieszkaniu niedaleko Arbatu, słyszałam, że rzadko bywa w domu. Po nie pamiętam już ilu telefonach jej mąż agronom podniósł słuchawkę. Rzecz jasna, nie mogłam zapytać go wprost, czy Zinaida zniszczyła wiersz, ale uzyskałam informację, że bierze udział w próbach do nowej sztuki i z całą pewnością nie została zatrzymana przez milicję.

- To dla mnie nie najlepszy czas - powiedział. - Rozwódzimy się i właśnie się wyprowadzam. Co do Zinaidy, zawsze trzymała się z dala od wszystkiego, co pachniało polityką, dlatego sam pomysł, że Czeka mogłaby ją zatrzymać, jest absurdalny. Prawdę powiedziawszy, to właśnie odbezpieki dostanie pozwolenie na zameldowanie w Moskwie. Na waszym miejscu bym się o nią nie martwił.

Przyznaję, poczułam ogromną ulgę, słysząc, że Zinaida nie została aresztowana. Nie mogłabym spojrzeć sobie w oczy, gdyby nasza przyjaźń wpakowała ją w kłopoty z władzą.

Kiedy usiłowałam namierzyć Zinaidę (bez powodzenia, jak się okazało), Anna skontaktowała się z Borysem Pasternakiem i poinformowała go o aresztowaniu mojego męża. Ogarnęły go straszne wyrzuty sumienia, że nie przekonał Mandelsztama do zniszczenia świętokradczego epigramu.

- Zawsze brak mi odpowiednich słów, kiedy ich potrzebuję - zbeształ sam siebie.

Obiecał, że od razu zwróci się do Nikołaja Bucharina i zorientuje się, czy można liczyć na jego pomoc. Namawiał mnie do zrobienia tego samego.

- Im więcej osób z nim porozmawia, tym większe będzie prawdopodobieństwo, że zgodzi się nadstawić karku dla Osipa.

- Koniecznie muszę się widzieć z Nikołajem Iwanowiczem - powiedziałam do sekretarki Bucharina, chudej kobiety o nazwisku Korotkowa, którą mąż opisał (w *Czwartej prozie*) jako „wiewióreczkę, maleńkiego gryzonia, co to chrupie orzeszki z każdym interesantem”³¹.

³¹ Przekład Ryszarda Przybylskiego.

- Jesteście blada jak ściana - powiedziała. - Czy coś się stało?

Zdołałam jedynie wziąć głębszy oddech i skinąć głową.

- Mandelsztama zamknięto na Łubiance - odpowiedziałam po chwili.

Korotkowa miała dobre serce. Wzięła mnie za rękę i uściśnęła ją.

- Nikołaj Iwanowicz ma zajęty cały ranek, ale jakoś was wcisnę. I tak się stało, weszłam między dwoma redaktorami, którzy wyłonili się z jego gabinetu, zapisując coś w notesach, a kobietą czekającą, by wtoczyć tam wózek z linotypową odbitką pierwszej strony „Izwestii” w drewnianej ramie. Kiedy Nikołaj Iwanowicz mnie zobaczył, podprowadził od razu do kanapy.

- Pasternak już u mnie był - powiedział ściszym głosem. (Czy bał się mikrofonów zamontowanych w t y c h ścianach?) - Co tym razem zrobił wasz mąż? Mandelsztam nie napisał chyba czegoś skandalicznego, prawda?

Bucharin był drobnym mężczyzną z kozią bródką, która w szczęśliwszych czasach przydawała mu aury nonszalancji. W tych dniach wyglądał na człowieka cierpiącego na nieuleczalną chorobę. Pod koniec lat dwudziestych wyrzucono go z politbiura, ale jego nieobecność w wewnętrznym kręgu władzy najwyraźniej nie zepsuła mu stosunków ze Stalinem, który powierzył mu stanowisko redaktora naczelnego „Izwestii” i pozwolił zatrzymać mieszkanie na Kremlu, mimo zdarzających się między nimi tarć. Plotkowano co prawda w Moskwie, że dni Bucharina są policzone; ponieważ Zinowiewowi i Kamieniewowi wytoczono procesy, wielu uważało za prawdopodobne, żeby nie powiedzieć całkiem możliwe, że chcąc ratować własną skórę, zrobią Nikołaja Iwanowicza i to będzie jego koniec. Fatalnie się czułam, przychodząc z problemami do człowieka, który własnych miał aż nadto. Ale co miałam począć? Stalin nadal go słuchał. Gdyby tylko Bucharin zgodził się szepnąć mu słówko.

- Nic bardziej skandalizującego od wierszy, które znacie - powiedziałam Bucharinowi, naciągając prawdę z obawy, że nie odważy się ruszyć palcem w sprawie Mandelsztama, kiedy pozna treść epigramu. - Przyszłam do was, Nikołaju Iwanowiczu, bo jesteście moją ostatnią i największą nadzieją. - I zaczęłam opowiadać o życiu Mandelsztama, zredukowanym do trudu trwania: pożyczaniu pieniędzy, żeby jakoś związać koniec z końcem; recytowaniu wierszy w zamian za papierosy; nachodzeniu redaktorów, którzy, kiedy już udało mu się sforsować opór ich sekretarek, wymyślali jedno usprawiedliwienie po drugim, by wytłumaczyć, dlaczego go nie publikują. Mówiłam o palpacjach serca, które bardzo nadszarpywały mu zdrowie. Opisałam nawet, jak sfabrykował egzemplarz *Kamienia*, żeby sprzedać go redaktorowi, skupującemu rękopisy dla nowej biblioteki Funduszu Literackiego. - Pomogliście bratu Osipa

w latach dwudziestych - błagałam. - Bezwzględnie musicie teraz pomóc Osji.

Bucharin był tak zaszuchany, że papieros trzymany w ustach dopalił się do końca i sparzył mu wargi. Musiał go wypluć i zdusić niedopałek obcasem na podłodze.

- Czasy się zmieniły - powiedział. - Dzisiaj nie jestem już taki pewny, czy dam radę pomóc.

Przygotowałam się na to, że wyjdę od niego, nic nie wskórawszy, ale mimo to łzy napływały mi do oczu. Wyjął chusteczkę do nosa i trochę niezdarnie mi ją podał.

- Panujcie nad sobą, Nadieżdo Jakowlewna, błagam - poprosił i chodząc po ogromnym gabinecie w tę i z powrotem, zasypywał mnie pytaniami. - Próbowaliście się z nim zobaczyć? - zapytał stanowczym tonem.

Wyjaśniałam mu, że dzięki sprytowi Achmatowej ustaliłyśmy, że trzymają go na Łubiance, ale odwiedziny krewnych w więzieniu są nie do pomyślenia w naszej rzeczywistości, nie pozwala się na nie od lat. Z wyrazu twarzy Bucharina domyśliłam się, że o tym nie wiedział.

- Z jakiego paragrafu go zatrzymali?

- Z artykułu pięćdziesiątego ósmego, typowego dla więźniów politycznych.

Bucharin pobladał.

- Propaganda antyradziecka i działalność kontrrewolucyjna - to zły omen. Gdyby zarzut był mniejszego kalibru... - Nie dokończył tej myśli i zwrócił się do mnie z kolejnym pytaniem. - Jakiej rangi oficerem był czekista dowodzący grupą, która aresztowała Osipa?

- A co za różnica?

- Im wyższa ranga aresztującego oficera, tym poważniejszy przypadek, gorszy los więźnia.

- Twierdził, że jest pułkownikiem - odpowiedziałam.

Bucharin pokręcił głową, zatroskany.

- To, że wysłali pułkownika, nie wróży dobrze. Większość zatrzymywanych z artykułu pięćdziesiątego ósmego jest aresztowana przez kapitanów, najwyżej majorów.

Na biurku rozdzwonił się telefon. Podeszedł do niego i przystawił słuchawkę do ucha. Odwrócił się do mnie tyłem, zniżył głos i mówił pospiesznie do mikrofonu. Wydało mi się, że słyszę, jak wymienia nazwisko Mandelsztama.

- Nie czekaj z kolacją, wrócę późno do domu - powiedział i odłożył słuchawkę.

- To była moja żona - wyjaśnił. - Anna Larina jest wstrząśnięta wiadomością o aresztowaniu Mandelsztama, ale błagała mnie, żebym się do tego nie mieszał. Ktoś tak znany jak Osip Emiljewicz mógł być aresztowany jedynie za wiedzą Stalina. Jest nawet bardzo

prawdopodobne, że aresztowano go wręcz na jego polecenie. Między mną a Stalinem jest dość spornych kwestii bez dodawania Mandelsztama do listy pretensji, jakie Stalin ma do mnie, przynajmniej tak radzi moja żona.

Podniosłam się z kanapy i oddałam mu chusteczkę do nosa.

- I ma rację, oczywiście - powiedziałam. - Zachowałam się bezmyślnie, stawiając was w tej sytuacji.

Bucharin objął mnie ramieniem i odprowadził do drzwi.

- Żyjemy w... - Szukał w myślach odpowiedniego słowa. - Żyjemy w p o n u r y c h czasach. Koba - mówił dalej, określając Stalina pseudonimem z bolszewickiej partyzantki - nie jest już człowiekiem, jakim był za życia Lenina. Uważa, że otaczają go potencjalni wrogowie, cierpi na patologiczną podejrzliwość, nikomu nie ufa, knuje, żeby napuszczać jednych na drugich, poróżnić i zlikwidować. Sprzymierzył się z Kamieniem i Zinowiewem przeciwko Trockiemu, a potem ze mną przeciwko Kamieniewowi i Zinowiewowi. Kiedy przestałem mu być potrzebny, wyrzucił mnie z politbiura i Komitetu Centralnego. Zważcie moje słowa: to będzie cud, jeśli któryś ze starych bolszewików ocaleje.

- Dziękuję, że zgodziliście się ze mną zobaczyć, Nikołaju Iwanowiczu. - Dobrze zrobiliście, przychodząc - odpowiedział szybko. - Trzeba imać się, czego można, żeby znaleźć pomoc w trudnej sytuacji. Wspomnę Stalinowi o sprawie aresztowania Mandelsztama.

Z całych sił musiałam powstrzymać się, żeby znowu nie wybuchnąć płaczem.

- Nie znajduję słów - zdołałam jedynie wymamrotać.

Zdobył się na smutny uśmiech.

- Miejmy oboje nadzieję, że ja je znajdę.

12.

Nikołaj Własik

Środa, 22 maja 1934 roku

Nie przepadałem specjalnie za tak zwanym ulubieńcem partii, Nikołajem Bucharinem. Na mojej liście zasrańców wszech czasów był tuż obok tego odźwiernego z pigalaka, Maksima Gorkiego. Wydelikacenie Bucharina, osłabiające skuteczność czerwonego terronu, jego opieszłość przy kolektywizacji, jego protekcyjny stosunek do chozjaina i intelektualna arogancja działały mi na nerwy. Nawet Lenin w swoim słynnym testamencie czuł konieczność przyznania, że dialektyka jest słabą stroną Bucharina. Nie miałem zielonego pojęcia, dlaczego szef toleruje tego zadowolonego z siebie skurwysyna. Może chodziło o to - jak sugerował Jagoda - że przeciwieństwa się przyciągają: Stalin był wszystkim, czym Bucharin nie był, co znaczy mniej więcej tyle, że miał dość ikry, żeby iść za głosem instynktu, dokądkolwiek by go prowadził, w odróżnieniu od pozbawionego kręgosłupa kawiarnianego marksisty, który nie chciał zabrudzić sobie wymanikiurowanych paznokci przy budowie socjalizmu. Ostatecznie jednak, jak przypuszczam, tę nieprawdopodobną przyjaźń, jeśli to w ogóle przyjaźń, można przypisać podziwowi, jaki chozjain ciągle żywił dla wiedzy książkowej, upodobaniu, którego nabył, gdy jako młody człowiek był w seminarium. Józef Wissarionowicz do dzisiaj trzyma stertę książek na biurku i drugą na nocnej szafce, i powiem szczerze, że nie jest to czcza dekoracja. Wiele razy szef, nękany bezsennością, zwijał się w kłębek na fotelu i z nosem przyklejonym do książki czytał o wojnach napoleońskich, starożytnej Grecji, perskich szachach albo *Ostatniego Mohikanina*. I w takiej pozycji go zastawałem, kiedy przychodziłem rano z gazetami. Wspominam o tym, żeby wyjaśnić, dlaczego, kiedy Bucharin zjawił się po południu przed prywatnym gabinetem towarzysza Stalina - bez wcześniejszego telefonu, żeby się umówić, wyobrażacie sobie! - byłem nastawiony, żeby utrzyć mu nosa.

- Podnieście ręce - poleciałem mu.

- Mam podnieść ręce?

- Którego słowa nie rozumiecie? „Podnieść” czy „ręce”?

- Po co miałbym podnosić ręce?

- Nikt nie wchodzi do towarzysza Stalina, dopóki go nie obszukam.

- Nie mówicie poważnie, Własik. Od kiedy to podejrzewa się mnie o chęć zamachu na Stalina?

- Urodziłem się poważny i z wiekiem to się jeszcze pogłębiło. Albo podnosicie ręce, albo do widzenia.

Zażenowany Bucharin uniósł powoli ręce nad głowę. A ja równie wolno go obszukałem. Zacząłem od pach i przesuwając dłonie w dół, dotarłem do spodni i kostek u nóg, potem w górę po wewnętrznej stronie ud do kroku. Niczego mu nie oszczędziłem. Kiedy rewizja dobiegła końca, rzucił się do gabinetu chozjaina. Ruszyłem za nim i czujnie zająłem pozycję oparty plecami o drzwi, z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

- Koba, muszę ostro zaprotestować przeciwko takiemu upokarzaniu - wybuchnął Bucharin.

Siedzący za biurkiem towarzysz Stalin odsunął stos państwowych dokumentów owiniętych w gazetę.

- O jakim upokorzeniu mówisz?

- Ochroniarz uparł się, żeby mnie przeszukać jak zwykłego kryminalistę, zanim pozwolił mi wejść do twojego gabinetu - gorączkował się. Jestem wystarczająco długo u chozjaina, żeby się zorientować, że całym wysiłkiem woli powstrzymywał uśmiech.

- Opanuj się, Bucharczyk - powiedział, a końce wąsów mu drżały i w oczach pojawił się błysk zadowolenia. - To nie ma z tobą nic wspólnego. Jagoda postanowił, że nikomu nie wolno się do mnie zbliżyć bez uprzedniego sprawdzenia, czy nie ma broni. Sprzeciwiałem się temu, rzecz jasna, ale Jagoda się uparł, że z uwagi na obecną sytuację to konieczne środki ostrożności.

- Jaką sytuację? - dopytywał się Bucharin.

- Towarzysze, którym się zdaje, że jestem z nimi w bliskich stosunkach, otwarcie powtarzają słowa trockistowskiej krytyki kolektywizacji, co musi być uznane za atak na przywództwo Stalina.

- Od kiedy krytykowanie takiej czy innej polityki stało się przestępstwem? - Bucharin, niezaproszony, opadł na tapicerowany fotel z lampką do czytania.

Zdjęcie towarzysza Stalina na tym samym fotelu, z otwartą książką na kolanach i fajką w ręku, opublikowano kilka miesięcy wcześniej w popularnym tygodniku. Wiem o tym szczególe, bo jedna z moich konkubin wycięła je z gazety i przylepiła na lustrze toaletki.

- W dniach po rewolucji - Bucharin mówił dalej - wszyscy mogli swobodnie krytykować Lenina w prywatnym zaciszu. Niedozwolone było jedynie publiczne podnoszenie spraw podważających kolektywną nieomyślność partii, gdy decyzje zostały już podjęte.

- Nie mam nic przeciwko poufnej krytyce - odpowiedział towarzysz Stalin - dopóki występuje się z nią bezpośrednio do mnie, a nie szeptem za moimi plecami. - Przypalił korbek od peta trzymanego przed chwilą w ustach. - Dlaczego za każdym razem, kiedy się widzimy, musimy się kłócić?

- Ja tego tak nie odbieram.

Chozjain wzruszył ramionami.

- Na pewno nie przyszedłeś po to, żeby porównywać Lenina i mnie jako przywódców. Co cię sprowadza do mojego skrzydła Kremla w ten mokry od deszczu dzień, Bucharczyk?

Bucharin wyciągnął jedwabną chustkę z kieszeni marynarki i wytarł czoło.

- Chcę porozmawiać z tobą o aresztowaniu poety Mandelsztama.

- Jeśli chodzi o Mandelsztama, nie mam nic wspólnego z jego aresztowaniem. Jagoda, który podpisał nakaz, poinformował mnie o tym już po fakcie. Nie ulega wątpliwości, że zarzuca mu się antyradziecką propagandę i działalność kontrrewolucyjną z artykułu pięćdziesiątego ósmego kodeksu karnego.

Bucharin pochylił się w fotelu.

- Mandelsztam to wybitny poeta, Koba, nazwisko cenne dla radzieckiej kultury, choć od jakiegoś czasu zachowuje się nie całkiem... normalnie.

- Rozumiem, że przyznał się do zarzucanych mu przestępstw - odpowiedział nieproszonemu gościowi chozjain.

- Pasternak skontaktował się ze mną w sprawie Mandelsztama. Okropnie się tym przejął. Przyjaźni się z Mandelsztamem.

Na użycie w tej rozmowie nazwiska Pasternaka Stalin nie był przygotowany. Odsunął się na krześle od biurka, wyjął papierosa z ust, uniósł go do oczu i patrzył na cienką strużkę dymu wznoszącą się do sufitu. Wiedziałem, że szef darzy Pasternaka pewną estymą. Datowało się to od czasu samobójstwa jego żony i zdawkowych kondolencji, które załazy wtedy gazety. Tak się złożyło, że to właśnie ja przyniosłem Stalinowi gazety rankiem, gdy została opublikowana informacja o śmierci Nadieżdy (śmierci spowodowanej, o ile pamiętam, zapaleniem otrzewnej). Zastałem chozjaina w paskudnym nastroju, przez większą część nocy nie zmrużył oka z powodu pulsującego reumatycznego bólu w zdeformowanym ramieniu. Zamaszyście otworzył gazetę i głośno, tonem pełnym szyderstwa czytał sztamkowe kondolencje: „Przyjmijcie nasze kondolencje z powodu śmierci N.S. Alliujewej... jasna świeca tragicznie zgaszona... towarzyszka, której będzie nam dotkliwie brakowało”. Mniej więcej w tym guście. I naraz natknął się na krótką notkę podpisaną przez Borysa Pasternaka, który najwyraźniej odmówił umieszczenia swego nazwiska pod banalnym tekstem związku

pisarzy i wolał napisać coś od siebie. Chozjain wyrwał list kondolencyjny Pasternaka z gazety i trzymał go na biurku przez wiele miesięcy. Nie wykluczam, że tekst ten nadal tam leży. Mogę potwierdzić, że list Pasternaka, który brzmiał jak telegram i był przepojony szczerością, jako jedyny wyraz współczucia pocieszył zupełnie rozbitego Stalina. Ponieważ czytał go na głos przy mnie każdego ranka przez całe tygodnie, dość dobrze pamiętam, co Pasternak napisał: „W przeddzień ukazania się informacji o jej śmierci myślałem o Stalinie, głęboko i intensywnie; jako poeta - po raz pierwszy. Następnego ranka przeczytałem tę wiadomość. Byłem wstrząśnięty, jakbym tam był, mieszkał z nim i to widział. Borys Pasternak”.

Chozjain znowu palił papierosa, zaciągając się krótko, nerwowo.

- Co dokładnie Pasternak powiedział? - zapytał Bucharina.

- Był zaszokowany, kiedy dowiedział się o aresztowaniu Mandelsztama. Prosił, żebym ci powiedział, że w sporze pomiędzy poetą a przywódcą politycznym poeta, niezależnie od tego, czy żywy, czy martwy, zawsze wygrywa. Historia, zdaniem Pasternaka, jest po stronie poety.

- Srać na tego mieszkańca chmur - rzucił chozjain z szyderyczym uśmiechem, posługując się przezwiskiem, jakie nadał Pasternakowi. - Wiadomo, że rymopisy trzymają się razem, niezależnie od tego, po czyjej stronie jest wina. - Mimo pozorów z tonu jego głosu domyśliłem się, że był wytrącony z równowagi.

Bucharin zorientował się, że interwencja Pasternaka zrobiła na Stalinie wrażenie. Kuł żelazo póki gorące.

- Mówił, że Mandelsztam stracił rozum. Lata upokorzeń, odmowy publikacji, zebrania albo pożyczania pieniędzy, żeby wiązać jakoś koniec z końcem, pchnęły go w obłąd. Nie zachowuje się racjonalnie, nie odpowiada za swoje postępowanie...

- A chciałbyś przeczytać pewien wiersz - chozjain wszedł mu w słowo - napisany jego własną ręką, przez który został oskarżony o antyradziecką propagandę?

Bucharina stać było jedynie na kiwnięcie głową. Towarzysz Stalin wyciągnął z wewnętrznej kieszeni bluzy złożoną kartkę i przesunął ją po blacie biurka. Bucharin sięgnął po nią, rozłożył ją i zaczął czytać, podczas gdy chozjain, uśmiechając się z ponurą satysfakcją, recytował fragmenty z pamięci.

- „Górala kremłowskiego... mordercę i oprawcę chłopskiego... palce tłuste jak czerwie... słowo mu z ust pudowym ciężarem upada... karalusze wąsiska”.

Słyszałem od Jagody, że Mandesztama aresztowano za skandaliczny wiersz, ale aż do tej chwili nie miałem pojęcia, o co w nim chodziło. Jego treść musiała być również i dla Bucharina jak wybuch bomby. Krew dosłownie odpłynęła mu z twarzy, stał się błydy jak

trup. Kiedy podniósł wzrok, robił wrażenie człowieka w szoku.

- Nie miałem pojęcia... nikt mi nie powiedział... zakładałem, że znowu owijał coś w bawełnę. Zapewniano mnie, że nie jest bardziej oburzający niż wszystko, co Mandelsztam zwykle pisał. - Bucharin zebrał się w sobie. - Mimo to, Koba, ten wiersz potwierdza jedynie opinię Pasternaka. Nikt przy zdrowych zmysłach nie napisałby tych wersów. Są dowodem obłędu.

- Dlaczego?

- Dlaczego?

- Dlaczego te wersy mają być dowodem na obłęd?

Z mojego miejsca na końcu pokoju niemal widziałem trybiki pracujące w głowie Bucharina. Zrozumiał, że nie tylko życie Mandelsztama znalazło się w niebezpieczeństwie, lecz i jego własne.

- Te wersy są dowodem na obłęd, bo brak im precyzji, Koba. Nie podaje żadnego racjonalnego argumentu, który by to uzasadniał. Rzuca jedynie oszczerstwa najgorszego rodzaju. To ewidentnie przejaw irracjonalności, a irracjonalność musi być postrzegana jako symptom obłędu.

- Mieszając się do tej sprawy popełniłeś wielki błąd - odezwał się Chozjain zimno. - Nie zapomnę ci tego.

Muszę jednak przyznać, że Bucharin okazał się chłopem z jajami.

- Był czas, kiedy dziękowałeś mi za wtrącanie się - odparował. - Nadal mam rewolwer, który mi dałeś, z wygrawerowanym napisem: „Dla przywódcy rewolucji proletariackiej N. Bucharina od J. Stalina”.

- Jeżeli chcesz mówić o swoich wcześniejszych zasługach - odpowiedział szef ze złością - to nikt ci ich nie odbiera. Ale Trocki też je miał. Mówiąc między nami, niewielu miało tyle zasług co on przed rewolucją. - Chozjain wskazał palcem na Bucharina. - Ale jeśli będziesz powtarzał to, co właśnie powiedziałem, uznam, że nadużyłeś mojego zaufania. - I machnął wierzchem zdrowej ręki, dając mu do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca.

Sięgnąłem do klamki i otworzyłem drzwi. Bucharin wstał.

- Nie jesteś już rewolucjonistą, którego znałem, gdy dołączyłem do walki Lenina o zmianę świata, Koba - powiedział. - Byłeś wdzięczny za wsparcie ze strony towarzyszy bolszewików.

- Wdzięczność to cecha psa - odparował Stalin.

Bucharin patrzył przez chwilę na Stalina, jakby chciał mieć ostatnie słowo. Potem kiwnął głową z niesmakiem i wyszedł szybko, przechodząc obok mnie.

Kiedy Bucharina już nie było, chozjain dał mi znak ręką, żebym zamknął drzwi.

- Nie co dzień ogląda się człowieka, który podpisuje na siebie wyrok śmierci - rzucił. - Co do Mandelsztama: główniana sprawa, bo Pasternak ma prawdopodobnie rację. Historia to dziwka, i to dziwka, która trzyma stronę jebanych poetów. - Podniósł wzrok. - Skontaktuj się z Jagodą, Własik. Powiedz mu, żeby nie wpisywał ponownie Mandelsztama na codzienną listę. Damy mu minus dwanaście - będziemy go trzymać z dala od dwunastu głównych miast przez kilka lat. To da mu czas na popracowanie nad własnym obłędem. Kiedy odzyska rozum, zabijemy go za zdrowy rozsądek.

W tym momencie chozjain - powiem, co zrobił, a wy domyślcie się znaczenia jego postępuku - wyjął papierosa z ust i zgniótł go o wewnętrzną stronę dłoni. Szef musiał to podłapać w latach spędzonych na Syberii. Prawdziwi kryminaliści, odsiadujący wyroki za morderstwo, robili tak, żeby pokazać więźniom politycznym, jacy są twardzi. Patrząc na oparzone miejsce, szef pokiwał głową, jakby ten gest wywołał falę wspomnień. A potem wymamrotał coś, co wprowadziło mnie w zmieszanie w chwili, gdy to usłyszałem, a teraz ma dla mnie jeszcze mniej sensu. Bo powiedział: - Nikt nie jest niewinny, Własik. Ani Mandelsztam, ani Pasternak, ani ta kurwa Achmatowa, ani Bucharin, ani nawet ty. Nikt.

13.

Borys Pasternak

Czwartek, 23 maja 1934 roku

Niewiele rzeczy dołuje mnie bardziej niż kłótnia z Achmatową, prawdopodobnie dlatego, że w sumie znacznie częściej ma rację, niż się myli, z czego zdaję sobie sprawę dopiero, kiedy odłoży słuchawkę telefonu. Ogólne poczucie przygnębienia pogłębia jeszcze i to, że dzielę stare mieszkanie ojca z sześcioma rodzinami, których dzieci robią taki jazgot we wspólnym korytarzu, że czasem nie słyhać tego, co mówi rozmówca. Wyobraźcie to sobie: oto ja stoję na korytarzu we wnęce z telefonem, bosi - wybiegłem ze wspólnej ubikacji, żeby odebrać telefon - szelki zwisają mi poniżej kolan, słuchawkę mam przyciśniętą do ucha, dzieciaki truchtają w tę i z powrotem, kopiąc piłkę zrobioną ze starych szmat związanych sznurkiem, a ja stoję i krzyczę do mikrofonu, błagając Annę, żeby powtórzyła ostatnie słowa. Ale oczywiście ona już mówi o czymś innym, co może, ale nie musi, mieć coś wspólnego z poprzednim tematem. Aresztowanie Mandelsztama wytrąciło nas wszystkich z równowagi, Anna zaś zarzucała sobie i mnie, i każdemu członkowi związku pisarzy, że nie wypełniamy naszych obowiązków jako poeci, w przeciwieństwie do Osipa Emiljewicza, gnijącego w więzieniu za oparcie się naciskowi, który całej naszej reszcie pochylił karki.

- Przybliż mi, co rozumiesz przez pojęcie obowiązku poety? - darłem się.
- Mówienie prawdy - odkrzyknęła.
- Nie da się zbyt wiele zdziałać, kiedy mówi się prawdę zza grobu - odparowałem, ale pewnie w ogóle mnie nie usłyszała.

Achmatowa była nieustępliwą zwolenniczką mówienia prawdy, to jasne. Najbardziej ceniłem w rewolucji, kiedy jeszcze ceniłem rewolucję, jej stronę moralną. Właściwie podtrzymywałem w sobie nadzieję, że życie będzie szło ku lepszemu, że sztuka zostanie uwolniona i dotrze do samego sedna, że artyści będą mogli się ze sobą nie zgadzać, a mimo to nadal będą się szanowali wzajemnie. (Pamiętam, jak Majakowski objął mnie kiedyś, po zażartej kłótni, swym długim ramieniem i powiedział: „Naprawdę się różnimy, Borysie - ty kochasz wyładowania elektryczne na niebie, a ja je wolę w elektrycznym żelazku”). W tych czasach jednak nie było już można ludzić się, że jutro będzie lepsze od dzisiaj albo że dzisiaj jest lepiej, niż było wczoraj. Świadomość ta zmieniła moje życie jako artysty. Bo jak daleko

umiem sięgnąć pamięcią, zawsze poświęcałem się poezji, to znaczy sztuce najbliższej językowi znaków, szyfrów i symboli. Teraz skłaniałem się ku pogładowi, że życie stało się zbyt skomplikowane dla poezji lirycznej jako środka wyrazu ogromu naszych doświadczeń; że to, co przeżywamy, najlepiej może oddać proza. Marzyłem o napisaniu powieści, która będzie zwieńczeniem mojej twórczości niczym wieko szkatuły Powieści, która przebije się przez niespójność mojej poezji i pokaże, jak rosyjska rewolucja zmiotła wszystko, co było ustalone i uładzone, co miało związek z domem i porządkiem. Ale oddalam się od zasadniczego tematu: Achmatowej, odchodzącej od zmysłów z niepokoju o los naszego kochanego przyjaciela Mandelsztama; Pasternaka usiłującego się bronić przed atakami, których nigdy nań nie przypuszczono; nas obojga przytłoczonych poczuciem winy, bo Osip siedział na Łubiance, a my byliśmy na wolności.

Minęło kilka godzin. Leżałem rozciągnięty na sofie w przedzielonej na pół dawnej pracowni malarskiej ojca, w jej przyznanej mi części, i przypalałem piątego już papierosa tego dnia, nadal mając nadzieję, że uda mi się ograniczyć do sześciu sztuk przed północą, kiedy jeden z sąsiadów zawołał, że jest do mnie kolejny telefon. Pomyślałem, że to Achmatowa oddzwania, żeby przeprosić za rzeczy, których najpewniej w ogóle nie powiedziała. Gdy podnosiłem słuchawkę, dzieciaki, chwalić Boga, bawiły się w drugim końcu korytarza.

- Pasternak?

- Przy telefonie.

- Mówi Aleksander Poskriebyszew. Macie papier i ołówek?

- Sekundę. - Szarpnąłem szufladę i wyjąłem notes do zapisywania wiadomości i ołówek. Z jakiegoś powodu z plaśnięciem naciągnąłem szelki na ramiona. - Gotów - powiedziałem do telefonu.

- Podam wam numer prywatnego telefonu na Kremlu. Zadzwońcie tam za trzy minuty.

- Podyktował mi numer i kazał powtórzyć, żeby sprawdzić, czy dobrze go zapisałem. Nie odzywając się już słowem, przerwał połączenie.

Serce waliło mi jak młotem. Po co dzwonił do mnie sekretarz Stalina? I kogo zastanę na drugim końcu linii, kiedy wybiorę kremlowski numer? Wyciągnąłem cebulę z kieszeni spodni i wpatrywałem się w sekundową wskazówkę, przekonany, że porusza się w ślimaczym tempie; że przy tej szybkości dzień trwałby czterdzieści osiem godzin, co znacznie utrudniłoby ograniczanie się do sześciu papierosów. Kiedy uznałem, że minęły trzy minuty, wykręciłem numer. Byłem tak spięty, że za pierwszym razem pomyliłem się i musiałem wybrać go ponownie. Ktoś natychmiast podniósł słuchawkę.

- Rozpoznajecie mój głos, Pasternak?

- Nie.

Mężczyzna na drugim końcu linii zaśmiał się cicho.

- Mówi Stalin. Chcę z wami porozmawiać o Mandelsztamie. Chcę, żebyście wiedzieli, że nie zatwierdzałem nakazu jego aresztowania.

Dzieci kopały piłkę po korytarzu, wrzeszcząc wniebogłosy.

- Niezbyt dobrze słyszę, dzieci bawią się na korytarzu. Czy możecie powtórzyć?

Stalin podniósł głos.

- Nie zatwierdzałem nakazu jego aresztowania. Kiedy się o tym dowiedziałem, uznałem to za haniebną. Chciałbym was zapewnić, że sprawa Mandelsztama jest w rewizji na najwyższym szczeblu. Mam przeczucie, że wszystko dobrze się dla niego skończy.

- Sam fakt, że osobiście zainteresowaliście się tą sprawą, doda otuchy wielu artystom i pisarzom - wykrzyczałem.

Dzieci gdzieś poszły. Usłyszałem wyraźnie, jak Stalin zapytał: - Ale on jest geniuszem, prawda?

- Nie o to chodzi - odpowiedziałem.

- A o co w takim razie? - spytał.

Umysł zalewały mi najróżniejsze domysły. Może Osip jednak się mylił i to ja miałem rację. Może Stalin naprawdę żył w kokonie, nieświadomy, co wyrabia Czecha w rzeczywistym świecie poza murami Kremla. Gdybyż tylko udało się komuś powiedzieć mu o głodzie, aresztowaniach, egzekucjach, deportacjach.

- Józefie Wissarionowiczu, muszę koniecznie z wami porozmawiać.

- Rozmawiacie ze mną.

- Ale osobiście, jak mężczyzna z mężczyzną.

Zawahał się.

- A o czym chcecie ze mną rozmawiać?

Jak głupek powiedziałem pierwsze, co przyszło mi do głowy: - O życiu, o śmierci.

Docisnąłem słuchawkę do ucha, jak mogłem najmocniej, żeby nie uronić słowa z jego odpowiedzi. Miałem wrażenie, że słyszę oddech Stalina. A potem w słuchawce zapadła martwa cisza. Nasłuchiwałem w dalszym ciągu, żeby się upewnić, czy się nie mylę, cały czas gorzko sobie wyrzucając, że nie znalazłem odpowiednich słów; że własną durnotą zmarnowałem życiową szansę. Przerwałem połączenie, naciskając widełki palcem, a potem znowu przytknąłem słuchawkę do ucha, czekając na sygnał. Kiedy go usłyszałem, wykręciłem ponownie kremlowski numer. Telefon dzwonił szesnaście razy, zanim go

odebrano.

- Józefie Wissarionowiczu - krzyknąłem. - Błagam, dajcie mi chwilę, to wyjaśnię...

- Mówi Poskriebyszew.

- Czy możecie połączyć mnie ze Stalinem?

- To niemożliwe. Nie ma go już w Moskwie. Nie dzwońcie więcej na ten numer. Był uruchomiony tylko na tę rozmowę i przestanie istnieć, kiedy się rozłączę. Rozumiecie mnie, Pasternak?

- Nie rozumiem...

W słuchawce ponownie zapanowała martwa cisza.

Sobota, 25 maja 1934 roku

Od czasu gdy byłem w Wiedniu, gdzie, jak pewnie wspominałem, zdobyłem srebrny medal w podnoszeniu ciężarów, przyzwyczałem się do świateł fleszów wybuchających mi przed twarzą. Prawdę mówiąc, wcale mi nie przeszkadzają. Czuję się wtedy ważny. Więc kiedy współoskarżeni w tym procesie zasłaniali oczy ramionami, gdy wchodziliśmy do sali sądowej w Domu Związków, uśmiechałem się i machałem ręką, żeby wszyscy wiedzieli, że, chociaż przyznałem się do winy, byłem niewinny w tym sensie, że nie wiedziałem, jaka wina na mnie ciąży, dopóki nie pouczył mnie o tym towarzysz Christoforowicz. Z wysokimi oknami i zasłonami w kolorze złota, i z kryształowymi żyrandolami, była to najelegantsza sala, w jakiej postawiłem nogę, ale zdecydowałem nie okazywać, że jestem poruszony do głębi. Kiedy spostrzegłem trójkę sędziów, wystrojonych w czarne togi i siedzących na tronach z wysokimi oparciami na podwyższeniu, uniosłem wysoko prawą rękę i pozdrowiłem ich tak, jak to robią azerbejdzańscy chłopci. Sądząc po ich uśmiechach, moje maniery z gór Azerbejdżanu nie były im obojętne. Salę sądową wypełniała po brzegi publiczność - była większa niż kiedykolwiek na występie siłacza w cyrku. Próbowałem ją policzyć, ale poddałem się, gdy doszedłem do stu (jak nic było trzy razy więcej), bo do tylu umiem liczyć bez pomocy Agrippiny, która, co zauważyłem z przejęciem, siedziała w samiotkim pierwszym rzędzie, ochraniająca przez dwóch mężczyzn w czarnych garniturach, zajmujących miejsca po obu jej stronach. Pomachałem do niej, a ona uśmiechnęła się do mnie jednym z tych wymuszonych uśmiechów, które posyłała mi, gdy była naprawdę smutna. (Trwała w wariackim przekonaniu, że uśmiech może wysssać smutek z serca w taki sam sposób, jak sok z cebuli wysysa kurząjkę na stopie). Rozpoznałem na sali sądowej osiem lub dziesięć twarzy. Była tam kobieta, która spisywała moje zeznania razem z kilkoma urzędniczkami - natknąłem się na nie, gdy zabrali mnie do sklepu z odzieżą na Łubiance, żeby dobrać mi garnitur na rozprawę. Był tam też Christoforowicz, uśmiechał się i kiwaniem głowy dodawał mi otuchy. Dostrzegłem nawet zapaśnika Islama Issę, opartego o ścianę wnęki z oknami o kolorowych szybach, przeznaczonej dla orkiestry, która niegdyś grywała arystokratom, zanim rewolucja posłała ich na bruk. Christoforowicz zwierzył mi się, że czasami sam towarzysz Stalin

przyglądał się procesom zza tych kolorowych okien. Towarzysz śledczy wiedział o tym, bo sprzątaczką doniosła mu, że opróżniała tam popielniczki pełne niedopałków jego ulubionych papierosów, kazbeków. Na końcu rzędu, w którym siedziała Agrippina, ulokowano zagranicznych dziennikarzy. Łatwo było zgadnąć, że są z zagranicy, po kłapach marynarek, a poza tym siedzieli ze skrzyżowanymi nogami, na co żaden szanujący się dziennikarz radziecki by sobie nie pozwolił w tak formalnej sytuacji jak proces. Prokurator generalny A. Wyszyński, który (co wiedzą wszystkie dzieci) dzielił się kiedyś jedzeniem dostarczanym mu przez zamożnych rodziców z towarzyszem Stalinem, gdy obaj siedzieli w więzieniu, stał oparty o półokrągłą barierkę naprzeciwko mnie i przeglądał strony w aktach.

Co do moich współoskarżonych, właściwie nigdy nas sobie nie przedstawiono. Wrzucono nas do celi aresztu w piwnicy na mniej więcej godzinę przed procesem. Nie znałem ich nazwisk, dopóki prokurator generalny Wyszyński ich nie przeczytał na rozprawie.

- Knud Trofimowicz Ignatiew.

Niski mężczyzna po mojej prawej stronie, ubrany w workowaty garnitur i poplamioną koszulę, odpiętą pod szyją, z wąsami przyciętymi dokładnie tak samo jak wąsy towarzysza Wyszyńskiego, wstał.

- To ja, proszę wysokiego sądu.

Towarzysz Wyszyński odczytał zarzuty stawiane Ignatiewowi: sabotaż, zdrada, działalność kontrrewolucyjna, wszystko z artykułu pięćdziesiątego ósmego.

- Czy przyznajecie się do winy?

- Przyznaję.

- Bądźcie uprzejmi wyjaśnić sądowi - powiedział towarzysz Wyszyński głosem przepełnionym pogardą, wpatrując się w oskarżonego przez szkła okularów w rogowej oprawie - w jaki sposób Rosjanin, jak wy, może mieć na imię Knud.

- Moja matka była Dunką, ojciec Rosjaninem. Imię Knud dostałem po dziadku ze strony matki.

Towarzysz Wyszyński zwrócił się do wysokiego sądu.

- Jak się przekonacie, towarzysze, związki Ignatiewa z Danią łączą się z zarzucanymi mu czynami. - Obrócił się z powrotem do oskarżonego, który trzymał się barierki, żeby nie stracić równowagi. - Jako naczelny bibliotekarz obwodu moskiewskiego iloma bibliotekami kierowaliście?

- Poza Biblioteką imienia Lenina i czterema bibliotekami uniwersyteckimi, w sumie miałem pod sobą czterdzieści siedem bibliotek publicznych.

- Czy mam rację, stwierdzając, że jako kierownik wszystkich tych bibliotek byliście

odpowiedzialni za niszczenie ksiązek uważanych za wywrotowe?

- To prawda, towarzyszu prokuratorze generalny.

- W jaki sposób byliście informowani o tym, że odpowiedzialne za to władze uznawały określone książki za wywrotowe i że jako takie powinny zostać zniszczone?

- Co tydzień dostawałem napisaną na maszynie listę z biura komisarza do spraw kultury. W dwóch przypadkach otrzymałem notatkę od samego towarzysza Stalina, z pytaniem, dlaczego taka a taka książka jest nadal dostępna w bibliotekach publicznych.

- I co się wtedy działo?

- Razem z asystentką objeżdżaliśmy biblioteki furgonetką przydzieloną mojemu wydziałowi i zabieraliśmy zakwestionowane książki. Jechałem potem do jednej z przetwórní śmieci na przedmieściach Moskwy i osobiście nadzorowałem zniszczenie kwestionowanych ksiązek.

- Były palone w piecach, czy mam rację?

- Rzeczywiście tak było, towarzyszu prokuratorze generalny.

- Dwunastego marca bieżącego roku zostaliście zatrzymani w czasie nadzorowania palenia ksiązek w... - prokurator generalny pochylił głowę, żeby sprawdzić to w akcie oskarżenia - ...w przetwórní śmieci dla obwodu jarosławskiego przy szosie jarosławskiej. Powiecie sądowi dlaczego?

- W kartonach z książkami przeznaczonymi do zniszczenia było siedem egzemplarzy dzieł zebranych Lenina i osiem egzemplarzy dzieł zebranych Stalina.

Towarzysz Wyszyński obszedł barierkę prokuratorską i zbliżył się do barierki dla oskarżonych.

- Czy bylibyście tak uprzejmi i powiedzieli sądowi, Knudzie Trofimowiczu Ignatiew, dlaczego zdecydowaliście się na zniszczenie powszechnie podziwianych tekstów towarzysza Lenina i towarzysza Stalina.

- Jestem najemnym członkiem grupy popierającej trockistowski antybolszewicki ośrodek działający w Paryżu. Wykonywałem szczegółowe polecenia wydane mi przez syna Trockiego, Siedowa, które otrzymałem w trakcie spotkania w Kopenhadze, dokąd pojechałem za zgodą partii na pogrzeb ojca mojej matki, Knuda, po którym dostałem imię.

Towarzysz Wyszyński ponownie zerknął do akt.

- To spotkanie odbyło się czternastego lutego tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku o piętnastej trzydzięci w hotelu Bristol. Zgadza się?

- Nie.

Ludzie na sali sądowej głośno zachłysnęli się powietrzem. Towarzysz Wyszyński

otworzył usta ze zdziwienia.

Trójka sędziów na podwyższeniu naradzała się szeptem. Towarzysz prokurator generalny powtórnie sprawdził akt oskarżenia.

- W czasie przesłuchania przyznaliście, że spotkaliście się z synem Trockiego, Siedowem, w hotelu Bristol. Wycofujecie swoje zeznania, oskarżony Ignatiew?

- Proszę wysokiego sądu, opisałem spotkanie z Siedowem w kopenhaskim hotelu. Nie powiedziałem słowa o Bristolu. To musiało zostać dodane przez stenografa albo śledczego. Nie mogłem się spotkać z Siedowem w Bristolu czternastego lutego tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku, bo, o ile wiem, ten hotel został zburzony w roku tysiąc dziewięćset siedemnastym.

Towarzysz Wyszyński obrócił się ku sędziom na podwyższeniu.

- Nie muszę chyba mówić, że n a z w a hotelu, w którym odbyło się to spotkanie, nie ma znaczenia. Ważne jest, i ustalono to ponad wszelką wątpliwość, że oskarżony Ignatiew otrzymał polecenie sabotażu bezpośrednio od syna Trockiego, Siedowa, w kopenhaskim hotelu. - Ponownie zwrócił się do oskarżonego. - Dlaczego Siedow chciał, żebyście zniszczyli teksty autorstwa Lenina i Stalina?

- Zadałem mu to samo pytanie - zeznał Ignatiew apatycznym głosem. - Powiedział, że oczyszczenie bibliotek z książek Lenina i Stalina jest pierwszym etapem kunsztownego planu dokonania kontrrewolucji, który Trocki wcieli w życie. Przypadkiem zostałem zatrzymany w chwili, gdy zamiar sabotowania bibliotek nie ruszył jeszcze pełną parą. Stalin, a także wy, towarzyszu prokuratorze generalny, oraz inni radzieccy przywódcy mieli zostać wyeliminowani, po czym Trocki mógłby przywrócić w Rosji kapitalizm.

Z widowni rozległy się pełne złości krzyki:

- Hańba!

- Śmierć to za mało dla zdrajcy!

Ton głosu towarzysza Wyszyńskiego złagodniał.

- Czy wy, oskarżony Ignatiew, potwierdzacie, że wasze zeznania są dobrowolne, że śledczy prowadzący waszą sprawę nie wymuszali na was niczego słowem lub czynem?

- Potwierdzam.

- Czy potwierdzacie prawdziwość złożonych dobrowolnie zeznań?

- Poza wyjątkiem, jakim jest hotel Bristol, tak, potwierdzam.

- Jeszcze jedno - powiedział towarzysz Wyszyński. - Bądźcie tak dobrzy i wyjaśnijcie wysokiemu sądowi, w jaki sposób członkowie grupy wspierającej trockistowski, antybolszewicki paryski ośrodek rozpoznawali się nawzajem.

- Znakiem rozpoznawczym była wieża Eiffla. Mogła to być nalepka na kufrze lub walizce, mógł to być metalowy znaczek do wpinania w klapę marynarki, mogła to też być miniaturowa wieża Eiffla stojąca zwyczajnie na stole lub kredensie w czyimś domu lub biurze.

Towarzysz Wyszyński wrócił za barierkę prokuratorską i otworzył kolejne akta.

- Galina Jegorowa - zawołał.

Kobieta siedząca między mną i Ignatiewem podniosła się wolno z miejsca. Domyśliłem się, że miała na sobie tę samą sukienkę, w której ją aresztowano. A wpadłem na to, bo, podobnie jak garnitur Ignatiewa, tkanina była pognieciona, a brzeg długiej spódnicy utyłany, jakby ciągnęła nim po ziemi od tygodni. Poza tym sukienka miała bardzo nieradziecki dekolt, który obrażał bolszewicką moralność. Gdyby Agrippina pojawiła się w takim stroju, to choć bardzo ją kocham, poczułaby twardość mojej ręki.

- Oskarżonej Jegorowej, żonie majora Armii Czerwonej, do niedawna odpowiadającego za okręg wojskowy w Azji Środkowej, zarzuca się pomówienie, zdradę i działalność kontrrewolucyjną, z artykułu pięćdziesiątego ósmego kodeksu karnego. Czy przyznajecie się do winy?

Kiedy usłyszałem, jak prokurator generalny wymienia jej nazwisko, uderzyło mnie, że to ta sama pani, o której mówiło się na Łubiance. Więzienne plotkary gadały o aresztowanej kobiecie, która nie dość, że była sławną aktorką filmową, to jeszcze osobistą przyjaciółką Stalina. (Nie mogłem powstrzymać się od domysłów, czy Stalin siedział teraz za kolorową szybą na tyłach sali sądowej i przyglądał się jej. I czy, skoro się jej przyglądał, pamiętał także mnie od czasu, gdy wymieniliśmy uścisk dłoni na Kremlu). Przypomniało mi się coś, co powiedziała Agrippina, gdy aresztowano dyrektora naszego cyrku za machlojki z rozliczaniem biletów: „Oto jak upadają olbrzymy”. Najwyraźniej to samo odnosiło się do tej biednej pani, opierającej się o barierkę obok mnie, żeby nie upaść na kolana. Moim zdaniem wyglądała na czterdziestkę przed sześćdziesiątką, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Skórę na twarzy miała białą jak kłown, przerażenie w oczach, a piersi zapadły się w staniku sukienki tak nieładnie, że chciało się odwrócić od nich oczy z zażenowania. Mrużyła powieki, jakby miała problem z koncentracją wzroku na prokuratorze generalnym i trójce sędziów. Usłyszałem, jak odpowiedziała zachrypniętym głosem: - Przyznaję się.

- Będziecie musiała mówić głośniej - krzyknął jeden z sędziów.

- Przyznaję się do popełnienia zarzucanych mi czynów - odpowiedziała mocniejszym głosem.

Towarzysz Wyszyński wyszedł zza barierki prokuratorskiej i zbliżył się do oskarżonej.

- Galino Jegorowa, około szesnastego marca bieżącego roku, na koktajlu wydanym z okazji zakończenia zdjęć do waszego ostatniego filmu, słyszano, jak mówicie... - pochylił się nad kartką trzymaną w rękę - „Biorąc pod uwagę tych wszystkich terrorystów w Moskwie, którym nie udaje się zabić Stalina, to zadziwiające, że on jeszcze żyje”. Czy to wasze słowa?

- Zostały wyjęte z kontekstu - wymamrotała.

- To ostatnie ostrzeżenie - powiedział sędzia. - Mówcie głośniej albo uznamy to za obrazę sądu.

- Te słowa zostały wyjęte z kontekstu, wysoki sędzie. Nie miałam na celu podważania prawdziwości historii opisanych w „Prawdzie” o terrorystach działających w Moskwie ani o procesach tych terrorystów, którzy przyznali się do usiłowania przeprowadzenia zamachów na naszych przywódców. Sugerowałam jedynie, że przy aktywności w mieście tylu terrorystów to z a d z i w i a j ą c e, niemal zakrawające na c u d, cud, który zawdzięczamy czujności czekistów, że nie udało im się zlikwidować naszego ukochanego Józefa Wissarionowicza.

Troje sędziów na podwyższeniu pochyliło się ku sobie głowami. Przewodniczący składu sędziowskiego zwrócił się do oskarżonej: - Podał Jęgorowa, to nie pomoże waszej sprawie, jeśli będziecie używać wobec naszego wielce szacownego przywódcy jego imienia i otczestwa. Poza bliskim kręgiem jego kolegów i przyjaciół znamy go jako towarzysza Stalina.

Jęgorowa spuściła wzrok.

- Nie popełnię tego błędu po raz drugi, wysoki sędzie.

Towarzysz Wyszyński powiedział: - Jeśli wysoki sąd pozwoli, chciałbym przedstawić dowód w postaci podpisanego zeznania męża Jęgorowej, aresztowanego w styczniu pod zarzutem zdrady i od tamtego czasu współpracującego ze śledczym. - Towarzysz Wyszyński położył papierową teczkę na stole przed sędziami.

- Proszę to zaprotokołować - powiedział przewodniczący składu i zaczął kartkować teczkę, a kiedy skończył, przekazał ją pozostałym sędziom.

- Major Armii Czerwonej zeznał, że jest agentem trockistowskiego ośrodka antybolszewickiego działającego w Paryżu - kontynuował towarzysz Wyszyński. - Przyznał się do przygotowywania kontrrewolucyjnego powstania w Azji Środkowej w okręgu wojskowym, gdzie był dowódcą. Wciągnął żonę, oskarżoną Galinę Jęgorową, do spisku mającego na celu obalenie istniejącego ustroju i przywrócenie kapitalizmu pod przywództwem arcyzdrajcy Trockiego. - Towarzysz prokurator generalny przetarł w roztargnieniu szkła okularów końcem krawata. - Bądźcie tak uprzejma i powiedzcie wysokiemu sądowi, jaką dokładnie pełniłyście rolę w tym kontrrewolucyjnym spisku.

- Dlaczego nie przeczytacie tego po prostu z zeznań mojego męża? A może jeszcze lepiej będzie, jeśli powołacie męża na świadka i pozwolicie opisać moją rolę...

Widownia zareagowała niskim pomrukiem na arogancję podsądnej. Towarzysz Wyszyński wykrzywił twarz z niezadowolenia.

- Major Jegorow poczuł się tak upokorzony ujawnieniem jego roli w tym spisku, że próbował odebrać sobie życie, uderzając głową w ścianę celi. Jest w tej chwili leczony w szpitalu na Łubiance z poważnego wstrząsu mózgu.

- Zeznania mojego męża zostały wymuszone torturami...

Teraz dał się słyszeć z widowni prawdziwy wybuch oburzenia.

- Oszczerstwo! - rzuciła jakaś kobieta.

- Szkalowanie czekistów, stojących na straży rewolucji! - krzyknęła inna.

Sędzia przewodniczący uderzył młotkiem w blat stołu.

- Cisza! - ryknął. Zwrócił się do oskarżonej Jegorowej. - Czy twierdzicie, że zeznania waszego męża, które mamy przed oczami - datowane, z oficjalną pieczęcią śledczego, podpisane przez niego i dwóch świadków, a także przez stenografa - zostały uzyskane pod przymusem?

- Jestem absolutnie pewna, że major Jegorow to lojalny stalinista i nigdy nie był zamieszany w żaden kontrrewolucyjny spisek - oświadczyła Jegorowa.

Towarzysz Wyszyński przesunął palcem między szyją a wykrochmalonym kołnierzykiem.

- Zeznałyście w czasie przesłuchania, że służyłyście jako łączniczka grupy powiązanej z antybolszewickim trockistowskim ośrodkiem w Paryżu. Przyznałyście, że kontaktował się z wami syn Trockiego, Siedow, w hotelu w Berlinie, kiedy byliście na festiwalu filmowym w tym mieście w październiku zeszłego roku. Czy to ma oznaczać dla sądu, że wycofujecie te zeznania?

- Podtrzymuję moje zeznania. Spotkałam się z Siedowem w Berlinie w hotelu, którego nazwy nie pamiętam. Dał mi paczkę niemieckich papierosów z filtrem, których marki też nie pamiętam. Kilka z tych papierosów, jak mi powiedziano, zawierało instrukcje kontrrewolucyjnych działań sabotażowych, wydrukowane na wewnętrznych stronach bibulek. Zgodnie z poleceniem Siedowa przekroczyłam granicę Związku Radzieckiego, wioząc te papierosy otwarcie w skórzanej torebce. Kiedy wychodziłam z hotelu ze spotkania ze Siedowem, poślinił językiem nalepkę z wieżą Eiffla i przylepił ją do mojej portmonetki jako znak rozpoznawczy. Prosił, żebym dostarczyła tę paczkę papierosów osobie w biurze naczelnika wydziału bibliotek, która będzie miała taką samą nalepkę widoczną na teczce.

Osobą, która miała przekazać instrukcje sabotażowe innym członkom grupy powiązanej z antybolszewickim trockistowskim ośrodkiem w Paryżu, okazał się oskarżony Ignatiew. W żadnym razie jednak nie dostarczyłam papierosów i instrukcji, które zawierały, mężowi ani żadnemu z jego przyjaciół czy oficerów służących w okręgu wojskowym w Azji Środkowej. Temu stanowczo zaprzeczam.

Towarzysz Wyszyński pokręcił głową.

- To, co mówicie sądowi, oskarżona Jegorowa, jest w sprzeczności z zeznaniami, które podpisałyście. Nie zaprzeczycie chyba, że to wasz podpis figuruje na uwierzytelnionym zeznaniu, które przedłożyłem już wysokiemu sądowi jako dowód.

- Obiecano mi, że ocalę życie, jeśli wciągnę w to męża. W chwili słabości podpisałam zeznanie, które przede mną położono. Prawda jednak jest taka, że mój mąż jest niewinny. Bóg mi świadkiem, że nie miał pojęcia o mojej kontrrewolucyjnej działalności. Czy nie wystarczy wam, że przyznałam się do winy? Dlaczego chcecie zniszczyć nas oboje?

Sędzia przewodniczący powiedział: - W sprawie dotyczącej związków z antybolszewickim ośrodkiem trockistowskim w Paryżu wasze życie zależy od mówienia prawdy.

Resztką sił opuściła oskarżoną Jegorową i na moich oczach kobieta osunęła się na kolana, opierając się brodą o barierkę. Trzymający przy niej wartę żołnierz chwycił ją pod pachy i zaczął stawiać na nogi. Kiedy to robił, jedno z ramiączek jej sukni zsunęło się z ramienia i wszyscy zobaczyli jej pierś. Sięgnąłem i zanim żołnierz stojący za mną zdążył interweniować (był o połowę mniejszy ode mnie i miałby trudności z powstrzymaniem mnie, gdyby chciał to zrobić), podciągnąłem jej ramiączko na miejsce.

Towarzysz Wyszyński, jako doświadczony prokurator, nie dał się zbić z tropu tymi nieprzewidzianymi wypadkami.

- Proszę wysoki sąd o zwrócenie uwagi, że w świetle dwóch podpisanych zeznań, podsądnej i jej męża, oskarżona Jegorowa dopuściła się teraz krzywoprzysięstwa, żeby ratować męża, co w rezultacie każe nam uznać, że jej lojalność wobec męża zdrajcy jest daleko silniejsza od lojalności wobec radzieckiego państwa i rewolucji. Dowód to, wysoki sędzie, przytłaczający. Kontrrewolucyjne działania oskarżonego Ignatiewa i oskarżonego majora Armii Czerwonej Jegorowa, któremu zostanie wytoczony osobny proces, kiedy wydobrzeje z okaleczeń, jakie sobie sam zadał, noszą znamiona spisku zainicjowanego przez syna Trockiego, Siedowa, którego instrukcje zostały przekazane moskiewskiej sekcji antybolszewickiego trockistowskiego ośrodka w Paryżu przez oskarżoną Jegorową.

Towarzysz Wyszyński wszedł za prokuratorą barierkę i otworzył nowe akta, a ja od

razu wiedziałem, że wreszcie nadeszła moja kolej. Z radością usłyszałem, jak odczytał głośno moje nazwisko.

- Fikrit Trofimowicz Szotman.

Zobaczyłem, że Agrippina zakryła sobie rękami oczy. Widziałem, że mężczyźni siedzący po obu jej stronach chwycili ją za nadgarstki i opuścili jej dłonie na dół. Uśmiechnąłem się do niej, żeby dodać jej otuchy.

- Obecny - odpowiedziałem głośno i stanowczo. - Jestem gotów do przyznania się do winy, jako że ją zrozumiałem.

I zanim towarzysz prokurator generalny zdążył rozpuścić język, żeby mnie przepytac, zacząłem zeznawać. Bardzo szczegółowo opisałem, jak mnie zwerbowano w Wiedniu w 1932 roku, kiedy reprezentowałem Związek Radziecki jako ciężarowiec na mistrzostwach Europy; jak dostałem zapłatę w amerykańskich dolarach, co było finansowaniem moich sabotażowych poczynań; jak kontaktowałem się z moim agentem prowadzącym, amerykańskim tajnym szpiegiem udającym ciężarowca, za pomocą tajnego szyfru, który był ukryty w dedykacji pod okładką amerykańskiego magazynu o sprawności fizycznej; jak powodowany nienawiścią do nowego porządku posunąłem się nawet do tego, że zniekształciłem twarz Stalina, którą miałem wytatuowaną na bicepsie. Żeby nadać swym słowom bardziej dramatyczny wyraz, zerwałem z siebie marynarkę nowego garnituru, odpiąłem guziki koszuli i pokazałem nagie ramię, obracając lewy biceps ku widowni, żeby zobaczyła ślad po linii na wyblakłym tatuażu. Tymczasem siedząca w pierwszym rzędzie Agrippina odwróciła głowę, ale zdążyłem jeszcze zobaczyć ogromne łzy płynące jej po pięknych policzkach, wiedziałem jednak, że dobrze robię. Dał mi na to słowo towarzysz śledczy Christoforowicz. Towarzysz Wyszyński usiłował wejść mi w słowo, kiedy zapinałem koszulę, ale znowu go przegadałem.

- To jeszcze nie wszystko - mówiłem, wkładając marynarkę, i opowiedziałem o bezwartościowych carskich obligacjach, które trzymałem w kufrze na dzień, kiedy kontrewolucja Trockiego, a brałem w niej udział jako piechur, odsunę bolszewików od władzy i przywróci kapitalizm w radzieckiej Rosji, a wtedy moje carskie obligacje mógłbym wymienić na ich rzeczywistą wartość. Towarzysz prokurator generalny skorzystał z okazji, kiedy musiałem zaczerpnąć powietrza, i zapytał o znaczenie nalepki z wieżą Eiffla na moim kufrze. - Cieszę się, że o to zapytaliście; prawie zapomniałem o wieży Eiffla. Pozwólcie, że powiem to tym, którzy nie wiedzą, że wieża Eiffla, znajdująca się w Paryżu, nie może się nawet równać z wieżami, jakie mamy w Związku Radzieckim. To prawda, może nie są takie duże jak ta paryska, ale każda kobieta wie, że nie rozmiar się liczy. - Kilka kobiet na sali sądowej zaczęło chichotać, ale natychmiast przestało, gdy jeden z sędziów walnął

drewnianym młotkiem w stół. Ten sam sędzia skinął do mnie głową, żebym mówił dalej, i tak też zrobiłem. - Kiedy zwerbowano mnie do grupy współpracowników antybolszewickiego ośrodka trockistowskiego w Paryżu w trakcie mistrzostw Europy w Wiedniu, dostałem nalepkę z wieżą Eiffla, którą kazano mi nalepić na kufrze jako znak rozpoznawczy dla innych konspiratorów związanych z antybolszewickim ośrodkiem trockistowskim w Paryżu, żeby wiedzieli, że należę do ich gangu.

Sędzia przewodniczący odezwał się ze swego tronu na podwyższeniu: - Proszę zwrócić uwagę, że oskarżony Szotman szczerze wyznał wszystkie swoje przestępstwa, co zasługuje na pochwałę. Każdy człowiek z odrobiną zdrowego rozsądku widzi, że nie próbuje mataczyć ani zmniejszać swojej winy, a to na pewno zostanie wzięte pod uwagę, kiedy przyjdzie czas wydania wyroku.

Nie bardzo wiedziałem, co sędzia miał na myśli, mówiąc „mataczyć”, ale skinieniem głowy podziękowałem mu z ławy oskarżonych.

Sędzina, zajmująca miejsce po prawej stronie przewodniczącego składu, uniosła palec.

- Chciałabym zapytać oskarżonego Szotmana, jaką dokładnie pełnił rolę w grupie związanej z antybolszewickim ośrodkiem trockistowskim w Paryżu.

- Jaką rolę?

- Co mieliście robić, by posunąć dalej kontrewolucję?

Spojrzałem na Christoforowicza, bo potrzebna mi była podpowiedź, co mam mówić - nigdy nie poruszał ze mną tej sprawy w czasie prób mojego zeznawania - ale nie otrzymałem od niego żadnej pomocy. Zerknąłem na Agrippinę, ale unikała mojego wzroku. Zwróciłem się do sędziny: - No, przecież moja rola polegała na sabotowaniu. Zapisałem się jako sabotażysta.

- Co mieliście sabotować? - sędzina naciskała.

Wzruszyłem ramionami.

- Dopóki kolano mi się nie rozwalilo, byłem mistrzem w podnoszeniu ciężarów. Dopóki mnie nie aresztowano, byłem siłaczem w cyrku. Popatrzcie na mnie, wysoki sędzie. Spójrzcie na moje ręce. Spójrzcie na moje ramiona. Mogę sabotować wszystko, cokolwiek każe mi się sabotować.

Towarzysz Wyszyński pospieszył mi na ratunek.

- Jasno wynika z jego zeznania, że oskarżony Szotman był gotów dokonywać sabotażu zgodnie z instrukcjami przysłanymi przez antybolszewicki ośrodek trockistowski w Paryżu. Niewykluczone, że takie instrukcje znajdowały się w jednym z zadrukowanych wewnątrz papierosów od Siedowa, które oskarżona Jegorowa dostarczyła oskarżonemu Ignatiewowi. Nigdy jednak nie zostały wprowadzone w czyn, bo aresztowanie tej dwójki spiskowców

nastąpiło w samą porę. To, co jest ważne i na co należałoby zwrócić uwagę, to fakt, że oskarżony Szotman należał do grupy konspiratorów i był gotów dokonywać sabotażu na polecenia Siedowa, gdyby je otrzymał.

Przewodniczący składu sędziowskiego popatrzył na mnie.

- Czy oskarżony Szotman chce coś dodać do swoich zeznań?

W tym właśnie momencie wypowiedziałem słowa, które Christoforowicz wbił mi do głowy.

- Niezależnie od tego, jaki otrzymam wyrok, wysoki sędzie, z góry uznaję go za sprawiedliwy. - Wyteńczyłem wzrok w kierunku kolorowych szyb na końcu sali. - Wszyscy kroczy za towarzyszem Stalinem.

Kilka osób na sali sądowej - Christoforowicz, Islam Issa, pani, która spisywała moje zeznania, inne urzędniczki - zaczęło klaskać. Pozostali zaraz się przyłączyli i całe pomieszczenie wypełniło się burzliwym aplauzem. Światła fleszów błyskały mi przed twarzą. Poczulem na sobie wzrok Agrippiny i zrozumiałem, że choć ten raz nie będzie się wstydziła swojego Fikrita. Obróciłem się do widowni i ocierając kostki rąk o podłogę ławy oskarżonych, pokłoniłem się do ziemi.

Resztę procesu wypełniły zlewające się ze sobą przemowy obrońców (aż do tego momentu nie wiedziałem, że przydzielono nam obrońców), którzy dla moich współoskarżonych domagali się kary najwyższej.

- Wściekle psy kapitalizmu próbowały odrywać kawałek po kawałku najlepsze skrawki naszej radzieckiej ziemi. Nalegam, by zrobić z nimi to, co się zwykle robi z wściekłymi psami, to znaczy: zastrzelić.

Adwokatka, której powierzono moją obronę, wstała i powiedziała: - Fikrit Szotman okazał szczerą skruchę i w pełni współpracował z władzami. Prosiłabym wysoki sąd o łagodny wyrok dla niego: cztery lata ciężkich robót na Dalekim Wschodzie.

Z widowni rozległy się okrzyki „Wściekle psy trzeba zastrzelić” i „Łaski dla Szotmana”, kiedy trójka sędziów wychodziła na naradę. Wrócili dwadzieścia minut później. Przewodniczący składu sędziowskiego przeczytał werdykty. Oskarżeni Ignatiew i Jegorowa zostali skazani na rozstrzelanie, wyrok miano wykonać natychmiast. Ja dostałem cztery lata. Agrippina opadła w ramiona jednego z mężczyzn w ciemnych garniturach. Stojący po mojej prawej stronie Ignatiew posłał całusa staruszce o kulach siedzącej w głębi sali sądowej, zanim obrócił się do wyjścia z ławy oskarżonych. Podsądna Jegorowa zemdlała i upadła na podłogę. Dwóch żołnierzy nie mogło sobie poradzić z podniesieniem jej. Odsunąłem ich i wziąłem ją na ręce, jakby była lalką, i zaniósłem do celi aresztu w piwnicy, a potem, starannie

opuszczając jej spódnicę, posadziłem delikatnie na ławce. Ostatni raz widziałem ją, gdy odprowadzany do mojego bloku, spojrzałem ponad ramieniem i zobaczyłem, jak strażnicy próbują ocucić ją solami trzeźwiącymi, żeby zabrać na egzekucję.

Nadieżda Jakowlewna

Wtorek, 28 maja 1934 roku

W dniach po aresztowaniu Mandelsztama robiłam całe mnóstwo rzeczy, bo uznawałam je za sposób na ucieczkę od zadręczających myśli. Któregoś dnia szorowałam druciakiem garnki w kuchni i palnik kuchenki naftowej, aż poobcierałam palce do krwi. Innym razem uganiałam się po małym dziennym pokoju i dłońmi zabijałam mole, a ich liczbę zapisywałam kredą na kawałku tektury. Całą sobotę i niedzielę spędziłam na cerowaniu ubrań, choć nici miałam w nieodpowiednich kolorach. Pewnej nocy przepisałam przy świecy wiersze ukryte w butach i dałam kopie bratu Osipa, Aleksandrowi, na przechowanie. W noc aresztowania Mandelsztama czekiści przeszukali wszystkie nasze książki, a potem odstawili je na półki bez ładu i składu. W dniu, o którym mowa, postanowiłam ustawić je w jako takim dawnym porządku, odkurzyłam każdy tom zdejmowany z półki i poukładałam mężowskie i moje książki na oddzielnych stertach, zanim wróciły do biblioteczki. To prawo natury i nie da się posortować książek bez kartkowania ich, zastanawiania się, kto zakreślił poszczególne akapity i po co, bez odgadywania, kto nabazgrał nieczytelne uwagi na marginesach ze strzałkami wskazującymi na inne akapity. Przeczytałam ponownie zdania, które kiedyś podkreśliłam w doskonałym rosyjskim tłumaczeniu osiemnastowiecznego francuskiego arcydzieła Choderlosa de Laclos *Niebezpieczne związki*. Wpadła mi w ręce inna książka, o której myślałam, że komuś ją pożyczyłam i w ten sposób przepadła, Zinowiewej-Annibal *Trzydzieści trzy potworności*, powieść z przełomu wieków, w której po raz pierwszy we współczesnej literaturze rosyjskiej otwarcie opisano miłość lesbijską. Nie umiem sobie przypomnieć, jakim cudem weszłam w jej posiadanie, ale pamiętam kiedy: miałam wtedy szesnaście lat i straszliwie podobała mi się młoda Rosjanka, którą spotkałam w Paryżu, gdy podróżowałam z rodzicami. Podrzucała mi liściki na perfumowanym papierze i pisała w nich, że bardzo podziwia moje jasne oczy i delikatną skórę. Co dziwne, nie pamiętam już imienia tej dziewczyny, choć ta szczenięca miłość była najsilniejsza ze wszystkich, jakie przeżyłam, zanim Mandelsztam wyzebrał ode mnie papierosa w CHŁAM-ie. Nie wykluczam, że to tamta dziewczyna dała mi *Trzydzieści trzy potworności*. Z drugiej strony równie dobrze mogłam ją dostać od matki, jednej z pierwszych kobiet w Rosji, które uzyskały dyplom lekarza; miała

ciągoty do cyganerii i mogła położyć tę książkę na mojej szafce nocnej, żeby umożliwić córce kijowiance nabranie sznytu wyrafinowania.

Przeglądałam *Trzydzieści trzy potworności*, zatrzymywałam się przy stronach, których rogi zostały kiedyś zawinięte, usiłując (na próżno) odczytać je oczami szesnastoletniej marzycielki, jaką kiedyś byłam, gdy usłyszałam kroki pospiesznie oddalające się korytarzem od drzwi naszego mieszkania. Poszłam do przedpokoju i nie mogłam nie zauważyć złożonej kartki pod drzwiami. Serce zaczęło mi walić jak młotem, gdy ją podnosiłam. Przez chwilę byłam zbyt przestraszona tym, co może zawierać, żeby ją rozłożyć i przeczytać. Pasternak dzwonił kilka dni wcześniej i przekazał, że dowiedział się - stanowczo odmówił zdradzenia od kogo - jakoby Stalin osobiście zainteresował się przypadkiem Mandelsztama. Pasternak uznawał to za dobry obrót sprawy, ale ja dostrzegałam ciemną stronę tej informacji: jeżeli Stalin zainteresował się Mandelsztamem, to niech Bóg ma w opiece Mandelsztama. Ciekawość wzięła górę nad lękiem i rozłożyłam kartkę, która okazała się drukowanym formularzem wezwania, z moim nazwiskiem dopisanym atramentem. Miałam się stawić jeszcze tego popołudnia o godzinie czternastej na Łubiance przy wejściu od strony zaułka Furkassowskiego.

Łubianka! Czy ja również zostałam aresztowana? Czy może ma to coś wspólnego z mężem - wręczą mi akt zgonu i oddadzą jego rzeczy osobiste? Pamiętam, że nogi się przede mną ugięły i osunęłam się na podłogę, klękając przed czerwonym kaloryferem, jakby był religijnym artefaktem i jakbym ja modliła się do niego. Dobry Boże w niebiesiech, jeśli Osip nadal ma mużę i erekcję, spraw, by słońce po prostu nie weszło jutro rano. Amen. Po jakimś czasie udało mi się jakoś zebrać siły i myśli na tyle, żeby dojść do wspólnego telefonu na korytarzu i wykręcić numer Bucharina w „Izwiestiach”. Dodzwoniłam się do jego sekretarki, Korotkowej.

- Oj - powiedziała, wzdychając w przygnębieniu. - Zakazał mi stanowczo łączyć go z wami, madame Mandelsztam. Nie zobaczy się z wami, jeśli przyjdziecie. Jest na was wściekły - najwyraźniej postawiłście Nikołaja Iwanowicza w niezręcznej sytuacji wobec jego przyjaciela z Kremla. Boję się, że nie mogę nic dla was zrobić.

Powiedzenie, że byłam wstrząśnięta, nie oddawało mojego stanu. Jedna z sąsiadek z Domu Hercena zastała mnie siedzącą na zdezelowanym krześle obok telefonu i wpatrzoną tępo w ścianę.

- Dostałaś złe wieści, Nadieżdo? - zapytała.

Podaliśmy jej wezwanie. Przeczytała kartkę i powiedziała: - Niech ci Bóg pomoże, bo ja nie jestem w stanie. I włożyła mi ją między palce, jakby papier był skażony, wycofując się w

pośpiechu.

Przyszło mi do głowy, że powinnam zadzwonić do Achmatowej, mądrej, obytej przyjaciółki, która wiedziała, że nosząc paczkę od więzienia do więzienia, można się dowiedzieć, gdzie przetrzymują czyjegoś męża. Odebrał Lew, syn Anny Andriejewny i jej pierwszego męża, Gumilowa. Obiecał, że poprosi matkę, żeby do mnie oddzwoniła, jak tylko wróci z garmażerii. Nie wiem, ile czasu tak siedziałam, zanim telefon rozdzwonił się pod moją ręką. Zerwałam słuchawkę z widełek. Dzięki Bogu to była Achmatowa. Szybko odczytałam jej treść wezwania. Jak zwykle spokojnie zastanowiła się nad problemem, zanim wyraziła swoją opinię.

- Moim zdaniem możemy wykluczyć, że wzywają cię, żeby poinformować o jego śmierci - oświadczyła w końcu. - Z tego, co słyszałam, o śmierci więźnia można się dowiedzieć jedynie przy zwrocie listu lub paczki ze stemplem „Zmarł”. Bardzo rzadko jakaś życzliwa dusza dopisuje przyczynę zgonu, choć śmierć więźnia, nawet jeśli został rozstrzelany w kazamatach Łubianki, nieodmiennie przypisują niedomaganiom serca. Rzadko też władze przesyłają formalne zawiadomienie z podaną datą, kiedy nastąpił zgon.

- A jeśli on nie żyje, co zrobią z ciałem?

- Słyszałam, że więźniów, którzy nie zostali skremowani, chowają we wspólnym grobie na strzelnicy w Butowie pod Moskwą, niedaleko daczy pobudowanych dla czekistów. Ale głowa do góry, Nadieżdo, to zdecydowanie mało prawdopodobne, żeby wzywali cię po to, by poinformować o śmierci Mandelsztama. Nie mogę wykluczyć, że cię aresztują. Bo, o ile się nie mylę, aresztują teraz tak wielu ludzi, że brakuje czekistów do ich doprowadzania. Mniej ważni polityczni więźniowie są w z y w a n i, żeby wystarczyło pracowników Czeka dla ważniejszych aresztantów. Z drugiej strony może chodzić o coś zupełnie innego - nie można wszak porzucać nadziei, że Pasternak albo Bucharin szepnęli słówko Stalinowi i Osip dostał wyrok więzienia. Jeśli tak jest, to na jedno trzeba zwrócić uwagę, a mianowicie czy po informacji o długości wyroku dodano „bez prawa do korespondencji”. „Bez prawa do korespondencji” jest równoznaczne z wyrokiem śmierci - oznacza, że odcinają więźnia od cywilizacji, bo nie spodziewają się, by wrócił. Istnieje jeszcze inna możliwość: że Osip będzie zesłany, co nazywają owym sławnym „minus dwanaście”. W takim przypadku będą chcieli, żebyś przyniosła prowiant na drogę i ubrania na zimę - Anna skorygowała własne słowa - na zimy, w liczbie mnogiej, które nadejdą.

- Nigdy nie myślałam, że będę modliła się do Boga, żeby Mandelsztama zesłano - powiedziałam.

- To byłoby najmniej straszne rozwiązanie - zgodziła się ze mną. - Dodam mój głos do

twojego na wypadek, gdyby istniał Wszchemogący i nas słuchał.

- Pozwolą mi jechać z nim na zesłanie?

- Jeśli to zesłanie, to prawdopodobnie tak. Dzisiaj coraz więcej żon jedzie z mężami na zsyłkę. Zwalniają się mieszkania, no i z pola widzenia znikają osoby takie jak my, będące utrapieniem. O której masz się pojawić na Łubiance?

- O drugiej.

- Kochanieńka Nadieżdo, będę koczowała przy telefonie - powiedziała Achmatowa. - Jeśli nie zadzwonisz do piątej, zawiadomię Pasternaka i oboje zaczniemy bombardować telegramami związek pisarzy, domagając się informacji, co się z tobą stało.

I tak znalazłam się przed nieoznakowanymi drzwiami w zaułku Furkassowskim i szukałam jakiegoś dzwonka albo kołatki, żeby zapukać w drewno. Mandelsztam na pewno by się uśmieł, gdyby zobaczył mnie, jak usiłuję d o s t a ć s i ę na Łubiankę. Skończyło się na tym, że zastukałam zgiętymi palcami. Młody czekista w granatowym mundurze gwardzisty uchylił je na szerokość dłoni, więc zobaczyłam tylko jego jedno oko wpatrujące się we mnie.

- Czego?

Przez szparę podałam mu wezwanie. Zamknął mi drzwi przed nosem. Stałam więc i zastanawiałam się, czy zapukać ponownie, czy czekać. Jakieś kobiety przeszły obok chodnikiem, przyglądając mi się, każda z siatką pełną pomarańczy. Byłam ciekawa, czy wiedzą, że to tylne wejście do więzienia na Łubiance. Po chwili drzwi otworzyły się na tyle, że mogłam precyzyjnie się do środka. Usłyszałam, jak zatraskują się za mną i są zamykane na zasuwę. Całym wysiłkiem woli powstrzymałam się od opadnięcia na kolana.

- Za mną - rozkazał wartownik.

- Dokąd mnie prowadzicie? - zapytałam, ale oddalił się już na tyle, że musiałam podbiec, żeby go dogonić.

Minęliśmy następne drzwi, wychodzące na dziedziniec, potem wspięliśmy się po schodach i przez kolejne drzwi weszliśmy do eleganckiej sieni z lustrami na ścianach i podłogą tak błyszczącą, że odbijał się w niej kraj spódnicy. Były tam też szerokie kręte schody o mahoniowej balustradzie. Wartownik poprowadził mnie dalej do dużej windy z lustrami. Oddał moje wezwanie windziarzowi, starszemu panu w białych rękawiczkach i granatowej rubaszce ze złotym szamerunkiem i mosiężnymi guzikami. Weszłam do środka i siłą przyzwyczajenia zerknęłam na siebie w lustro - już wygląd samej cery wystarczył, żeby wystraszyć diabła, który, jak wszyscy przypuszczają, czai się w ciemnych miejscach Łubianki. Poutykałam niesforne kosmyki włosów pod beret, który rodzice kupili mi jeszcze w Paryżu, gdy miałam szesnaście lat. Pomyślałam, że rozważniej byłoby mieć jakieś rosyjskie

nakrycie głowy, a nie to coś z francuską metką wszytą w środku. Winda ruszyła. Liczyłam mijane piętra. Pierwsze. Drugie. Wolno zatrzymaliśmy się na trzecim. Windziarz sięgnął do kraty z brązu i z pewnym wysiłkiem odciągnął ją na bok, a potem pchnięciem otworzył ciężkie drzwi prowadzące do holu i przytrzymał je dla mnie, jakbym była gościem Ritzu.

- Pokój dwudziesty trzeci - powiedział, wskazując głową w głąb korytarza.

Ruszyłam jasno oświetlonym korytarzem po wytartym chodniku, minęłam otwartą windę towarową o ścianach obitych tkaniną i kilkoro drewnianych drzwi z mosiężnymi numerami, aż znalazłam się przed tymi z numerem 23. A potem, jakbym odbywała kurtuazyjną wizytę u wydawcy, od którego chciałabym dostać coś do tłumaczenia, wyciągnęłam rękę i zapukałam.

To, co sobie teraz przypominam, nie pochodzi z ośrodka pamięci w mózgu. Widzę to oczami wyobraźni. Przy opisie przeżywam wszystko ponownie albo, mówiąc precyzyjniej, przeżywam to tak jak za pierwszym razem. Kiedy sporadycznie wspominam tamte okropne wydarzenia, czuję przykry zapach ziemi ze świeżo wykopanego grobu.

Oto co zobaczyłam, kiedy mężczyzna, znany mi od tamtej chwili jako śledczy Christoforowicz, otworzył drzwi i skinieniem głowy zaprosił mnie do środka. Zobaczyłam Józefa Stalina patrzącego na mnie z ogromnego zdjęcia wiszącego na ścianie. Zobaczyłam Christoforowicza, uśmiechającego się do mnie idiotycznie niczym *maitre d'hôtel*. Zobaczyłam mężczyznę podobnego - nie więcej niż p o d o b n e g o - do poety Mandelsztama, stojącego obok absurdalnego stołka z przednimi nogami krótszymi od tylnych i trzymającego obiema rękami spodnie pozbawione szelek.

Na miękkich nogach przeszłam przez pokój i przywarłam do jego ciała, trzęsąc się od bezgłośnego szlochu i otaczając go ramionami.

Powinam tu dodać, że jego ubranie cuchnęło moczem.

- Jak widzicie, madame Mandelsztam, wasz mąż żyje i ma się nieźle - powiedział śledczy. Usadowił się na krześle za wielkim stołem, odsunął talerz z niedojedzonym obiadem i gestem kazał Mandelsztamowi usiąść. Mąż chwycił mnie za rękę i opadł na stołek.

- Wypuszczają cię? - zapytał głosem, jakiego nie słyszałam u nikogo mi znanego.

- Co rozumiesz przez „wypuszczają mnie”?

- Zapomniałaś? Odwiedziłem cię w twojej celi, Nadienko. Ciebie i Zinaidę. - Zachęcił mnie, żebym ukucnęła obok niego, tak by jego usta znalazły się bliżej moich uszu. - Kiedy ją aresztowali, zatrzymali też epigram, który dla niej zapisałem.

- Nazywam się - oświadczył *maitre d'hôtel* zza stołu - Christoforowicz. Mam zaszczyt być śledczym waszego męża. Jest zupełnie zdezorientowany, jak widzicie, to pewnie skutek

szoku wywołanego waszym widokiem. - Obrócił się do Mandelsztama. - Wobec waszej żony, a także przyjaciółki żony, aktorki Zinaidy Zajcewej-Antonowej, nie zastosowano aresztu prewencyjnego.

- Oczywiście kłamiecie - powiedział Mandelsztam głosem, którego tembr już znałam.

- Widziałem je obie w więzieniu.

- On mówi prawdę, Osja. Musiało ci się to przyśnić. Przez ostatnie dwa tygodnie byłam w naszym mieszkaniu w Domu Hercena.

Christoforowicz odchrząknął.

- Zostałyście wezwana - poinformował mnie - żeby wysłuchać wyroku, jaki otrzymał Mandelsztam za złamanie artykułu pięćdziesiątego ósmego, penalizującego antyradziecką propagandę i działalność kontrrewolucyjną. Wiersz waszego męża jest kontrrewolucyjnym utworem bez precedensu. - Śledczy wyciągnął kartkę papieru z pękatyh akt leżących na stole. - Towarzysz Stalin osobiście przyjrzał się tej sprawie i nakazał organom izolować więźnia i zostawić go przy życiu. Został skazany na trzyletnie zesłanie w ramach minus dwanaście.

- Co to znaczy minus dwanaście? - zapytał Mandelsztam.

- To znaczy, że nie wolno wam przebywać w żadnym z dwunastu największych ośrodków miejskich Związku Radzieckiego - odpowiedział Christoforowicz.

Uścisk dłoni mojego męża nasilił się. Osip zaczął drzeć jak w febrze.

- Nie będę rozstrzelany?

- Nie będziesz rozstrzelany - powiedziałam. - Będziesz żył, żeby pisać piękne wiersze całymi tuzinami.

- Nie będę rozstrzelany? - powtórzył, jakby nie usłyszał mojej odpowiedzi.

- Zapewniam was, że nie podlegacie najwyższemu wymiarowi kary - odezwał się Christoforowicz. Popatrzył na mnie. - Czy ma pani życzenie jechać z mężem na zesłanie?

- Nie - Mandelsztam odpowiedział za mnie.

- Oczywiście - powiedziałam, podważając jego decyzję.

- To znaczy? - Christoforowicz chciał usłyszeć jednoznaczną decyzję.

- Z całą pewnością będę towarzyszyła mężowi na zesłaniu.

- W takim razie wypiszę konieczne dokumenty i przyniosę wam do podpisania.

Obszedł stół i stanął nad Mandelsztamem.

- Biorąc pod uwagę kontrrewolucyjny charakter waszego przestępstwa, wyrok jest wyrazem niezwykłej pobłażliwości najwyższego szczebla władzy. Nie zapominajcie o tym. - I z tymi słowami wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Kiedy Mandelsztam się odezwał, usta mu drżały.

- Uważaj na to, co powiesz - wyszeptał. - Na pewno podsłuchują.

Spojrzał na ściany, w klasycznym geście sugerującym, że mogą być w nich zamontowane mikrofony.

- Zaprzeczyłaś, że cię aresztowali, bo on był w pokoju?

- Nie. To prawda. Przez cały ten czas byłam w domu.

- A Zinaida?

- Po wielu, wielu dniach wydzwaniania wreszcie się z nią skontaktowałam. Była bardzo spięta. Pewnie dlatego, że rozchodzi się z mężem. Zapewniła mnie, że zniszczyła kartkę z epigramem, który jej zapisałeś.

Pokręcił głową zakłopotany.

- Jeśli w jej głosie słychać było napięcie, to dlatego że zabrali jej epigram i bała się do tego przyznać. Christoforowicz pokazał mi go. Nie może być mowy o pomyłce - to była pierwsza wersja, zanim Pasternak zmusił mnie do zmiany drugiej zwrotki. Poznałem własne pismo.

- Nie rozumiem...

- Ani ja nie rozumiem. Uwierz mi, nie miałem halucynacji. Na rany Boga, odwiedziłem ciebie i Zinaidę w więzieniu.

- A ja ci mówię, że tylko sobie to wyobraziłeś. Dobry Boże, co jeszcze wymyśliłeś?

Mandelsztam wymamrotał coś po grecku: *Ei kai egnokamen kata sarka Christon*. Od razu rozpoznałam to zdanie, jako że często usiłowaliśmy rozszyfrować te tajemnicze słowa świętego Pawła z Drugiego Listu do Koryntian. Przyjmuje się, że święty Paweł nigdy nie spotkał Jezusa, a mimo to on sam utrzymuje: „a jeśli nawet według ciała poznaliśmy Chrystusa”³². Nie miałam pojęcia, do czego Mandelsztam zmierza, cytując Pawła.

- Usiłujesz przekazać mi, że widziałeś osobę Chrystusa w więzieniu? - zapytałam.

Pokręcił głową z niezadowoleniem, a potem skierował wzrok na zdjęcie Stalina wiszące na ścianie za stołem śledczego.

- Widziałem się z n i m.

Nadal niczego nie rozumiałam.

- Stalin przyszedł zobaczyć się z tobą w więzieniu?

Moja tępota zaczynała irytować męża.

- Nie w w i ę z i e n i u. I t o nie on przyszedł do m n i e, ale ja poszedłem do

³² Cytat za Biblią Tysiąclecia.

n i e g o. Widziałem się z nim, rzecz jasna, na Kremlu. Ciałem. Poczęstował mnie papierosem. Rozmawialiśmy. Opowiedział mi o sobie wiele rzeczy, w tym - ponownie przysunął usta do mojego ucha - w tym i to, że zastrzelił żonę po kłótni. Och, to nie do końca była jego wina, sama wyjęła pistolet i włożyła mu go do ręki, chciała, żeby udowodnił, że jest równie twardy jak Iwan Groźny Dlatego przystawił jej lufę do serca i pociągnął za cyngiel. Wszyscy na Kremlu są przekonani, że popełniła samobójstwo. Tylko ja znam prawdę.

Nie wiedziałam, jak zareagować. Czy to możliwe, że Stalin sprowadził Mandelsztama na Kreml i zaczął mu się zwierzać? Gdyby jednak mu się zwierzał - i przyznał się do zastrzelenia żony - dlaczego pozwalał na zesłanie Mandelsztama, który będzie mógł powtarzać tę historię każdemu, kto zechce słuchać? Nie, nie, jedynym wyjaśnieniem mającym jakikolwiek sens było to, że Mandelsztam znalazł się na granicy załamania nerwowego, wyobraził sobie, że widzi mnie i Zinaidę w celi więzienia, podobnie jak wymyślił rozmowę ze Stalinem.

- Posłuchaj uważnie, kochany - powiedziałam, wszeptując mu słowa do ucha. - Nie wolno ci powiedzieć nikomuśienku na świecie o spotkaniu ze Stalinem na Kremlu. Nie wątpię, że odbyło się, tak jak mówisz. Ale jeśli rozpowiesz, jak umarła jego żona, każe cię sprowadzić z powrotem na Łubiankę w kajdanach. Rozumiesz, co do ciebie mówię, Osja?

Uderzył się kilka razy kostkami dłoni w piękne czoło.

- Tak.

- Jesteś pewny, że zrozumiałeś? - powtórzyłam pytanie.

Powoli skinął głową.

- To dobrze. Nigdy więcej o tym nie wspominaj. Ani sobie. Ani Achmatowej. Ani Pasternakowi. Ani bratu. Ani nawet mnie.

- Nigdy więcej o tym nie wspomnę - powiedział cicho.

- Musimy zostawić przeszłość za sobą i skupić się na przyszłości.

- Czy przyszłość jest za nami, czy przed nami?

Przez moment pomyślałam, że Mandelsztam odzyskał zdolność normalnego myślenia i zrobił ciętą, jak zawsze, nie mówiąc już, że poetycką, uwagę. Ale wtedy ponownie ukucnęłam przy nim i zobaczyłam jego szeroko otwarte oczy z wyrazem wyczekiwania odpowiedzi na zadane pytanie.

- Przyszłość - powiedziałam - jest przed nami.

Mandelsztam przyjął to wyjaśnienie z kolejnym, powolnym skinieniem głowy.

Maitre d'hôtel wrócił do pokoju, przynosząc mi jakieś formularze w trzech egzemplarzach do podpisu. Nabazgrałam nazwisko na dole każdej strony, nie zwracając

sobie głowy czytaniem. Co więcej mogłabym stracić, czego jeszcze mi nie odebrano? Posługując się kantem stołu niczym liniałem, Christoforowicz oderwał kawałek papieru i napisał na nim nazwę dworca kolejowego, numer składu i godzinę odjazdu.

- Mandelsztam będzie zesłany do Czerdynia na północy Uralu - powiedział. - Macie siedem godzin na spakowanie rzeczy, które możecie ze sobą zabrać, i spotkanie się z mężem w wagonie kolejowym.

Kiedy ruszyłam w stronę drzwi - nie mogłam sobie pozwolić na stratę czasu, jeśli miałam przygotować nas do podróży - Mandelsztam zerwał się na równe nogi.

- Jaskółka! - zawołał, wskazując ręką, którą nie trzymał spodni, na plisowane zasłony zakrywające okna.

- Co takiego tam widzisz, Osja?

- Widzę przyszłość rozbijającą się o zbocze góry!

Odwrociłam się do śledczego i zaczęłam mu wymyślać: - Poetę doprowadzono do obłądu! - krzyczałam. - To największe uchybienie wobec władzy, którą reprezentujecie. Poeta jest wyprawiany na zesłanie w stanie obłądu.

Christoforowicz trwał nieporuszony moją tyradą i widokiem szaleństwa Mandelsztama.

- Lepiej wykorzystajcie czas, jaki pozostał do odjazdu pociągu, jeśli się uspokoiacie i zaczniecie szykować do podróży - powiedział zimno.

Nie jestem pewna, czy wyobrażenia nie płata mi figli przy wspomnianiu tamtej sceny. Wydaje mi się, że Mandelsztam się rozplakał, gdy wybiegłam z pokoju numer 23. Nie pamiętam, jak dotarłam do Domu Hercena, zupełnie nie pamiętam. Nie przypominam sobie, żebym dzwoniła do Achmatowej, ale musiałam jednak to zrobić, bo już po paru minutach zjawili się kilku poetów mieszkających w klatkach na drugim piętrze i zaczęło pomagać mi przy pakowaniu. Pamiętam, że miałam wrażenie, jakbym dostała wysokiej gorączki. Jak w maligned upychałam ubrania męża (niektóre śmierdzące kamforą) do walizy służącej nam za stolik, swoje rzeczy spakowałam do tekturowej walizki, którą ktoś mi podarował, wrzuciłam rondle i porcelanowe talerze, utensylia kuchenne i pościel do płóciennego worka pocztowego, napelniłam niewielkie pudełko książkami z półek Mandelsztama. Pasternak przybiegł z grubym zwitkiem rubli, przewiązanych gumką - powiedział, że połowa jest od niego, a połowa od Achmatowej. Wyglądając na bardziej zasmuconego niż zwykle, pocałował mnie w czoło i szybko wyszedł. Żona Bułgarowa, Jelena Siergiejewna, nie potrafiła powstrzymać łez, kiedy zapukała do naszych drzwi. Dosłownie opróżniła portmonetkę na kuchenny stół i zmusiła mnie do przyjęcia wszystkich pieniędzy, co do rubla. Żony dwóch redaktorów, którzy

nie mogli publikować Mandelsztama, również przyszły, jedna z dwoma szalikami zrobionymi na drutach, druga z gotówką. („Proszę to traktować jak pożyczkę” - upierała się, kiedy próbowałam wcisnąć jej pieniądze z powrotem do ręki). Dwóch młodych poetów, którzy spędzali wieczory przy naszym stole w kuchni i słuchali Mandelsztama recytującego głośno *Kamień*, jego pierwszy tomik poezji, zatrzymało państwowy samochód i zaoferowało szoferowi hojny napiwek za odwiezienie mnie na stację. Upierali się, żeby mnie odprowadzić, nieść walizki, płócienny worek i pudło z książkami. Przyciskając do piersi zniszczoną torebkę, w której znajdowało się więcej gotówki, niż mieliśmy przez lata, z dwoma młodymi poetami, ciągnącymi się za mną po peronie z naszym żalnym dobytkiem, spostrzegłam męża w przedziale wagonu. Był tak blady, że wydał mi się jednowymiarowy, jak rozmazane odbicie na szybie wystawowej.

Krótkie obrazki z podróży na zesłanie do Czerdynia - na pokonanie około półtora tysiąca kilometrów pociąg i statek rzeczny potrzebowały trzech nocy i dwóch dni - przelatują mi przed oczami wyobraźni niczym kadry filmowe w zacinającym się projektorze. (Achmatowa, cytując jakiegoś angielskiego poetę, którego nazwisko uciekło mi z pamięci, często mówiła o fragmentach podpierających czyjaś ruinę; to, co sobie przypominam, to fragmenty m o j e j ruiny). Towarzyszyło nam trzech uzbrojonych żołnierzy, z których jeden zawsze stał przed drzwiami przedziału, żeby nie wpuszczać do środka innych pasażerów, tak że Mandelsztam i ja mieliśmy do dyspozycji cały przedział z sześcioma miejscami. Dowodzący konwojent, noszący także imię Osip, był chłopakiem ze wsi, miał szeroką, szczerą twarz i kiedy nie uśmiechał się do mnie, nucił przyśpiewki ludowe. Nalewał mi wrzątku do czajniczka z wagonowego samowara za każdym razem, gdy go o to poprosiłam, dzięki czemu mogłam pić męża herbatą, choć w zamieszaniu zapomniałam zabrać cukier z Domu Hercena, dlatego Mandelsztam robił miny przy każdym łyku. W sumie zesłaniec spędzał całe godziny z czołem przyciśniętym do okna, zaparowując szybę oddechem, wpatrywał się poprzez swoje odbicie w tajgę i wioski przemykające za nim i wsłuchiwał uważnie w niemal ludzki głos, jaki wydawały szyny pod kołami pociągu.

- Słyszysz? - dopytywał się i rozszyfrowywał mi te słowa: „Wiek przed urodą? Talent przed miernotą? Miejski intelektualista przed wiejskim prostakiem?” Kiedyś obudziłam się i zastałam go mówiącego do siebie. Pamiętam, że powtarzał w kółko jedno: „Chcą pozbyć się mnie z Moskwy, zanim mnie zastrzelą - chcą, żebyśmy przepadł bez śladu”.

Osip, konwojent, musiał go usłyszeć, bo, nadal uśmiechnięty, obrócił się do mnie i powiedział: - Niech panusia mu powie, żeby się uspokoił. Nie rozstrzeliwujemy ludzi za pisanie rymów, tylko za szpiegostwo i sabotaż. U nas nie jest tak jak w krajach

burżuazyjnych. Tam mogą powiesić za napisanie czegoś, co im się nie spodoba.

Kadry przeskakują, zmieniając się w nowe obrazy. W którymś momencie pierwszej nocy pociąg zjechał na bocznice i musieliśmy przesiąść się do odkrytego wagonu (konwojenci przewiesili karabiny przez plecy i nieśli nasz dobytek) kolejki wąskotorowej. Usiedliśmy z Mandelsztamem na drewnianych ławkach naprzeciwko siebie, konwojenci zajęli miejsca wzdłuż przejścia i machaniem rąk zabraniali zbliżać się do nas innym pasażerom. Nie umiem powiedzieć, co ludzie sobie myśleli o dwojgu ponurych mieszczuchach, z walizkami i tobołkami upchniętymi na półce nad głowami. Widząc, że eskortują nas uzbrojeni żołnierze, nikt nie ośmielił się nawiązać z nami kontaktu wzrokowego - nikt poza jedną osobą, szczupłą, elegancko ubraną starszą kobietą, która wyglądała, jakby zeszła ze stron powieści Turgieniewa. Och, Boże, to wszystko do mnie wraca. Od lat o niej nie myślałam. Wsiadła do pociągu na jakiejś zapadłej stacyjce, ubrana jak moja matka, świeć Panie nad jej duszą, wybierająca się na śluby, w sukienkę kremowego koloru z wysokim kołnierzykiem, mały słomkowy kapelusz i szydełkowe rękawiczki. Na jednym przedramieniu trzymała koronkową parasolkę, a na drugim wiklinowy kosz z pokrywą. Spojrzała na mnie, potem na żołnierzy i znowu na mnie, domyśliła się, że jesteśmy skazańcami eskortowanymi na zesłanie, i obdarzyła mnie najsmutniejszym uśmiechem na świecie. Ruszyła przejściem w naszym kierunku, nieświadoma machania żołnierzy, nieświadoma, że Osip, konwojent, podniósł się z miejsca z jedną ręką położoną na kolbie ogromnego rewolweru. Otworzywszy pokrywę koszyka, pogrzebała pod ściereczką i wyciągnęła dwa ogórki. Dała mężowi jeden, drugi podała mnie. Mąż, wyrwany z letargu tym odważnym aktem solidarności, wstał i pocałował ją w rękę, przytykając pozbawione krwi usta do wierzchu jej rękawiczki. Skłaniając uprzejmie głowę, ten anioł stróż deportowanych więźniów, ten relikwiarz umierającej Rosji, obrócił się i poszedł do swojego miejsca w dalekim końcu wagonu, obok chłopskiej rodziny, skąd staruszka nie odrywała ode mnie wzroku.

Musiałam się zdrzemnąć, bo nie byłam w stanie zapanować nad opadającymi powiekami. Gdy pociąg wjeżdżał na kolejną zapomnianą przez Boga stację, obudzona szarpnięciem wagonu przekonałam się, że miejsce tamtej kobiety w końcu wagonu jest puste. Do dziś gorzko żałuję, że nie poznałam jej nazwiska, ale biorąc pod uwagę to, co dla nas zrobiła, pytanie o nie mogłoby narazić ją na niebezpieczeństwo. Mandelsztam z kolei nie przestawał wpatrywać się w swoje odbicie w szybie. Był przekonany, że są gotowi rozstrzelać go w każdej chwili, i nie chciał dać się im zaskoczyć. Zaczęła się już pora białych nocy i widać było brzoźowe i osikowe zagajniki u podnóża wzgórz. Zasnęłam ponownie, ale przed świtem obudził mnie bezruch pociągu. Zjechaliśmy na bocznice załadunkową, żeby

przepuścić czerwone wagony bydłce, którymi przewożono więźniów do obozów pracy przymusowej na Syberii. Kobiety powpychały kawałki bielizny pomiędzy deski ścian wagonów, żeby ludzie widzący ten transport wiedzieli, jaki jest rodzaj ładunku. Oczami wyobraźni zobaczyłam te płachetki przejrzystego materiału powiewające niczym pułkowe sztandary w przejmująco zimnym półcieniu między białą nocą a pierwszym brzaskiem.

Pod koniec drugiego dnia, gdy pasmo Uralu ukazało się niczym smuga na horyzoncie, pociąg przetoczył się przez jakieś peryferie, gdzie przy wąskich polnych drogach stały parterowe chłopskie chaty, pomalowane na jaskrawe kolory, i wjechał na peron, nad którym unosił się ogromny plakat z wizerunkami Lenina i Stalina, przymocowany do budynku z napisem SOLIKAMSK, widniejącym nad wahadłowymi drzwiami prowadzącymi do dworcowej poczekalni. Z głośników zamontowanych na peronowych słupach roznosiły się echem podawane wiadomości: „Szpiezy, zdrajcy i renegaci zostali zmieceni z powierzchni ziemi”. Naszych trzech zaufanych konwojentów zaprowadziło nas, przenosząc nasze bagaże, do ciężarówki z odkrytą budą, czekającej z boku dworca, za publiczną toaletą. Mandelsztamowi i mnie polecono usiąść na stercie siana na skrzyni, a wtedy silnik zawarczał z głośnym czknięciem i ciężarówka powlokła się na północ jedyną ulicą miasteczka. Już po kilku minutach drewniane chaty ustąpiły miejsca gęstym lasom, a światło dzienne nieprzeniknionemu cieniowi. Niedługo potem dojechaliśmy do prześwitu, a skrzynia ciężarówki zapełniła się robotnikami leśnymi, zabranymi na łebka po drodze nad rzekę. Jeden z nich szczególnie przerażał Mandelsztama - wielki brodaty mężczyzna w ciemnoczerwonej koszuli, trzymający na ramieniu siekiere z podwójnym ostrzem. Bojąc się o własne życie, mąż zaczął drzeć.

- Obetną mi głowę, jak w czasach Piotra - wydyszał. Przytuliłam go do siebie, próbując go uspokoić, ale on patrzył ze strachem na brodatego olbrzyma. - Spodziewajmy się najgorszego - powiedział. - Zróbmy wszystko, żeby zachować godność. Kiedy po mnie przyjdą, muszę absolutnie podjąć ryzyko - ważne, żeby uciec albo zginąć, próbując.

Pamiętam, że powiedziałam: - Jeśli nas zabiją, nie będziemy musieli przynajmniej popełniać samobójstwa.

To wywołało u Mandelsztama nerwowy chichot.

- Jak mam żyć z taką jak ty, zawodową samobójczynią, u swego boku? - dopytywał się.

Pomyślałam wtedy, choć nie powiedziałam tego głośno: jeśli postanowisz umrzeć, nie będę musiała się zabijać, moje życie po prostu ustanie.

Przypominam sobie, że zrobił kilka głębokich wdechów, które go uspokoiły, ale ani

na moment nie oderwał wzroku od brodatego drwala i jego siekiery o dwóch ostrzach.

Słońce już zaszło, gdy ciężarówka dojechała do rachitycznego pomostu na rzece Kamie. Nawet biała noc musiała się poddać cieniom lasu dochodzącego niemal do samej linii wody. Głosy kobiet śpiewających na dalekim drugim brzegu niosły się echem po wodzie. Las skończył się, a na jego miejscu pojawiły się, przypominające baraki, zabudowania na niskiej nadrzecznej skarpie. Trzech konwojentów wyładowało nasz dobytek na pomost i usiadło, opierając się plecami o słupki; palili papierosy i rozmawiali półgłosem. Zapukałam do okna małego sklepu obok baraku i udało mi się kupić kilka puszek sardynek, bochenek chleba i, ku wielkiej radości męża, dwie paczki tanich tureckich papierosów. Usiedliśmy na porośniętym trawą nabrzeżu obok pomostu, wsłuchując się w ciche odgłosy, typowe dla rzeki w nocy - szmer płynącej wody, plusk ryb, kumkanie żab. W innych okolicznościach byłaby to całkiem miła przerwa w podróży. Mandelsztam podsunął pod nos pierwszego tureckiego papierosa, delektował się jego zapachem, a potem włożył go między wargi i zapalił zapalkę. Ręka za bardzo mu się trzęsła, by trafić płomieniem do końca papierosa, dlatego zapaliłam drugą zapalkę, on podtrzymał mój nadgarstek i przypalił. Zaciągnął się i opadł z powrotem na trawę.

- Trzymałem Stalina za nadgarstek, kiedy przypalał mi papierosa - powiedział w zamyśleniu.

Jeden Bóg wie, ile wysiłku kosztowało mnie przywołanie uśmiechu na twarz. W ciemności wdziałam, że wpatrywał się we mnie jak w obcą osobę.

Niedługo po północy rzeczny parowiec, staroświecka łajba z nagą kobietą na bukszprycie i przekrzywioną sterówką sterczącą wysoko nad górnym pokładem, zacumował w nikłym świetle żarówek na końcu pomostu. Znalazłam głównego stewarda w jego kajucie w korytarzu i czerpiąc z obfitości gotówki w torebce, kupiłam bilety zapewniające nam kabinę wyłącznie dla siebie, i to z łazienką, z małą cynową wanną. Mandelsztam nie mógł uwierzyć w ten łut szczęścia, kiedy steward otworzył drzwi kajuty kluczem uniwersalnym i odsunął się, żeby zrobić nam przejście, jakbyśmy byli urlopowiczami płynącymi na wycieczkę do Czerdynia. Nasi konwojenci umieścili bagaże pod dwiema kojami w kabinie i poszli na poszukiwanie zbiorowych sypialni dla pasażerów trzeciej klasy. Zapach gotowanej kapusty rozchodził się z kambuza na końcu korytarza (Mandelsztam oświadczył, że jest zaniepokojony moją znajomością terminologii żeglarskiej) i za cenę kilku papierosów mieliśmy posiłki przynoszone do kabiny. Nie minęło dużo czasu, kiedy gwizd syreny statku wypełnił noc. Pokład zaczął wibrować nam pod nogami, a parowiec odbił od pomostu i zaczął płynąć w górę rzeki ku miejscu naszego przeznaczenia.

Bez żadnej przesady mogę powiedzieć, że po raz pierwszy od kilku dni dobrze

spaliśmy, i to na tyle dobrze, że naprawdę się wystraszyłam, widząc po przebudzeniu Mandelsztama leżącego nieruchomo na koi. Wpatrywałam się w niego, bo chciałam się upewnić, że oddycha, zanim wślizgnęłam się pod jego kołdrę, by go obudzić ciepłem mojego ciała. Przywarł do mnie, jak tonący do koła ratunkowego, a mnie się wydało - nie jestem tego pewna, bo przypominam, że to moje impresje - że czuję wilgoć łez na szyi. A potem - zapamiętałam ten szczegół, jak również wywołany nim ból tamtej chwili - usłyszałam jego słowa: - Przy odrobinie szczęścia mogę nadal mieć też swoją muzę.

Z waszym pozwoleniem czy bez niego, pominę kilka godzin.

Mandelsztam, wykąpany, ogolony (przeze mnie, gdy siedział jeszcze w wannie, a kościste kolana wystawały mu nad wodę; wtedy jeszcze nie czułabym się spokojna, dając mu do ręki ostrą brzytwę), w ubraniu zalatującym kamforą, w jednym z nowych, zrobionych na drutach szalików, owiniętym wokół szyi, chłonał świeże powietrze na wąskim pokładzie głównym, spacerując zamaszystymi krokami od miejsca, gdzie siedziałam w ogrodowym fotelu, do dziobówki i z powrotem, z otwartym tomikiem Puszkina w rękę, choć całą uwagę miał skupioną na linii brzegu.

I nie bez powodu. Stalinowski grzech przeciwko ludzkości - zmuszanie do kolektywizacji chłopów, którzy przetrwali głód narzucony im przez człowieka i plutony egzekucyjne w kolchozach - pozbawił korzeni całe masy ludzi i rozrzucił ich po ziemiach, które stały się ugorami. Razem z mężem widzieliśmy ślady tego nieszczęścia na całej trasie z Krymu do Moskwy, podczas podróży, która zostawiła niezatarte piętno na Mandelsztamie i zmieniła go - nie wiem, na lepsze czy na gorsze - w głosiciela prawdy. Przyjaciele wyjeżdżający na północ albo na wschód od Moskwy opowiadali o natykaniu się na ocalałych z kłęski chłopów, szukających desperacko jakiejś wioski, gdzie mogliby się osiedlić, albo skrawka ziemi, który mogliby uprawiać, cały czas umykając przed plutonami czekistów, przeczesujących wiejskie okolice. Teraz z pokładu parowca widzieliśmy pozostałości po kolektywizacji: obozujące na obu brzegach rzeki grupki zagubionych dusz, skulone pod plandekami rozpiętymi na gałęziach nad ich głowami, z pudłami i kuframi z wikliny ustawionymi wokół, nagie dzieci bawiące się w płytkiej wodzie, podczas gdy rodzice byli zajęci gotowaniem na ogniskach płatów koniny, odciętych z trupów padłych zwierząt. Mój wciąż oszołomiony najlepszy przyjaciel i mąż, którego umysł nie otrząsnął się jeszcze z halucynacji, że odwiedził mnie w więziennej celi na Łubiance i spotkał się ze Stalinem na Kremlu, obrócił się do mnie i wskazując drżącym palcem brzeg, krzyknął: - Patrz, Nadieńka, bieda j e s t rozdzielana pomiędzy wieśniaków!

Na wieczną hańbę Rosji, miał rację. Co można powiedzieć o tym epizodzie po tylu

latach? Jeśli, jak upierał się Mandelsztam, Stalin dobrze wiedział, co wyczyniają czekał, na pewno trafił na wieczność do tego kręgu piekła, gdzie, jak mówi Dante, ogień jest tak gorący, że marzy się o płynnym szklawie, by ochłodzić ciało. Jeśli zaś, jak mniemał Pasternak, Stalin nic o tym nie wiedział, był winny niewiedzy, bo powinien był wiedzieć, więc i tak skończy w tym samym kręgu piekła.

Wczesnym popołudniem Czerdyń zamajaczył za zakrętem Kamy, rozciągając się na kilku wzgórzach, z których każde otaczał las, a nad całością dominowała dzwonnica ogromnej cerkwi, z pewnością zamienionej przez bolszewików na magazyn. Mandelsztam stał na dziobie z ręką na zadku nagiej opiekunki statku i patrzył, jak parowiec skręcał pod prąd i podpływał do betonowego nabrzeża, na którym wysoko piętrzyły się bale i skrzynie, czekające na transport do cywilizacji. Łapiąc cumy, rzucone przez członków załogi, dokerzy ciągnęli ciężkie liny przez wodę i owijali na pacholkach cumowniczych. Kiedy statek przycumował do nabrzeża, a pośrodku kadłuba przerzucono i zabezpieczono trap, trzech konwojentów, niosąc nasze bagaże, eskortowało nas do chłopskiego wozu, ciągniętego przez chudą jak szkielet klacz, i szło za nami pieszo, gdy wolno podążaliśmy przez olbrzymią bramę prowadzącą do cytadeli królującej pośrodku miasta. Komendant, stary kawalerzysta, sądząc po butach z cholewami i wypielęgnowanym wąsie, zapinał pospiesznie pociemniałe mosiężne guzy kurtki munduru, gdy zostaliśmy wprowadzeni do jego gabinetu. Skręcił jeszcze mocniej palcami końce wąsów.

- Wy to na pewno Mandelsztamowie - powiedział. - W telegramie z Moskwy nie podali imion ani otczew. Które z was jest skazańcem?

- Ja jestem skazany - powiedział mąż. - Jestem poetą, Mandelsztam.

- A ja jestem Nadieżda Jakowlewna, żona poety Mandelsztama - dodałam, a duma ze związku z Mandelsztamem stłumiła żal (który i tak rugowałam z siebie) o to, że wpakował nas w tę sytuację.

- Bardzo niezwykle - zauważył komendant, który nigdy nie zawracał sobie głowy przedstawianiem się.

- Co takiego jest niezwykle? - zapytałam.

- Zapis w telegramie „izolować i zostawić przy życiu” obok nazwiska Mandelsztama - odpowiedział. - Po raz pierwszy dostałem podobne polecenie. - Popatrzył prosto na Mandelsztama. - Kogo znacie na Kremlu?

Usta męża uformowały się w kształt, który w innych okolicznościach można by wziąć za uśmiech.

- Stalina - odpowiedział.

Komendant wymienił szybkie spojrzenie ze swoim młodym zastępcą, siedzącym przy biurku w drugiej części pokoju.

- To nie jest temat do żartów - ostrzegł.

- Dlaczego sądzicie, że żartuję?

Uznawszy widzieć, że roztropniej będzie porzucić ten temat, naczelnik oznajmił, że zostaniemy zakwaterowani w miejscowym szpitalu obwodowym aż do chwili, gdy miejsce naszego zesłania zostanie ostatecznie określone. Była to pierwsza wzmianka o tym, że Czerdyń jest dla nas jedynie etapem przejściowym. Ten sam wóz zabrał nas krętą ulicą, wyłożoną drewnianymi balami, do ceglanego budynku, który, jak się dowiedzieliśmy, był masarnią przerobioną na szpital. Przy bramie trzech konwojenci pożegnali się z nami. Ten o imieniu Osip stanął nawet na baczność i zasalutował nam, zanim przekazał nas władzom szpitala. Przysadzista kobieta w poplamionym białym kitlu zaprowadziła nas do wielkiego, pustego oddziału na pierwszym piętrze, gdzie pod kątem prostym do ściany stały dwa wojskowe metalowe łóżka polowe. Nikt nie zaproponował nam pomocy przy wnoszeniu bagaży, więc musiałam sama odbyć kilka kursów do holu i przynieść wszystko po schodach na górę. Po odejściu trzech konwojentów, którzy, zdaniem Mandelsztama, mieli rozkaz go rozstrzelać, mąż trochę się odprężył. Zauważył portret Lenina wydarty z jakiegoś tygodnika i przyklejony do wewnętrznej strony drzwi oddziału, co pobudziło jego wspomnienia.

- Kiedy czerwoni przejęli władzę - odezwał się - żona jednego z bolszewików przyszła do mieszkań pisarzy, żeby przyczepić nam do ścian portrety Lenina wycięte z gazet. Miała nadzieję, że ocali to inteligencję. Jakże była naiwna. - Pokręcił głową. - Jakże wszyscy byliśmy naiwni.

Kiedy noc zapadła nad Czerdymiem, Mandelsztam ponownie zaczął słyszeć głosy. Domyśliłam się tego po wyrazie dezorientacji widocznym w jego oczach. Nabrał przekonania, że Achmatowa recytuje mu fragment swojego wiersza: „Mój sobowtór, człapiąc butami, od lat idzie na przesłuchanie”³³, z czego wyciągnął wniosek, że ją aresztowano i rozstrzelano. Zawołano nas na kolację do stołówki na parterze, ale Mandelsztam bezbarwnym głosem odmawiał jedzenia, dopóki nie przeszukał jarów wokół szpitala, żeby się upewnić, że nie ma w nich trupa Achmatowej. Chodziłam za nim po lasach okalających szpital, aż oboje zaczęliśmy padać ze zmęczenia. Dopiero wtedy udało mi się, popychaniem i ciągnięciem, zaprowadzić go z powrotem na oddział na pierwszym piętrze i położyć na polówce. Kiedy zesłam później do stołówki, okazało się, że nie ma tam nic poza resztkami, ale, jak słusznie

³³ Przekład Adama Pomorskiego.

się mawia, żebracy nie mogą wybrzydzać, dlatego zebrałam na czysty talerz żyłaste mięso i zimne kartofle, i zaniiosłam na górę mężowi, który zabrał się do jedzenia z wyraźnym brakiem entuzjazmu.

Dochodzę teraz do tego momentu opowieści, który rozdziera mi serce. Jest tak, jakby... jakby powtórne przeżywanie go miało coś wspólnego z umieraniem.

Mandelsztam w pełni ubrany siedział na polówce oparty plecami o ścianę, czujnie przepatrywał wszystko oczami, mamrotał coś o tym, że drwale dokonają na nim egzekucji, kiedy księżyc zacznie świecić wystarczająco jasno, by mogli odnaleźć drogę w lesie. Postanowiłam, że nie zmrużę oka, dopóki on nie zaśnie, ale owładnięta zmęczeniem, musiałam się zdrzemnąć. Śniły mi się koszmary z aligatorami porywającymi dzieci z płytkiej wody nad brzegiem rzeki, podczas gdy rodzice byli zajęci rozpalaniem palenisk z węgla drzewnego i nabijaniem na prowizoryczne rożna martwych ludzi. Obudziłam się gwałtownie. Polówka obok była pusta. Przeszkłone drzwi prowadzące na balkon stały otworem. W świetle księżycy spostrzegłam poetę Mandelsztama. Siedział okragiem na balustradzie, z jedną nogą zwisającą o piętro nad ziemią, i zbierał się na odwagę, żeby skoczyć. Stojąc w drzwiach, wyszeptalam jego imię, bo nie chciałam go przestraszyć. Obrócił głowę i wbił we mnie wzrok, oczy pociemniały mu z przerażenia. Rzuciłam się w jego stronę i chwyciłam go za plecy marynarki, ale wysunął się z niej i zleciał w mrok. Stałam tam w lodowatym zimnie nocy i ściskałam w dłoniach marynarkę przez czas potrzebny, żeby obraz z siatkówki dotarł do mózgu. A potem krzyknęłam tak przeraźliwie, że wystraszyłam ptaki, które zerwały się z drzew do lotu.

Nie pamiętam, jak pokonałam szerokie schody na dół, wiem jedynie, że znalazłam się w ogrodzie przed szpitalem, kiedy jakieś postaci z lampami naftowymi wybiegły frontowymi drzwiami. Ludzie w białych kitlach wyciągali jęczącego z bólu Mandelsztama z krzaków, w które upadł. Położyli go na noszach i musieli odciągnąć mnie od niego, by wnieść rannego do szpitala. Szłam za nimi na miękkich nogach. Doszliśmy do bloku operacyjnego oświetlonego świecami, bo generator wyłączano na noc, żeby oszczędzać paliwo. Lekarka ubrana w szlafrok i wyraźnie niezadowolona, bo wyrwano ją ze snu, kazała pielęgniarce rozebrać Mandelsztama do naga. Okulary zsuwały jej się z nosa, kiedy badała jego prawe ramię, wykręcone pod nienormalnym kątem i fioletowe od siniaków.

- Dopisało mu szczęście - powiedziała, badając męża opuszkami palców. - Ma ramię wybite ze stawu. - Mówiąc to, ujęła Mandelsztama za nadgarstek i szarpnęła mocno, umieszczając na powrót kość w stawie.

Mąż wrzasnął krótko z bólu i zemdlał.

Kiedy odzyskał przytomność, ramię i tors miał zabandażowane i leżał na polówce. Ramię umieszczono na temblaku, a kołdrę podciągnięto mu pod samą brodę.

- Co się stało? - zapytał, kiedy ustało działanie środków przeciwbólowych.

- Spadłeś, kochany Osja. Szczęściem wylądowałeś w krzakach, które zamortyzowały upadek. I ziemię skopano tam niedawno pod rabatkę z kwiatami. Wybiłeś sobie ramię. Lekarka powiedziała, że minie kilka tygodni, zanim odzyskasz pełną wydolność prawego ramienia.

Po samobójczej próbie Mandelsztama straciłam rachubę czasu, pamiętam jedynie zmiany światła: promienie słońca, białe noce, światło świec, blask księżyca, a nawet lśnienie gwiazd. Pielęgniarki, poruszone naszą ciężką dolą, okazały się bardzo troskliwe. Zmieniały mężowi bandaże, myły go gąbką i opróżniały nocnik, przynosiły posiłki na górę, żebym nie musiała zostawiać go samego na oddziale. Minął może tydzień. Naprawdę nie potrafię określić upływu czasu. Pamiętam jedynie, że w słoneczny poranek na naszym oddziale zjawili się dwóch pielęgniarzy z solidnym krzesłem i zaproponowali, że zniosą Mandelsztama na dół. Wtedy on oblał się zimnym potem i zaczął stanowczo kręcić głową, a ja żadnymi słowami nie mogłam go przekonać do skorzystania z ich uprzejmości. Skończyło się na tym, że schodził po schodach, opierając się na mnie całym ciężarem i wykrzywiając się z bólu przy każdym kroku. Potem razem z naszym dobytkiem umieszczono Mandelsztama na niewielkim wozie, który dwóch wiejskich chłopców pociągnęło wyłożoną balami ulicą do cytadeli. Komendant, tym razem ubrany w mundur polowy, przyjął nas w swoim gabinecie.

- Domyślam się, że jednak macie przyjaciela na Kremlu - powiedział, kręcąc głową z niedowierzania. - Dostałem telegram z instrukcją, że wolno wam wybrać miejsce zesłania. Może to być wszędzie poza dwunastoma największymi miastami.

Kto był naszym kremlowskim przyjacielem? Czy Pasternakowi udało się mimo wszystko nakłonić Bucharina do interwencji? Czy przewodniczący związku pisarzy, Maksim Gorki, usłyszał wreszcie pomruk niezadowolenia poetów i powiadomił o tym Jagodę? Czy może sam Stalin - który z pewnością stał za rozkazem „izolować i zostawić przy życiu” - uznał, że Mandelsztam nie pożyje długo w bezpośredniej bliskości koła podbiegunowego?

Mając wybór, Mandelsztam nie wahał się.

- Woroneż - oświadczył, jakby w odpowiedzi na przewidywane pytanie.

- Dlaczego Woroneż? - zapytał komendant.

Ta decyzja mnie również zaskoczyła.

- Dlaczego Woroneż, Osja?

Mandelsztam zastanawiał się przez chwilę.

- Znam pewnego biologa z taszkińskiego uniwersytetu, który urodził się w Woroneżu, przygranicznym mieście zaludnionym w czasach Piotra Wielkiego uciekinierami z więzień. Opowiadał mi o nim dobre rzeczy. A ponieważ miasto leży nad Donem i na wschód od Moskwy, klimat będzie łagodniejszy niż tutaj. Pamiętam, ten biolog opowiadał mi, że jego ojciec pracował tam w więzieniu jako lekarz. - I wtedy stał się cud nad cudami: dawny Mandelsztam, nerwowy, uparty, zadowolony z życia *homo poeticus*, który potrafił dostrzec ziarno humoru w najczarniejszej sytuacji, reinkarnował się w gabinecie komendanta cytadeli w Czerdyniu. Spojrzał na mnie z iskierką wesołości w oczach i powiedział: - Nie możemy wykluczyć, że będzie nam potrzebna pomoc więziennego lekarza, prawda, Nadienko?

- Witaj z powrotem - powiedziałam.

Sobota, 23 czerwca 1934 roku

Uwielbiam pociągi. I tak było, od kiedy sięgam pamięcią. Dla mojego umysłu nie ma muzyki łatwiej wpadającej w ucho od gwizdu pociągu w nocy. Kiedy miałem szesnaście lat i już byłem duży jak na swój wiek, marzyłem o pracy palacza w parowozie. Podziwiałem mundury noszone przez naczelników stacji i konduktorów, w czapkach z daszkami wyglądali dla mnie jak prawdziwi generałowie wspaniałej Armii Czerwonej. Kiedy zacząłem podnosić ciężary i później, gdy zostałem siłaczem cyrkowym, spędzałem sporą część życia w pociągach, ale dopiero w podróży, która rozpoczęła się dwudziestego trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku, po raz pierwszy w życiu jechałem w wagonie bydlęcym. Jeśli myślicie to, co myślę, że myślicie, popełniacie straszny błąd, bo podróżowanie w wagonie bydlęcym okazało się dla mnie najbliższe warunkom w pierwszej klasie, o jakich wiedziałem, kiedy pierwsza klasa jeszcze istniała w czasach przed rewolucją. Już wyjaśniam. Nie zaprzeczam, że panował tłok, dziewięćdziesiąt trzy gorące ciała dokładnie policzone, w tym siedmioro dzieci jadących na Syberię z rodzicami i dziewiętnaścioro starych ludzi, z których jedna osoba była sparaliżowana od pasa w dół i trzeba ją było wynosić i wnosić na postojach w szczerym polu, zarządzanych po to, żebyśmy mogli się umyć w strumieniach. Taki rodzaj sytuacji aż się prosił o jakieś nieszczęście, ale do nas los się uśmiechnął, bo znalazł się wśród nas więzień, którego wszyscy nazywali profesorem, niski facet w okrągłych okularkach, grubych jak denka od butelek, i z ostrą kozią bródką, przypominającą mi tatuaż Agrippiny z wyobrażeniem Trockiego, który uchodził za Engelsa. Nie żeby to miało jakieś znaczenie, ale profesor musiał być Izraelitą, bo nosił takie samo nazwisko jak Żyd z politbiura, Kaganowicz, i o ile wiem, profesor i parowozowy komisarz (jak przezywano Kaganowicza, kiedy zarządzał kolejami) mogli być blisko lub daleko spokrewnieni. Profesor utworzył z nas, jak to nazwał, kolektyw wagonu bydlęcego i dzięki niemu właśnie, w odróżnieniu od pozostałych wagonów tego pociągu, z których na każdym postoju wynoszono zmarłych, aby ich pogrzebać w płytkich grobach, odbyliśmy dziewiętnastodniową podróż z drugorzędnego dworca w Moskwie do obozu przejściowego w Magadanie, nie tracąc ani jednego człowieka. Moje rozmiary wzbudzały szacunek w sposób

naturalny, dlatego profesor powierzył mi dozоровanie wspólnej ubikacji, którą była dziura w desce podłogi w jednym z rogów wagonu, otoczona kobiecymi szalami, tak przymocowanymi, że tworzyły parawan. Wykorzystywałem kubel z sikami i kępy traw do czyszczenia tej dziury, gdy zapaskudził ją któryś z więźniów ze sraczką, dzięki czemu profesor osobiście pochwalił mnie przed frontem naszego kolektywu za stan sanitarny naszej ubikacji.

Więcej o profesorze. Był starym bolszewikiem, brał udział, o czym poinformował nas z dumą, w bitwie o Pałac Zimowy w czasie rewolucji. Jako nieprzejednany marksista zbierał wieczorami wokół siebie więźniów z bydlęcego wagonu i wygłaszał pogadanki o dyktaturze proletariatu albo dielektrycznym materializmie, lub wyzysku przez klasę kapitalistów. Po wykładzie profesor zachęcał do zadawania pytań. W wieczór jego pierwszej pogadanki podniosłem palce, a on skinął w moją stronę.

- Za co was zesłali? - zapytałem.

- Złamanie artykułu pięćdziesiątego ósmego - odpowiedział, patrząc mi prosto w oczy.

- Oskarżono mnie o przynależność do antyradzieckiej trockistowskiej grupy sabotażowej, która planowała zamach na Stalina i innych członków politbiura.

Wielu z nas w wagonie bydlęcym, w tym ja, przyjęło to pomrukiem złości. Nie przyszło nam wcześniej do głowy, że ten niski mężczyzna z burzą włosów nad uszami i łysą górą czaszki może być niebezpiecznym kryminalistą.

- Byliście winni? - zawołała jedna z kobiet z końca wagonu.

- Oczywiście, że był winny - odpowiedziałem. - Inaczej nie jechałby teraz na Syberię.

- Byłem winny - powiedział profesor. - Ale nie tego, o co mnie oskarżono. Podpisałem petycję puszczoną w obieg przez studentów komunistów na moim uniwersytecie, popierającą krytycyzm Bucharina wobec narzucanej siłą kolektywizacji rolnictwa. Podobnie jak Bucharin, nie mieliśmy nic przeciwko samej kolektywizacji; idea traktowania chłopów jako robotników rolnych, którzy dostają pensję tak samo jak robotnicy w fabrykach, wydawała się nam logicznym przedłużeniem doktryny marksistowskiej. Ale wolelibyśmy stopniowe jej wprowadzanie; raczej kusilibyśmy chłopów do kolektywizacji dobrymi warunkami mieszkaniowymi i czterdziestoczterogodzinnym tygodniem pracy oraz gwarantowaną pensją, nawet wtedy, gdyby plony były kiepskie. Inni chłopci, widząc, o ile życie jest lepsze w kolchozach, sami by się zgłaszali z własnej woli, zamiast zabijać inwentarz i niszczyć zbiory w proteście.

Odezwał się sparaliżowany starzec: - Jak to jest, że mimo niesprawiedliwego skazania nadal nazywacie sami siebie marksistą?

- Z dumą, nadzieją na przyszłość Rosji i całej ludzkości nazywam sam siebie marksistą i leninowcem - oświadczył profesor. - Postęp nie dokonuje się w linii prostej. Usiłując ominąć zachodnie, materialistyczne sposoby myślenia, podąża zygzakiem, obojętnym na ludzki ból, i próbuje znaleźć wyraźną ścieżkę dla Rosji prowadzącą do nowoczesności. Skutkiem każdego zygzaka jest niepotrzebne cierpienie, a nawet śmierć prawdziwych ideowców Powiem to inaczej. Dopóki bolszewicy nie zjawili się na scenie, człowiek był p r z e d m i o t e m historii - kopany niczym piłka przez tyrańskich przywódców instytucji religijnych i przez kapitalistyczne imperia. Z nastaniem komunizmu człowiek odrzuca instytucje religijne i kapitalistycznych tyranów, stając się p o d m i o t e m historii. W tym wagonie bydłowym, w tym pociągu pędzącym ku najodleglejszemu krańcowi Syberii, postrzegam siebie jako żołnierza na linii frontu światowej rewolucji proletariackiej. Co za różnica, czy będę kładł fundamenty pod komunizm w europejskiej części Rosji, czy w syberyjskiej tajdze? Towarzysze, sam odpowiem na własne pytanie. Nie ma żadnej różnicy.

Kilka zesłanych kobiet zaczęło cicho klaskać. Potem dołączyli do nich mężczyźni i brawa stały się głośniejsze. I ja też klaskałem, dostosowując rytm tych braw do stukotu kół pociągu. Wkrótce wszyscy bili brawo i tupali w deski podłogi w rytm narzucony przeze mnie, i wiedziałem, że będę wracał wspomnieniami do tego bydłowego wagonu jako jednego z najważniejszych momentów w moim życiu, podobnie jak do srebrnego medalu z Wiednia i uścisku ręki towarzysza Stalina.

Kiedy następnego popołudnia myłem nogi i prałem zapasową parę skarpet w lodowato zimnym strumieniu, usłyszałem, jak jedna z kobiet powiedziała, od czego profesor jest profesorem. Oznajmiła, że stał się sławny, bo ustalił, czym języki różnią się od dialektów: językami mówią narody mające armie, a dialektami te, które ich nie mają. Profesor całkiem nieźle radził sobie i z geografją, bo w chwili gdy pociąg ruszył, narysował kredą na przesuwanych drzwiach wagonu trasę z Moskwy do Magadanu, zaznaczając miasta, w miarę jak spostrzegał je między szparami w deskach: Niżni Nowogród - Kazań - Jekaterynburg (gdzie, i bardzo dobrze, bolszewicy zabili ostatniego cara) - Omsk - Nowosybirsk - Irkuck.

Już pierwszego wieczoru jazdy zebrał wszystkie zapasy jedzenia i wody oraz pojemniki na wodę, jakie znajdowały się w wagonie, i wyznaczył komitet, który zajął się racjonowaniem żywności, każdemu według jego potrzeb, co oznaczało, że dzieci i starcy musieli dostawać więcej wody od sprawnych fizycznie więźniów, jak ja. Utworzył też inny komitet, złożony z wieśniaczek, których zadaniem było zbieranie orzeszków cedrowych i jadalnych korzeni za każdym razem, gdy tylko pociąg się zatrzymywał na poboczu i

pozwalano nam wyjść, żeby napełnić pojemniki wodą ze strumyków albo potoków. Od czasu do czasu, zwykle po przejechaniu nocą przez jakieś miasto, konwojenci odsuwali drzwi i wrzucali do wagonu papierowe worki z bochenkami chleba. Z innych wagonów było słycać przekleństwa i szarpaninę między skazańcami bijącymi się o chleb. W naszym wagonie komitet racjonujący żywność przejmował worek i dzielił chleb tak, że prawie zawsze wystarczało go do następnego miasta i następnego worka.

Niektórzy więźniowie sami pisali listy, ale dla niepiśmiennych profesor powołał komitet pisania listów, złożony z trojga byłych nauczycieli. Zaczęli od tego, że zebrali puste kartki z książek, które skazańcy zabrali ze sobą. Zapełniając strony metodą stosowaną w obozach pracy, a polegającą na wykorzystaniu każdego wolnego centymetra papieru i pisaniu bardzo małymi literami, napisali listy dla więźniów, którzy sami nie umieli pisać. Nazwisko i adres odbiorcy wpisywano z jednej strony, a potem kartkę składano tak, że widać było jedynie dane adresata, następnie w y s y ł a n o przez dziurę w ubikacji, gdy przejeżdżaliśmy nocą przez miasto albo wieś. Profesor powiedział nam, że to tradycja sięgająca jeszcze czasów carskich kolonii karnych, kiedy wieśniacy, znajdujący listy na torach, wkładali je do kopert i, ponieważ znaczki były śmiesznie tanie, nadawali na pocztę. Dzięki temu krewni i przyjaciele w Moskwie dowiadywali się, że więzień jest transportowany na Syberię. Sam nie skorzystałem z tego udogodnienia w pisaniu listów, bo nie chciałem, żeby ludzie dowiedzieli się, że jestem analfabetą.

Powstał też inny komitet, który profesor nazwał zespołem propagandowym. Nie jestem pewny, czy do końca zrozumiałem, na czym miało polegać jego zadanie, ale opiszę je na wypadek, gdyby któryś z czytelników tej mojej relacji pojął to lepiej ode mnie. Komitet, złożony w całości z kobiet z miasta, należących do partii, poprosił wszystkie panie o kawałki jedwabnej bielizny i koronek. (Jedna pani, nadal ubrana w wieczorową suknię, którą miała na sobie w nocy, kiedy ją aresztowano, oddała całą halkę). A kiedy pociąg jechał przez duże miasta albo nawet średniej wielkości miasteczka, co zawsze odbywało się nocą, członkinie komitetu upychały te płachetki w szpary między deskami w ścianach wagonu, tak by powiewały w pędzie powietrza wywołanym ruchem pociągu. Gdy minęliśmy już takie miasto czy miasteczko, wciągały te szmatki z powrotem i chowały, a gdy znowu zbliżaliśmy się do zamieszkałych okolic, od nowa wystawiały je na pęd powietrza.

Profesorski komitet do spraw dzieci dbał o to, żeby zajmować maluchy grą w guziki i bajkami. Niemniej wszyscy dorośli, pomimo pierwszorzędnych, moim zdaniem, warunków w wagonie, mieli smutne miny. Wszyscy poza waszym sługą uniżonym, Fikritem Szotmanem. Mogę uczciwie powiedzieć, że ledwie mogłem się doczekać spłacenia długu wobec

społeczeństwa, czyli zmazania moich oszustw i zrad, które towarzyszy śledczy tak inteligentnie ujawnił światu. Moim zdaniem im szybciej dotarłbym do obozu przejściowego, tym rychlej zostałbym wysłany do gułagu (to słowo podłapałem od innych zesłańców), gdzie pokutowałbym za swoje zbrodnie przeciwko radzieckiemu państwu. Cztery lata to nie wieczność. Żyłem i zdrowie mi dopisywało, byłem w dobrej kondycji, więc wróciłem potem do Agrippiny i cyrku, i rozpoczął mądrzejsze życie, takie, jakie się mieć powinno, i wcale nie byłbym dużo starszy. Ważne było, żeby patrzeć na podróż na wschód z pozytywnym nastawieniem. Wszyscy moi bohaterowie, poczynając od Włodzimierza Lenina i włączając towarzysza Stalina, spędzili całe lata na zesłaniu i wrócili silniejsi dzięki zdobytym doświadczeniom. Nie zrozumcie mnie źle. Nie porównuję się z Leninem ani Stalinem. Mówię jedynie, że zachowując się z godnością na rozprawie sądowej, postanowiłem zachowywać się z godnością w mojej obecnej sytuacji. Jednym słowem postanowiłem, że zostawię przeszłość tam, gdzie jest jej miejsce, to znaczy za sobą.

Nasze podniecenie rosło, gdy, sądząc po mapie profesora, zbliżaliśmy się do Magadanu. Strumienie, w których się myliłmy, wydawały się zimniejsze, mimo że żółte mlecze kwitły wokoło i można było wyczuć zbliżające się lato. Krajobraz stał się surowszy, krzaki rosnące przy torach mieszały się z jeżynami, kozy, przychodzące pić wodę ze strumieni, w których się myliłmy, miały długie, zakrzywiające się do góry racice, nieprzycinane od lat, nie widzieliśmy już z pociągu tak wielu wsi i powiększyła się odległość pomiędzy nimi, można było jechać pół dnia i nie zobaczyć zaoranego pola albo prześwitu w lesie. Potem pustkowie skojarzyło mi się z pustynią Kara-Kum niedaleko Chiwy w Turkmenistanie, tyle że tu nie było piasku, a jedynie wieczna zmarzlina i góry z czapami śniegu, choć był czerwiec. Gdy wjeżdżaliśmy na stację rozrządową w Magadanie, nie odrywałem oczu od jednej ze szpar między deskami. Zobaczyłem drewniane chaty z małymi ogródkami warzywnymi. Widziałem krowy albo kozy uwiązane do jaskrawo pomalowanych płotów. Widziałem spółdzielnię handlującą tarcicą, z młotem nad drzwiami, i warsztat naprawy traktorów, z sierpem nad hangarem. Widziałem wozy ciągnięte przez woły. Przez krótką chwilę widziałem coś, co wyglądało jak rozkwitająca cywilizacja w tej radzieckiej republice.

Kiedy pociąg stanął, trzymano nas przez długie godziny w dusznym wagonie. Wzmagало się rozdrażnienie. Dwóch mężczyzn niemal się pobilo. Szczęściem profesor znalazł odpowiednie słowa, by uśmierzyć ogólne podenerwowanie. Słyszeliśmy urzędników załatwiających sprawy z więźniami w innych wagonach. W końcu drzwi naszego wagonu zostały odsunięte przez uzbrojonych strażników w szarych mundurach z pasami i typowych

dla oddziałów Budionnego szpiczastych czapkach. Niektórzy z nich trzymali na krótkich smyczach warczące psy. Dwóch mężczyzn, jeden w mundurze polowym, drugi w cywilnym wymiętym garniturze, siedziało przy stole na peronie z desek przed naszym wagonem. Ten w cywilnym ubraniu wywołał nazwisko profesora.

- Kaganowicz Alter.

Profesor pożegnał się z nami wesołym machaniem ręki. Niektóre kobiety odwróciły głowy, żeby ukryć łzy. Ja też odwróciłem głowę, żeby nikt nie widział, że nie płaczę. (Tam, skąd pochodzę, to znaczy w górach Azerbejdżanu, mężczyźni nie płaczą). Cywil przy stole czytał z kartki na tyle głośno, że wszystko słyszeliśmy.

- Złamanie artykułu pięćdziesiątego ósmego kodeksu karnego, skazany na dwadzieścia lat bez prawa do korespondencji.

Z bydlęcego wagonu widzieliśmy, jak profesor podaje cywilowi dowód osobisty, potem przypina z przodu koszuli coś, co wyglądało jak numer, i dołącza do innych skazanych, siedzących na skrzyni ciężarówki, stojącej w niedalekiej odległości.

Poczułem, jak serce mi rośnie na myśl, że oto profesor jest już w drodze do budowania komunizmu na Syberii.

Towarzysze zesańcy jeden po drugim zeskakiwali na drewniany peron, gdy wywoływano ich nazwiska, i meldowali się przed mężczyznami siedzącymi przy stole. (Tych dwóch, którzy prawie się pobili, zniosło sparaliżowanego więźnia, gdy nadeszła jego kolej. Oficer wydawał się zmieszany widokiem człowieka, który dostał dychę za sabotaż, a nie potrafił chodzić. Cywil skinął głową ku czemuś, czego nie mogłem dojrzeć. Oficer zgodził się, żeby sparaliżowanego odwieziono na taczce w tamtym kierunku, i nigdy go więcej nie widziano, ja przynajmniej nigdy więcej go nie zobaczyłem). I wtedy usłyszałem własne nazwisko.

- Szotman Fikrit.

- Obecny i gotów do odbycia kary! - odkrzyknąłem, co wywołało nerwowy chichot u skazańców, którzy zostali jeszcze w wagonie. Zeskoczyłem na ziemię i stanąłem na baczność przed stołem.

- Zek Sz siedem cztery cztery dwa trzy dziewięć, gdzie są wasze rzeczy?

- Nie mam niczego poza parą zapasowych skarpet, wasze wielmożności.

- Co potraficie robić?

- W martwym ciągu podnosiłem dwieście osiemdziesiąt pięć kilogramów, a myślę, że z kontuzjowanym kolaniem nadal podniósłbym dwieście.

- A co to takiego ten m a r t w y c i ą g?

- Są trzy rodzaje podnoszenia ciężarów, wasze wielmożności, jest rwanie, wyciskanie i martwy ciąg - zacząłem.

- Zapomnijcie, że zadałem to pytanie - przerwał mi zniecierpliwiony oficer. Powiedział coś do cywila siedzącego obok, który skinął głową z aprobatą. - Co wiecie o złocie, Szotman? - zapytał oficer.

- Udało mi się zdobyć jedynie srebro, wasze wielmożności.

Mężczyźni za stołem wymienili spojrzenia.

- Wydobywaliście s r e b r o? - chciał wiedzieć cywil.

- Z d o b y ł e m srebro, wasze wielmożności. W Wiedniu. W tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim. To właśnie chciałem wam powiedzieć. Zdobyłem srebro w martwym ciągu, dziesięć kilogramów mniej od Amerykanina Boba Hoffmana, który wziął złoto. Stalin osobiście uściśnął mi rękę na Kremlu, kiedy przywoziłem srebrny medal do Moskwy.

- Powtórzę swoje pytanie - odezwał się oficer. - Co wiecie o w y d o b y w a n i u złota?

Podrapałem się po głowie.

- To, co wiem o wydobywaniu złota, to mniej niż nic - odpowiedziałem, uznając, że szczerść dobrze mi się przysłuży.

Cywil nabazgrał coś na dole kartki papieru i podał mi numer do przypięcia do koszuli.

- Dowiedcie się tego, co będzie potrzebne, o wydobywaniu złota w obozie na Kołymie - powiedział. Ruchem ręki nakazując mi, żebym dołączył do mężczyzn siedzących na wzniesieniu za peronem, wywołał kolejne nazwisko.

- Więc jedziecie w dorzecze Kołymy - powiedział konwojent tej grupy, gdy siadałem na ziemi obok innych.

- A gdzie jest Kołyma? - zapytałem.

- To dziewięć dni drogi stąd na północ - odezwał się jeden ze skazańców, sądząc po jego butach ze sznurowadłami, pochodzący z miasta. W jego głosie nie było słyhać entuzjazmu.

- Dziewięć dni pociągiem? Dziewięć dni łodzią? Dziewięć dni ciężarówką?

Żołnierz, który żuł jakiś korzeń, wykrzywił się w uśmiechu.

- Dziewięć dni pieszo - odpowiedział. - Będziecie iść. A jeżeli nadal będziecie żywi pod koniec wyroku, o co bym się nie zakładał, też wróćcie piechotą.

Dziewięć dni trwała taka wyprawa, jeśli świeciło słońce i trakt na północ był suchy jak pieprz. Ale niestety tak nie było. Już w chwili, gdy weszliśmy na drogę, niebiosa się otworzyły i spadło więcej deszczu, niż można by pomyśleć, że jest w stanie utrzymać się w

górze. Pięciu żołnierzy, którzy mieli konwojować naszą dwudziestoczteroosobową grupę górników podążających na Kołymę, zmuszało nas do brnięcia przez błoto, gdy przy każdym kroku podeszwa przyklejała się do gruntu, jakby siedział w nim jakiś potwór, który tylko czyhał, by nas pożreć żywcem. Na trasie rozstawiono wojskowe posterunki. Jeden z zesłańców, skazany na drugą piątkę, powiedział mi, że cała Syberia jest jednym wielkim obozem karnym, ale rzecz jasna nie uwierzyłem mu. W końcu schronienie na noc znajdowaliśmy pod czymś w rodzaju armatniej plandeki rozwieszanej na kijach namiotowych, tam też jedliśmy specyficzną zupę z baraniny, z której, naturalnie, żołnierzom dostawały się kawałki mięsa, a my uważaliśmy się za szczęściarzy, kiedy trafiał się nam szpik. Ale to i tak było więcej, niż dostawaliśmy do jedzenia podczas dziewiętnastodniowej jazdy na Syberię, dlatego czułem się, jakbym ucztował. Deszcz odpuścił, gdy dotarliśmy na Kołymę po dwunastu dniach od wyjścia z Magadanu. Chlapaliśmy się w wartkim nurcie niczym dzieciaki na komsomolskim biwaku, a potem rozciągnęliśmy się nago na brzegu, gdy tymczasem nasze ubrania schły na słońcu. Trzynastego dnia los się do nas uśmiechnął. Koło naszego biwaku przepływała płaskodenna barka motorowa, kierując się do obozu kołymskiego. Wiozła żywność dla górników, a wracając, przewoziła złoto, cynę i drewno. Naszych pięciu konwojentów, mających dość marszu, namówiło kapitana, by zabrał nas w górę rzeki w zamian za wybranie wody z zęzy. Zrobiliśmy to, podając sobie wiadra z rąk do rąk w tę i z powrotem. Na barce była kucharka gotująca dla załogi. Jako była więźniarka, nakładała nam porcje ryżu i warzyw, kiedy pozostali już się najedli. I szesnastego dnia, kiedy zęza była już prawie sucha, zobaczyliśmy zabudowania Kołymy pnące się po zboczu wzgórza od stosów drewna na nabrzeżu. Przyplyniecie barki powitano wyciem ręcznej syreny. Widzieliśmy w dali ludzi machających do nas w podnieceniu ze szczytu wzgórza. Karłowaty oficer, trzymający smycz, na której był uwiązany niedźwiedź stojący na zadnich łapach, schodził kaczym krokiem po zboczu. Miał na sobie sportowe spodenki i najbrudniejszą bluzę wojskową, jaką widziałem, odpiętą pod szyją, z wyblakłymi srebrnymi dystynkcjami pułkownika na kołnierzyku. Znalazłszy się na nabrzeżu, zawładnął wódką, przywiezioną razem z żywnością, bazgrał swoje inicjały na każdym kartonie, gdy ładowano je na drewniane taczki, by zawieźć w górę wzniesienia. Pułkownik okazał się komendantem Kołymy. Rozkazał pięciu konwojentom ustawić nowych więźniów w szeregu, a potem, skubiąc brodę i dostojnie krocząc, przeszedł przed nami niby radziecki generał dokonujący inspekcji gwardii honorowej. To właśnie w tamtej chwili zobaczyłem tyle pań, że poczułem się bezradny. Było ich z pół setki, a może więcej, zbiegających ku nam po zboczu, jakby grawitacja nie miała żadnego wpływu na ich stopy. Wkrótce równie dobrze, jak było je widać, dało się je słyszeć,

aż do chwili, gdy komendant, oderwany od inspekcji nowego kontyngentu skazańców, wrzasnął: - Cicho tam!

Ich szczebiot ustał, jakby ktoś zdjął igłę z płyty patefonu. Kobiety utworzyły nierówny szereg, stając twarzami do nas w odległości około dwudziestu metrów.

- Słuchajcie! - krzyczał. - Powiem wam, jak funkcjonuje osiedle na Kołymie. Nie ma tu więzień, baraków, są jedynie chaty z bali, z drzew wyrąbanych w tajdze przez pierwszych zesłańców, którzy przybyli w Góry Kołymskie dziesięć lat temu. Sześćdziesiąt dwie kobiety, które przed wami stoją, to wdowy, jak mawiamy tu na Kołymie, co oznacza, że chłop, z którym dzieliły chatę i łóżko, albo kopnął w kalendarz, albo odsiedział swoje i wrócił do europejskiej części Rosji. Każda z tych pań potrzebuje mężczyzny, żeby narąbał drewna na opał i oprawił renifera albo wieprzka, i grzał ją w nocy, jeśli wiecie, co mam na myśli. I jest tu więcej kobiet szukających mężów niż zesłańców, więc wybór należy do was. Przyjrzyjcie się im, zdecydуйте na tę, która się wam podoba, i wprowadźcie się do niej. Jutro pół godziny po wschodzie słońca macie się zgłosić do pracy przy wejściu do kopalni na zboczu góry od strony osiedla. Jakieś pytania?

Więzień na końcu szeregu uniósł rękę.

- Czy możemy potem wybrać inną, jak już wprowadzimy się do jednej z tych pań?

Pułkownik roześmiał się.

- Nie. Żeby uniknąć podkradania sobie mężczyzn przez kobiety, pierwszy wybór jest jedynym wyborem. Zawsze możecie się wyprowadzić, ale wtedy nie będziecie mieli gdzie mieszkać i żadna kobitka nie weźmie was do siebie na najgorsze dziesięć miesięcy, kiedy minus trzydzieści stopni uważa się za gorący dzień.

W chwili gdy spostrzegłem Magdę, ona zauważyła mnie. Była o głowę wyższa od otaczających ją kobiet. Nasze oczy wpatrywały się w siebie z uwagą. Uśmiechnęła się do mnie. Zesłańcy zaczęli się snuć po pasie ziemi niczyjej między nami a kobietami. Jeden z nich podszedł do niej, ale uniosła ramię i odepchnęła go wierzchem dłoni. Wtedy podszedłem ja.

- Magda - powiedziała.

- Fikrit.

- Z Kazachstanu - odezwała się.

- Azerbejdżanin.

- Dostałam dychę - powiedziała. - Kontrewolucjonistka, agentka jakiegoś faceta, o którym nigdy nie słyszałam, Licki czy Trocki, coś w tym rodzaju. Mam jeszcze dziewięć lat do końca wyroku.

- Ja dostałem cztery lata. Artykuł pięćdziesiąt osiem. Sabotaż. Kluczowy członek antybolszewickiego ośrodka trockistowskiego w Paryżu.

- Jesteś winny?

- Powiedzieli, że jestem, więc muszę być.

- Jesteś tak silny, na jakiego wyglądasz? - zapytała.

- Silniejszy.

- Dlaczego nadstawiasz głowę jedną stroną?

- Jestem głuchy na lewe ucho.

Zaakceptowała to skinieniem głowy.

- Czy to, że jesteś głuchy na jedno ucho, ma jakiś wpływ na to, jak się ruchasz?

- Nie miałem kobiety od czasu, kiedy ogłuchłem, ale nie spodziewam się żadnych problemów w tym temacie.

Magda się roześmiała. A ponieważ byłem zwrócony do niej zdrowym uchem, słyszałem, że ładnie się śmieje.

- Dlaczego mnie wybrałeś, jeśli nie liczyć wzrostu? - pytała dalej.

Powinienem wyjaśnić, że Magda miała niesamowitą grzywę potarganych włosów. Była ubrana w męskie spodnie robocze, podciągnięte wysoko do talii, ze sznurkiem zamiast paska, i bluzkę bez rękawów, z której przezierały bokami jej duże piersi, no i widoczne były ramiona.

- Tatuaz - odpowiedziałem. - Od razu go zauważyłem. Lubię tatuaże na paniach.

Uniosła przedramię, żebym lepiej mógł mu się przyjrzeć.

- Stracił większość koloru. Tak wyglądał mój mąż przed aresztowaniem.

- Co się z nim stało?

Magda wzruszyła ramionami.

- Widziałam go przelotnie na spacerunku w więzieniu w Ajaguz. Chodził bez przerwy w kółko, z rękami na ramionach idącego przed nim więźnia. Potem straciłam go z oczu. Z tego, co wiem, może być w innym osiedlu na Kołymie. - Popatrzyła na mnie, pochyliła głowę i zmrużyła oczy. - A ty masz żonę w cywilizowanym świecie?

Opowiedziałem jej prawdę. Powiedziałem, że nazywa się Agrippina. I że pracowała jako wytatuowana kobieta w tym samym cyrku co ja.

- To wyjaśnia, dlaczego lubisz tatuaże.

- Jak to się stało, że jesteś kołymską wdową?

- Mężczyzna, z którym dzieliłam chatę, zwariował. Kiedy zjawiłam się tutaj rok temu, on zaczynał odsiadywanie dwudziestoletniego wyroku. Dwa, trzy miesiące temu... jaki

miesiąc teraz mamy?

- Czerwiec.

- To było w lutym, czyli cztery miesiące temu. Czas wolno płynie, kiedy patrzy się przed siebie, ale pomyka, gdy oglądasz się do tyłu. W lutym, jak powiedziałam, rozbił lód na rzece kilofem, zdjął ubranie i wlaź do wody. Nie przeżył nawet pół minuty. Zanim znaleźli łódź, żeby go przyholować, był sztywny jak deska i siny jak niebo.

- Więc weźmiesz mnie na jego miejsce? - zapytałem.

- Tak, wezmę cię - odpowiedziała. I biorąc pod rękę, zaczęła ciągnąć mnie za sobą w górę zbocza.

W ten właśnie sposób rozpocząłem nowy rozdział w moim życiu. Wiem, że niektórzy potępiają mnie za niewierność wobec Agrippiny, ale, jak mówi stare przysłowie, „czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal”, co jest bardzo prawdziwe w przypadku kogoś, kto znalazł się w mojej sytuacji. Na swoją obronę dodam, że zaczynałem dopiero odbywać czteroletni wyrok, potrzebowałem dachu nad głową i ciepła ludzkiego ciała nocą w łóżku, żeby przetrwać zimy w tej arktycznej dziurze. Nie próbuję się rozgrzeszać, kiedy mówię o tym, jaki był przebieg wydarzeń, i wierzę, że Agrippina posłuchałaby mojej rady. Kiedy w Azerbejdżanie mężczyzna znika z tych czy innych powodów, jego kobieta czeka przez jakiś czas, dyktowany przyzwoitością, a potem znajduje sobie innego na jego miejsce. Agrippina była dla mnie dobrą żoną i będzie dobrą żoną dla jednego ze starych kawalerów, cyrkowców, którzy mieszkają w kwaterunkowych mieszkaniach. Uznałbym za coś całkiem naturalnego, gdyby nawlekła nić na igłę i przerobiła moje spodnie, koszule i marynarki (cyrkowcy są duzi, ale nie tak duzi jak ja) i oddała moje ubrania nowemu mężowi, co, skoro o tym mowa, Magda zrobiła dla mnie, tyle że ona musiała poszerzyć spodnie w pasie i opuścić mankiety, podłużyć rękawy kurtek i koszul byłego męża samobójcy, żeby na mnie pasowały. Udało jej się nawet przerobić noski jego butów na korkowych podeszwach, dzięki czemu mogłem wcisnąć w nie stopy.

I tak życie potoczyło się dalej. A jak się tak zastanowić, kimże jest Fikrit Szotman, żeby mówić, co jest dobre, a co złe nad tą wijącą się rzeką?

Wola przetrwania usprawiedliwia mnóstwo czynów, które w innym przypadku mogłyby zostać uznane za złe.

Chata Magdy stanowiła jej przeciwieństwo. Kobieta miała w sobie pierwotne piękno, które ktoś lepiej wykształcony uznałby pewnie za brzydotę. To znaczy, podczas gdy Magda była nieposkromiona, z ognistym temperamentem i mierzwą niepoddających się czesaniu, sterczących we wszystkie strony włosów, chata zbudowana z bali, uszczelniona w miejscach

złączeń błotem wymieszanym ze słomą, była czyściutka jak nowa kopiejka i panował w niej porządek. Każdy cynowy kubek, każdy cynowy talerz czy drewniana łyżka miały swoje miejsce i niech Bóg ma w opiece męża, który by ich tam nie odłożył. Polana rąbanego przeze mnie drewna były starannie układane na stertę w kącie obok komina, a każdy kawałek pasował do innych niczym w układance, dzięki czemu stos zajmował mniej miejsca w izbie. Wychodek na tyłach domu miał stołek na czterech nogach z wyciętą pośrodku dziurą, co było luksusem, jakiego nie doświadczałem od czasu, gdy poszedłem do toalety na Kremlu, kiedy wymieniłem uścisk dłoni z towarzyszem Stalinem. Nawet praca w kopalni - czternaście godzin dziennie, sześć dni w tygodniu - nappełniała mnie satysfakcją, bo jak profesor Kaganowicz z bydlęcego wagonu wiedziałem, że przyczyniam się do budowy komunizmu. Pracowałem do upadłego w długim na kilometr szybie, który wgrzyzał się w bok góry, rozłupywałem kilofem żyły białego kwarcu, sypałem łopatą urobek na wąskie wagoniki, które wypychaliśmy po szynach w stronę wejścia do kopalni, gdy stawały się pełne. Powietrze w szybie cuchnęło, co zmuszało nas do noszenia niemal przez cały czas masek przeciwgazowych z pierwszej wojny światowej. A nawet bez masek nie dawało się pogadać z górnikiem pracującym obok, z powodu hurgotu, jaki robiły pompy wypompowujące wodę z szybu. Magda pracowała przy wejściu do kopalni, w zespole, który przesypywał zawartość wagoników do kubłów, a potem za pomocą pieczętek, jak je nazywali, ciężkich żelaznych bijaków, które unosiły się i spadały na kwarcową skałę, rozbijał ją na kawałeczki, przesiewane potem przez starszych więźniów. Samorodki złota wrzucano do kąpieli kwasowej, gdzie zmieniały się w szlam, przetapiany później w sztabki wielkości cegły. Kiedy mniej więcej dwustu skazańców wydobyło w ciągu dnia pracy dziesięć lub więcej sztabek, dostawaliśmy wieczorem podwójną kolację, co stawało się okazją do świętowania, jako że po zwykłej ilości jedzenia burczało w brzuchu z głodu. W dni, kiedy nie pracowaliśmy w kopalni, oczekiwano od więźniów, że po obiedzie, fasowanym w południe, stawią się w świetlicy obok biura komendanta, żeby słuchać fragmentów dzieł Stalina czytanych na głos przez kluchowatego oficera politycznego. Oficer sepleniał. Każdy, kto próbował się od tego wymigać, ryzykował szorowanie latryny komendanta szczoteczka do zębów, którą później musiał myć zęby.

Jeśli istniały jakieś minusy życia w osiedlu na Kołymie, to wiązały się z upływem czasu. Więźniowie z długimi wyrokami odliczali go w miesiącach. Krótkoterminowi liczyli tygodnie albo dni do wyjścia. Ale czy liczyło się miesiące, tygodnie, czy dni, godziny się wlekły. Tak oto myślałem wtedy: gdybyśmy mieli zegar, podobny do tych wielkich zegarów na dworcach, wskazówka godzinowa poruszałaby się wzdłuż rzymskich cyfr w zwolnionym

tempie. Ani Magda, ani ja nie mieliśmy zegarków ani budzika. Magda posiadała klepsydrę z piaskiem, przesypującym się w trzy minuty, ale używaliśmy jej tylko do gotowania jajek na miękko, kiedy trafiły nam się jajka, co zdarzało się w święta państwowe, jak rocznica rewolucji bolszewickiej albo urodziny Stalina.

Każdy dzień na Kołymie zaczynał się fałszywym dźwiękiem trąbki, kiedy nad górami otaczającymi osiedle pojawiał się pierwszy brzask. Słysząc było kaszel i przekleństwa mężczyzn z sąsiednich chat. Pół godziny później staliśmy w szeregu na placu przed wejściem do szybu, gdzie nas liczono, a potem zaczynał się dzień pracy. Była dziesięciominutowa przerwa na obiad, zimny gulasz, nalewany chochlą z drewnianego kubła do cynowych talerzy, które wnosiliśmy do szybu w torbach. Ponieważ żaden z więźniów nie miał zegarka (tych kilku, którzy mieli, przehandlowało je strażnikom za papierosy wkrótce po przybyciu) i ponieważ znajdowaliśmy się tysiąc metrów w głębi góry, a jedyne światło pochodziło z drgających płomyków górniczych lamp, mogliśmy się jedynie domyślać, ile godzin zostawało do końca dniówki. Ale nikt, a ja wśród nich, nie zawracał sobie głowy rachowaniem tych wlokących się godzin. Jednak po dwóch tygodniach mieszkania z Magdą przekonałem się, że ta kobieta знаła sposób na przyspieszanie upływu czasu. I wcale tego nie zmyślam. Byli też inni zesłańcy w osadzie, którzy wykorzystywali sztuczkę Magdy. A jeśli nawet komendant o niej wiedział, przymykał na nią oko. Tajemnica tkwiła w h e r b a c i e. Zwyczaj chińskiej herbacie do parzenia w bawełnianej torebce. Tak to działało: każdy więzień dostawał z przydziału dwa gramy herbaty na dzień, co oznaczało, że Magda i ja mieliśmy cztery gramy dziennie, a to dawało w sumie dwadzieścia ileś gramów tygodniowo, nie licząc tego, co mogliśmy kupić za piętnaście wypłacanych miesięcznie rubli, jakie oboje otrzymywaliśmy. Magda oszczędzała nasze racje herbaty, aż uzbierało się sto gramów. Kiedy sepleniący oficer zmęczony się czytaniem książki Stalina, wracaliśmy do chaty, rozpałałem huczący ogień (drewna było w bród) pod wielkim garnkiem napełnionym wodą ze studni, dzięki czemu w izbie szybko robiło się gorąco i parno, jak w tureckiej łaźni w Moskwie, a kiedy rozebraliśmy się już do naga, siadaliśmy oparci plecami o ścianę i nacieraliśmy spocone ciała sianem. Podczas gdy skubałem marynowanego węgorza, którego złapałem gołymi rękami w płytkim zakolu Kołymy, Magda gotowała zapasik herbaty w tak niewielkiej ilości wody, że wychodziły z tego dwa, trzy niewielkie kubki. Więźniowie nazywali po swojemu taką wygotowaną herbatę, nasyconą czymś, co Magda określała jako taniny. A nazywali ją czajfir. Jeśli piło się ją powoli, człowiek stawał się odurzony, kiedy wypilo się dwa kubki, wpadało się w trans, a czas wtedy pędził z szybkością słonecznego światła przebijającego się rankiem między Górami Kołymskimi. Gdy byłem otumaniony czajfirem, godzinowa wskazówka

dworcowego zegara w mojej wyobraźni kręciła się tak szybko, że dostawałem zawrotów głowy i czteroletni wyrok wydawał się dawno odsiedziany, choć po otrzeźwieniu wracało się na ziemię.

Wydaje mi się, że to wyczerpuje temat. Poza waszym ostatnim pytaniem. Jaka była różnica między Agrippiną a Magdą? Po pierwsze, trudno jest porównywać dwie panie, kiedy ich pozycja jest różna. Obecność tej, która jest obecna, przydaje jej zalet. Nieobecność tej, która jest nieobecna, każe przypominać sobie jej wady. Mogę jedynie przyznać, że Magda była małomówna, a używane przez nią słowa zawierały wszystko, co trzeba było powiedzieć. Była, jak mawiają wieśniacy, panią świata, w którym żyła. A ośrodkiem jej świata było łóżko. Czerpała przyjemność z dawania przyjemności. Nic więcej nie dodam, bo nie chcę stawiać was w sytuacji, gdy będziecie musieli dowiadywać się rzeczy, które nie są waszą sprawą.

Wtorek, 4 lutego 1936 roku

Podróż wołała o pomstę do nieba: czterdzieści dziewięć niekończących się godzin, z czego trzydzieści sześć w dusznych wagonach, wypełnionych dymem papierosowym i komunistyczną burżuazją (aparaczkami jadącymi do Woroneża na kontrolę państwowych magazynów albo żeby kierować sowchozami, albo też, jak było w jednym przypadku, wygłaszać pogadanki o kolosalnym wkładzie Stalina do marksizmu zwanego przez władze naukowym), a pozostałe trzynaście na ruderowatych stacjach, gdzie przyszło mi czekać na przyjazd pociągu jadącego we właściwym kierunku. Najgorsze były rozmowy o niczym: wyliczane przez współpasażerów niedomagania ciała, poczawszy od czyraków na tyłkach przez popsute zęby po problemy ginekologiczne, które - przynajmniej dla mnie - mogą pozostać bliżej nieokreślone. Pociągiem jechała też para siedząca w ostatnim rzędzie drewnianych ławek, eskortowana przez trzech żołnierzy, którzy zatknęli bagnety na lufy karabinów, zanim odłożyli je na półkę niczym kije narciarskie. Mężczyzna, nieogolony, ale przyzwoicie ubrany w krawat i trzyczęściowy garnitur zagranicznego kroju, może profesor zadenuncjowany przez jednego ze studentów, przydzielonego mu przez Czeka, za powtarzanie antyradzieckiego dowcipu. (Myślę tak dlatego, że wiem o jednym przypadku, kiedy upadek pewnego profesora nastąpił dokładnie z takiego powodu). Mijając tę parę w drodze do toalety na końcu wagonu, nawiązałam kontakt wzrokowy z kobietą, całkiem ładną, ale znękaną, o czarnych włosach poprzetykanych siwizną, choć na pewno nie osiągnęła jeszcze średniego wieku. Mój mąż i syn zostali aresztowani cztery miesiące wcześniej; ledwie dostrzegalna udręka w jej oczach wystarczyła do uznania przeze mnie, że oto patrzę na swoje odbicie w lustrze. Zatrzymałam się, żeby choć jednym słowem dodać im otuchy, ale konwojenci przegonili mnie, mówiąc, że więźniowie są eskortowani na zesłanie i nie wolno im rozmawiać z wolnymi obywatelami Związku Radzieckiego. Kobieta, która nie dawała się łatwo zastraszyć, poinformowała konwojentów, że tylko jej mąż jest skazańcem; że ona dobrowolnie towarzyszy mu na zesłanie i jest wolną osobą, więc może rozmawiać, z kim zechce. Najstarszy z trzech żołnierzy, z wytartymi paskami sierżanta odrywającymi się od bezkształtnej kurtki munduru, uniósł brwi, jak człowiek zmęczony życiem, i wierzchem dłoni

uderzył ją w twarz. Na jednym z palców miał sygnet, którym skaleczył ją w policzek, aż pocięła krew. Mąż spojrział znad czytanej książki, a ja dostrzegłam łzy ciekące mu z oczu, bo nie był w stanie obronić żony.

Młoda kobieta o siwych włosach z trudem łapała oddech.

- Możecie to opisać? - zapytała cicho, wpatrując się we mnie intensywnie.

- Mogę - wymamrotałam i uczyniłam milczącą przysięgę, że pewnego dnia to zrobię.

Stałam i wbijałam wzrok w sierżanta, ale nie ośmieliłam się zaprotestować, bo mógłby wykorzystać bzdurne przepisy i wysadzić mnie z pociągu na następnej stacji. Przez co u Osipa Emiljewicza, oczekującego mnie niecierpliwie na peronie w Woroneżu, mogłyby nasilić się skłonności samobójcze, do czego na pewno by nie doszło, gdybym jednak przyjechała. Błagania Nadieжды w liście o mój przyjazd były jednoznaczne. Wbrew jej herkulesowemu wysiłkowi kochany Osip osuwał się w dół po zdradzieckim zbozcu melancholii i szaleństwa. Dlatego schowałam do kieszeni dumę razem ze słowami potępiającymi reżim i nic nie powiedziałam. I nienawidziłam siebie jeszcze bardziej niż przed tym incydentem.

Pociąg wtoczył się na dworzec w Woroneżu tuż przed południem. Wytaszczyłam moje dwie torby - mniejszą, z ubraniami na zmianę i przyborami toaletowymi, i większą wypełnioną książkami i różnymi prezentami dla Mandelsztamów - i powlokłam się, bacznie obserwując twarze w poszukiwaniu jednej, która była mi znajoma. I wtedy usłyszałam za sobą głos wołający: „Anno Andriejewna!” Obróciłam się i zobaczyłam kompletnie obcego człowieka.

To oczywiście był poeta Mandelsztam.

Fakt, że go nie rozpoznałam, przeraził go.

- Kochana Anno, czyżbym aż tak się zmienił? - spytał nagląco.

- Osip?

- We własnej osobie, choć ciało ledwo trzyma się duszy.

Odebrało mi mowę. Osip miał na sobie skórzaną kurtkę musztardowego koloru, sięgającą mu do kolan, i skórzaną czapkę uszankę. Nieogolony, chudy jak szczapa, z prawym ramieniem wystającym do przodu i zgarbionym, prawą ręką zwisającą sztywno wzdłuż ciała. Zęby miał w oplakany stanie, usta sine, policzki zapadnięte. Gdy tak stał i łapał powietrze krótkimi oddechami, wyglądał dwadzieścia lat starzej niż na swoje czterdzieści pięć lat.

- Nie przejmuj się - powiedział. - Tam, gdzie mieszkamy, nie ma lustra, ale widziałem swoje odbicie w szybach sklepowych. Za pierwszym i drugim razem patrzyłem na kogoś, kto się we mnie wpatrywał, a kogo zupełnie nie rozpoznawałem. - Wcisnął mi w dłoń bukiet zasuszonych niezapominajek. - W lutym nie ma szans na kupienie świeżych kwiatów. Te

będą musiały ci wystarczyć.

- Najdroższy Osipie! - zawołałam i upuszczając torby na peron, zarzuciłam mu ramiona na szyję.

I pamiętam, jak powiedział - dobry Boże w niebiesiech, nadal słyszę jego głos, gdy odtwarzam go w pamięci: - Anno, Anno, nie jestem martwy, tylko umieram.

Tak. T y l k o u m i e r a m. Jestem absolutnie pewna, że tak brzmiały jego słowa.

Szczęściem - użyłam określenia s z c z ę ś c i e m, bo niesienie nawet lżejszej z moich toreb było dla Osipa ogromnym wysiłkiem - Mandelsztamowie mieszkali blisko dworca kolejowego. Wyruszyliśmy w ślimaczym tempie. Osip zrobił sobie laskę z gałką z drążka do przesuwania zasłon, ale najwyraźniej nie miał siły w prawym ręku, by się na niej opierać. (Nadieżda pisała mi o jego upadku z pierwszego piętra szpitala, o wybiciu ramienia, ale ponieważ od roku nic o tym nie wspominała, przyjąłam, że doszedł do zdrowia. Jakże się myliłam). Osip przystawał co jakiś czas, żeby złapać oddech. Z miejsca, gdzie staliśmy, widziałam centrum Woroneża, płaskie jak stolik w paryskiej kawiarence. Aleja Rewolucji przecinała całe miasto niczym arteria. Boczne ulice i zaułki odchodziły od niej pod ostrym kątem i niknęły w dole zbocza, zbiegając ku zamrzniętemu strumieniowi, który Osip nazwał Woroną. Nie muszę dodawać, że żadna z ulic odchodzących od alei Rewolucji nie była wybrukowana, co nikomu nie przeszkadzało zimą, kiedy ziemia stawała się twarda jak skała, ale latem, gdy deszcze zmieniały nawierzchnię w grząskie błoto, musiało tam być piekielnie. Mieszkanie Mandelsztamów (jeśli dach z powypaczanymi gontowymi dachówkami, trzymającymi się niepewnie nad czterema niemal walącymi się ścianami, można uznać za mieszkanie) znajdowało się przy Linijnej 4, na końcu wąskiej, stromo pochyłonej uliczki, zabudowanej ruderami z desek, które na moje oko mieszczaucha wyglądały tak, jakby powoli zapadały się w przydomowych maleńkich ogródkach. Naprzeciw drzwi domu, w którym wynajmowali pokój od uprzejmej szwaczki, stały semafony. Wkrótce przekonałam się, że pod oknami raz po raz przejeżdżały ze świstem pociągi. Osip z zaskakującą zwinnością zrywał się z fotela, biegł do drzwi, otwierał je i patrzył na kolejny pociąg, jakby każdy taki przejazd był znaczącym wydarzeniem. Ale wyprzedzam rozwój wydarzeń.

Nadieżda, jak można było się spodziewać, uradowała się na mój widok. Zasypała mnie pytaniami, ledwie zostawiając między nimi chwilę na odpowiedź. Jakie miałam wieści o mężu i synu, Lwie? (Żadnych. Czekiści ich zabrali i od tamtego czasu nie dostałam od nich żadnych wiadomości. Na telegramy do związku pisarzy i Komitetu Centralnego nie dostałam odpowiedzi). Jak długo mogę zostać? (Tydzień. Bałam się zostać dłużej z dala od telefonu na korytarzu w mojej kamienicy). Co porabiał Pasternak? (Ze styczniowych numerów

„Izwestii” wydarłam strony, na których wydrukowano dwa wiersze Pasternaka sławiące Stalina. Spostrzegłam, że Nadieżda i Osip wymienili porozumiewawcze spojrzenia, kiedy je sobie podawali). Czy w plotkach o tym, że Kamieniewowi i Zinowiewowi miano latem wytoczyć procesy, tkwiło ziarno prawdy? (Skąd, u licha, miałabym wiedzieć, czy te pogłoski były prawdziwe? Z drugiej strony, w gazetach donoszono, że obaj przyznali się do spiskowania przeciwko Stalinowi, co wskazywałoby na duże prawdopodobieństwo urządzenia im procesu pokazowego). Czy to możliwe, że pociągi transportujące ludzi do miejsc odosobnienia, nie wspominając o samych miejscach odosobnienia, nie mogły pomieścić liczby aresztowanych, więc fala terroru zamierała? (Na pewno nie. W porównaniu do stosunkowo łagodnego roku 1934, kiedy zamykano ludzi z jakichś, mniejszych lub większych, powodów, teraz każdy mógł zostać aresztowany bez przyczyny. Czeka nie potrzebowała oskarżenia, dowodów, a nawet donosu. Aż nasuwało się przypuszczenie, że przypadkowość aresztowań była celem, o który chodziło władzom).

I tak półzdaniami, brzemienym milczeniem i tłumionymi łzami, dotarliśmy wspólnie do terażniejszości naszych zrujnowanych żywotów. Mandelsztamowie przedzielili wynajmowany pokój przepierzeniem z koców, rozwieszonych na sznurku, zamocowanym między dwoma ścianami, zasłaniając w ten sposób swoje wąskie łóżko. Uparli się, że będą na nim spała. Bóg jeden wie, gdzie sami się kładli. Może szwaczka użyczała im otomanę, którą zauważyłam, gdy byłam w pokoju z maszyną do szycia, by poznać ich gospodynię. W każdym razie ranki przypominały sarabandę, wykonywaną przez ludzi w korytarzu - naszą trójkę, szwaczkę, jej syna i nawet kilkoro sąsiadów, którzy nie mieli bieżącej wody - żeby móc skorzystać z jedynej ubikacji w całym domu. Wkrótce po przyjeździe dałam im książki, które przywiozłam (w tym nowe włoskie tłumaczenie *Żywotów równoległych* Plutarcha) i ubrania (kalesony i skórzane rękawiczki dla Osipa, niemiecki stanik i grube wełniane pończochy dla Nadieżdy) razem z pigułkami na palpacje serca Osipa i tysiącem rubli (połowa od Borysika, połowa ode mnie), które dla bezpieczeństwa miałam przypięte w majtkach. Wyczułam, że Osip był rozczarowany, kiedy okazało się, że nie ma papierosów w worku Dziadka Mroza, jak nazwał swoją paczkę, ale Nadieżda napisała mi, że lekarz z kliniki kazał mu rzucić palenie.

Osip stworzył mnóstwo wierszy w cyklu, który zatytułował jako woroneski. Kilka z nich znalazłam, bo przysłał mi je w listach, a teraz, gdy byłam w Woroneżu, recytował mi na głos pozostałe, nie kryjąc przy tym zadowolenia. Widziałam przebłyski dawnego Osipa, kiedy zrywał się na równe nogi i przytrzymując się oparcia krzesła, zdrową ręką wymachiwał w powietrzu i deklamował z pamięci różne drobiazgi.

*O, gdyby mnie, gdyby i mnie choć raz
Udało się, wbrew śmierci i senności,
Przez świergot lata i przez słońca blask
Słyszeć zgrzyt osi ziemskiej, ziemskiej osi...³⁴*

Nadieżda skorzystała z pierwszej nadarżającej się okazji, kiedy zostałyśmy same, i powiedziała mi, że Osip, który często wpadał w czarną rozpacz, nadal rozważał możliwość wspólnego samobójstwa, ale gdy wydawał się na to gotowy, ona rezygnowała, a kiedy z kolei ona była zdecydowana, on mówił: „Nie teraz - poczekamy, zobaczymy”. Najwyraźniej pomysłu, żeby zabić się indywidualnie, żadne z nich nie brało poważnie pod uwagę. Żyli jako para, powiedziała Nadieżda z ewidentną dumą, więc gdy przyjdzie co do czego, umrą też jako para. Z drugiej, dobrej, strony, widziałam nikłe oznaki, świadczące, że instynkt samozachowawczy Osipa nie zanikł zupełnie. Tyrał od miesięcy, tak przynajmniej powiedziała mi Nadieżda, nad właściwą odą do Stalina, taką, która przekreśliłaby zniewagę, jakiej się dopuścił wobec górala kremłowskiego epigramem na Stalina, co, jak miał nadzieję, uchroniłoby ich przed powtórny aresztowaniem, gdy skończy się zesłanie. Kiedy nazajutrz towarzyszyłam mu do Polikliniki nr 1 przy ulicy Engelsa, gdzie miał go zbadać laryngolog (odezwały się zatoki Osipa), poruszyłam temat ody, a on niechętnie wyrecytował mi jej fragmenty. Nie mogę powiedzieć, że bym zapamiętała więcej niż kilka wersów z tego kompletnie niewartego zapamiętania wiersza:

*Chcę powiedzieć - nie Stalin - chcę nazywać go Dżugaszwili...
Artysta, miłujący bojownika, który zawsze jest obok...
Uśmiecha się - uśmiechnięty żniwiarz...
Pochylając się na podium, niczym ze szczytu góry,
Sięga ponad wzgórzami głów...*

Przypomina mi się jeszcze jeden okropny wers:

Pod wzrokiem Stalina rozstępują się góry...

Mój Boże, do czego doprowadzili Osipa! „Pod wzrokiem Stalina rozstępują się góry”!
A oto dwie kolejne linijki, kończące się słowną grą z partyzanckim pseudonimem

³⁴ Przekład Stanisława Barańczaka.

Stalina, który, o czym uczą się wszystkie dzieci, pochodzi od „stali”:

Nie ma prawdy prawdziwszej od szczerości bojownika:

*Za honor i za miłość, za cnotę i za stal...*³⁵

Pamiętam, że Osip znieruchomiał po wyrecytowaniu ostatniego wersu tej ody. Pogubiony w zwątpieniu, wpatrywał się w dół zbocza, gdzie stała na wpół zrujnowana cerkiew pod wezwaniem świętego Mitrofanusza, biskupa Woroneża w XVII wieku, wznosząca się, niczym śnieżny pałac, z płaskiego jak stół środka miasta. Ulice wokół cerkwi, skute lodem, były pełne wieśniaków. Zmęczeni już żywieniem się resztkami, po tym jak bolszewicy wywieźli zbiory, żeby nakarmić robotników w miastach, masowo napływali do kolchozów. Widać było, jak stali w grupach przed sklepami i tupali nogami, żeby nie zamrznąć, w nadziei na skibkę chleba. Osip na pewno nieraz już to widział, ale nadal wykrzywił twarz we współczuciu. Przypominam sobie, jak powiedział, że wbrew temu, co twierdzą ludzie, nędza nie przepada za towarzystwem - woli być sama. (Domyślam się, że mówił na podstawie własnych doświadczeń). A potem, w jednym z typowych dla siebie przeskoków myślowych, kiedy słuchacze i przyjaciele musieli się nieźle wysilić, żeby wypełnić tę lukę w toku narracji, wybuchnął: - Anno, Anno, kiedy byłem młodszy, pisanie wierszy łatwiej mi przychodziło i często wiersze okazywały się całkiem dobre. Teraz jestem starszy, trwa to znacznie dłużej, ale czasami wynik jest lepszy. Kiedy recytuję niektóre wiersze naszemu woroneskiemu kółku, nie muszę robić przerw na oddech, tak by pierwsi odbiorcy wiedzieli, gdzie wers się kończy, zagina, powtarza. Słowa mówią same za siebie. Poeta nie jest już potrzebny. Poza tą... tą odą do Stalina. Te słowa pojawiają się niczym zółć. Czuję się, jakbym bełkotał. Zaczyna mi świtać w głowie, że jestem w twórczym kłopotcie. Co ja zrobiłem?

Powiedziałam mu, że człowiek musi trzymać się życia, na ile tylko może, w ludzki sposób. Lubię myśleć, że zdołałam powiedzieć to z przekonaniem w głosie, nawet jeśli wcale nie byłam przekonana.

- Gdybym mogła ocalić syna, gdybym mogła ocalić męża - dodałam. - Jezu, czego bym nie zrobiła. Wyruchałabym Stalina.

- Ja też wyruchałabym Stalina, gdybym mógł - odpowiedział. A później naprawdę się uśmiechnął. Tak, tak, Osip zaprezentował radosny uśmiech. I powiedział: - Oczywiście

³⁵ Fragmenty tej ody w przekładzie Krzysztofa Ołtaka.

używam tego czasownika w innym znaczeniu niż ty. - Wpadliśmy sobie w ramiona, trzęsąc się w ekstazie śmiechu.

Nie potrafię sobie przypomnieć, czy tamtego dnia, czy następnego, Osip, przechodząc przez tory kolejowe, zatrzymał się, żeby podnieść kawałek jakiegoś papieru. Zaczęłam się z nim drażnić: - Więc umniejszyli cię do śmieciarza, zbierającego papierki? - lecz zaraz spostrzegłam, że kartka była starannie złożona. Osip rozprostował ją i pokazał mi. Wydarta z zeszytu, zapisana drobnym pismem, była krótkim listem z nazwiskiem i adresem w Petersburgu.

- Bydłące wagony, które przejeżdżają nocami, są pełne więźniów wywożonych do Azji Środkowej - wyjaśnił. - Posłuchaj tego. - Założył okulary i zaczął czytać:

Moja najdroższa i najukochańsza Aksinio!

Całuję Twoje ręce, całuję Twoje stopy. Mój proces się skończył, zanim zdałem sobie sprawę, że się zaczął. Trzyosobowy sąd doraźny odczytał wnioski przedstawione przez śledczego. Usiłowałem coś powiedzieć, ale uciszono mnie stukaniem młotka. Trzech sędziów poszeptalo między sobą, a potem ten w środku ogłosił wyrok: dwadzieścia lat pracy przymusowej bez prawa do korespondencji. Jeśli ten list, jak Bóg da, dotrze do Ciebie, dowiesz się, że Ty i dzieci będziecie musieli radzić sobie beze mnie. Nie wahaj się sprzedać moich dwóch skrzypiec razem ze smyczkami i zapasem kalafonii. Zwłaszcza za włoskie skrzypce powinnaś dostać dobrą cenę. Poproś mojego brata o radę, kto jest na tyle utalentowany, żeby na nich grać, i ma dość pieniędzy, by je kupić. Oddaj moje partytury szkole muzycznej. Przekaż słowo o moim losie kolegom z orkiestry. Płaczę z żalu, że nie popełniłem przestępstw, o które mnie oskarżono.

Twój kochający mąż, który pójdzie do grobu z Twoim obrazem pod powiekami, Aleksander.

Osip starannie złożył kartkę. Wzięłam ją od niego i zmoczyłam jej niezapisaną stronę łzami, które zebrały mi się w kącikach oczu. Pamiętam, że pomyślałam: może i ja dostanę słówko o losie męża i syna, gdy jakaś pocziwa dusza znajdzie list rzucony na tory. Wsunęłam złożoną kartkę za rękawiczkę, żeby zabrać ją ze sobą do Petersburga, gdzie miałam zamiar nadać ją na poczcie.

- Ten muzyk pewnie wymyślił sposób wykończenia górala kremlowskiego - powiedziałam. - Może wszyscy powinniśmy popełnić przestępstwa, o k t ó r e k i e d y ś nas oskarżą.

- To byłoby równie dobre jak każdy inny rodzaj samobójstwa - odpowiedział Osip.

Kiedy patrzę z perspektywy czasu na ten tydzień w Woroneżu, uderza mnie jako oczywistość, że nawet w sytuacji Osipa, zesłanego do jednego z minus dwunastu miast za napisanie wichrzycielskiego wiersza, człowiek zachowuje pozory życia w cywilizowanym społeczeństwie. Każdego ranka po śniadaniu jedna godzina była poświęcana dorobkowi twórczemu Mandelsztama. Lwia część tego dorobku została skonfiskowana przez czekistów w czasie rewizji w noc aresztowania poety. Z oczami szczelnie zamkniętymi, głową odchylną do tyłu, Osip pomagał żonie odtwarzać wiersze z pamięci (od czasu do czasu i mnie udawało się wypełnić jakąś lukę), podczas gdy Nadieżda zapisywała je drobnym pismem na bibułkach do papierosów, po jednym na każdej, zanim dała je na przechowanie pisarzom zesłanym do Woroneża. Gdy Osip zmęczył się skupianiem uwagi, prosił o przerwanie tego zajęcia na dany dzień. Pełen radości wtykał strony miejscowej gazety między koszulę a sweter, dla lepszej ochrony przed dojmującym mrozem, i upierał się, żebym towarzyszyła mu w codziennej wyprawie do centrum Woroneża. (Nadieżda w tym czasie spotykała się z redaktorami lokalnego dziennika, którzy płacili jej nędzne grosze za doradzenie przy ocenie wartości prac literackich dopuszczanych do publikacji). Osip znalazł pracę przy pisaniu scenariuszy słuchowisk dla miejscowej rozgłośni radiowej; pamiętam, że szczególnie podobało mu się jedno, zatytułowane *Guliwer dla dzieci*. Zarobił też trzysta rubli w woroneskim teatrze za napisanie noty do programu *Orfeusza i Eurydyki* Glucka. W trakcie tych spacerów do miasta węszył za papierosami. Przeciwnie niż w czasach moskiewskich, kiedy kupował lub wyłudzał całe paczki, teraz uważał za sukces, gdy udało mu się zdobyć jednego papierosa, którego, zaprzysięgając mnie do dotrzymania sekretu, wypalał w tajemnicy przed Nadieżdą. Zaglądał do rozgłośni radiowej i teatru w nadziei, że może będzie dla niego jakaś nowa robota; twierdził, że jest gotów zamiatać ulice, choć przecież w Woroneżu ulic nigdy nie zamiatano, bo załatwiały to ostre wiatry wiejące ze stepów. Ale głównym powodem tych wypadów było szukanie okazji do poznania najświeższych wiadomości. Obojętni na mróz, rozmawialiśmy i rozmawiali, aż usta nam sztywniały z zimna i zaczynaliśmy wymawiać słowa z niemymi „b”, „m”, „p” i „w”. Osip żartował, że wymyślamy nowy język, taki, którym mówią więźniowie bez poruszania wargami, żeby czytający z ust czekał, szpiegujący ich przez lornetki, nie wiedzieli, o czym rozmawiają.

Kiedy tak włóczyliśmy się po mieście, na przemian wspinając się pod górę i schodząc w dół, szybko zauważyłam, że Osip rozpoznaje tylko nieliczne z mijanych przez nas osób. Sporadycznie jakiś mężczyzna w zimowym palcie uchylił kapelusza w kierunku mojego przyjaciela, a Osip, zapatrzony gdzieś daleko, kiwał mu z roztargnieniem głową w

odpowiedzi. Ale gdy pytałam o nazwisko jakiegoś przechodnia - byłam ciekawa, czy są więźniami politycznymi, czy też mieszkają w Woroneżu z własnej woli - nieodmiennie odpowiadał, że nie wie.

- Nie znam osobistych historii ludzi, którym się kłaniam - odpowiedział.

- Ależ musiałeś się przecież z kimś tutaj zaprzyjaźnić - nie ustępowałam.

- Poza Nadieńką mam tylko jednego przyjaciela. To prostytutka, która mieszka obok nas na ulicy Liniejskiej - wyjaśnił mi. - Kiedy się zorientowałem, że nikt nie wita się z nią na ulicy - każdy mężczyzna prędzej padłby trupem, niż ukłonił się prostytutce - zacząłem regularnie ją pozdrawiać, a ona uśmiechała się do mnie z wdzięcznością. Potem zaprosiła nas któregoś dnia na herbatę i konfitury, a ponieważ nie widzieliśmy konfitur na oczy od dwóch lat, rzecz jasna, bez wahania przyjęliśmy zaproszenie.

Powinno od razu wyznać, że zaintrygowała mnie przyjaźń Osipa z prostytutką. (Czy dlatego, że dowiedziałam się, jakoby bolszewicy określali mnie jako „jawnogrzesznicę”?) Przez lata poznałam niemal wszystkie miłośnice Osipa, łącznie z tą, z którą uciekł już po p o z n a n i u Nadieźdy w kabarecie cyganerii w Kijowie, ale nigdy nie słyszałam, niezależnie od tego, jak bardzo powodowała nim chęć, by prowadził się z kobietą o złej reputacji, jak nazywali je dżentelmeni o złej reputacji.

- Proponowała ci swoje usługi? - zapytałam ze złośliwym uśmiechem.

Osip przystanął, żeby złapać oddech, i zarżał.

- Nie, nigdy mi nie proponowała. A nawet gdyby, nigdy bym nie skorzystał. Stoję w długiej kolejce na ulicy niedaleko dworca, gdzie wypożyczają erekcję, ale zawsze zanim dojdę do okienka, kończy się im zapas. Nie przerażaj się tak, Anno. Mam jeszcze męża.

Osip z niechęcią odniósł się do mojej prośby o zapoznanie mnie z prostytutką, bo obawiał się, że źle odbierze przyprowadzenie przyjaciółki (żeby się na nią gapiała, jak na małpę w klatce). Ustąpił dopiero, gdy się uparłam. I tak właśnie doszło do herbatki, jak mawiają Anglicy, w pokoju prostytutki, która nazywała się Warwara Samołowa. Okazała się osobą z charakterem. Warwara przyjechała do Woroneża jako konkubina więźnia politycznego. Kiedy mężczyzna nie przeżył pierwszej zimy, zajęła się prostytutką, żeby zarobić pieniądze na wychowanie syna, który miał piętnaście czy szesnaście lat. Zbierała znaczki pocztowe z całego świata przedstawiające dzieła sztuki - obrazy, posągi, cuda architektury. Osip utrzymywał, że niektórzy klienci płacili jej znaczkami zamiast rublami, ale jakoś nie bardzo chciałam w to uwierzyć. Poza tym jej jawne występowanie w roli prostytutki wydało mi się niezwykle, dopóki nie dowiedziałam się od Osipa, że kilku członków miejscowego komitetu partyjnego, w tym czekista, regularnie korzystało z jej usług.

Jak Warwara wyglądała? Myślę, że dobiegała trzydziestki albo niedawno ją ukończyła, drobna i krągła niczym śnieguła, o pięknej cerze i długich rudawych włosach, których puszyste kosmyki opadały jej na piersi. Była ubrana w sukienkę, którą, jak się później okazało, sama uszyła z dwóch fartuchów. Sukienka miała głęboki dekolt, z którego wystawała koronkowa bielizna, niewiele miejsca zostawiając dla wyobraźni. Nawet w domu nosiła na głowie kapelusz z rodzaju tych, które widuje się w paryskich magazynach. Przyszło mi do głowy, że mogła przyjmować klientów bez ubrania, ale w tym kapeluszu, jednak uznałam, że pytanie o to byłoby niegrzeczne. Nie było wątpliwości, że ucieszyła się na widok Osipa. Natychmiast przyniosła konfitury, ukrywane na półce. Wzięła mnie za nowo przybyłą minus dwunastkę, a ponieważ Osip jej nie wyprowadził z błędu, nie wahała się rozmawiać swobodnie w mojej obecności. Zanim ktokolwiek z nas się zorientował, wyłożyła podręczniki szkolne syna na pokryty szkłem blat stołu i pokazała nam strony z zaklejonymi grubym papierem portretami Trockiego albo Zinowiewa, albo Kamieniewa.

- A skąd wiedzieli, że trzeba to zrobić? - zapytałam.

- Dzieciom mówi się w szkole, którzy przywódcy wypadli z łask. Kierowniczką regularnie dostaje listy od redaktorów *Wielkiej encyklopedii* ze szczegółowym opisem haseł lub ilustracji, które trzeba zalepić albo wyciąć. Wszystko to jest bardzo proste, kiedy mieszka się, jak my, na prowincji, bo mamy kuchnię na węgiel. Moja siostra mieszka w Moskwie - połowę wolnego czasu spędza na cięciu haseł i ilustracji na paski i spuszczeniu ich w sedesie.

Osip zastanawiał się głośno, czy wszystkie wzmianki o nim zostały usunięte z książek o poezji, opublikowanych w latach dwudziestych i na początku lat trzydziestych.

- Jesteście sławni? - zapytała prostytutka, a kiedy nie odpowiedział, zwróciła się do mnie i powtórzyła pytanie: - Koniecznie musicie mi powiedzieć: czy on jest sławny?

- W określonych kręgach jest otoczony sławą. W innych okrył się niesławą.

Warwara zbyła moje wyjaśnienie bezceremonialnym machnięciem ręki.

- Nie oszukacie mnie. Bawicie się słowami, czego ja nigdy nie robię. Tu można stracić głowę, kiedy ktoś bawi się słowami. Ale w takim razie z czego jest sławny?

- Z szamotania się w sieci wieloznaczności między słowami - oznajmiłam.

Warwara kiwała głową z boku na bok w zamyśleniu.

- Człowiek może pograżyć się w sieci wieloznaczności między słowami.

Osip wyciągnął dłoń.

- Pozwólcie, że poprowadzę was przez sieć wieloznaczności - powiedział.

Uśmiechając się z fałszywą skromnością, Warwara wzięła go za rękę.

I oto przy tej prostytutce zobaczyłam oblicze Osipa, które, jak myślałam, przepadło

razem z erekcją. Flirtował z nią, a nawet ją uwodził. (Może próbowanie roli, której, zgodnie z jego słowami, nie miał nadziei już nigdy odgrywać, pozwalało mu na fantazjowanie). Przy Warwarze dawał sobie dyspensę, jak mawia przysłowie, i paplał o błahostkach, jakby nie miał żadnych zmartwień. Przy Nadzieździe było zupełnie inaczej. W mojej obecności rozmawiali poważnie o poważnych sprawach: czy popełnić samobójstwo, czy nie; czy wysupłać coś z mizernych zapasów rubli i kupić butelkę gruzińskiego wina na moją cześć; czy mors gotowany na kwasie chlebowym lepiej by smakował od morsa przyrządzonego w żółtej od rdzy wodzie z kranu; a jeśli na kwasie, to gdzie, do licha, można go kupić; kogo w Woroneżu uda im się nakłonić, żeby dał im taką czy inną pracę.

I dlatego ja musiałam podjąć temat, od którego oboje stronili jak od ognia. Pamiętam, że zrobiłam to nad talerzem kaszy manny na godzinę czy dwie przed odjazdem. Odchrząknęłam, żeby zwrócić na siebie ich uwagę.

- Co zrobicie, kiedy za rok wyrok się skończy? - zapytałam. Moje pytanie spotkało się z grobowym milczeniem. - Jeśli w tym pokoju robi się jeszcze ciszej - zażartowałam - człowiek usłyszy zgrzyt ziemskiej osi.

Nikły uśmiech pojawił się na ustach Nadzieźdy, kiedy zacytowała urywek woroneskiego cyklu Osipa.

- „...Udało się, wbrew śmierci i senności... słyszeć zgrzyt osi ziemskiej, ziemskiej osi...”

- No więc? - nie ustępowałam.

Osip pobiegł do drzwi, żeby patrzeć na przejeżdżający pociąg. Kiedy szurając nogami, wrócił do stołu, zapatrzył się w okno i powiedział bardzo stanowczo: - Gdy skończy się mój wyrok, wrócę do Moskwy i dawnego życia.

Nadzieźda obróciła się do męża.

- Wrócisz do recytowania swoich wierszy jedenastu słuchaczom, którzy, nie bacząc na pogodę, przyjdą do redakcji „Litieraturnoj gaziety”? Wrócisz do wyłudzenia papierosów od głupiutkich dziewczyn, które myślą, że poeta Mandelsztam na pewno nie żyje? Wrócisz do fabrykowania rękopisu *Kamienia*, wydane w tysiąc dziewięćset trzynastym roku, żeby go sprzedać bibliotece Funduszu Literackiego? Wrócisz do bezsenności powodowanej nasłuchiwaniami po nocach, czy ktoś nie puka do drzwi?

Osip panował nad sobą.

- Moja oda do Stalina ochroni nas oboje przed aresztowaniem.

Nadzieźda odwołała się do mnie: - Marzyło mi się zniknięcie na tak głębokiej prowincji, że władze zapomniałyby o naszym istnieniu: życie w odosobnionej drewnianej

chacie ze zdobionymi okiennicami; patrzenie na kopuły odległej wiejskiej cerkwi zamienionej teraz na skład siana; uprawianie kartofli, kapusty, ogórków, buraków i rzepy na niewielkim poletku za domem; trzymanie kur i krowy; wymienianie jajek i mleka na chleb i puszkę ikry. Pamiętam, że Nadieżda uciekła wzrokiem, ramiona drżały jej z udręki. Zerknęłam na przyjaciela, Osipa.

- W nocy, kiedy cię aresztowano, wtedy w trzydziestym czwartym roku, przypomniałam ci o ostatnich słowach Puszkina - odezwałam się. - Na pewno ich nie zapomniałeś. „Odejdź w zapomnienie. Przeprowadź się na wieś”.

- Puszkina wydał ostatnie tchnienie w mieście - zauważył Osip z irytacją. - Mam zamiar iść za jego przykładem.

- Powrót do Moskwy byłby szaleństwem - powiedziałam. - Po trzech latach zesłania prawie nie macie szans na meldunek, więc będziecie musieli mieszkać tam nielegalnie. Miasta są przepelnione pomniejszych urzędnikami, pisarzami i redaktorami, którym się wydaje, że sami ocaleją, jeśli będą donosić na innych, na kogokolwiek. I czy będziecie tam legalnie, czy nielegalnie, jakiś ambitny sługus z Czeka będzie chciał zyskać sławę powtórnym aresztowaniem poety Mandelsztama. Jeśli chcesz dożyć wieku średniego...

Z szelmowskim uśmiechem Osip zapytał: - Nie masz nadziei na starość?

- Starość? - Pamiętam, że tak odpowiedziałam. - Jest poza zasięgiem możliwości.

- Uważam tak samo - zgodził się ze mną.

Mówiłam dalej, jakby nic nie zostało powiedziane: Jeśli chcesz dożyć wieku średniego, jeśli chcesz, żeby Nadieżda go dożyła, musisz siedzieć cicho, musisz się zaszyć gdzieś daleko od Moskwy, gdzie nikt was nie zna, musisz zachować anonimowość.

- Anonimowość! - wybuchnął Osip. - Jak możesz, właśnie ty ze wszystkich ludzi, mówić mi coś takiego, Anno Andriejewna? Co chcesz zasugerować poecie Mandelsztamowi: dołączenie do tysięcy publikujących przez wieki wiersze podpisane „Anonim”? - Zorientowałam się, że Osip zgubił treść pytania, które zaczęło tę rozmowę, ale nie powstrzymało go to od ciskania gromów. - Tak, tak, wyszłaś z pomysłem, który narzuca mi się sam z siebie. Pierwsze, co powinniśmy zrobić jutro rano, to iść do miejskiego komitetu partii, Nadieńko, i złożyć podanie o formalną zmianę nazwiska na A n o n i m. Osip Emiljewicz i Nadieżda Jakowlewna Anonimowie. To jest rozwiązanie. I przeprowadzimy się do chaty jakiegoś pustelnika w górach, będziemy trzymać krowę i wykorzystywać jej placki do wyłożenia ścieżki prowadzącej do naszych drzwi, kiedy bolszewicy przyjdą pogratulować mi wydrukowania w „Prawdzie” ody do Stalina jako A n o n i m.

- Uspokój się - powiedziała Nadieżda. - Jeśli twardo upierasz się przy powrocie do

Moskwy, to tak właśnie zrobimy.

Osip wciągnął głęboko powietrze w płuca. Stopniowo jego oddech się wyrównywał. I wyrwał się z wersem, który natychmiast rozpoznałam jako fragment przysłanego mi kiedyś w liście wiersza z woroneskiego cyklu.

- „Może to jest z obłędem igranie”³⁶.

- Jeśli to jest igranie z obłędem - powiedziałam - możesz przestać udawać rozważnego.

Czy rozpoznał uwagę o udawaniu zdrowia psychicznego, która padła z jego własnych ust podczas pamiętnej rozmowy z Pasternakiem całe wieki temu? Jeśli tak, nie pokazał tego po sobie. Popatrzył na mnie dziwnie, niemal jakbym była przezroczysta.

- Przydarzyła mi się cudaczna rzecz, kiedy szedłem po ciebie na dworzec - powiedział. - Przystanąłem, żeby złapać oddech, na placu Piotra obok pomnika Piotra Wielkiego, trzymającego kotwicę wysoko w górze. Przez jedną straszną chwilę nie mogłem sobie przypomnieć, kim jestem, co tam robię, siedząc na brzegu fontanny pełnej nie wody, ale śmieci i patrząc na pomnik, który nazywam Piotr Kotwica. Ocalił mnie wers z woroneskiego wiersza, który pojawił mi się w głowie. „Ta, cóż to za ulica? Ulica Mandelsztama...”³⁷. I przypomniało mi się własne nazwisko, a razem z nim to, że szedłem na spotkanie z najdroższą mi, po Nadieńce, przyjaciółką na świecie.

Powtórzyłam te wersy: - „Ta, cóż to za ulica? Ulica Mandelsztama...”

Tamtego popołudnia Nadieżda odprowadziła mnie na dworzec. Wróciły palpacje serca Osipa, połknął kilka pigułek, ale niewiele pomogły, dlatego czuł się za słaby, żeby zrobić coś więcej poza odprowadzeniem mnie do drzwi. Objęliśmy się, żadne z nas nie do końca wierzyło, że jeszcze się kiedyś zobaczymy. Zaczęłam schodzić po schodach, gdy usłyszałam Osipa instruującego mnie pełnym niepokoju głosem. Kazał mi iść do Komitetu Centralnego, gdy tylko dojadę do Moskwy, i powiedzieć, że Mandelsztam marnuje się w Woroneżu, trawiony głodem i depresją, że ma zaświadczenie z Polikliniki nr 1, potwierdzające chorobę serca, arteriosklerozę i psychopatię schizoidalną.

- Jakim cudem, twoim zdaniem, mam się dostać do Komitetu Centralnego? - krzyknęłam. - Nie mam przepustki. Nie wpuszczą mnie do środka.

Osip nie chciał słyszeć odmowy.

- Powiesz, że przychodzisz od poety Mandelsztama, i drzwi się otworzą - oznajmił,

³⁶ Przekład Stanisława Barańczaka.

³⁷ Przekład Leopolda Lewina.

powieki mu drgały. - Będą się przepychali jeden przez drugiego, żeby cię wysłuchać.

Już na dworcu patrzyliśmy z Nadieżdą na długi, pokryty kurzem pociąg, wtaczający się na peron. Dzieciaki wskakiwały do niego, żeby zająć miejsca dla starszych pasażerów, uziemionych przy bagażach. Nadieżda wcisnęła mi w dłoń słoik z marynowanymi burakami, owinięty w gazetę, i rozłożyła ręce w geście rozpaczy.

- Zaczęłam się modlić - poinformowała mnie. - Modłę się do Boga co wieczór, kiedy kładę się na wąskim wyrku obok męża. - Musiałam ją zapytać, o co się modli, bo powiedziała: - Mówię: „Dobry Boże, który, sądząc z tego, co widzę wokół siebie, na pewno nie istnieje, teraz, gdy mój ukochany Osja nadal ma przy sobie męża, proszę, spraw, żeby słońce nie wzeszło jutro rano. Amen”.

- Amen - powiedziałam.

Nie, niewiele pamiętam z podróży powrotnej do Petersburga. Miała początek i koniec, ale żadnego środka. W stanie przypominającym trans przesiadałam się z pociągu do pociągu, walczyłam o siedzące miejsca i zasypiałam, przyciskając do piersi torbę, żeby nikt mi z niej niczego nie ukradł. Gdzieś po drodze naskrobałam cztery wersy na tylnej stronie koperty, którą mam do dziś. Nie muszę jej brać do ręki, żeby wam je zacytować. Zapadły mi głęboko w pamięć, wryły się w mózg.

*...A strach i Muza stają po kolei
U drzwi poety jak więzienny ront.
I widać stąd
Jak idzie noc bez świtu i nadziei³⁸.*

³⁸ Przekład Pawła Hertza.

Nadieżda Jakowlewna

Poniedziałek, 2 maja 1938 roku

Według władz nasze zesłanie minus dwanaście do Woroneża skończyło się niecały rok temu - dokładnie rzecz ujmując, o godzinie piętnastej piętnaście 16 maja 1937 roku - kiedy czekista o wymizerowanej twarzy i napomadowanych wąsach (jak się okazało, klient uroczej prostytutki, która była naszą sąsiadką) podpisał i podstemplował oficjalny dokument stwierdzający, że Mandelsztam skończył odbywanie kary, i staliśmy się wolni, mogliśmy zamieszkać w dowolnym miejscu całej radzieckiej Rosji, gdzie tylko dusza zapagnie. Ale był w tym przemilczany haczyk: potrzebowaliśmy meldunku, a jedynym miastem, w którym go dostaliśmy, okazał się Woroneż.

Co dla poety Mandelsztama i jego małżonki oznaczało zesłanie do końca ich życia.

Mimo to byliśmy zdecydowani wyjechać. (Gdzie, jak, Bóg jeden wie). Pierwszym zadaniem było pozbycie się nadmiernego bagażu - rzeczy, które nagromadziliśmy od czasu przyjazdu do Woroneża: wiader, nocnika, patelni, żelazka na duszę, niewielkiej jednopalnikowej kuchenki naftowej, lampy naftowej, pozapadanego materaca i stosu bardzo pocerowanych kołder i koców, pudła z poobijanymi talerzami i spodkami. Część z tych przedmiotów oddaliśmy naszej gospodyni, szwaczce, część przekazaliśmy parze świeżo przybyłych zesłańców, na których Mandelsztam natknął się, gdy rozpaczliwie poszukiwali pokoju do wynajęcia na ulicy Liniejnej. (Nasza gospodyni postanowiła, że jesteśmy jej ostatnimi lokatorami, bo chciała mieć wolny pokój dla syna). Zapakowaliśmy ubrania do walizki, dwóch toreb i papierowego worka z rączką ze sznurka i zapłaciwszy synowi gospodyni za pomoc przy niesieniu naszego dobytku, ruszyliśmy na dworzec. Z meldunkiem czy bez, ciągnęło nas do Moskwy jak ćmy do płomienia świecy. Mandelsztam, który źle sypiał i przez większość czasu był przygnębiony, ożywił się w chwili, gdy pociąg, jadący na północny zachód, wyruszył z Woroneża. W miarę zbliżania się do Moskwy ożywienie to stawało się coraz większe. Nic nie tworzył w tamtych dniach, ale można było odnieść wrażenie, że czuł oddech muzy na plecach.

Mogę was zapewnić, że Moskwa, do której dotarliśmy po dwóch i pół dniach wyczerpującej peregrynacji, zmieniła się, od kiedy mieszkaliśmy tam przed trzema laty. Długi

pociąg włókł się przez przedmieścia, których kiedyś nie było - szerokie, zakurzone bulwary z blokami z cegły na różnym etapie budowy. Samo miasto wyglądało jak po kuracji odmładzającej. Budynki z epoki carów czyszczono parą wodną i widać było masywne budowle wznoszące się pod rusztowaniami, o imponujących fasadach ze szkła i stali, które w moich oczach laika bardzo przypominały dekadentki amerykański styl zdobniczy, jak określano to w gazetach. Atmosfera społeczna też się zmieniła, choć trudno byłoby uznać, że na lepsze. Zesłańcy przybywający do Woroneża przez ostatnie miesiące opowiadali o zaistnieniu w Moskwie nowej klasy obywateli, których nazywali nuworyszami (na co Mandelsztam w nieczęstym już przeblasku dowcipu reagował powiedzeniem: „Lepiej nowi niż wcale”). Nuworysze zachowywali się tak, jakby mieli pieniądze do szastania. Pospiesznie awansowano nowe kadry urzędników (jako że ci, którzy byli przed nimi w porządku dziobania, zostali aresztowani). Ostatnim krzykiem mody było otworenie konta w banku. (Kiedy miałam pieniądze, przypinałam je do wewnętrznej strony majtek, jak Achmatowa). Mieszkania, dacje, używane meble, gramofony i płyty z komisu, a nawet tak luksusowe sprzęty, jak elektryczna lodówka, podobno stały się łatwiejsze do zdobycia, bez wątpienia dlatego, że tak wielu ludzi znikalo w więzieniach lub na zesłaniu, pozostawiając swój dobytek.

W chwili gdy Mandelsztam postawił nogę w Moskwie, zrozumiałam, że mimo ryzyka, jakie niósł ze sobą brak meldunku, dobrze zrobiliśmy, wracając. Ktoś mógłby pomyśleć, że zmyślam, ale przysięgłabym: zmienił się kolor jego skóry z szarego na... cóż, na kolor skóry. Charakterystyczny błysk pojawił się w jego oczach, jakby widoki i odgłosy metropolii odświeżyły wspomnienia, przypomniały mu o życiu p r z e d śmiercią. Szedł nawet w tempie, które pozwalało zostawić w tyle ślimaki. Widząc po raz pierwszy od wielu miesięcy uśmiech na ustach męża, sama uśmiechnęłam się po raz pierwszy od wielu miesięcy.

Niczym Żydzi, którzy dotarli do ziemi obiecanej po latach błądzenia przez pustkowia, w jednej chwili postanowiliśmy wymyśleć sposób na pozostanie w Moskwie. Pierwszą koniecznością było znalezienie miejsca do spania.

I tak zatrzymaliśmy służbowy samochód jednego z ministerstw, których szoferzy dorabiali jako taksówkarze, biorąc ludzi na łebka, i pojechaliśmy do Domu Hercena w nadziei, że spotkamy tam kogoś, kto da nam lokum na jedną, dwie noce.

W rezultacie musieliśmy zadowolić się poduszkami z wersalki rozłożonymi na linoleum podłogi w maleńkim mieszkaniu jednego z młodych poetów, którym Mandelsztam recytował kiedyś swoje wiersze. Żona poety, tęga i blada redaktorka z miesięcznika literackiego, rozkładając poduszki na gazetach, powtarzała, iż chętnie będzie nas gościć dwa,

trzy dni, czym dawała nam jasno do zrozumienia, że nie dłużej. (Nie mam jej tego za złe. I tak ryzykowali, przyjmując pod swój dach ludzi bez meldunku). Mandelsztam, wyczerpany podróżą, nie wspominając o melancholii wywołanej powrotem do Moskwy, rozciągnął się na tych poduszkach, opuścił nauszники czapki, żeby wytłumić gwar dochodzący z ulicy Naszczokina, i zaraz zasnął.

Okryłam go skórzaną kurtką w kolorze musztardy i nie rozbierając się, położyłam obok.

Pamiętam, że pierwszego ranka w Moskwie obudziłam się o świcie z potwornym bólem głowy. Mąż spał tak smacznie, że nie miałam serca go budzić. Poszłam do łazienki, obmyłam twarz i kark zimną, rdzawą wodą z kranu, i poczułam się znowu człowiekiem. Postanowiłam zejść na dół i zapukać do naszego dawnego mieszkania. Kiedy pakowałam się gorączkowo przed drogą na zesłanie, zostawiłam kilka książek, więc teraz pomyślałam, że mogłabym je odzyskać. I tak natknęłam się na kartkę przyklepioną do drzwi naszego mieszkania: „Gdyby ktoś pytał o Zakonskiego, to jestem na daczynie do końca miesiąca”. Był tam również numer telefonu. Nazwisko Zakonskiego nic mi nie mówiło, ale skoro miał telefon i daczynę, oznaczało to, że go publikowano, co w tych czasach było złowieszczym znakiem; drukowano bowiem jedynie pisarzy, którzy podążali linią wytyczoną przez partię. Już chciałam się wycofać, kiedy przypomniałam sobie o kluczu do drzwi ukrytym za listwą blisko wspólnego telefonu, zostawionym na wypadek, gdyby Mandelsztam zapomniał swojego. Ku mojemu zaskoczeniu nadal tam tkwił, mimo upływu tylu lat. Nikogo nie było na korytarzu, kiedy weszłam do naszego mieszkania. Widok znajomych ścian i odgłos naszego starego szwajcarskiego zegara tykającego w kuchni sprawiły, że łzy napłynęły mi do oczu. Książki, które zostawiłam, stały teraz na górnej półce naszej biblioteczki - pierwsze wydania Dierżawina, Jazykowa, Żukowskiego, Baratynskiego, Feta, Polańskiego razem z ukochanymi przez Mandelsztama Włochami: Vasarim, Boccacciem, Vikiem. Zebrałam je i usiadłam wygodnie na wyszmelcowanej wersalce, na której siedziałyśmy z Zinaidą i słuchałyśmy Mandelsztama recytującego epigram na kremlowskiego górala. Zaczęłam przeglądać strony tytułowe. I choć pewnie zabrzmiało to naiwnie, nagle mnie olśniło: N a j l e p s z y m s p o s o b e m u z y s k a n i a m e l d u n k u j e s t p o s i a d a n i e m i e j s c a z a m i e s z k a n i a. Proces myślowy, jakiego dokonałam, wydawał się wystarczająco prosty do ogarnięcia nawet przez byle aparaczyka: poeta Mandelsztam i ja otrzymaliśmy przydział na to mieszkanie w Domu Hercena, on został skazany na zesłanie minus dwanaście, ja mu towarzyszyłam; teraz, gdy wyrok się skończył, wróciliśmy do Moskwy i chcemy je odzyskać. Nie uwierzycie - sama ledwie mogę w to uwierzyć, kiedy

wspominam tamten epizod - ale rozumowanie moje wydało mi się tak zdroworozsądkowe jak na mój pokrętny umysł, że od razu postanowiłam znaleźć dzielnicową komendę milicji. Wyobraźcie sobie strach, jaki musiałam stłumić, a który towarzyszył zwykłemu wyjściu frontowymi drzwiami! Ku mojemu zaskoczeniu funkcjonariusz w dyżurce, starszy mężczyzna, który, sądząc z wyglądu, rozpaczliwie karmił się nadzieją, że zdąży przejść na emeryturę, zanim go aresztują, wysłuchał mnie i wzruszył ramionami. Musicie wiedzieć, że wzruszenie ramion w Rosji nie jest równoznaczne z „nie”. Oznacza „może”. Oznacza „nie mam wystarczających uprawnień do udzielenia wam definitywnej odpowiedzi”. Milicjant poradził mi, żebym spróbowała na komendzie głównej na Pietrowce. Przeszłam całą drogę piechotą, bo wydawało mi się, że wysiłek fizyczny ukoi mi nerwy, dzięki czemu zrobię wrażenie zmęczonej, a nie zalęknionej. Stała tam długa kolejka, w której odczekałam wiele godzin, żeby dostać się przed oblicze oficera milicji w głównym holu komendy na Pietrowce. Okazał się młodym człowiekiem o dziecinnej twarzyczce - za młodym na stanowisko, jakie piastował, co wskazywało, że zajął miejsce aresztowanego funkcjonariusza - w okularach o doskonale okrągłych stalowych oprawkach. Uniósł wzrok, ale nie głowę, i spojrzał na mnie ponad oprawkami. Zaczęłam mu objaśniać naszą sytuację, ale wszedł mi w słowo.

- Nie można mieć przydziału na mieszkanie bez meldunku. A meldunku wam się odmawia, bo jesteście osobą skazaną. Następny.

- Nie jestem skazana! - krzyknęłam.

Kobieta stojąca za mną szepnęła mi do ucha: - Cokolwiek chcecie załatwić, droga pani, będziecie miały większe szanse, jeśli się uspokoicie. Wyciągnęłam z torebki oficjalny dokument i rozłożyłam go na biurku, tak żeby urzędnik mógł go przeczytać. I znowu nie poruszył głową, tylko oczami.

- Tu jest napisane, że jesteście osobą skazaną - powiedział.

- Nie mam żadnego wyroku. Z własnej woli towarzyszyłam mężowi na zesłaniu.

Równie dobrze mogłabym rozmawiać z maszyną.

- Tu jest napisane - odpowiedział zniecierpliwiony - „Osip Mandelsztam, skazaniec”.

- Osip Mandelsztam jest mężczyzną. Ja jestem kobietą.

Zdażyłam szybkim ruchem zabrać cenny dokument z biurka, zanim milicjant walnął pięścią w blat.

- Osip Mandelsztam jest waszym mężem, prawda? Zgodnie z radzieckim prawem osoby aresztowane i ich rodziny są pozbawione prawa do meldunku w Moskwie. Nie słyszałyście o artykule pięćdziesiątym ósmym? To, o co oskarżono waszego męża, dotyczy również was. Mogę wam zarzucić działalność antyradziecką.

Przykro mi to pisać, ale wybiegłam przerażona z komendy na Pietrowce.

Po klęsce żalostnej próby odzyskania naszego lokalu żyliśmy jak ptaki. Ostatecznie wyładowaliśmy w jednym pokoju kwaterunkowego mieszkania w Kalininie, znajdującym się na tyle blisko Moskwy, że można było do niej przyjeżdżać kilka razy w miesiącu. Rozeszła się wieść, że Mandelsztam wrócił żywy z zesłania, więc przyjaciele, do których dotarło pocztą pantoflową, że znowu jest w mieście, przybiegali, żeby się z nim zobaczyć. Łudząc się, że uchroni nas przed drugim aresztowaniem, mąż recytował beznamiętnie najnowszą odeę do Stalina, kiedy tylko nadarzał się słuchacz. Nie brakowało pisarzy i poetów oferujących nam pożyczki, „żebyśmy mogli przetrwać” („c o przetrwać?”, pytał Mandelsztam wzburzony, gdy byliśmy sami); był między nimi Izaak Babel, określający samego siebie jako „mistrza sztuki milczenia”, który podczas jednej z kilku naszych wizyt w pokojach, wynajmowanych przez niego na drugim piętrze prywatnej willi, powiedział nam ponuro: „Milczenie nie ocali mnie. Zważcie moje słowa: wkrótce po mnie przyjdą”.

Kilkoro bliskich przyjaciół chętnie dawało nam schronienie w Moskwie, ale dla ich dobra nie spędzaliśmy więcej niż kilku nocy w żadnym mieszkaniu, żeby nasi gospodarze nie zostali zadenuncjowani na milicji. Achmatowa rzuciła wszystko, co robiła, i przyjechała do Moskwy, gdy tylko dowiedziała się o naszym powrocie. Mandelsztam i Anna padli sobie w ramiona. Czy czułam się zbędna? Nie, to pytanie mnie nie obraża. Nigdy nie byli kochankami, choć, prawdę powiedziawszy, łączyły ich więzy intymniejsze niż kochanków, przez co rozumiem, że kochanie się w porównaniu z ich zażyłością było jak całowanie się przez szybę. Zdarzały się chwile, temu nie zaprzeczę, kiedy ta intymność stawała mi kością w gardle, niczym zazdrość. Budzili w sobie nawzajem straconą młodość. Porozumiewając się własnym językiem, który ze swej natury wykluczał innych z ich rozmowy, rozśmieszali się, dopóki jedno z nich nie dostało krwotoku z nosa. Mandelsztam z założonymi za głowę splecionymi dłońmi przemierzał pokój długimi krokami i recytował wiersze z cyklu woroneskiego. Anna Andriejewna w zamian deklamowała wiersz, który napisała po wizycie w Woroneżu poprzedniego roku, coś o strachu i muzie, trzymających straż przy poecie znajdującym się w niełasce. (O ile wiem, tego wiersza nigdy nie opublikowano). Raz pojechaliśmy do Petersburga, co z mojego punktu widzenia okazało się błędem - przemierzanie ulic, które pamiętał ze studenckich lat, sprawiło, że mąż drżał z emocji. Zostaliśmy na noc w mieszkaniu Achmatowej, do późna spełnialiśmy toasty za poetów i konkretne wiersze.

W którymś momencie usłyszeliśmy dzwoniący na korytarzu telefon. Sąsiad wsadził głowę w drzwi.

- To do was, Anno Andriejewna.

Poszła odebrać telefon, ale za chwilę wróciła, kredowo blada.

- Kto dzwonił? - zapytałam.

- Nikt się nie odezwał. Wymieniliśmy spojrzenia. Mandelsztam i ja wyjechaliśmy rankiem. Anna Andriejewna odprowadziła nas na dworzec. Nigdy nie zapomnę ostatnich słów, jakie mąż jej powiedział: - Jestem gotów na śmierć.

Przy innej okazji spędziliśmy popołudnie z Pasternakiem w jego daczce w Pieriediełkinie, pół godziny drogi od Moskwy; kiedyś była to posiadłość Kołyczewa, wioska stała się popularną miejscowością wśród modnych pisarzy pod koniec lat dwudziestych. (Nigdy nie dowiedzieliśmy się, w jaki sposób latem 1936 roku Borys, który nieustannie z łask popadał w niełaski, zdołał wejść w posiadanie tego domku). Żadne z nas nie żałowało, że jego nowa (przynajmniej dla nas) żona siedziała w kuchni w czasie tej wizyty, by uniknąć kontaktu z moim mężem. Borys Leonidowicz i Mandelsztam przystawili stołki do ozdobnego pieca, żeby było im ciepło, a ja zostałam na kanapie z kapą okrywającą mi nogi. Pasternak opowiadał, że jest na początkowym etapie szkicowania powieści „o nas wszystkich”, i pokazywał nam książki, które właśnie czytał, o francuskiej rewolucji. Pamiętam, że dyskusja się ożywiła i musiałam dawać znaki Borysowi Leonidowiczowi, by obniżył temperaturę rozmowy, bo bałam się przyspieszenia pulsu Mandelsztama.

Pasternak stał na stanowisku, że można przetrwać, gdy rządzi terror, ale mój mąż kręcił jedynie głową, uporczywie się z tym nie zgadzając.

- Jeśli oddychasz terrorem - powiedział - zarażasz się nim. Wszyscy stają się ofiarami: ci, którym spadły głowy; kaci, którzy te głowy ścięli; tłumy na ulicach, które na to patrzyły; a nawet ci, którzy zachowali resztkę przyzwoitości, żeby odwrócić wzrok.

Już później na dworcu Pasternak, ze zręcznością złodziejaszka, wsunął pieniądze do kieszeni Mandelsztama, kiedy obejmowali się na pożegnanie. Odkryliśmy je, gdy wieszałam skórzaną kurtkę męża po powrocie do Kalinina.

I tak mijały tygodnie, miesiące, podczas których Mandelsztam w Kalininie, Moskwie albo Petersburgu wpatrywał się w okna pokryte kroplami deszczu i powtarzał nazwiska ludzi, którzy przypadli w gułagu. Kiedy zamykam oczy, potrafię odtworzyć jego głos w moich uszach: „Zagadkowy Chardzijew z nieproporcjonalnie dużą głową; Hipolit z szalonym planem uwiedzenia anioła śmierci; Żenią z paznokciami ogryzionymi do żywego; Wadik z wierszami tak zagmatwanymi, że nawet sam ich nie rozumiał; Pasza z obłąkańczą teorią, zgodnie z którą Rosja będzie ocalona, kiedy opiaty staną się religią mas”.

Powinłam tu wspomnieć o zniknięciu, które najmocniej nas zabolalo - nie mówiąc o

tym, że było dla nas największą udręką - naszego przyjaciela i protektora, Nikołaja Bucharina. Prześledziliśmy, co się rozumie samo przez się, jego losy bardzo dokładnie. Jego nazwisko jako redaktora naczelnego zostało usunięte z nagłówka „Izwestii” zimą 1937 roku i wkrótce ze szczekaczki na głównej ulicy w Woroneżu dowiedzieliśmy się o jego aresztowaniu. (Mandelsztam wyjątkowo się rozsierdził, słysząc wiwatujących wtedy ludzi). Potem przez całe miesiące nie było żadnych wieści o Bucharinie. A wreszcie odbył się bardzo nagłośniony publiczny proces, w czasie którego oskarżono go o zdradę i spisek na życie Stalina. (Jak na ironię Gienrich Jagoda, kiedyś szef Czeka, który osobiście podpisał nakaz aresztowania Mandelsztama w 1934 roku, stał się współoskarżonym: „Nie będziemy po nim płakać” - to wszystko, co mąż powiedział, gdy o tym usłyszeliśmy). Proces zaczął się na początku marca w Sali Października Domu Związków Zawodowych, gdzie - jak skądinąd wiedzieliśmy - Nikołaj Iwanowicz oświadczył się pewnej młodej kobiecie, która została potem jego trzecią żoną. Jego zeznania, opublikowane w „Prawdzie”, stały się głównym tematem rozmów w kręgach inteligencji (anszlus Austrii przez Hitlera miał nastąpić w bardzo niedługim czasie), w których Bucharin, mimo bolszewickich proweniencji, był uważany za obytego humanistę. Zdarzali się i ludzie powtarzający stare przysłowie: „Nie ma dymu bez ognia”, co było innym sposobem wyrażenia, że - biorąc pod uwagę istniejące okoliczności - „odrażający karzeł Bucharin” (jak opisywano go w gazetach) byłby głupi, gdyby nie spiskował przeciwko Stalinowi; byli i inni, a my wśród nich, którzy uważali, że złożył takie zeznania, żeby ratować żonę i synka.

Czcigodnego Nikołaja Iwanowicza zabrano do podziemi Łubianki i strzałem w tył głowy wykonano na nim wyrok, jeśli wierzyć relacjom z egzekucji, które ukazały się w gazetach rankiem 15 marca. Co dziwnym zbiegiem okoliczności nastąpiło kilka dni po naszym przypadkowym natknięciu się na W. Stawskiego, sekretarza generalnego Związku Pisarzy Radzieckich. Pozwólcie, że wyjaśnię. Przestaliśmy się już ludzi nadzieją, że kiedykolwiek uda się nam zyskać moskiewski meldunek; przestaliśmy się ludzi, że uda się nam przetrwać nową falę terroru przewalającą się przez Rosję. Ostatnią deską ratunku, której się kurczowo trzymaliśmy, była szansa na to, że - po zniknięciu Bucharina - Stawski przedstawi Stalinowi sprawę Mandelsztama, to znaczy przekaże mu tekst ody do Stalina, a wiedzieliśmy, że zaczęła już krążyć („Pod wzrokiem Stalina rozstępują się góry”...). Tymczasem nasze rozpaczliwe i wielokrotne próby umówienia się ze Stawskim spełzały na niczym. Przesiadywaliśmy całymi godzinami na twardych ławkach w jego sekretariacie, sekretarki obojętnie krzątały się przy swoich zajęciach. W końcu jednak ktoś zlitował się nad nami. Sekretarz generalny wyjechał z miasta, mówiła nam jedna z kobiet. Brał udział w

konferencji pisarzy na Krymie. Odwiedzał kolchozy w różnych republikach Związku Radzieckiego. I tym podobne. Ale któregoś dnia, choć może zabrzmiało to nieprzekonująco, wpadliśmy na Stawskiego, który wychodził z budynku, podczas gdy my tam wchodziliśmy. Albo precyzyjniej: to on wpadł na nas. Nie widzieliśmy go od lat i bardzo wątpię, czy w ogóle byśmy go rozpoznali, gdyby nie zawołał: - Proszę, proszę, Mandelsztam, wszędzie was szukałem.

Stawski, wyglądający na mocno opalonego, ubrany w lniany trzyczęściowy garnitur w kolorze kawy i ciemne okulary, podbiegł do nas i serdecznie uścisnął rękę mojego męża.

- Usiłowałem się z wami skontaktować - mówił głośno. - Ale nikt nie wie, gdzie się teraz podziewacie.

Wszystko, co przyszło Mandelsztamowi na myśl w odpowiedzi, niech go Bóg błogosławi, ograniczyło się do: - Kapelusz trzymam tam gdzie zawsze, to znaczy na głowie.

Stawski puścił rękę męża.

- Wszystko u was w porządku?

- Nie.

- Ach! Cóż, mam dla was dobrą wiadomość, Mandelsztam. Wasz los czeka odmiana na lepsze. Zaczę od tego, że chcemy dać wam i waszej żonie skierowania na dwumiesięczne wczasy w jednym z sanatoriów dla pisarzy poza Moskwą. Pobyt tam bardzo dobrze wam zrobi - zdrowe jedzenie, wiejskie powietrze, mnóstwo czasu na sen i długie spacerunki po lesie. Będziecie jak nowi. A potem zajmiemy się waszą rehabilitacją. Kwestia meldunku w Moskwie i znalezienie dla was odpowiedniej pracy będą poruszane na najwyższym szczeblu.

Stawski polecił nam, żebyśmy zgłosili się do biura Funduszu Literackiego, gdzie czekały na nas bilety na pociąg do stacji Czarusty, położonej na trasie do Muromu, i skierowania do domu wypoczynkowego w Samatisze, oddalonej o dwadzieścia pięć kilometrów od Czarustów. Po dotarciu na miejsce miały na nas czekać sanie z koniem, którymi mieliśmy pokonać resztę drogi.

Osip w jednej chwili wpadł w euforię.

- Uszczypnij mnie - powiedział Mandelsztam, kiedy Stawski zaszalutował nam z tylnego siedzenia limuzyny, odjeżdżającej od krawężnika. - Pewnie tylko mi się śni, że to się dzieje.

- Problemem jest wytłumaczenie tego, co się dzieje. - Pamiętam, że tak powiedziałam.

- Ale przecież każdy dureń odgadłby, co się dzieje! Moja oda dotarła do uszu Stalina. Z samej góry dano do zrozumienia, że trzeba się zaopiekować poetą Mandelsztamem. -

Obrócił się do mnie, zły. - Dlaczego nie potrafisz przyjąć dobrych wiadomości?

- Niepokoję się.

- Czym?

- Że nie ma czegoś takiego jak dobre nowiny; są jedynie złe wiadomości zamaskowane jako dobre. Śmiertelnie się boję, że chcą cię odizolować od przyjaciół. Śmiertelnie się boję, że znowu cię aresztują.

- A jaką mamy alternatywę?

- Możemy znaleźć jakąś chatę na odludziu ze zdobionymi okiennicami, uprawiać kartofle, kapustę, ogórki, buraki i rzepę na niewielkim poletku za domem, trzymać kury i krowę, wymieniać jajka i mleko na chleb i puszki ikry.

Mandelsztam aż się zarumienił z przejęcia.

- Nie oszukasz mnie; chcesz, żebym publikował pod nazwiskiem A n o n i m. Nadieńko, czy ty nie rozumiesz: mają zamiar mnie rehabilitować. Moja muza, a może nawet erekcja znowu będą przy mnie. Wiersze zaczną stukać niczym pięści o szyby okna. Będę się kochał i pisał wiersze, i publikował jako Osip Mandelsztam. Redaktorzy będą oblegali nasze drzwi, żeby zdobyć prawa do moich dzieł zebranych.

Popatrzyłam mu w oczy. Rozpaczliwie chciał wierzyć, że los się do nas uśmiechnął. Przypuszczam, że musiałam zrobić dobrą minę do złej gry, bo powiedział: - Wiedziałem, że do mnie dołączysz.

Chyba odpowiedziałam: - A co możemy stracić, próbując? - I chyba pomyślałam: „Tylko to, co zostało z naszego życia”.

Dlaczego domagacie się szczegółów? Jest tylko jeden szczegół mający dla mnie znaczenie: od chwili gdy wpadliśmy na Stawskiego, miałam nieodparte wrażenie, że oto znaleźliśmy się na stromym i śliskim zboczu. Tak, bilety na pociąg i skierowania czekały na nas w biurze Funduszu Literackiego. Tak, tak, przed stacją w Czarustach stały sanie z koniem, co Mandelsztam wziął za kolejny dowód na to, że jego przyszłość idzie ku lepszemu. Luksusem nad luksusami była ogromna owcza skóra, położona na siedzeniu. Rozpostarliśmy ją i opatuliliśmy się po ramiona, a tymczasem woźnica, stary muzyk w wysokich do kolan sznurowanych butach i w czapce z wilczego futra na stożkowatej głowie, uniósł bat, popędził konia i wyruszyliśmy truchtem do odległego o dwadzieścia pięć kilometrów domu wypoczynkowego w Samatisze.

Zima utrzymywała się do kwietnia. Jak daleko sięgał wzrok, krajobraz pokrywała warstwa oślepiająco białego śniegu, który dopiero co napadał. Gałęzie jodeł ugięły się pod ciężarem pokrywającego je lodu. Niebo było perłowo-niebieskie z pasemkami chmur

dryfujących na dużej wysokości. Klęby pary wylatywały z rozszerzających się chrap konia. Mandelsztam zrobił sobie prowizoryczną zasłonę przeciwsłoneczną z dłoni w rękawicze i chłonał wszystko, wzdychając od czasu do czasu na widok cudowności otaczającej nas sceny. Po dwóch godzinach muzyk zjechał na dziedziniec kołchozu, a tam zaprowadzono nas do izby, gdzie na stole czekało grzane wino i herbatniki, jakby się nas spodziewano. Mandelsztam nie przestawał zerkać na mnie z wyrazem triumfu na twarzy. Do sanatorium dla pisarzy przyjechaliśmy o zmierzchu. Mieszkający tam na stałe lekarz, stary bolszewik, który (powiedział nam o tym później) wziął posadę w domu wypoczynkowym w nadziei, że obniży to jego rangę zawodową, czekał na nas przy drzwiach. Zwierzył się nam, że dostał telegram z Moskwy nakazujący mu traktowanie Mandelsztamów jako ważnych pensjonariuszy. Lekarz wyglądał na uczciwego człowieka; dałabym sobie rękę uciąć, że jeśli to była pułapka i czekało nas aresztowanie, nic o tym nie wiedział. Mandelsztam wspomniał, że zależy mu na ciszy i spokoju. Lekarz odpowiedział, że pod lasem jest drewniana chata, służąca kuracjom jako czytelnia. Nie wiedzieć kiedy wstawiono tam dwa łóżka i oddano nam klucze. Rzuciliśmy książki i ubrania na jedną ze sfatygowanych kanap i położyliśmy się do łóżek, tak jak staliśmy, w ubraniach.

Jeden Bóg wie dlaczego, ale dopiero wtedy Mandelsztama opadły wątpliwości.

- Możesz mieć rację - powiedział niespodziewanie. - Niewykluczone, że wpadliśmy w pułapkę. Jeśli nas tu zaaresztują, Pasternak i Achmatowa nie dowiedzą się o tym przez całe miesiące.

Kiedy mąż podupadał na duchu, czułam przymus krzesania w sobie optymizmu. Bo jak inaczej mogłabym wytłumaczyć swoje słowa: - Nie, nie, w końcu Fundusz Literacki zapłacił za przejazd i dwumiesięczny pobyt tutaj, prawda? Nie zrobiliby tego, gdybyśmy nadal byli na celowniku Czeka.

- Naprawdę tak uważasz?

- Tak.

Mandelsztam poweselał.

- Na pewno masz słuszność - powiedział.

Minął kwiecień. Nadzieja zapuszczała korzenie w ziemię Samatichy. Chodziliśmy na długie spacerunki po lesie, spaliśmy do późna, drzemaliśmy popołudniami, trzymając na kolanach otwarte książki wzięte z półek czytelnia. Czasem budziłam się i zastawałam Mandelsztama ze słuchawkami na uszach, słuchającego muzyki z radioodbiornika na krótkie fale, jaki stał w naszej chacie. Posiłki jadaliśmy w stołówce, znajdującej się blisko głównego budynku. Czasami pisarze lub poeci, których znaliśmy, podchodzili do naszego stolika, żeby

pogawędzić z Mandelsztamem. Żona nowelisty, tłumaczka, zapytała go, nad czym pracuje.

- Nad utrzymaniem się przy życiu - odpalił.

- Wszyscy pracują nad utrzymaniem się przy życiu - zauważył jej mąż z kwaśnym uśmiechem. - Jej chodzi o sferę artystyczną. Piszecie coś ostatnio?

Z jakiegoś powodu tych dwoje budziło przekorę w moim mężu.

- Nigdy nie p i s z ę - odpowiedział z pozoru niewinnie. - Tworzę wiersze w głowie i dyktuję je Nadieńce. To ona je z a p i s u j e.

Żona pisarza nie ustępowała.

- A czy tutaj tworzycie je w głowie?

Jeden z typowych dla niego, upiornych uśmiechów pojawił się na twarzy Mandelsztama.

- Tu skupiam się na usunięciu pajęczyn z głowy. Kiedy wrócimy do Moskwy - kiedy oddadzą nam z powrotem mieszkanie w Domu Hercena - pewnie zacznę znowu tworzyć wiersze.

A potem... potem któregoś wieczoru...

Dziękuję, tak, zacznę od początku.

A potem któregoś wieczoru po kolacji, wyglądając przez okno czytelnicy na skraju lasu, zobaczyliśmy dwa identyczne czarne samochody z białymi oponami, podjeżdżające do głównego budynku. Osoby w pierwszym wozie pozostały w środku. Dwóch muskularnych mężczyzn wysiadło z drugiego auta, jeden ubrany po cywilnemu, drugi w jakimś mundurze, którego nie umiałam zidentyfikować.

- Widziałaś to? - zapytał Mandelsztam, zaniepokojony.

Mimo zapadającego zmierzchu zobaczyłam jego oczy.

Były wielkie ze strachu.

- Pewnie przyjechali na inspekcję domu wypoczynkowego - powiedziałam.

Był pierwszy dzień maja, dziewiętnaście lat od chwili, gdy nasze ścieżki się skrzyżowały w kabarecie kijowskiej cyganerii. Stwierdzam to z absolutną pewnością, bo pamiętam, że kuracjusze stali wokół radia na krótkie fale i słuchali rozwlekłego przemówienia Stalina. Kiedy wniesiono ogromny piernik, na którym było dwadzieścia jeden świeczek, i po kolacji postawiono go na głównym stole, ludzie zaczęli klaskać i tupać. Mandelsztam pochylił się nade mną i powiedział, że wiwatują tak na cześć szefa kuchni, a nie dwudziestej pierwszej rocznicy bolszewickiego święta pracy. Po posiłku goście skupili się przy pianinie, żeby pić brandy i śpiewać rosyjskie piosenki ludowe. Jeszcze przez całe godziny od naszego powrotu do chaty na skraju lasu słyszeliśmy, jak na cały głos śpiewali patriotyczne pieśni. Kiedy udało

mi się zasnąć, przyśniły mi się ikony, co jest powszechnie uważane za zły omen. Śmierć spoziera zza ikon. Pamiętam, że usiadłam gwałtownie, z trudem łapiąc oddech. Mąż starał się mnie uspokoić: - Teraz nie mamy się czego obawiać - mówił. - Najgorsze już za nami.

O świcie obudziły mnie ptaki świergoczące na drzewach wokół czytelnicy. Jak zawsze zaraz po przebudzeniu sprawdziłam, czy Mandelsztam oddycha. Usłyszałam pukanie. Zarzuciwszy na siebie szlafrok, poczłapałam bosą przez pokój i otworzyłam drzwi, obmyślając reprimendę, jaką dam kuracjuszowi, któremu zachciało się książki z czytelnicy o tak barbarzyńskiej porze. Ale przede mną stał lekarz. Ciężko dyszał, jakby przebiegł długość całego boiska do piłki nożnej. Za nim spostrzegłam dwóch atletycznie zbudowanych mężczyzn. Ten w cywilnym ubraniu, przechodząc bokiem, wyminął doktora.

- Szukamy Osipa Mandelsztama.

Mandelsztam zmaterializował się za mną.

- Poeta Mandelsztam to ja.

Obaj mężczyźni przepchnęli się obok mnie do pokoju.

- Osipie Emiljewiczu Mandelsztam - oświadczył cywil. - Jesteście aresztowani za złamanie artykułu pięćdziesiątego ósmego kodeksu karnego. - Wydaje mi się, że pokazał Mandelsztamowi nakaz aresztowania, ale nie jestem tego do końca pewna.

Mąż, który był w bieliźnie, skinął głową. Zebrał się w sobie, potem podszedł do kanapy, wciągnął szare spodnie i białą koszulę bez kołnierzyka, upchnął ją za paskiem i zapiął po samą szyję. Kiedy obaj mężczyźni obserwowali go w milczeniu, założył szelki, marynarkę od garnituru, skarpetki i buty. Rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy o czymś nie zapomniał, włożył skórę w kolorze musztardy mimo stosunkowo ciepłej pogody o tej porze roku. Spod łóżka wyciągnął papierowy worek z rączką ze sznurka i zaczął wrzucać do niego rzeczy: jednotomowe wydanie Puszkina pod redakcją Tomaszewskiego, parę koszul, które uprasowałam poprzedniego dnia, kilka zmian bielizny i skarpetek, wełniany szalik zrobiony na drutach, który dostaliśmy od żony redaktora po pierwszym aresztowaniu Osipa, kostkę mydła, grzebień, puszkę proszku i szczoteczkę do mycia zębów. Otuliłam szczelnie szlafrokiem odrętwiałe ciało i usiadłam na łóżku jak sparaliżowana. Mąż podszedł do mnie.

- Pojedź ze mną do Czarustów.

Mężczyzna w mundurze, którego nie umiałam zidentyfikować, wtrącił się: - To niedozwolone.

Mandelsztam pochylił się i pocałował mnie w usta.

- W takim razie do widzenia.

- Do widzenia - odpowiedziałam. Spojrzałam na snopy słonecznego światła wpadające

przez okno. Kiedy się odwróciłam, męża już nie było. Usłyszałam, jak ożyły silniki samochodów. Drzwi czytelnicy otworzyły się. Lekarz stanął na progu z dłonią przyciśniętą do serca.

- Brak mi słów - powiedział, przybity tym, co się stało. On również odszedł szybko, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

Nie potrafiłam określić mięśni w moim ciele, których poruszenie pozwoliłoby mi przejść przez czytelnicy i je zamknąć. Nie pamiętam, jak długo siedziałam na łóżku. To mogły być całe godziny. Pamiętam jednak, że mówiłam do siebie. Pamiętam, że usiłowałam pogodzić się z moją nową tożsamością, powtarzając ją w kółko na głos.

- Jestem wdową po poecie Mandelsztamie. Jestem wdową po poecie Mandelsztamie. Jestem wdową po poecie Mandelsztamie. Jestem wdową po poecie Mandelsztamie. Jestem wdową po poecie Mandelsztamie.

Prawdopodobnie Osip Emiljewicz

Środek lub koniec września 1938 roku

(Kopia listu zamieszczonego poniżej została wspaniałomyślnie ofiarowana autorowi [w styczniu 1965 roku, w dwudziestą piątą rocznicę śmierci Izaaka Babla, torturowanego, by przyznał się do szpiegostwa, i rozstrzelanego] przez Jekatierinę Ż., kobietę mieszkającą w Moskwie, która wycierpiała trzy lata w gułagu i woli pozostać anonimowa. Ona i jej zmarły mąż, krytyk literacki, autor własnego [nieopublikowanego, a potem skonfiskowanego] *magnum opus* o poezji rosyjskiej sprzed rewolucji bolszewickiej, przyjaźnili się blisko z Mandelsztamami i wielokrotnie ryzykowali, nocując ich u siebie, gdy Osip i Nadieżda prowadzili w Moskwie życie cyganów po powrocie z Woroneża. List przyszedł w kopercie zrobionej, rzecz jasna, z szarego papieru pakowego. Nadano go w Ułan Bator, z nazwiskiem i adresem Jekatieriny Ż. jako odbiorcy, napisanymi atramentem wielkimi literami. Nie było na nim adresu nadawcy. Niedatowany, niepodpisany poza zwodniczo dwuznacznym, przywołującym na myśl szyfr, „Nadal tańczę” na końcu, list został bardzo starannie napisany odręcznie ołówkiem, literami pełnymi zawijasów, i wypełniał kompletnie dwie strony karty tytułowej i dwie strony czystej kartki, wyrwane z egzemplarza tomiku Puszkina pod redakcją Tomaszewskiego. Zaczyna się od nazwiska Jekatieriny Ż. i jej adresu w Moskwie wypisanymi w narysowanej ramce. Po nich następuje słowo Hafleama - „Nadzieja”, które jest również imieniem żony Mandelsztama, Nadieżdy. To, oraz kilka odniesień do Nadienki, daje podstawę do przypuszczeń, że autorem listu jest Osip Mandelsztam. Jeśli, a na to wygląda, ten dokument rzeczywiście można przypisać Mandelsztamowi, jego powstanie należałoby datować mniej więcej na środek lub koniec września 1938 roku, kiedy poeta był w drodze do obozu na Syberii po drugim aresztowaniu. Zasadne wydaje się też przypuszczenie, że „nadał” go w tradycyjny sposób, jakim posługiwali się więźniowie, to znaczy wyrzucił przez szparę w podłodze bydłowego wagonu, gdy wiozący go pociąg mknął nocami przez miasta i wsie).

Nadzieja: Moje drugie aresztowanie, a zliczam je na palcach lewej ręki i mam jeszcze trzy, zanim przerzucę się na prawą, było o tyle niezwykle, że było zwykłe. Wyczuwałem, że choć czekał się zachowywali wszelkie pozory, w sumie rutynowo powtarzali, jak robotnicy

przy taśmie montażowej, te same słowa po raz setny, a może tysięczny. Robili wrażenie znudzonych na śmierć, gdy wyruszyliśmy do Moskwy. Trzech z nich ze mną w samochodzie, jeden mknął przed nami w drugim aucie z włączoną syreną, żeby oczyścić drogę, gdy blokowały ją ciężarówki albo krowy. Dowodzący czekista, ten sam, który pokazał mi nakaz aresztowania, chciał mnie nawet poczęstować kubkiem herbaty z termosu. Odmówiłem, bo bałem się, że może być zatruta, na co on wzruszył ramionami i sam ją wypił. Drugiej już mi nie zaproponował. W Czarustach zatrzymaliśmy się w kantine wojskowej na obiad złożony z [nieczytelne] i czarnego chleba. Siedziałem między dwoma żołnierzami, niemal jakbym był gościem, a ponieważ dostałem jedzenie ze wspólnego kotła, byłem w stanie je przełknąć. Żaden z żołnierzy siedzących przy innych stołach nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Kiedy podjęliśmy przerwana podróż, większą część drogi przedrzemałem na tylnym siedzeniu samochodu, podpierając głowę torbą, którą utknąłem między oparciem siedzenia a oknem. Kiedy zbliżaliśmy się do Moskwy, obudziło mnie radio [prawie nieczytelne; może to być „trzeszczące przy włączeniu“]. Jakiś głos oznajmił zmianę planów. Czekistom rozkazano, by zawieźli aresztanta na posterunek milicji na przedmieściach. Kiedy to usłyszałem, zacząłem się trząść i nie mogłem nad tym zapanować - pomyślałem, że zabiorą mnie do jakiejś piwnicy, by zastrzelić z pistoletu, co już mi się przecież przydarzyło. Podjechaliśmy pod komisariat. Rozdygotanego tak, że ledwie mogłem iść, wprowadzono mnie do środka, gdzie oficer starszy stopniem od pozostałych - przeciwnie niż Ty, Nadienko, nigdy nie byłem dobry w identyfikowaniu rang na podstawie złotych lub srebrnych naszywek na pagonach czy kołnierzykach - poprowadził mnie przez główny hol i przez drzwi na dziedziniec. Kazał mi zająć tylne miejsce w lśniącym amerykańskim packardzie, stojącym przy schodach, z włączonym silnikiem i żołnierzem Uzbekiem za kierownicą. Oficer usiadł obok szofera i packard wystartował, dudniąc oponami po kocich łbach, gdy nabierał szybkości na ulicy, przy której stały bloki tak niedawno wybudowane, że jeszcze nie miały szyb w oknach. (Czy okna można nazywać oknami, jeśli nie odbijają światła?) Poczułem, że zaraz zacznę się dusić, dlatego opuściłem szybę i wtedy właśnie odkryłem, że była gruba jak mój kciuk, co pozwalałoby określić ją jako kuloodporną, z rodzaju tych, o jakich czyta się w gazetach. Dało mi to asumpt do przypuszczeń, że auto należało do kogoś ważnego. Prawdopodobnie przez kilka minut, bo moje poczucie czasu znikło razem z widzeniem kolorów i z moją muzą, packard pędził szosą. Minęliśmy ogromny plakat z czekistą w stalowych rękawicach, duszącym węża z głowami Trockiego i Bucharina. Nie potrafiłem zgadnąć, czy była to reklama nowego filmu, czy zwykła propaganda. Packard zjechał z szosy na jednopasmową, wybrukowaną drogę biegnącą w las, której początek był zastawiony szlabanem. Oficer na

przednim siedzeniu machnął niewielką przepustką przed szybą. Wartownik zaszalutował i podniósł szlaban. Jechaliśmy dalej przez parę minut, a potem skręciliśmy w lewo w jeszcze węższą drogę. Za zakrętem zatrzymano nas przy posterunku obsadzonym żołnierzami uzbrojonymi w karabiny maszynowe. Niektórzy z nich trzymali na krótkich smyczach psy obronne. Wysoki płot z drucianej siatki ciągnął się po obu stronach posterunku tak daleko, jak byłem w stanie dojrzeć, to znaczy raczej blisko, bo znajdowaliśmy się w środku gęstego lasu, gdzie rosły sosny i brzozy. A teraz będzie coś dziwnego, Nadienko. Za następnym zakrętem stał ogromny plakat ze Stalinem blokujący przejazd. Był rozmiarów plakatu kinowego, ale stał pionowo i przedstawiał Stalina w lekkim rozkroku, z uniesioną brodą i zapatrzonego w dal ponad wierzchołkami drzew. Ubranego w zwykłą kurtkę od munduru zapiętą pod szyję i miękkie flanelowe spodnie, zatknięte za długie do kostek cholewki butów. Ku mojemu największemu zdumieniu packard nie zwolnił i przejechał prosto przez gigantyczny plakat wiszący w poprzek drogi. Kochana Nadienko, niemal słyszałem Twój głos w uszach, mówiący: „Uspokój się, kochany, znowu to sobie jedynie wyobrazasz”. Prawdę mówiąc, wcale nie byłem pewny, czy to działo się naprawdę, czy tylko w mojej wyobraźni, aż do chwili gdy zerknąłem przez wąską szparę tylnego okna i zobaczyłem rozerwane krawędzie plakatu powiewające w cugu wywołanym naszym przejazdem. (Nadal tam jesteś, Nadienko? Nie potrafię ustalić, czy słuchasz?) Znane mi słowa - „Stargawszy odległości len” - rozległy się w mojej głowie, gdy podążaliśmy zwirowym podjazdem w kształcie owalu, minęliśmy psa, wybiegającego z budy, minęliśmy parterowy barak z Uzbekami w mundurach polowych, siedzącymi przed nim i czyszczącymi broń na składanych stołach. Packard wjechał na dziedziniec przed willą, która była za duża na daczę i za mała na sanatorium, z przeszklonymi werandami z trzech stron. Uzbegy z karabinami maszynowymi gotowymi do strzału otoczyli samochód. Jeden z nich szarpnięciem otworzył tylne drzwiczki. Kiedy sięgnąłem po torbę, oficer siedzący z przodu pokiwał do mnie palcem. „Weźmiecie ją potem”, powiedział. „Po czym?”, zapytałem. „Po [nieczytelne]”. Opatuliwszy się musztardową skórzaną kurtką, wysiadłem z packarda. Wielki mężczyzna, który wydał mi się jakby znajomy, wystąpił naprzód i dokładnie mnie przeszukał. Zdjął ze mnie skórzaną kurtkę i zawiesił ją na otwartych tylnych drzwiczkach samochodu. „Jeśli szukacie broni - powiedziałem - to niczego takiego nie mam. A nawet gdybym miał, to i tak nie wiedziałbym, jak jej użyć”. Na co odpowiedział: „Milczeć”. Kiedy przestał obmacywać moje spodnie i kostki, wyprostował się. „Nie poznajecie mnie?”, zapytał. A ponieważ nie odpowiedziałem, mówił dalej. „Własik. Jestem szefem kremłowskiej ochrony. Nasze ścieżki skrzyżowały się, kiedy przywieziono was na spotkanie z szefem kilka lat temu”. „Kto jest panem tego domu?”, spytałem. Wydawał się

zaskoczony moim pytaniem. „No przecież chozjain, żeby użyć rosyjskiego wyrażenia, jest tu panem domu, choć wspomniany dom rozciąga się od Bałtyku do Morza Czarnego, od lodowców Arktyki do Oceanu Spokojnego”. Dając mi gestem znak, że bym za nim poszedł, Własik obrócił się na pięcie i wszedł do budynku. Oglądając się, żeby sprawdzić, czy za nim podążam, szedł na tyle wolno, że byłem w stanie dotrzymać mu kroku. Przeszliśmy przez pokoje wypełnione solidnymi meblami. W jednym z nich słychać było z radia muzykę klasyczną, jakaś kobieta czyściła tam jednocześnie dywan. Ach, najdroższa Nadienko, tu podam szczegóły, który wywoła Twój uśmiech: na ścianach nie było żadnych dzieł sztuki, ani jednego portretu generałów, które widziałem na Kremlu, jedynie kartki wyrwane z magazynów, ze zdjęciami: sielankowe zimowe krajobrazy, Kreml widziany z różnych stron, ohydna wieża w Kijowie, cudowna wieża Eiffla widziana z lotu ptaka (cała strona z jakiejś paryskiej gazety). Było tam też kilka zdjęć aktorek teatralnych i filmowych. (Jedna z nich zadziwiająco przypominała naszą przyjaciółkę Zinaidę Zajcewą-Antonową. Zastanawiam się czasem, co się stało z tą kochaną dziewczeczką. Ale nie zrozum mnie źle, Nadienko, nie tęsknię za seksem, brak mi intymności, jaka powstawała, gdy się z nią kochałem, a Ty patrzyłaś. Intymność zawsze była dla mnie ostatecznym orgazmem). Skręciwszy w długi korytarz, dotarliśmy do drewnianych drzwi z czymś, co Francuzi nazywają *vasistas*³⁹. Doszły mnie zza nich przytłumione głosy Uśmiechając się lekko, Własik otworzył je szeroko i usunął się na bok. Znalazłem się przy wejściu do jadalni, w której było ośmiu, dziesięciu mężczyzn, niektórzy w ciemnych zagranicznych garniturach, dwóch miało na sobie mundury z całymi rzędami orderów na piersiach i złotem na pagonach. W jednej chwili rozpoznałem kilku obecnych jako ludzi, których zdjęcia widywałem w gazetach. Kaganowicz stał przy kredensie i nakładał na bliny, które miał na talerzu, kawior i śmietanę. Mołotow, z charakterystycznymi wąsami, ziemistą cerą i czujnymi oczami, podniósł na mnie wzrok, a potem z jakiegoś powodu pokręcił głową, jakby chciał przepędzić muchę, siedzącą mu na czubku nosa, i wrócił do jedzenia. Nikita Chruszczów, głośno mlaskając, kończył jeść udko, a potem otarł usta rękawem koszuli. Józef Stalin, chozjain, zajmował pierwsze miejsce u szczytu stołu. Dołał sobie wódki do wina, które miał już w szklance, i pił je małymi łykami. Jeden z mężczyzn, których nie rozpoznałem - niski, o bladej, zielonkawej cerze alkoholika i w pince-nez, w którym odbijało się światło żyrandoli - spostrzegł mnie i powiedział coś po gruzińsku. Stalin spojrzał na niego. „Tutaj mówimy wyłącznie po rosyjsku, Ławrientiju Pawłowiczu”, powiedział z przyganą. Przywołał mnie gestem zdrowej ręki. „Wchodźcie, nie stójcie tam -

³⁹ *Vasistas* (fr.) - wywietrznik, niewielkie okienko.

krzyknął. - Beria was nie ugryzie". Wskazał puste krzesło naprzeciwko siebie po drugiej stronie stołu. „Częstujcie się jedzeniem, potem porozmawiamy". Podeszedłem do kredensu, nałożyłem sobie na talerz trochę śledzi i marynowane cebulki, nalałem wody do szklanki i ruszyłem do miejsca, które mi wskazał.

Sam Stalin bardzo się zmienił od czasu, gdy ostatni raz widziałem go na Kremlu. Przytył co najmniej dziesięć kilogramów - brzuch wypychał mu bluzę z przodu. Postarzał się i było to widać, włosy mu się przerzedziły, blizny po ospie stały się czerwiejsze. Dłoń kalekiego ramienia trzymał w kieszeni bluzy. Odchylił się na krześle tak, że jego ciężar spoczął na tylnych nogach mebla, i przyglądał mi się uważnie. Zauważył sztywność mojego barku i ramienia i spytał, co się stało. Wyjaśniłem, że spadłem z pierwszego piętra szpitala i złamałem bark. „Wypadki się zdarzają", odezwał się, podciągając chore ramię.

Stalin postawił krzesło z powrotem na czterech nogach, wstał, podeszedł do olbrzymiej mapy świata, zakrywającej całą ścianę jadalni. „Dlaczego miasta wokół Leningradu nadal noszą dawne niemieckie nazwy z czasów Katarzyny? - zapytał groźnie. Obrócił się do jednego z generałów. - Taka sytuacja nie może być tolerowana. Zmieńcie je na poczciwe rosyjskie nazwy". Oficer wyciągnął z kieszeni niewielki notes i coś w nim zapisał. Stalin przeszedł przez pokój i stanął za mną. Czy to moja wyobraźnia sprawiła, że poczułem jego oddech na karku? Usłyszałem, jak powiedział: „Rozczarowaliście mnie, Mandelsztam. Przeczytałem waszą tak zwaną odę. Jest o wiele gorsza od tego pierwszego gównianego kawałka, który o mnie napisaliście. Za kogo mnie uważacie, za niepiśmiennego wieśniaka? Nadal gardzicie Stalinem - nie potraficie zmusić się do oddania mu hołdu. Po raz drugi obrzuciliście go błotem. - Obszedł szczyt stołu i zmęczony, opadł na krzesło. - Nie jecie?" „Straciłem apetyt", odpowiedziałem. Prychnął przez nos. „I wcale się nie dziwię!" - Obrócił się do innych i krzyknął: - „I wcale się nie dziwię!" Kilka osób siedzących przy stole pokiwało energicznie głowami, zgadzając się z nim. „Jest w tym jakaś nauczka - Stalin smęcił dalej. - Chciałem od niego wiersza, kiedy on nie chciał go napisać. Teraz, kiedy napisał, nie mam z tego żadnego pożytku, bo nie jest już poetą, jakim był, kiedy odmówił napisania dla mnie wiersza. - Mówił do innych, ale pełen złości wzrok miał wbity we mnie. - Na pierwszy rzut oka ta oda udaje, że jest hołdem dla Stalina, ale na swój znacznie subtelniejszy sposób jest czymś zupełnie przeciwnym". Chyba wymamrotałem: „Nie rozumiem", bo stał się jeszcze bardziej poirytowany. „Oczywiście, że rozumiecie. Jesteście autorem tego baracha. Jak moglibyście nie rozumieć? - Odwrócił się do pozostałych gości. - Wynocha, wynocha, wszyscy wynosić się. To, co mam do powiedzenia, jest przeznaczone wyłącznie dla uszu poety". Kociaki, jak Stalin nazywał swoich współpracowników, o czym powszechnie

wiedziano, ruszyły do drzwi. Chruszczów wyszedł, zabierając ze sobą talerz. Stalin wyciągnął kawałek papieru z kieszeni na piersiach bluzy i głosem pełnym sarkazmu zaczął odklepywać wersy mojej ody. „Co znaczy: «Pod wzrokiem Stalina rozstępują się góry»? To może być rozumiane jedynie jako echo podstępnych odniesień do waszego pierwszego wiersza o kremlowskim góralu. Co znaczy: «Chcę powiedzieć - nie Stalin - chcę nazwać go Dżugaszwili»? Czyżby nazwisko Stalin nie chciało wam przejść przez usta, Mandelsztam? Dlaczego Dżugaszwili, no, chyba tylko po to, żeby zwrócić uwagę na jego nierosyjskie pochodzenie? A kogo obchodzą moje gruzińskie korzenie? Napoleon był Korsykaninem, Hitler jest Austriakiem, nie Niemcem. Nawet ten kutas, Winston Churchill, który zwędziłby wam kopiejkę z kieszeni, jeśli spuściłoby się go na chwilę z oka, jest w połowie Amerykaninem". Uwierz mi, Nadieńko, kiedy powiem, że próbowałem się bronić. „Źle zrozumieliście to, co napisałem" - zacząłem, ale przerwał mi, zanim mogłem dodać choćby słowo. „Co znaczy: «Artysta, miłujący bojownika, który zawsze jest obok». Czyżbyście sugerowali, że żyjemy w państwie policyjnym, gdzie Stalin albo jego czekiści patrzają wam na ręce dwadzieścia cztery godziny na dobę? - Uderzył kartkę wierzchem dłoni. - I jeszcze to, na rany boskie. Wywińcie się z tego, jeśli potraficie: «Uśmiecha się - uśmiechnięty żniwiarz». Czy chociaż przez sekundę wydawało się wam, że ktoś, kto to usłyszy, nie pomyśli od razu o posępnym żniwiarzu, odbierającym życie? Ha! I tu! Nie zauważyłem tego za pierwszym razem, kiedy czytałem to gównem: «Pochylając się na podium, niczym ze szczytu góry - znowu wspominacie te pierdolone góry - sięga ponad wzgórzami głów». Co to znaczy, Mandelsztam, ten kreowany przez was obraz Stalina sięgającego ponad wzgórzami głów? To wraca znowu w ostatniej zwrotce: «W dali, gdzie nikną wzgórza ludzkich głów». Teraz wiem, że powinienem kazać was zastrzelić, kiedy pierwszy raz nabazgraliście o Stalinie. Z dobroci serca dałem wam trzy lata - w notce przy waszym nazwisku napisałem własną ręką «izolować i zachować przy życiu» - i czym mi odplacacie? Chłamem! Zdradą! Odnośnikami do wzgórz ludzkich głów w dali! Równie dobrze moglibyście postawić drogowskaz skierowany na wschód z napisem: «Tędy do gułagu Stalina!»! Mój Boże, zuchwałością! - Twarz mu zwiotczała, ledwie poruszał ustami, gdy powiedział: - Bawicie się ogniem, Mandelsztam. Więc musicie się poparzyć". Sięgnął do kieszeni bluzy, wyjął łuskę kuli i złożony kawałek papieru. Pchnął łuskę po stole w moją stronę. Podniosłem ją. Łuska była zgnieciona, jakby strzelono nią do czegoś. Mikroskopijnymi literami, tuszem, napisano na niej nazwisko: Bucharin. „Tak, tak. Widzę, że zaczyna wam świtać - Stalin gardłował. - Tej właśnie kuli użyto do egzekucji zdrajcy Nikołaja Bucharina. Kazałem chirurgowi wyjąć ją z jego czaszki i oczyścić z resztek mózgu. Wasz opiekun, Bucharin, napisał do mnie, błagając o morfinę, bo

wolał raczej sam się zabić, niż dostać kulkę w łeb, ale nie uznałem tego listu za godny odpowiedzi. Ten list was także zainteresuje. Bucharin napisał go na krótką chwilę przed wydaniem wyroku przez sąd. - Założywszy okulary, Stalin rozłożył kartkę. - «Koba, dlaczego chcesz mojej śmierci?»" Wyszeptałem: „Dlaczego z a b i l i ś c i e Bucharina?" Stalin zmieszał wino z wódką i jednym haustem wypił pół szklanki. „Zapominacie, gdzie jesteście, Mandelsztam. Ja nie zabiłem Bucharina. Czeka odkryła, że dopuścił się zdrady. Sędziowie ocenili dowody i skazali go na najwyższy wymiar kary. Kat go zabił. Stalin nie miał z tym wszystkim nic wspólnego. - Chozjain beknął, zasłaniając usta rękawem. - Bucharczyk był intelektualnym garbusiem - powiedział. - Mój zmarły ojciec mawiał, że tylko mogiła wyprostuje garbatego". Wydaje mi się, że na wpół podniosłem się z krzesła. „Ale on był niewinny", zawołałem. Stalin prychnął. „Niewinny! Nikt nie jest niewinny. Pozwólcie, że coś wam opowiem. Miałem jedenaście lat, kiedy nad brzegiem rzeki w Gori powieszono dwóch bandytów. To byli młodzi, przystojni mężczyźni z wąsami jak trzeba, ubrani w szerokie spodnie. Wlokąc kajdany po polnej drodze, podeszli do szubienicy i zaczęli przekomarzać się z eskortującym ich stójkowym. Jeden ze skazańców puścił do mnie oko, kiedy zakładali mu pętlę na szyję. Kiedy ich ciała opadły i dyndali na końcach sznurów, dwóch grubych pomocników żandarma chwyciło ich za nogi i ciągnęło, żeby przyspieszyć zgon. W stanie uniesienia przebiegłem wtedy całą drogę do chaty o ścianach ze słomy i błota, żeby powiedzieć mojej świętej matce, że wiem, jak można oszukać śmierć: puszcza się do niej oko, droczy się z nią, nie pozwala, by widać było po człowieku cholerny strach, że oto kończy jedyne życie, jakie istnieje, wbrew temu, o co modlą się prawosławni popi, bo prawdziwe życie jest jedynie przed śmiercią. Tego ranka, zupełnym przypadkiem, zaszedł do nas z comiesięczną wizytą mój ojciec, Wissarion, robotnik z fabryki obuwia. Oddech śmierdział mu tanią wódką, gliniany dzbanek miał zawieszony na piersi. Szalony Beso, jak nazywali go kumple od kieliszka, był przysadzistym mężczyzną ze zmierzwioną brodą. Wracał z całonocnej hulanki, jaką sobie fundował, kiedy miał trochę grosza w kieszeni". (Nadal tu jesteś, Nadienko? Skup się na każdym słowie, które Ci przekażę, nikomu ich nie powtarzaj, zabierz je ze sobą do grobu). „Wissarion - Stalin opowiadał dalej, cały czas dolewał wódki do wina i pił, aż powieki mu się przekrzywiły - postawił dzbanek na półce i wyciągnął skórzany pas ze szlufek płóciennych spodni, które miał na sobie. Wiedziałem, czym to pachnie, więc skuliłem się w kącie. «A co tym razem zbroił Soso?», błagalnie pytała matka. Chwyciła pijanego męża za rękę. Odburknął coś, obrócił się i uderzył ją pięścią w twarz. Widziałem, jak krew pociekła jej z nosa. Ojciec pochylił się nade mną. «Przyznawaj się», wrzasnął. «Do czego?» - odkrzyknąłem. - Nic nie przeskrobałem». Wissarion sklął mnie, Boga Ojca i Jezusa

Syna. «Gdzie jest napisane, że trzeba kogoś złapać na gorącym uczynku, żeby się przyznał do złego zachowania?», powiedział do mnie. Matka zaczęła znowu go błagać. «Dlaczego chcesz go bić, skoro jest niewinny?» I mój ojciec, kutas jeden, odpowiedział: «Biję go, żeby wiedział, że nie ma czegoś takiego jak niewinność i że wie, czego się dopuścił, nawet jeśli ja tego nie wiem». I zaczął chłostać mnie po ramieniu, którym zasłoniłem głowę. Tym ramieniu! - Stalin uniósł kalekie lewe ramię. - Im bardziej upierałem się przy swojej niewinności, tym mocniej mnie tłukł. Bił mnie, aż z rękawa koszuli zostały strzępy, a ramię mi spuchło, skóra popękała i trysnęła krew". Stalin zamilkł, ciężko dysząc. Zapytałem go, czy jego ojciec nadal żyje. „Smaży się w piekle - odpowiedział. - Moi biografowie piszą, że zginął śmiercią bohatera. Moja święta matka powiedziała mi kiedyś, że zapił się na śmierć i skończył na cmentarzu dla ubogich. Nie wyjawiała szczegółów. Ja nigdy nie zapytałem. Srać na niego".

Po jakimś czasie zebrałem się na śmiałość, by zapytać Stalina, dlaczego opowiadał mi o ojcu. Jego odpowiedź nie spodoba ci się, Nadienko. Powiedział: „Mówię wam o tym dlatego, że rozmawiam z trupem. Bucharina nie ma już w pobliżu, żeby uratować was po raz drugi. Posłuchajcie, szykuje się wojna z Hitlerem. Jeśli dobrze rozegram swoje karty, może uda mi się odwlec ją w czasie do 1942, może 1943 roku. Wyciągnąłem właściwe wnioski z wojny domowej w Hiszpanii, zwłaszcza zaś z bitwy o Madryt, gdzie niesławna piąta kolumna, złożona z sympatyków Franco, sabotowała obronę miasta od wewnątrz, żeby pomóc czterem kolumnom oddziałów nacjonalistów atakującym od zewnątrz. Zanim wybuchnie wojna z Niemcami, muszę oczyścić partię, wyplenić z niej słabeuszy i niedowiarków. Wzięcie pod lupę miliona członków z władz bolszewickiej partii, kilka pokazowych procesów i tysiące mniej publicznych rozpraw, kara odpowiadająca zbrodni to, biorąc pod uwagę choćby połowę tego, co mogliby zrobić wicherzyciele, powinno zostać uznane za wyprzedzające uderzenie w piątą kolumnę. Muszę wyeliminować kolaborantów, zanim podniosą łby, żeby wspierać Hitlera. Moja kampania przeciwko potencjalnym wrogom musi być podporządkowana zasadzie, zgodnie z którą nie ma czegoś takiego jak niewinność. Takie coś nie istnieje na świecie. Na każdym ze stu pięćdziesięciu milionów rosyjskich obywateli, z wyjątkiem mojej świętej matki, ciąży jakaś wina. Lenin jest pierwszy na tej liście. Moja Nadieżda zajmuje tam wysoką pozycję.

Wszyscy starzy bolszewicy - Kamieniew, Zinowiew, Trocki i inni - też na niej są. Podobnie jak ulubieniec partii, Bucharin. A także ulubieniec poezji, Mandelsztam".

Och, Nadienko, powierniczko moich trosk, powiadam ci, że słuchałem Stalina, jak się słucha szaleńca. I wtedy przypomniało mi się opowiadanie Tołstoja o człowieku, który widziany z daleka robił wrażenie wariata. Z bliska jednak dostrzegało się, że ten człowiek po

prostu ostrzył nóż. Chozjain, jeśli można tak powiedzieć, wydawał się szalony, ale on ostrzył nóż. Odsunąłem krzesło od stołu i [nieczytelne], Stalin mówił do siebie, kiedy cofałem się do drzwi. Poruszał ustami, jak starzec pogrążony w zadumie. Usłyszałem, jak mówił: „Im bliżej będziemy powodzenia, tym aktywniejszy będzie nasz wróg. A skoro teraz wykazuje najwięcej energii i niszczycielskiej siły, powinno być to wzięte za znak, że jesteśmy na granicy zwycięstwa”.

Po tym zdarzeniu, najdroższa Nadienko, nastąpiło rozczarowanie. Zabrano mnie na Łubiankę, zarejestrowano, ale nikt mnie poważnie nie przesłuchiwał. Było tak, jakby moja wina została już przesądzona. Stałem się wrogiem ludu, wichrzycielem, agentem zdyskredytowanego i rozstrzelanego Bucharina. Pozostawało jedynie określenie odpowiedniej kary do mojej wyimaginowanej zbrodni. A mówiąc o zbiegach okoliczności, przez jakiś czas dzieliłem celę z Christoforowiczem, czekistą, który mnie przesłuchiwał po pierwszym aresztowaniu. Na pewno pamiętasz go, Nadienko, choć nie rozpoznałabyś go, gdyby cię mijął na ulicy. Strasznie zmizerniał, jego elegancki kiedyś mundur wisi na nim jak na wieszaku, stracił większość włosów i całą pewność siebie. Nie próbował się tłumaczyć; powiedział jedynie, że jego upadek był nieunikniony w tym sensie, iż czekał się wspinają się po drabinie kariery, demaskując swoich bezpośrednich przełożonych jako zagranicznych agentów, dlatego jedynie sprawą czasu pozostawało zadenuncjowanie Christoforowicza przez podwładnych. Zapytałem go, czy podpisał zeznania dotyczące popełnionych przez niego przestępstw. Odpowiedział, że zeznania były użyteczne w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku, a zarzuty wobec wroga ludu wymagały wtedy pewnej wiarygodności. Dzisiaj, przynajmniej tak twierdził, wymyślają zarzuty z sufitu - nie wahają się oskarżać Żydów o szpiegostwo na rzecz Hitlera - zeznania stały się zbędne, jako że organa nie muszą dokumentować winy podejrzanych, to oni muszą dostarczyć dowodów na własną niewinność. Christoforowicz został skazany na dwadzieścia lat obozu pracy bez prawa do korespondencji - ze wszystkich ludzi właśnie on wiedział najlepiej, co to oznacza w praktyce - i zabrano transportem przede mną. Odkryłem, że już go nie ma, kiedy pewnego dnia wróciłem z ubikacji i zastałem celę pustą. Zostawił mi list, w którym napisał: „Przesłuchiwanie was było szczytowym osiągnięciem mojej kariery. Nie wiem, czemu nie zastrzeliliśmy was w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym”.

W końcu postawiono mnie przed sądem i po kilku minutach skazano na pięć lat ciężkich robót za działalność kontrrewolucyjną. Biorąc pod uwagę mój stan fizyczny, rozumiem, że ten wyrok jest równoznaczny z karą śmierci. Przeniesiono mnie do więzienia w Butyrkach, gdzie grupuje się więźniów do transportu na Syberię. Ja i kilkuset innych

skazańców zostaliśmy 9 września wsadzeni do zakrytych ciężarówek i zawiezieni na mało używaną stację towarową pod Moskwą, a tam załadowano nas do bydłych wagonów. Pewien uprzejmy strażnik powiedział mi, że wysyłają nas do obozu przejściowego „Druga Rzeczka” niedaleko Władywostoku na radzieckim Dalekim Wschodzie i będziemy tam czekać na transport do jednego z gułagów na Kamczatce. Błagam Cię, Nadieńko, wyślij paczkę ze swetrami, rękawiczkami i mydłem do obozu przejściowego „Druga Rzeczka”. Całuję Twoje oczęta, scałowuję łzy, które z nich popłyną, gdy jakimś cudem list ten do Ciebie dotrze. Nadal tańczę.

Niedziela, 8 stycznia 1939 roku

Telegram upoważniający skazanego zeka Sz744239 do powrotu do Moskwy z obozu przejściowego „Druga Rzeczka”, dokąd trafiłem po skończeniu odsiadki, wymieniał pierwszy dostępny transport, którym okazał się jeden z wagonów pierwszej klasy sprzed rewolucji. Tak właśnie wyruszyłem w podróż na zachód - jako pasażer pociągu Kolei Transsyberyjskiej, pełnego oficerów jadących do domu na urlop. Ławki były obite tapicerką, co spodobałoby się mojej obozowej żonie, Magdzie, gdyby ze mną była, ale z przykrością stwierdzam, że tak się nie stało. Zostało jej jeszcze pięć lat do odsiedzenia, kiedy pomachała mi na pożegnanie, gdy motorowa barka odbiła od nabrzeża na Kołymie. (Nie dotknęło mnie specjalnie, że jednocześnie na zboczu wzgórza taksowała wzrokiem nowo przybyłych więźniów; na jej miejscu postąpiłbym tak samo). Pociąg jechał do Moskwy trzy dni bez trzech godzin, co było ogromną poprawą w stosunku do dziewiętnastu dni w bydłym wagonie w pierwszą stronę. Jako że moimi towarzyszami podróży byli oficerowie, w innym wagonie ustawiono kuchnię polową, a sierżanci roznosili gorące posiłki - na porcelanowych talerzach, ni mniej, ni więcej - dwa razy dziennie. Ponieważ byłem jedynym cywilem w wagonie, oficerowie uznali, że muszę być jakimś ważnym czekistą, i odnosili się do mnie z dużym szacunkiem. Pozwalałem im myśleć, że jestem tak wpływowym, jak uważali.

Dwóch czekistów w mundurach - jeden był pułkownikiem! - czekało na mnie na peronie, kiedy pociąg wjechał na dworzec w Moskwie.

- Szotman Fikrit? - zapytał pułkownik, patrząc do góry, bo znacznie przewyższałem go wzrostem.

- Ten sam - odpowiedziałem.

A potem było tak. Pułkownik przytknął płasko ułożoną dłoń do daszku i oddał mi klasyczny salut, jaki można zobaczyć tylko w radzieckiej Rosji. Prawdę powiedziawszy, błysnęła mi w tępych łbie myśl, że salutował komuś, kto znajdował się za mną, ale nie było tam nikogo na tyle blisko, żeby oddawać mu honory. Nie chcąc wyjść na źle wychowanego, oddałem mu salut.

- Samochód już czeka - oświadczył, traktując mnie z dużym szacunkiem, podobnie jak

oficerowie z pociągu.

Więc by nie pomyślał, że takie cackanie się ze mną rzuca mnie na kolana, wzruszyłem obojętnie ramionami i poszedłem za nim przez tłum pasażerów do ogromnego głównego holu dworca, a potem na zewnątrz. Jak można się było domyślać, kapral Uzbek stał tam na baczność przy otwartych drzwiczkach lśniącego granatowego packarda z Ameryki. Weisnąłem się na tylne siedzenie z kolanami pod brodą. Kiedy opuściłem okno, żeby wpuścić trochę powietrza - moskiewska zima to lato w porównaniu do zimy na Syberii - zauważyłem, że szyba jest gruba na palec. Przypuszczam, że takie właśnie samochody robi się w Ameryce, choć nie rozumiem, dlaczego grube szkło miałyby być lepsze od cienkiego. Ku mojemu zaskoczeniu czterech milicjantów na motorach wyskoczyło przed packarda i blokowało inne pojazdy na skrzyżowaniach, żebyśmy mogli przejeżdżać na czerwonym świetle. Śmiałem się, widząc ludzi, usiłujących zajrzeć do samochodu, żeby zobaczyć ważnego aparatczyka, który był władny zatrzymywać dla siebie ruch uliczny. Po kilku minutach zauważyłem przed nami mur Kremla przy ulicy nazwanej imieniem Maksima Gorkiego i przyszło mi do głowy, że on ma coś wspólnego z książkami, bo przypomniałem sobie, jak Magda czytała na głos jego nekrolog w kołymskim tygodniku mniej więcej dwa lata wcześniej, dzięki czemu dowiedziałem się, że umarł. Gdy dotarliśmy do muru, mając cudowny plac Czerwony po lewej stronie, packard skręcił w prawo, potem w lewo przez niewielki mostek i przejechaliśmy przez kremlowską bramę, o której akurat wiedziałem, że nie jest publicznie dostępna.

Przez cały czas pytałem sam siebie, dokąd mnie zabierają i po co.

Na dziedzińcu Kremla samochód podjechał pod niski budynek z cegły. Uzbek wyskoczył z auta, żeby otworzyć drzwiczki. Słońce świeciło nad kopułą cerkwi, a ja musiałem przesłonić oczy ręką, żeby cokolwiek widzieć. Pułkownik musiał pomyśleć, że mu salutuję, bo ponownie mi zasalutował. Wybiegając przede mną, Uzbek otworzył frontowe drzwi budynku. Szef ochrony towarzysza Stalina, ten sam, który przeszukiwał mnie, zanim uścisnąłem Stalinowi rękę w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku, a zapamiętałem go, bo był prawie tak duży jak ja - jego nazwisko uciekło mi z pamięci, ale przy odrobinie szczęścia wróci, zanim skończycie zapisywać moje odpowiedzi na wasze pytania - czekał w sieni. Tyle że tym razem mnie nie zrewidował. Kiwnął na mnie głową, żebym za nim poszedł w dół po schodach. Podeszliśmy do przeszklonych drzwi z jakimś napisem, a on ponownie kiwnął głową, żebym wszedł do środka. Co oczywiście zrobiłem. I za tysiąc lat nie zgadlibyście, gdzie się znalazłem. Otóż byłem w zakładzie krawieckim, tak, prawdziwym zakładzie krawieckim z czterema mężczyznami pochylonymi nad maszynami do szycia marki

„Singer” - a znam ją, bo w cyrku mieliśmy taką samą do reperowania kostiumów - zawzięcie naciskającymi na pedały. Na wieszakach przy ścianie wisiało więcej garniturów, niż da się policzyć, na półkach na drugiej ścianie leżały sterty poskładanych koszul i butów. Krawiec żydowskiego pochodzenia, przygarbiony mężczyzna o kręconych włosach, zaczął brać ze mnie miarę, posługując się centymetrem, który nosił zawieszony na szyi. Mamrocząc coś do siebie, Izraelita zdjął granatowy garnitur z wieszaka.

- Będziemy musieli podłużyć ramiona i spodnie - powiedział do ochroniarza.

- Jak długo to potrwa?

- Dwadzieścia minut.

- Zrobicie w dziesięć.

Krawiec podał spodnie jednemu ze szwaczy, a marynarkę innemu, oni zaś zostawili to, czym byli akurat zajęci, i przystąpili do pracy. W czasie gdy podlużali rękawy i nogawki, kazano mi rozebrać się do bielizny. Dostałem białą koszulę z dopiętym do niej kołnierzykiem, sznurowane buty z prawdziwej skóry ze szpiczastymi noskami, przez co uwierały mnie w palce. Kiedy szwacze skończyli poprawki, wyprasowali nowe mankiety i rękawy żelazkiem, które wyglądało, jakby było połączone sznurem z gniazdkiem elektrycznym. Co jeszcze wynajdą? Przymierzyłem garnitur, zapiąłem dwurzędową marynarkę i obejrzałem się w lustrze wielkości człowieka. Gdyby Magda mogła mnie zobaczyć, pomyślałaby pewnie, że ma zwidy po czajfirze. Izraelita zaproponował mi kilka krawatów do wyboru, ale ponieważ nie wiedziałem, jak wiąże się krawat, zbyłem go ruchem ręki i zapiąłem koszulę pod szyją, tak jak robimy w Azerbejdżanie. Moje stare ubranie - płócienne spodnie i flanelową koszulę, które należały kiedyś do obozowego męża Magdy, samobójcy, filcowe walonki z przetartymi podeszwami - zostały wrzucone do tekturowego pudła stojącego na podłodze. Kiedy zapytałem, czy dostanę je z powrotem, ochroniarz się roześmiał. Izraelici przy maszynach do szycia też zaczęli się śmiać. Nie chcąc, żeby pomyśleli, że nie rozumiem dowcipu, śmiałem się razem z nimi.

W nowych butach, skrzypiących pod moim ciężarem, i w nakrochmalonym kołnierzyku drapiącym mnie w szyję poszedłem za ochroniarzem przez podziemne przejście oświetlane co kilka metrów elektrycznymi żarówkami. (Wiem, że elektryczność nie rośnie na drzewach. Zastanawiałem się, czy gaszą je na noc, żeby zaoszczędzić pieniądze). Na końcu przejścia były spiralne schody, po których weszliśmy na trzecie piętro i stanęliśmy przed zamkniętymi drzwiami. Ochroniarz - ach, właśnie przypomniałem sobie jego nazwisko: Własik; Agrippina mawiała, że nie mam tęgiej głowy, ale przecież nieźle sobie radzę, prawda? - i tenże Własik wyjął pęk kluczy, dopasował jeden z nich do zamka, a drzwi, jak się

okazało, z żelaza, otworzyły się z kliknięciem. Ruszyłem za nim w górę po kolejnych schodach i potem korytarzem do pokoju z politurowanymi ławami przy ścianach. Za biurkiem z trzema aparatami telefonicznymi siedział bezwłosy mężczyzna z trądzikiem. Za nim na ścianie wisiał inspirujący portret towarzysza Lenina, z prawym ramieniem rozcinającym powietrze, przemawiającego z drewnianego podestu do tłumu robotników.

- Już tu jest - powiedział ochroniarz.

Bezwłosy mężczyzna podniósł słuchawkę telefonu i powiedział: - Już tu jest. - Podniósł wzrok. - Wprowadźcie go.

W drzwiach wstrzymałem oddech: w tym samym pokoju towarzysz Stalin uściśnął mi rękę, kiedy zdobyłem srebrny medal w Wiedniu. Niski mężczyzna w wojskowej kurtce stał przy jednym z okien i patrzył na kremłowską cerkiew, w której kopule odbijało się światło słońca. Własik kaszlnął, zakrywając usta pięścią. Mężczyzna przy oknie obrócił się powoli ku mnie. To był towarzysz Stalin we własnej osobie, niższy, starszy i bardziej zmęczony, niż go zapamiętałem, gdy spotkaliśmy się sześć lat wcześniej. Podciągnął spodnie, przeszedł koło biurka i wyciągnął ku mnie delikatną dłoń.

- Stalin - powiedział.

Uściśnąłem mu rękę, uważając, by nie robić tego za mocno.

- Szotman Fikrit - zdołałem wypowiedzieć, bo brakowało mi tchu, oddychałem przecież tym samym powietrzem co osoba, którą podziwiałem najbardziej na świecie.

Towarzysz Stalin wyjął ze srebrnej szkatułki papierosa o długiej tekturowej tutce i chciał mnie też poczęstować.

- Kiedyś paliłem skręty z machorki - powiedziałem - ale rzuciłem palenie, wasza wielmożność.

- Sam wolałbym nie palić - odpowiedział, trzymając płomień małej zapalniczki przy papierosie. Zaciągnął się. Mam zamiar rzucić palenie w dniu, kiedy Ameryka stanie się komunistyczna.

Obszedł biurko, usiadł na zwykłym krześle i wskazał na drugie krzesło po mojej stronie biurka. Musiałem wyglądać na niepewnego, bo Własik warknął na mnie: - Siadaj, na rany Boga.

Więc usiadłem.

Towarzysz Stalin powiedział: - Bardzo dobrze was pamiętam, Szotman, ludzi waszych rozmiarów nie zapomina się łatwo. Byliście mistrzem w podnoszeniu ciężarów i mieliście kontuzjowane kolano. Kiedy kremłowscy lekarze spieprzyli operację, Chruszczów wpadł na genialny pomysł, żeby zrobić z was siłacza cyrkowego. Jak się wam wiodło od tamtej pory?

Bardzo się przejąłem tym, że towarzysz Stalin, dźwigający na swoich barkach ciężar radzieckiego państwa, nie wspominając o światowym ruchu komunistycznym, pamiętał o kimś tak nieważnym jak Fikrit Szotman. Rzecz jasna, powiedziałem mu prawdę.

- Byłem oskarżony o to, że jestem sabotażystą, bo miałem nalepkę z wieżą Eiffła na kufrze i carskie obligacje w szufladzie tego kufra. Odpracowałem cztery lata w kopalni złota na Kołymie.

- Znam Syberię - powiedział towarzysz Stalin. - Mówiąc wprost, to powód waszej wizyty. - Przejrzał coś, co wyglądało na stertę telegramów. - Komendant „Drugiej Rzeczki” zameldował, że natknęliście się na poetę Mandelsztama, kiedy czekaliście na transport po odsiedzeniu wyroku.

- Mam kłopoty z powodu Mandelsztama? - wypaliłem.

- Odpowiadaj szczerze na pytania towarzysza Stalina, a wszystko dobrze się dla ciebie skończy - odezwał się Własik, stojący przy ścianie.

- Nie macie żadnych kłopotów - zapewnił mnie towarzysz Stalin. - Zastanówcie się, bez pośpiechu. Powiedzcie, co wiecie o tym Mandelsztamie.

- Kiedy dotarłem do „Drugiej Rzeczki” mniej więcej w połowie października, było tam tłoczno od więźniów. W barakach brakowało wolnych prycz, dlatego wcisnąłem się pod plandekę rozwieszoną między dwoma barakami. Nie narzekam, po prostu was informuję, wasza wielmożność. Następnego ranka zauważyłem nagich mężczyzn siedzących na ziemi przed latryną, obszukujących ubrania i grzebiących sobie nawzajem we włosach, żeby znaleźć wszy, i miażdżących je między paznokciami, gdy na nie natrafiali. Rozpoznałem jednego z tych więźniów. To był Mandelsztam.

- Jak mogliście go rozpoznać? Spotkaliście go wcześniej?

- Dzielilem z nim celę w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku, kiedy przesłuchiowano mnie na Łubiance.

- Ha! Więc tu się to łączy. - Towarzysz Stalin zaciągnął się papierosem, wypuścił dym i rozwiął go ręką, żeby nie tracić mnie z oczu. - Jaki był Mandelsztam, kiedy poznaliście go na Łubiance?

- Prawdę powiedziawszy, wasza wielmożność, czasami zachowywał się jak pomyleniec. Wydawało mu się, że może przechodzić przez ściany. Przechwalał się, że był na spotkaniu z wami na Kremlu, opisywał przejście korytarzem, gdzie na ścianach wisiały portrety rosyjskich generałów. Był bardzo tajemniczy i powiedział, że gdybym się dowiedział, o czym rozmawialiście, byłoby to dla mnie niebezpieczne. W końcu podciąłby sobie żyły kawałkiem stłuczonej miski, gdybym go nie powstrzymał.

Zauważyłem na twarzy towarzysza Stalina grymas niezadowolenia. A potem powiedział coś, czego do tej pory nie rozumiem: - Nigdy nie spotkałem się z Mandelsztamem na Kremlu. Mówiąc ściśle, poza Kremllem też nie.

- Nigdy nie uwierzyłem w tę historię o spotkaniu z wami - dodałem szybko. Ale nie do końca było to prawdą. Osip Emiljewicz opisał spotkanie z towarzyszem Stalinem tak szczegółowo, że nawet nie przyszłoby mi do głowy, że je zmyślił.

- Opowiedzcie mi o pobycie Mandelsztama w „Drugiej Rzeczce”.

Muszę szczerze przyznać, że gdy zamknę oczy, widzę poetę, bo tak właśnie nazywali go wszyscy w obozie, wyraźnie, jakby stał przede mną. Mógłbym niemal wyciągnąć rękę i go dotknąć.

- Był chudy jak patyk, wasza wielmożność. Chudy i kruchy jak płatki lodu zsuwające się z dachu baraku, kiedy wyjdzie słońce. Nie chciał brać miski z kaszą polaną tłuszczem ani z owsianką, jaką dostawaliśmy dwa razy dziennie - bał się, że strażnicy chcą go otruć. Wybierał skórki chleba, obierki z kartofli i szpik z kości ze śmietnika za barakiem stołówki i to jadł, choć nie miał wielu zębów i musiał dziąsłami mamlać jedzenie. Kiedy konwój z więźniami wyruszył do gułagów na Kamczatce, znalazłem pustą górną pryczę w baraku numer jedenaście, baraku Mandelsztama, i zostałem właściwie jego opiekunem: nosiłem go na barana do latryny i z powrotem, do izby chorych, kiedy narzekał na skurcze żołądka, bóle w piersiach albo podwójne widzenie. W listopadzie zaczął wiać syberyjski wiatr ze stepów. Kiedy szliśmy do łaźni, co zdarzało się raz na dwa tygodnie, ubrania nam zamarzały w wilgoci łaźni - spodnie opieraliśmy o ściany i wyglądały, jakby ktoś miał je na sobie. Mandelsztam zabijał ręce i tupał nogami, żeby jakoś się rozgrzać. Jego musztardowa skórzana kurtka była w strzępach i trząsał się przez cały czas. Owinąłem mu szyję zapasową koszulą niczym szalikiem, ale to nic nie dało. Któregoś dnia skazany o nazwisku Archangielski - prawdziwy kryminalista, nie z artykułu pięćdziesiątego ósmego, jak my - poprosił Mandelsztama, żeby zadeklamował coś przestępcom, którzy mieszkali na strychu baraku. Ta prośba bardzo podniosła na duchu Osipa Emiljewicza. Przeczesał włosy palcami i dłońmi wygładził szmaty, które miał na sobie. Pomogłem mu wejść po drabinie na strych, ogrzewany piecykiem na drewno i oświetlony lampą naftową. Żółte światło sprawiło, że jego żółta skóra wydawała się jeszcze bardziej zażółcona. Posadziłem Mandelsztama, który chudł i słabł coraz bardziej z każdym mijającym dniem, na wysokim stołku, a on zaczął czytać z niewielkiej książki, którą wszędzie ze sobą nosił w kieszeni, żeby mu jej nie ukradli. Co jakiś czas wpatrywał się w kryminalistów i kończył wiersz, nawet nie zaglądając do książki. Deklamował też inne wiersze, napisane przez kogoś o nazwisku Woroneż, jak mi się wydaje.

Przestępcy słuchali go z ogromną uwagą. Czasami Archangielski lub inny skazany prosił go o powtórzenie jakiegoś wiersza albo żeby powiedział, co określona linijka albo określone słowo znaczą. Kiedy słuchałem go razem z przestępcami, nie mogłem powiedzieć, żebym wiele rozumiał z tego, co recytował, ale mogłem sobie wyobrazić, jaki musiał być Osip Emiljewicz, gdy był młody i silny, i nie umierał ze strachu. Pomiędzy kolejnymi wierszami Archangielski albo inny skazany dawał mu kromkę chleba albo marynowanego grzybka z puszki, a nawet kostkę cukru ze słoika pełnego kostek cukru. Mandelsztam nie bał się kryminalistów - nawet mu do głowy nie przyszło, że mogliby go otruć - dlatego przyjmował, co mu dawali. Ostatecznie recytował kryminalistom dwa, trzy razy w tygodniu aż do...

Towarzysz Stalin pochylił się na krześle do przodu.

- Aż do?

- Aż do czasu, gdy do „Drugiej Rzeczki” dotarł tyfus plamisty. Pierwsze przypadki zgłoszono w połowie grudnia. Choroba szybko się rozprzestrzeniła. Każdy, kto dostał gorączki, był zamykany w baraku kwarantanny. Nikt nie przyjeżdżał ani nie wyjeżdżał. Co rano zarażeni więźniowie opróżniali kubły z nieczystościami przez okno baraku. Szybko rozeszła się wieść, że wszyscy, którzy trafili do tego baraku, umierają. Osip Emiljewicz błagał mnie, żebym nie pozwolił go zabrać na kwarantannę. Dygotał tak mocno, że wciągnąłem go na moją górną pryczę, bo tam było cieplej, i okryłem swoim i jego kocem. Kiedy rano przyszli sanitariusze w maskach na ustach, żeby zabrać więźniów z gorączką, udało mi się jakoś ukryć przed nimi Osipa Emiljewicza, bo zasłoniłem go własnym ciałem. A potem któregoś ranka, kiedy była moja kolej na przyniesienie racji kaszy, inni więźniowie zauważyli, jak się trząsł i pocił pod kocami. Gdy wróciłem, powiedzieli mi, że ma gorączkę, i zagrozili, że doniosą na nas obu, jeśli od razu nie zabiorę go do baraku kwarantanny. Owinąłem go w koce i zaniósłem, ale do obozowego szpitala. Lekarz w szpitalu, też z artykułu pięćdziesiątego ósmego, jak my, rozebrał Osipa Emiljewicza, umył go, choć była to już tylko skóra i kości, gąbką i ciepłą wodą. Potem wyczesał mu wszy z włosów, brody i włosów na dole, i położył go spać na wojskowym łóżku z prawdziwym siennikiem. Przez następne dni spędzałem z nim tyle czasu, ile mogłem. Bardzo często bredził bez sensu. Któregoś razu kazał mi obiecać, że wyślę telegram do związku pisarzy z informacją, że kiepsko się czuje i dlatego nie przyjdzie tego dnia na wieczór autorski. Innym razem smęcił, że zastrzykami zarażono go wścieklizną, jeszcze innego dnia, pod koniec grudnia, późnym popołudniem, musiałem zdrzemnąć się przy jego łóżku. Kiedy się obudziłem, zobaczyłem, że wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami dziecka, i pomyślałem, oto przed śmiercią wrócił do bezpiecznego dzieciństwa. „Słyszycie mnie, Osipie Emiljewiczu?”, wyszeptałem.

Odpowiedział tak cicho, że musiałem przystawić ucho do jego ust, żeby cokolwiek zrozumieć. Mówił coś o bezbolesnym ukłuciu gasnącego światła ostatniej gwiazdy. Powtarzałem jego słowa, aż nauczyłem się ich na pamięć, choć to, co znaczyły, pozostało dla mnie tajemnicą. (Boleśnie czy bezboleśnie, nie mam pojęcia, jak odległa gwiazda może kogoś ukłuć). Sięgnął potem pod szorstki koc i zaczął się bawić ptaszkiem, a ja pomyślałem, że przed śmiercią przeszedł z dzieciństwa w stan niemowlęctwa. Nie wstydzę się powiedzieć, że odwróciłem głowę, żeby nie widział łez w moich oczach. Po jakimś czasie wziąłem się w karby i znowu na niego popatrzyłem. Mandelsztam nadal wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi, niewinnymi oczami dziecka, tyle że zastygłymi w bezruchu, a on sam nie oddychał. Wyszedłem na korytarz i gestami przywołałem lekarza, który stał na samym jego końcu, ale mnie zrozumiał i przybiegł. Przystawił kieszonkowe lusterko do ust Mandelsztama, a skoro nie pojawiła się na nim mgielka życia, popatrzył na mnie i pokręcił głową. I powiedział: „Śmierć nie jest smutna, jeśli przed nią nie było życia”. Napisał nazwisko Osipa Emiljewicza i datę - dwudziesty siódmy grudnia tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku - na takiej jakby etykiecie i przymocował ją drutem do palucha poety. Owinąłem ciało w kawał płótna, leżący obok, który służył do takich celów, i wyniosłem go do rowu za ostatnim barakiem, w którym leżały już trupy zabitych przez epidemię tyfusu. W pobliżu stał spychacz, gotów zasypać rów ziemią, kiedy nie będzie już w nim więcej miejsca. Wskoczyłem do dołu, wciągnąłem za sobą Osipa Emiljewicza i ułożyłem go na zmarzniętej ziemi. Rozchyliłem płótno i ułożyłem mu na oczach dwa płaskie kamyczki rzeczne, bo tak się robi w Azerbejdżanie, gdy grzebie się kogoś znacznego. I pomyślałem, że ktoś powinien odmówić modlitwę czy coś w tym rodzaju, bo przecież umarł, dlatego powiedziałem: „Boże Żydów, nie przywiązuj zbyt dużej wagi do zarzutów przeciwko poecie Mandelsztamowi, bo to nie jego wina, że nie był pożyteczny społecznie”. Kiedy tego wieczoru spotkał mnie Archangielski, chciał się dowiedzieć, czy poeta na tyle dobrze się poczuł, że przyjdzie i będzie deklamował kryminalistom. Odpowiedziałem, że nie, nie czuje się dobrze na tyle, żeby deklamować, jako że, prawdę powiedziawszy, nigdy już nie będzie deklamował, bo umarł.

Gdy skończyłem opowiadać o śmierci Mandelsztama, usłyszałem, jak towarzysz Stalin głośno oddycha przez nos. Nadal trzymał w ręku papierosa, ale go nie palił. Wyciągnął następny telegram ze sterty na biurku i powiedział: - Komendant obozu wymienił tyfus jako przyczynę zgonu.

Musiałem wzruszyć ramionami, bo towarzysz Stalin zagrzmiął: - To był tyfus, prawda?

- Nie znam się na medycynie, wasza wielmożność. Kto może wiedzieć, dlaczego ktoś umiera? Jeśli chodzi o Osipa Emiljewicza, to mógł umrzeć z głodu, bo bał się jeść cokolwiek, co pochodziło z przydziału. Mógł umrzeć z braku snu, bo przez całe noce rzucał się po pryczy w dygocie. Więźniowie „Drugiej Rzeczki” czasami dają za wygraną i umierają, kiedy opuści ich nadzieja, sam Mandelsztam tak powiedział na kilka dni przed własną śmiercią.

- Zatem Mandelsztam naprawdę nie żyje? - odezwał się towarzysz Stalin. - Jesteście pewni, że to właśnie jego pochowaliście?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

Towarzysz Stalin zdusił papierosa w popielniczce, choć nie dopalił go do końca. (Na Kołymie, w „Drugiej Rzeczce” więźniowie byli gotowi zabić za pół wypalonego papierosa). Wstał z krzesła, obrócił się i zapatrzył w okno. Dostrzegłem światła dochodzące z okien pod arkadami GUM-u po przeciwnej stronie placu Czerwonego. Kiedy towarzysz Stalin ponownie się odezwał, widziałem, że jest wściekły.

- Gdyby ten dureń dał mi wiersz, kiedy go chciałem, nic z tego by się nie wydarzyło. Cóż, srać na niego. Sam się zabił własnym oślim uporem. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

I wtedy car radzieckiej Rosji zrobił coś, co mnie śmiertelnie przeraziło: zaczął walić pięścią w szybę okna, najpierw lekko, potem coraz mocniej, aż nabrałem pewności, że szkło zaraz pęknie, ale po chwili domyśliłem się, że musi być równie grube jak w packardzie. I krzyczał głosem, którego nie rozpoznawałem: - Kutas! Co ja teraz zrobię?

Własik ruszył przez pokój, ale towarzysz Stalin, z czołem przyciśniętym do okna, wstrzymał go machnięciem ręki. Poczulem uścisk dłoni ochroniarza na własnym ramieniu, tym z niemal już zupełnie wyblakłym wytatuowanym portretem Stalina. Podążyłem za Własikiem, minęliśmy poczekalnię i poszliśmy dalej korytarzem. Potem Własik obrócił się do mnie i powiedział ostrzegawczym tonem: - Ani słowa nikomu o tym, co tam widziałeś.

- Towarzysz Stalin jest dla mnie wielkim bohaterem - odpowiedziałem. - Poza tym nie widziałem nic niezwykłego.

Własik otworzył kopniakiem drzwi do toalety. Na podłodze stało tam tekturowe pudło z płóciennymi spodniami i flanelową koszulą, które należały kiedyś do Magdy męża samobójcy, oraz moje filcowe walonki ze zdartymi podeszwami.

- Garnitur, koszula i buty, które dał ci krawiec, były tylko wypożyczone - powiedział.

Nie było mi przykro, że muszę włożyć stare ubranie. Coś mi mówiło, że Agrippina, którą miałem zamiar odnaleźć, i tak uznałaby, że garnitur szyty na miarę, z dwurzędową marynarką, do mnie nie pasuje.

Anna Andriejewna

Piątek, 4 czerwca 1965 roku

Nie, nie, wątpię, czy chciałabym zrobić to ponownie, nawet by oddać przysługę Nadzieździe. Nie teraz, nigdy Dzisiaj, gdy przywołuję wspomnienia o Osipie Mandelsztamie, pojawia się razem z nimi określony ból, a szczerze mówiąc, dość się już wycierpiałam jak na jedno życie: rozstrzelanie pierwszego męża, aresztowanie i śmierć w gułagu trzeciego męża, i to, że mój syn od lat gnije w więzieniu jako zakładnik mojego „poprawnego” zachowania. Kiedy amerykański poeta Frost, stary, czerwony na twarzy i siwy, odwiedził mnie w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku (władze uparły się na nasze spotkanie w jednej z tych luksusowych dacz w Komarowie, byle nie w mojej skromnej chacie; przypuszczam, że nie chciały, żeby zobaczył, w jaki gnój mnie wdeptano), powiedziałam mu, że przeszłam już przez wszystko: biedę, kolejki pod więzieniami, strach, wiersze znane tylko z pamięci, spalone wiersze.

I upokorzenie, i żal; niekończące się upokorzenie, niekończący się żal. Frost był życzliwym starszym panem, nie chciał mi wyrządzić żadnej krzywdy, ale kiedy zdałam sobie sprawę, że oczekuje ode mnie rozmowy o Osipie, słowa popłynęły mi z ust, zanim płat mózgu odpowiadający za język zdążył sformułować zdanie. Usłyszałam, jak mówię: - Nic to panu nie da. Nawet gdybym panu opowiedziała, i tak nie byłby pan w stanie tego pojąć.

Rosja, wrząca ciągłym buntem, którą znamy, której nienawidzimy, którą kochamy i której się boimy, jest zastrzeżona dla Rosjan. To nie jest bardzo skomplikowane: ciałem jestem tu, w Anglii, żeby odebrać doktorat honoris causa w Oksfordzie, ale umysł, serce, dusza, animusz zostały tam, w Rosji. Gdyby ludzie jakimś cudem posiadli sztukę porzucania ciał, my Rosjanie nie moglibyśmy opuścić Rosji. A dobrotliwi ludzie, jak Frost, nie potrafią tego zrozumieć, bo mają jedynie wstemplowane w paszporty rosyjskie wizy. Trzeba było przeżyć lata trzydzieste, żeby to pojąć, a nawet i wtedy się tego nie rozumie.

Jeśli się nad tym zastanowicie, przekonacie się, że powiedziałam wam wszystko, co wiem o kochanym, drogim mi Osipie i bez wątplenia jednym z najohydniejszych rozdziałów tysiącletniej historii Rosji.

Epilog

Robert Littell

Niedziela, 23 grudnia 1979 roku

Od razu po przyjeździe do Moskwy zadzwoniłem do pani Mandelsztam. Kilka lat wcześniej, po dekadach koczowniczego życia, przyznano jej wreszcie moskiewski meldunek, dzięki któremu osiadła w stolicy. Zaprosiła mnie i moją towarzyszkę na herbatę. Trzymając pod pachą największą bombonierkę, jaką można było kupić za twardą walutę w hotelowym sklepie, zbiegłem na dół do taksówki. Zawiozła nas do posępnego bloku na dalekich przedmieściach, pełnych sześciopiętrowych budynków z cegły, które wydawały się zbudowane już jako walące się budy, podupadające od tamtej pory nieprzerwanie. Kiedy otworzyły się drzwi mieszkania na parterze, stanęliśmy przed niską, wyniszczoną, wychudłą kobietą, stareńką, podczas gdy w rzeczywistości była jedynie dobrze posunięta w latach. Młodzi poeci opiekowali się na zmianę wdową po Mandelsztamie. Jeden z nich, gdy przyjechaliśmy, parzył herbatę i wykładał ciastka w małej kuchence. Pani Mandelsztam na wół leżała na kanapie przez większość czasu naszej wizyty, sporadycznie, ale zawsze po pewnych ceregielach, częstując się czekoladkami z bombonierki, którą trzymała na kolanach.

- Nigdy nie umiałam przewidzieć smaku czegoś na podstawie kształtu - powiedziała z roztargnieniem.

Niewielkie mieszkanie było straszliwie przegrzane. Miała na sobie białą, prostą, luźną sukienkę bez rękawów. Łokcie ostro rysowały się pod skórą, która zwieszała się z kości i układała w miękkie fałdy. Rozmawialiśmy po angielsku, którym płynnie władała; kiedyś, w latach gdy poeta Mandelsztam nie był publikowany i nie zarabiał ani kopiejki, wiązała koniec z końcem dzięki tłumaczeniom. Gdy zacząłem nagrywać naszą rozmowę, powiedziała: - Minęła cała wieczność od twojej wizyty z diabelską machiną nagrywającą, która zajmowała niewielką walizkę. O ile dobrze pamiętam, podczas wywiadu z Mandelsztamem zmieniałeś taśmę co pół godziny - po twoim wyjściu Mandelsztam skarżył się, że patrzenie na obracające się szpule przyprawiało go o zawrót głowy. A teraz zjawiasz się z urządzeniem niewiele większym od paczki papierosów.

- W przyszłości będą jeszcze mniejsze.

Uśmiechnąwszy się słabo, pani Mandelsztam odwróciła wzrok.

- Kiedy pozwolono mi zobaczyć się z nim na Łubiance, Mandelsztam zapytał mnie, czy przyszłość jest za nami, czy przed nami.

- Co odpowiedziałaś?

- Do diabła, Robercie, nie możesz oczekiwać po mnie, że będę pamiętała coś, co powiedziałam w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku. Po to właśnie nagrywałeś te rozmowy. Ty mi powiedz, co powiedziałam.

- Mnóstwo wody upłynęło od tego czasu - zauważyłem. - Będę musiał tego poszukać w notatkach.

Zaśmiała się cicho.

- Moja wspaniała przyjaciółka Achmatowa twierdziła, że to nie woda płynie, ale rozlane mleko. I na pewno miała rację. Kiedy umarła, niedługo po powrocie z Oksfordu, pomyślałam: to całkiem możliwe, że utonęła w rozlanym mleku. - Odpowiadając na pytanie, pani Mandelsztam zaczęła mówić o mężu: - Był głupiutkim młodym człowiekiem, bardzo wesołym nawet wtedy, gdy w latach dwudziestych nie było mu łatwo jako poecie. Był bez końca *żyznieradostnyj*, co można przetłumaczyć jako radosny albo, nawet lepiej, zadowolony z życia. W latach trzydziestych, kiedy rzeczywiście bardzo kiepsko się nam wiodło - doświadczyliśmy głodu, braku dachu nad głową, strachu, brudu, skrajnej nędzy - Mandelsztam pytał mnie: „A gdzie jest napisane, że musisz być szczęśliwa?” - Pani Mandelsztam zapatrzyła się w przestrzeń i można było pomyśleć, że podjęła wątek rozmowy z mężem przerwanej czterdzieści jeden lat wcześniej. - Nigdy nie straciłam złudzeń, kochany, bo nigdy nie było mnie stać na luksus ich posiadania.

Sączyliśmy herbatę. Magnetofon rejestrował ciszę przez wiele minut. Po jakimś czasie zapytałem panią Mandelsztam, czy jej zdaniem Osip Emiljewicz naprawdę spotkał się ze Stalinem twarzą w twarz.

- Mandelsztam nie był jedynym rosyjskim intelektualistą zafascynowanym w swoim czasie Stalinem. Zastanawiał się, jaką zagadkę skrywają te oczy, dociekał, co przemieniło kaukaskiego wieśniaka Dżugaszwilego w kremłowskiego kata chłopów, innymi słowy, w aktywnego paranoika.

- Ale moje pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Zastanawiała się przez chwilę, szukając odpowiednich słów, które by ją satysfakcjonowały - Mandelsztam na pewno spotkał się ze Stalinem - powiedziała, starannie wymawiając wyrazy. - Sam jednak musisz zdecydować, czy to spotkanie odbyło się na Kremlu, czy w daczce, czy tylko w głowie poety.

Odpowiadając na kolejne pytanie, oznajmiła, że nie ma pojęcia, dlaczego nie

aresztowano jej razem z mężem. W przypadku obu jego zatrzymań mogli bez problemu i ją zabrać.

- Po drugim aresztowaniu zastosowałam się do rady Puszkina. „Odejdź w zapomnienie”. Pracowałam w wielu zawodach i w tak wielu miejscach, że straciłam ich rachubę. Byłam nauczycielką, tłumaczką, kiedyś sprzątałam rządowe budynki. W żadnym mieście nie przebywałam zbyt długo. Słyszałam, że wydano nakaz aresztowania mnie, ale ciągle się przemieszczałam i zawsze udawało mi się wyprzedzać czekistów o krok. Musiałam trwać, jeśli spuścizna Mandelsztama - której część istniała i nadal istnieje tylko w mojej głowie - miała zostać ocalona.

- Ostatecznie, zobowiązując cię do zapamiętania jego wierszy, uratował ci życie.

- Mylisz się, sądząc, że mnie z o b o w i a z y w a ł, Robercie. Uczylałam się jego wierszy na pamięć, bo chciałam mieć je zawsze na końcu języka. Dopiero potem oboje zrozumieliśmy, że noszenie w pamięci jego dorobku da mi bodziec do przetrwania, gdyby jemu coś się stało. - Pani Mandelsztam zamknęła na moment oczy. - Cóż, wbrew wszystkim przeciwnościom, przeżyłam. I oto znowu jestem w Moskwie, jeśli można to nazwać Moskwą. - Machnęła ręką z rezygnacją w stronę okna, wychodzącego na sąsiedni blok na dalekich przedmieściach. - Jestem już staruszką. Przestali się mną interesować.

Poprosiłam, żeby opisała mi ostatnie miesiące przed drugim zatrzymaniem Mandelsztama.

- Musisz zrozumieć, że po pierwszym aresztowaniu nigdy już nie był sobą. Opowiedział mi kiedyś, jak podczas pierwszego przesłuchania Christoforowicz obiecał mu, że doświadczy strachu w pełnym wymiarze, i dotrzymał słowa. Coś się przydarzyło Mandelsztamowi na Łubiance, coś, co okaleczyło jego radość życia. Przy kilku okazjach wymykały mu się aluzje do jakiejś jego egzekucji, ale nigdy nie zdradził szczegółów, a ja nie pytałam, bo bałam się rozdzierać starą ranę. Na zesłaniu, a nawet już po powrocie z zesłania, zdarzały się miesiące, kiedy Mandelsztam sprawiał wrażenie, jakby się lękał własnego cienia. Bał się zostawać sam. Bał się jeść, chyba że to ja ugotowałam jedzenie albo mógł się posilać z innymi ze wspólnego garnka. W Woroneżu i później w Kalininie leżał bezsennie całymi nocami, w napięciu nasłuchując odgłosu samochodów zatrzymujących się przed domem albo kroków z ulicy zbliżających się w naszą stronę, albo otwierania drzwi w naszej kamienicy. Patrząc wstecz, przypominam sobie, że były też długie okresy, kiedy Mandelsztam znajdował wytchnienie od strachu - w obłądzeniu. Nie było to, jak myślę, twórcze szaleństwo, które doprowadziło go do napisania epigramu na Stalina - nie, nie, to był czysty obłąd, wypełniony halucynacjami słuchowymi i demonami, zdolnymi zmusić człowieka do wyskoczenia w

ciemność z pierwszego piętra szpitala. Trafiały się przerwy, kiedy z trudem powracał do stanu, który można określić jako zbliżony do normalności. To właśnie w czasie takich chwil oprzytomnienia stworzył cudowne i smutne wiersze z cyklu woroneskiego. „We wspaniałym ubóstwie i nędzy wszechmocnej, / Spokojny żyj i znajdź pociechę...”⁴⁰ - Pani Mandelsztam pokręciła głową, jakby chciała oczyścić myśli. - W czasie takich chwil jasności umysłu napisał ostatni list, na kartkach wyrwanych z tomiku Puszkina, w którym prosił mnie o przysłanie ciepłych ubrań i mydła do „Wtorojrieczki”, którą nazywacie „Drugą Rzeczką”. O śmierci Mandelsztama dowiedzieliśmy się od jego brata Aleksandra; dostał on oficjalne powiadomienie od władz z informacją, że Mandelsztam zmarł na niewydolność serca dwudziestego siódmego grudnia tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku. W tamtych czasach władze podawały jako przyczynę śmierci niewydolność serca w przypadku wszystkich, którzy umarli, nieważne, czy w piwnicach Łubianki, czy w wagonie bydłęcym zmierzającym na wschód, czy w gułagu, dlatego oficjalną wersję, poza datą śmierci, uznaliśmy za bzdurę. Wkrótce potem Achmatowa przyjechała z Leningradu. Nie wiedziałam, jak przekazać jej tę wiadomość bez przerywania w połowie, więc powiedziałam: „Jestem wdową po poecie Mandelsztamie”. Padłyśmy sobie w ramiona i szlochałyśmy, aż zużyłyśmy zapas łez dany nam na całe życie.

Wspomniałem, że znam ostatni list poety, i zapytałem, co sądzi o podpisie.

- Nie jesteś pierwszą osobą zaintrygowaną tym „Nadal tańczę”, Robercie. Można bardzo różnie interpretować to „nadal” przed „tańczę”. Na jednym z poziomów na pewno dawał do zrozumienia, z typową dla siebie brawurą, że mimo wszystko k o n t y n u o w a ł taniec - ukłon w stronę szalonych lat dwudziestych, kiedy ustawiał kogoś na czatach przy drzwiach, żeby nikt nie doniósł na nas, że tańczymy charlestona. Ja jednak jestem zdania, że Mandelsztam, jak zawsze, był bardziej precyzyjny. Kiedy wagon bydłący zbliżał się do Syberii, on, jak gwiazdy w zdumiewającym wierszu Philipa Sidneya, tańczył w miejscu, żeby stopy mu nie zamarzyły, i czekał już na dzień, kiedy wróci do najlepszej przyjaciółki, towarzyski życia i prawnie poślubionej żony.

- Zatem „nadal tańczę” oznaczałoby n a d z i e j ę?

- Raczej nadzieję w beznadziei. Ale mimo wszystko n a d z i e j ę. Ponad wszelką wątpliwość.

Powiedziałem pani Mandelsztam, jak bardzo podziwiam jej dwie książki, które zostały przeszmuglowane z Rosji i wydane na Zachodzie pod tytułami *Hope Against Hope* i

⁴⁰ Przekład Seweryna Pollaka.

Hope Abandoned; i o tym, że podobnie jak bardzo wiele osób uważam je za najlepsze dzieła pochodzące z Rosji, nawet biorąc pod uwagę Solżenicyna, o straszliwych czasach stalinowskich, kiedy miliony ludzi straciły życie, a wśród nich poeta Mandelsztam. Zapytałem, czy jej zdaniem zmieniło się coś w jej kraju na lepsze. Odpowiedziała, że ma nadzieję w beznadziei, iż tak właśnie jest, ale niczego nie można być pewnym i zupełnie jak w przypadku Żyda, siedzącego w ostatniej ławce w synagodze w trakcie pogromu, trzeba się oglądać przez ramię i jednocześnie modlić, jeśli chce się przetrwać.

Kiedy uznałem, że jeszcze chwila i nadużyjemy gościnności pani Mandelsztam, podziękowałem jej za spotkanie. Z pewnym wysiłkiem podniosła się z kanapy i odprowadziła nas do drzwi. Zanim jednak je otworzyła na ciemny korytarz, powiedziała coś, co prześladowa mnie do dzisiaj:

- Nie rozmawiajcie po angielsku na klatce schodowej.

Źródła wybranych cytatów

W oryginale wiersz Pasternaka *Hamlet* w przekładzie na angielski Lydii Pasternak Slater.

Anna Achmatowa, *Poems of Akhmatova*, wybór, przekład na angielski i wstęp Stanley Kunitz i Max Hayward, Atlantic-Little Brown, Boston 1973. Polskie cytaty z utworów Achmatowej pochodzą z: *Poezje*, tłumacze różni, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986; *Drogą wszystkim ziemi*, w przekładzie i opracowaniu Adama Pomorskiego, Open, Warszawa 2007.

Polski cytat utworu Aleksandra Błoka pochodzi z: *Poezje*, wybór i posłowie Seweryn Pollak, tłumacze różni, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1981.

Marina Cwietajewa, *The Demesne of the Swans*, wydanie dwujęzyczne, wstęp, przypisy, komentarze i przekład angielski Robin Kemball, Ardis, Ann Arbor, 1980.

Nadieżda Mandelsztam, *Hope Against Hope*, Collins & Harvill Press, London 1971 (wydanie polskie: *Nadzieja w beznadziei*, epigram na Stalina w przekładzie Stanisława Barańczaka, całość w przekładzie Andrzeja Drawicza, Wiedza i Życie SA, Warszawa 1997).

Osip Mandelsztam, *The Selected Poems of Osip Mandelstam*, przekład na angielski Clarence Brown i W.S. Marwin, New York Review Books, New York 2004; *50 Poems*, przekład na angielski Bernard Meares, Persea Books, New York 1977; *Selected Poems*, przekład na angielski David McDuff, Rivers Press Ltd., Cambridge 1973. Polskie cytaty z utworów Mandelsztama pochodzą z: *Poezje*, tłumacze różni, PIW, Warszawa 1971; *Słowo i kultura*, przekład Ryszard Przybylski, Czytelnik, Warszawa 1972; *Poezje*, wybór, redakcja i posłowie Maria Leśniewska, tłumacze różni, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1984; *Nikommu ani słowa*, wybór i posłowie Tadeusz Klimowicz, tłumacze różni, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2003; *Podróż do Armenii*, przekład i komentarz Ryszard Przybylski, Sic!, Warszawa 2004; *44 wiersze i kilka fragmentów*, przekład Jarosław Marek Rymkiewicz, Sic!, Warszawa 2009.